

Jacek Sobota

Głos Boga

Wydawnictwo Dolnośląskie



Mojej córce Ewie. Może kiedyś to przeczyta.
No i Arturowi. Może i on zajrzy.

Cierpienie hrabiego Mortena

*Smutne to, ale cierpienie jest chyba jedynym
niezawodnym sposobem zbudzenia duszy ze snu.*

Saul Bellow, *Henderson, król deszczu*

– Dooooość!!! – krzyknął hrabia Morten, dziedzic na zamku Kaltern.

Jednak kat wiedział lepiej.

Na szlachetnym czole hrabiego perliły się krople potu zimnego jak śmierć. Żrenice nieskazitelnie błękitnych oczu Mortena rozszerzały, ból i cierpienie. I ekstaza. Jego nagie ciało spoczywało na przegniłym od wilgoci blacie, a wieloczynnościowa machina do zadawania tortur rozciągała je do granic wytrzymałości.

Urządzenie wprawiał w ruch bezimienny kat, człek z natury ponury i milczący. Jego toporne oblicze ginęło w głębokim cieniu, lecz z rzadka wystawało w chybottliwym świetle pochodni wiszącej u wejścia do lochu.

Ostatni obrót, delikatny jak muśnięcie skrzydeł ćmy, i hrabia z cichym westchnieniem stracił przytomność. Chwilę wcześniej coś niepokojąco zatrzeszczało – kat nie wiedział do końca, czy to napięte powrozy, czy też nadmiernie rozciągnięte stawy hrabiego. Może jedno i drugie?

Delikatnie spryskał utrzymaną w temperaturze komnatowej wodą bladą twarz Mortena.

Hrabia otworzył oczy i uśmiechnął się. Przed trzydziestu laty byłby to uśmiech drapieżny, teraz tylko smutny.

– Rozwiąż – wydał polecenie.

Oswobodzony, leżał jeszcze przez jakiś czas, ostrożnie masując nadgarstki.

– Któregoś dnia... – Morten urwał, krzywiąc się z bólu. – Któregoś dnia rozciągniesz mnie za mocno. A wówczas...

Hrabia pogroził katu palcem urodzonego harfiarza, lecz nawet ta czynność okazała się bolesna, zatem natychmiast jej zaprzestał.

Tymczasem kat, pozostając w zgodzie z własną naturą, milczał. Hrabia bardzo sobie cenił jego powściągliwość. Wymagał tej cnoty od całego personelu zamku Kaltern. Gadanie po próżnicy nie było rzemiosłem kata, który miłował swą pracę i za nic na świecie nie chciałby jej utracić. Stał więc nieruchomo tuż obok maszyny tortur – dzieła swego życia. Milczący, zimny i nieforemny jak głaz.

– Jutro chłosta – zadysponował hrabia. – Nic tak dobrze nie wpływa na krążenie krwi jak solidna chłosta. Szczególnie jeśli jest to krew błękitna, więc chłodna z natury.

Wreszcie Morten stanął na niepewnych nogach. Upadłby, gdyby nie pomocna dłoń kata

wyrośla nagle z ciemności. Hrabia zebrał się w sobie i stanął o własnych siłach.

– Wilgotno tu – mruknął i wzdrygnął się.

Kat błyskawicznie podał mu pelerynę w kolorze krwi. To praktyczna barwa.

Kiedy Morten opuszczał loch, oprawca wciąż stał nieruchomo w tej samej pozycji. Hrabia zastanawiał się, czy kat, pozostając samotnie w lochach, wciąż zachowuje się w ten sam sposób. Z upływem lat Morten przywykł traktować kata jak jeden z licznych przyrządów do zadawania tortur, które przemieszczają się z miejsca na miejsce jedynie wówczas, kiedy są potrzebne.

Hrabia wspinał się po krętych kamiennych schodach z trudem.

– Jestem stary... – mruknął. Zauważył, że lubi ostatnio przemawiać do siebie. W końcu był zdecydowanie najbardziej interesującym rozmówcą na zamku Kaltern, a także w najbliższych jego okolicach.

Gdy wreszcie dotarł do swej komnaty, był bardzo zmęczony. Z ulgą zasiadł na inkrustowanym krześle. Na ścianie przed jego oczami wisiał portret kobiety. Na jej widok Morten niespodzianie zapłakał.

Malarz opuścił namiot i odetchnął pełną piersią. Właśnie wschodziło słońce, nad bezkresnymi, zda się, wrzosowiskami podnosiła się poranna mgła, lżejsza od puchu. Widok był piękny, więc malarz bez chwili zwłoki rozpiął płótno na sztalugach i jął szkicować. Tak był zajęty pracą, że nie spostrzegł dwóch jeźdźców zbliżających się z północy, od strony zamku Kaltern. Ujrzał ich dopiero, gdy tętent rozproszył ciszę. Byli to ludzie hrabiego Mortena; malarz rozpoznał ich po godle na pelerynach: Bezgłowym Orle.

Zamek Kaltern cieszył się złą sławą. Hrabia Morten nie bez powodu uchodził za dziwoląga i samotnika. Nie zwykł udzielać się towarzysko, nie zależało mu na tak zwanych „dobrych stosunkach z sąsiadami”. Wędrowni trubadurzy rozpowszechniali wieści, jakoby hrabia gustował we krwi niemowląt. Powiadano także, że był energumenem, czyli przez demona opętany, lecz było w tym chyba trochę przesady. Jedno nie ulegało wątpliwości – wielu samotnych podróżnych kończyło swą podróż właśnie w okolicach zamku Kaltern. Co się z nimi działo, nie wiedział nikt. Pewien filozof porównał niegdyś życie człecze do podróży właśnie, która kończy się zawsze w jedyny, wszystkim powszechnie znany sposób. Cóż, prawdą było również, że Morten gościł w zamkowych murach osoby przynajmniej tajemnicze: hochsztaplerów przepędzanych z innych zamków i miast, którzy mienili się alchemikami.

Malarz przerwał pracę. Do tej pory zdołał ledwie naszkicować węglem pejzaż. Próbował ukryć niepokój ogarniający go na widok jeźdźców. Przekonywał się w duchu, że jest przeciw poddanym księcia Sorma, że wykonując jego zlecenie sporządzenia cyklu pejzaży z najbliższych okolic, pozostaje nietykalny.

Jeźdźcy osadzili wierzchowce w odległości niespełna dziesięciu kroków od malarza.

Przemówił starszy wiekiem i zapewne rangą.

– Witajcie, panie. Niebrzydki obrazek.

– Och, to zaledwie szkic, zarys dzieła – usiłował pokryć strach nonszalancją jak płótno farbą.

– Zapowiada się nieźle – wtrącił młodszy.

– Maluję na zlecenie księcia Sorma. Pozostaję pod protektoratem jego książęcej mości. – Na wszelki wypadek wyjaśnił swój status.

– Znajdujecie się, panie, na ziemiach hrabiego Mortena.

– Jestem pewien, że hrabia nie miałby nic przeciw...

– Hrabia... zaprasza was, panie, na zamek Kaltern – przerwał artyście starszy z jeźdźców.

– Ale skąd hrabia mógł wiedzieć, że właśnie w tym miejscu będę przebywał właśnie ja?

– Hrabia nie wiedział, panie. Hrabia jest człowiekiem niezmiernie gościnnym i zaprasza do siebie wszystkich wędrowców przemierzających jego włości. To dziwne, ale jak do tej pory nikt jeszcze nie odmówił naszemu panu.

Malarzowi pociły się dłonie. To bardzo niefortunna przypadłość w malarskim fachu. Spojrzał na północ, gdzie w oddali, niemal na samym skraju horyzontu, wznosił się ponury kształt zamczyska.

Miał złe przecucia.

Kamienna wieża wznosiła się samotnie przy zachodnich murach zamku. Według kiepskich legend w takich właśnie wieżach więziono krnąbrne i piękne księżniczki, ratowane z opresji przez ambitnych parweniuszy. Malarz nie mógł niestety liczyć na taki ukłon losu. Mijały tygodnie, a on wciąż nie zaznał wolności.

W komnacie na szczycie wieży niepodzielnie panowała wilgoć, a malarz od lat cierpiał na reumatyzm. Stawy wykręcał mu ból, duszę zaś – samotność. Północne okno w komnacie było zabite deskami, południowe zaś wychodziło wprost na wrzosowiska. Malarz patrzył na ten pozorny bezkres i cierpiał.

Tuż przy oknie, w miejscu, gdzie w okolicach południa padało najdogodniejsze do malowania światło, były rozłożone sztalugi z napiętym płótnem. Malarz nie wiedział, co malować. Do tej pory hrabia Morten nie raczył przedstawić mu zamówienia. Przychodził tylko od czasu do czasu do komnaty na wieży, siadał na pryczy i w milczeniu wysłuchiwał błagań, skarg, wniosków i zażaleń swego więźnia. Przychodził rzadko – wchodzenie po stromych schodach sprawiało mu duże trudności.

Nieoczekiwanie zgrzytnęła zasuwa, zaskrzypiały zawiasy. Do komnaty wkroczył hrabia Morten we własnej osobie. Był równie blady jak płótno rozwieszona na sztalugach.

– Witaj, mistrzu – rzekł.

– Panie... – Malarz zgiął się w głębokim ukłonie. Na tyle głębokim, na ile pozwoliły na to

stawy.

Morten podszedł do okna, przedtem jednak szczelnie owinął się szkarłatną peleryną. Ciemne chmury pędziły po niebie, jakby dokądś spieszyły.

– Żywię nadzieję, że nie znużyła cię moja gościnność, mistrzu. – Hrabia nie odrywał wzroku od nieba. Pomyślał, że ludzie podobni są do chmur. Coś ich nieustannie pędzi, jakiś wiatr przeznaczenia.

– Jak może nużyć coś, czego nie ma? Siedzę w tej śmierdzącej, zawilgoconej norze od wielu dni i...

– Rzeczywiście, wilgotno tu – mruknął hrabia. Wreszcie oderwał wzrok od chmur, by spojrzeć na ściany pokryte grubą warstwą pleśni. Wzruszył ramionami. – Taki klimat.

– Znam swoje prawa, panie...

– Konieczność nie zna prawa, drogi mistrzu.

Hrabia okazał się tego dnia nieoczekiwanie rozmowny, co, nie wiedzieć czemu, bardzo zaniepokoiło artystę.

– Czy wiesz, mistrzu, co tak naprawdę różni człowieka od zwykłego bydłęcia?

– Rozum? – zaryzykował malarz.

– Nie. Otóż różni go zdolność do czerpania rozkoszy z własnego cierpienia. Z cudzego tym bardziej.

– W takim razie nie jestem człowiekiem, panie hrabio.

– A któż twierdzi, że jesteś?

– Dlaczego mi to wszystko mówisz, panie?

– Dowiesz się. Jeszcze tej nocy.

– Jestem szanowanym artystą, panie! Namalowałem portret małżonki księcia...

– ...i jego kochanki, wiem. Od tej pory książę zapałał dziwną miłością do sztuk pięknych. No i stał się protektorem, a także mecenasem twojej sztuki. Nie ludź się jednak, że Sorm uczyni cokolwiek, by cię wyciągnąć z Kaltern. Nie jesteś osobistością na tyle ważną, by ryzykował zatarg z sąsiadem tak potężnym jak ja. To bardzo smutne, jak często umiłowanie do sztuki przegrywa z wygodnictwem.

– Nie byłbym tego taki...

– Milcz. Jak wszystko na tym świecie, moja cierpliwość ma swoje granice. Choć podobno jacyś młodzi głupcy głoszą idee świata bez granic. Mogliby zacząć od naszego kontynentu... Wracając jednak do ciebie, dość już mam wysłuchiwania impertynencji. Musisz pamiętać, że jestem panem twego losu, czego nie poczytuję sobie za zaszczyt.

– Ale czego właściwie żądasz, panie?! Co mam dla ciebie namalować?

– Na pewno nie chodzi o portret mojej kochanki. Jak nudni bywają artyści, gdy nie tworzą...

– Co ma się wydarzyć tej nocy?

Hrabia wyszedł bez odpowiedzi.

Odwaga nie była rzemiosłem malarza. Pochodził z gminu i gdyby nie karkołomny zbieg okoliczności, być może do końca życia podkuwałby konie – jak jego ojciec i dziad. Tak się jednak złożyło, że ojciec malarza był przekonany, że jego rzekomy syn jest bękartem. Nie była to okoliczność sprzyjająca rozkwitowi rodzicielskiej miłości. Pośrednio nakierowało to zainteresowania przyszłego artysty na zupełnie inne tory, jak najdalej, co rozumiało, od rzemiosła kowalskiego. Sztuka to przypadek.

Lochy były nieprzyzwoicie zawilgocone, lecz tym razem malarz nie dbał o swoje stawy. Lękał się raczej o głowę, bo to organ o znacznie bardziej żywotnym znaczeniu.

Pochodnia dawała tak mało światła, że malarz, przykuty do ściany łańcuchem cięższym niż wyrzut sumienia, nie widział nawet oblicza swego prześladowcy. Świsnął bat opatrzony metalową kulką i więzień nie czuł nic prócz bólu.

– Nie zapomnij posypać mu ran solą – głos hrabiego Mortena dochodził gdzieś z ciemności.

Po jakimś czasie malarz przestał cokolwiek odczuwać. Zdało mu się, że duch opuścił ciało i zawisł nad cielesną powłoką, jakby w zadumie pełnej łagodnej ironii. Bo czymże jest ciało?

Duch malarza przeniknął bez trudu przez grube mury zamku Kaltern i poszybował ku wrzosowiskom, na wolność.

A zatem umarłem, pomyślał z dziwną obojętnością w obliczu taktu tak ostatecznego.

Ale nie umarł. Kubeł lodowato zimnej wody przywrócił mu przytomność. Powrócił do życia bez radości.

– Chciałeś uciec, malarzu – mówił hrabia. Jego głos dochodził jakby z wielkiej dali. – Ale przecie nie tylko ty jesteś mistrzem.

Kat zainicjował procedurę przypalania.

– Neeee!!! – wrzasnął malarz. Jego głos przeszedł w skowyt.

W powietrzu rozszedł się swąd przypalanej skóry.

– Mój kat to geniusz – kontynuował spokojnie Morten, jakby nic niezwykłego nie zaszło. – Wielu już doceniło jego kunszt. Przynosiłem go do mistrzostwa od dzieciństwa. Od najmłodszych lat był poddawany najwymyślniejszym torturom, jakie zna myśl ludzka. Poznał swój zawód, że tak powiem... od podszewki. I dlatego też ciało jego tak jest zdeformowane... Młode kości... bardzo rozciągliwe... Za to jego dłonie są subtelniejsze od płatków górskich fiołków.

– Aaaaachchch!!!

Malarz był teraz rozciągany.

– Skarzyłeś się na reumatyzm, mistrzu. Podobno rozciąganie znakomicie wpływa na tego rodzaju dolegliwości.

Malarz był pewien, że za chwilę jego kończyny oderwą się od tułowia.

Lecz kat jak zwykle wiedział lepiej. Wprawiał swą maszynę w ruch z wyczuciem wirtuoza wygrywającego niezwykle melodie na instrumencie, którego gamy opanował do perfekcji.

– Oooch!!!

To rzeczywiście była niesamowita melodia.

– Zapewne zastanawiasz się, drogi mistrzu, z jakiego właściwie powodu więzę cię i torturuję. Pomijając drobny fakt, że podobnie podejmuję wszystkich gości, chcę, byś namalował dla mnie dzieło swego życia.

Malarz tymczasem nie zastanawiał się nad niczym. Brakło mu i sił, i woli, by słuchać hrabiego. Za wszelką cenę usiłował postradać zmysły, ale tym razem nie mógł.

Za sprawą kata machina do rozciągania cielska w magiczny sposób przeistoczyła się w dyby. Oprawca jął przygotowywać szczypcę.

– Oszczędź palce. Będą mu potrzebne – wydał polecenie Morten.

Kat zastygł w bezruchu.

– To będzie coś absolutnie specjalnego, niepowtarzalnego. Takiego zamówienia, mistrzu, jeszcze nie miałeś...

Ciało artysty spływało potem, krwią i moczem.

Nagle wyczuł swoją szansę. Tak, już wiedział, że lada moment straci jednak przytomność! Nim to nastąpiło, zdążył usłyszeć słowa Mortena:

– Chcę, byś namalował dla mnie swoje cierpienie, mistrzu.

Obudził go ból. Z nielicznymi wyjątkami bolało go właściwie wszystko, nawet nie usiłował się poruszyć. Do wyjątków należały między innymi powieki, które malarz ostrożnie uchylał. To nie był loch. Znajdował się w obszernej i – co istotne – suchej komnacie. Spoczywał na ogromnym łożu z baldachimem.

Za oknem akurat wstawał blady świt. Ale nawet świt nie był tak blady jak malarz.

Po komnacie krzątała się kobieta o dość obfitych kształtach. Ściągała ze ścian pajęczyny, które następnie przeżuwała wraz z chlebem i kładła na rany malarza. Pośród pajaków zapanowała uzasadniona panika.

Na ścianie, tuż przed jego oczami właściwie, wisiał portret kobiety wielkiej urody. Od razu pomyślał, że jest to twarz, którą chciałby sportretować. Ale jak tu portretować portret? Gdyby malarz nie był artystą, a całkiem zwyczajnym mężczyzną, pierwszą rzeczą, o której by pomyślał, byłoby: oto kobieta, którą pragnę posiadać. U malarza była to jednak dopiero druga myśl.

Miała piękne włosy, czarne jak noc. I skórę bielszą od słoniowej kości. Ale uwagę przykuwały dopiero jej oczy – było w nich coś szczególnego, jakaś tajemnica, która chroniła urodę przed zarzutem pospolitości.

– Tak. Pragnienia są już wspomnieniami...

Malarz nie mógł widzieć hrabiego. Morten znajdował się w głębi komnaty, za plecami artysty. Mówił cicho, niemal szeptem, jakby byli w jakimś sanktuarium.

– Historia naszej miłości należy do gatunku tragicznych, a jednak żaden trubadur nie chciałby o niej śpiewać. Myślę, że nikt z grona głównych postaci tej... sztuki... nie próbowałby zmienić biegu wydarzeń. Po raz pierwszy zobaczyłem ją trzydzieści lat temu, wizytując jedną z nielicznych wiosek przynależnych od stuleci do włości rodu Mortenów. Było to tuż po śmierci mojego ojca. Chciałem dowiedzieć się czegoś o stanie majątku, który właśnie stał się moją własnością.

Tak się nieprzypadkowo złożyło, że akurat karano we wsi złoczyńców przeróżnego autoramentu. Nigdy nie kryłem się ze swymi skłonnościami do czerpania rozkoszy z cudzego nieszczęścia, zresztą ród mój słynie z tego. Mniej więcej raz na trzy pokolenia pojawia się wśród Mortenów monstrum mego pokroju. Wójt owej wsi chciał mi się przypodobać – stąd widowisko. Kiedy patrzyłem na mękę biednych głupców (zorganizowano nawet łamanie kołem), czułem niezdrowe podniecenie; widok świeżej krwi, dźwięk pękających kości... wszystko to jakby dodawało mi wigoru, miast budzić obrzydzenie. Nie wstydzę się tego. Pośród rzeszy pospolitych cierpiętników była także... ona.

Zapewne dziwisz się, mistrzu, dostrzegając niewątpliwą szlachetność jej rysów, że tak piękna istota wywodziła się z pospolitego gminu? Cóż... najprawdopodobniej w jej żyłach krążyła błękitna krew Mortenów. Któryś z moich przodków musiał być aktywnym współuczestnikiem aktu poczęcia jej matki albo babki. Oczywiście od razu przykuła mój wzrok. Przykuła tak mocno, że biedne oczy znalazły się w sytuacji więźnia pozbawionego nadziei na wyzwolenie. Kondycję mych oczu można by chyba jeno porównać do twojej, mistrzu.

Hrabia roześmiał się. Malarzowi nie było do śmiechu, nie odezwał się jednak. Historia Mortena, opowiadana cichym, hipnotycznym szeptem, wciągała słuchacza jak moczary ofiarę.

– Chłystek, co nie dorastał do miana nędznego oprawcy, a co dopiero kata, okładał jej piękne ciało sękatym kijem. Krzyczała wprawdzie, ale w jej oczach... w jej czarnych jak rozpacz oczach była ekstaza! Widzisz, mistrzu, ona pożądała bólu i upokorzeń; to znak krwi moich przodków, rozcieńczonej jednak i skierowanej w odwrotnym kierunku. Potem dowiedziałem się, że ukarano ją za złodziejski proceder, ale ja wiem, że kradła jedynie po to, by być karaną. Była moim przeciwieństwem, antytezą: jeśli ja byłem nocą, to ona jasnym dniem, i tak dalej. Zafascynowała mnie. Zabrałem ją na Kaltern, uczyniłem panią tego zamku. Aż do tamtej pory mniemałem, że moje serce nie jest zdolne do okazywania jakichkolwiek uczuć. Poza niezdrowymi emocjami...

Znów śmiech, jakby gorzki. Z dźwięków dochodzących z głębi komnaty malarz wywiódł, że Morten przemieszcza się, chodzi tam i z powrotem.

– Imię jej było pospolite, natychmiast oboje o nim zapomnieliśmy. Mówiłem do niej: Królowo, choć znaczyła dla mnie tyle, co Cesarzowa. Byłem skromny, bo dusza ma to nie

cesarstwo. To była bardzo dziwna miłość. Noce spędzaliśmy w wiadomym lochu, gdzie poddawałem ją, bez pomocy kata (był wówczas bardzo młody), najwymyślniejszym torturom. Dopiero wówczas osiągał mi spełnienie. Oboje. Tak. To nie była zwyczajna miłość. Ale jak to ujął pewien filozof: „Sprawy ludzkie nie idą aż tak dobrze, by większości podobało się to, co lepsze”. Byliśmy inni, ale czy gorsi? To było jak miłość mordercy z samobójczynią, idealnego kata z idealną ofiarą. Teraz wiem, może wiedziałem o tym już wówczas, że nasza miłość nieuchronnie zmierzała ku jednemu możliwemu zwieńczeniu...

Malarz wiele by dał, aby móc teraz, dokładnie w tym właśnie momencie, odwrócić się i spojrzeć na twarz hrabiego Mortena. I namalować ją, pomyślał.

– Zabiłem ją. Udusiłem własnymi rękami. I wiem z całą pewnością, że tego właśnie pragnęła. Jej śmierć wstrząsnęła mną.

Cierpienie. Niezwykle cierpienie, od którego nie potrafię się uwolnić. Cierpię za dnia i w bezsenne noce, a jeśli już zasypiam, to śnię... o niej. Tylko gdy zadaję sobie tortury, odczuwam chwilową ulgę. Tak jakby cierpienia mego marnego ciała pozwalały mi na moment zapomnieć o mękach duszy. Stałem się przez to podobny do niej. Do diaska! Zawsze ona, tylko ona!

Hrabia podszedł do portretu, wchodząc tym samym w pole widzenia malarza.

– Chcę, byś namalował dla mnie swoje cierpienie, pacykarzu. Chcę napawać się twoją męką i choć na kilka chwil zapomnieć o mojej. Pragnę obrazu cierpienia człowieka, który każdego dnia jest poddawany torturom, który nie zna dnia ni godziny, a tęskni za wolnością. Bez nadziei na jej odzyskanie. Chcę obrazu twojej duszy, malarzu. I niech to nie będzie ciasny pejzaż sali tortur – nie cierpię dosłowności. To ma być pejzaż twego wnętrza, stan twego umysłu.

– Zatem nigdy nie opuścisz murów Kaltern? – spytał malarz. Nie chciał, by głos zdradził jego strach. Lecz głos okazał się zdrajcą.

– Nigdy.

Świat zawirował przed oczami artysty, przedmioty zgubiły właściwości, kształty i zapachy. Stracił przytomność.

Czas mijał mu na oglądaniu wrzosowisk. Wrzosowiska nocą, kiedy wzrok przyzwyczajał się do ciemności, wrzosowiska bladym światem, wrzosowiska w południe i po południu. Czas płynął wolno jednostajnym rytmem. Hrabia Morten uznał, że organizm artysty nie wytrzyma codziennych tortur. Kat nękał malarza tylko raz w tygodniu. Najgorsza jednak była samotność. Morten nie odwiedzał już wilgotnej komnaty w kamiennej wieży. Doszło do tego, że malarz z utęsknieniem oczekiwał dnia tortur. Usiłował wówczas nawiązać niezobowiązującą pogawędkę z katem, ale ten milczał jak zaklęty. Zresztą, wyglądał na zaklętego.

Pożywienia dostarczał mu człowiek odpowiedzialny za więźniów zamku (akurat w tym

czasie malarz był jedynym więźniem). Trudno było z nim jednak rozmawiać, bo jego aktywność kończyła się na wsuwaniu misy z żarciem przez klapę w drzwiach.

Od czasu do czasu odwiedzała go kobieta, ta sama, która opatrzyła mu rany. Malarz zagadywał ją bezskutecznie do dnia, w którym stwierdził, że pozbawiono ją języka. Być może po to tylko, by nie mogła nawiązać z więźniem konwersacji. By jego samotność była doskonała.

Po jakimś czasie stał się zbyt słaby, by samodzielnie podejść i ustać przy oknie. Leżał więc całymi dniami na pryczy i cierpiał niecierpliwie. Znow z znaczną siłą odezwał się reumatyzm.

Mimo to wciąż miał nadzieję, wciąż wierzył w protektorat księcia Sorma, w opatrność, której zdarza się czasem czuwać nad artystami, bo to przecie pięknoduchy. Wierzył też, że wiara czyni cuda. Marzył, że pewnego pięknego dnia bezimienny kat połamie wreszcie kręgosłup swemu panu, nie z wyrachowania czy żądzy mordy, był przecie wierny jak pies. Ale przypadkiem, ślepym trafem.

Każdego dnia wyobrażał sobie swoją zemstę na Mortenie. Jego nienawiść przybierała ostrą formę, aż w końcu przeistoczyła się w obsesję. Bez chwili przerwy rozmyślał nad rodzajami tortur, jakim podda hrabiego. Aż do dnia, gdy zaświtało mu w mrokach umysłu, że przecie Morten tego właśnie życzyłby sobie najbardziej. To bez reszty pozbawiło malarza nadziei. Przestał jeść, schudł i stał się jeszcze słabszy. Jął rozmyślać o swej śmierci. Nie zabił się jednak. Wymyślił bowiem sposób zemsty nad Mortenem. Postanowił odłożyć samobójstwo na później, jak odkłada się różne nieistotne błahostki, które muszą ustąpić miejsca sprawom istotnym. Jął malować. Malował dzień i noc, następny dzień, kolejną noc. Malował bez przerwy i bez wytchnienia. Kiedy skończył, wyskoczył przez okno.

– Sądziłem, że okno jest zbyt małe, by ktokolwiek mógł się przez nie precisnąć – rzekł Morten do poddanego odpowiedzialnego za życie i śmierć więźniów. Obaj stali u stóp wieży nad roztrzaskanym ciałem malarza.

– Człek to wyjątkowo podłej postury, panie – odparł poddany. – Nadto przez okno nie można było uciec, ściany wieży są nieprzystępne. Po cóż więc zakładać w nim kraty? Nie mogłem przewidzieć, że skoczy, przecie to pewna śmierć.

– Odejdź. Najważniejsze, że ukończył obraz.

Więc zdecydował się na coś, na co ja nigdy nie mogłem – myślał hrabia, wspinając się po krętych schodach wieży. – Wybrał śmierć, we własnym mniemaniu – ucieczkę. A jeśli rację mają ci wszyscy religijni narwańcy pałętający się po świecie, którzy głoszą – każdy inną – prawdy absolutnie absolutne? Jeśli śmierć nie oznacza końca, a właśnie początek? Jeśli istnieje życie wieczne? Mnie to nie interesuje. Życie wieczne to wieczne cierpienie. Ale czy żyjąc dłużej na tym padole łez, skracam tym samym wieczność? Czyż nie po to gościłem, a następnie gnębiłem tych wszystkich błaznów, tych alchemików? Pragnąłem przedłużyć życie i zarazem skrócić

wieczność. Hola, jeszcze trochę i okaże się, że jestem człkiem wierzącym...

Wszedł do komnaty-więzienia. Od razu spojrzął na obraz; był zakryty. Drżały mu dłonie, gdy sięgał po płócienną zasłonę.

Na obrazie z niezwykłą dbałością o detal oddana została komnata, w której malarz spędził niemal rok życia. Prycza, przegniły stół uginający się pod własnym ciężarem, kamienne ściany pokryte pleśnią, sztalugi z rozpiętym płótnem (na płótnie zaś odpowiednio pomniejszony widok celi i tak dalej, i tak dalej) i wreszcie niewielkie okienko wychodzące na południową stronę świata, na wrzosowiska. Jedynym szczegółem różniącym obraz od rzeczywistości była kratka na oknie.

Symbol braku nadziei – zinterpretował hrabia.

Był rozczarowany, nie tego się spodziewał.

Gdy wychodził z komnaty, usłyszał jakby okrzyk pełen tak bezbrzeżnej rozpacz i cierpienia, że aż zachwiał się, niemal spadł ze schodów. Podbiegł do okna.

– Słyszałeś to?! – krzyknął do stajennego.

– Nie, panie.

– Krzyk. Ktoś krzychał... No mów, słyszałeś czy nie?!

– Niczego nie słyszałem, panie.

– Zatem i ja nie mogłem słyszeć – mruknął Morten.

W nocy obudził go ten sam krzyk. Wtedy zrozumiał, że malarz zrealizował jednak jego zamówienie.

Ten obraz jest stanem jego duszy – myślał gorączkowo. – Najważniejsze to, czego na nim nie ma! A nie ma malarza!!! Malarz patrzący na swą cełę... Umysł, obraz stanu duszy...

Zerwał się z łoża i pobiegł ku samotnej wieży. Tak szybko wspinał się po schodach, że na szczycie ledwo mógł złapać oddech. Usiadł na pryczy tuż przed obrazem. I znów usłyszał krzyk. Tym razem własny.

Zwłoki hrabiego Mortena znalazł kat. Zapłakał nad nimi, bo jego życie straciło nagle sens. Przedśmiertny krzyk hrabiego słyszało wielu poddanych. Wszyscy zgodnie przysięgali, że nie zapomną go do końca swych dni.

Ciało pana hrabiego spoczywało na pryczy w komnacie na szczycie kamiennej wieży, przez niektórych zwanej Samotną. Martwe oczy wpatrzone były w ostatnie dzieło pędzla więzionego malarza. Świadkowie powiadali potem, a podchwycili to wędrowni trubadurzy, że w oczach Mortena był nieludzki strach, ból, cierpienie.

I ekstaza.

Głos Boga

Z własnej woli jak pięść się zwinął i unika świata

Franz Kafka, *Osiem notatników*

Słońce zachodziło krwawo, jakby zapowiadając rychłe rzezie i podboje.

Memento pomyślał, że słońce za często zachodzi krwawo.

Z zamiłowania był Memento filozofem i często miewał myśli o charakterze egzystencjalnym.

W tej chwili na przykład zastanawiał się poważnie, czy powinien pozbawić się wzroku, skoro wciąż jeszcze zdarzały się widoki tak monumentalne, jak słońce zachodzące krwawo nad bezkresnymi, zda się, wrzosowiskami.

A wrzosowiska końca nie miały, niczym spokojne wody Morza Martwego, które filozof widział raz, przed wieloma laty. Pamiętał, że woda falowała lekko jak pierś kobiety pod delikatnym dotykiem.

– Postanowione – rzekł Memento.

Mówił do siebie.

Zamierzał, wzorem radykalnych myślicieli starożytnych, definitywnie odciąć się od świata zewnętrznego i bodźców płynących zeń w zgubnym nadmiarze. Pragnął zgłębić naturę Boga Milczącego, usłyszeć wreszcie Jego Głos. W tym celu, jak mniemał, dobrze byłoby Nielitościwie wykłuć sobie oczy. Z tego też powodu przebywał w zawilgoconej komnacie Samotnej Wieży w zamku Kaltern, z nikim się nie kontaktując, rozmawiając jeno z rzadka z sobą samym. Jedynym człowiekiem, jakiego widywał, była niema kobieta, która raz dziennie donosiła mu pożywienie.

Trzecim i zarazem ostatnim mieszkańcem Kaltern, opustoszałego po śmierci hrabiego Mortena, był kat bez imienia – jego jednak Memento nie widywał w ogóle, bowiem noce i dni spędzał oprawca w lochach. Samotność łączyła kata i filozofa. Samotność dojmująca jak ból gnijącej nogi Memento.

Noga gniła już od jakiegoś czasu, lecz nie zgadzał się na jej usunięcie, choć niema kobieta nieraz sugerowała mu zabieg na migi. Gnijąca kończyna wprawiała Memento w stan mistycznego uniesienia. Wydawało mu się czasem, że widzi Cień Boga. Albo że słyszy Jego Szept. Fenomeny te miały dużo wspólnego z trawiącą ciało gorączką. Memento czuł na plecach gorący oddech śmierci.

Drzwi rozwarły się z potępieńczym zgrzytem metalu ścierającego się z metalem; dźwięk przerwał filozofowi rozmyślenia nad słynnym zdaniem Gregoriusa z Bestos: Albo Bóg raz jeno przemówił, gdy świat tworzył z niczego, albo przemawia nieustannie, i dzięki temu świat ciągle

jeszcze trwa.

Do komnaty z pozorem wdzięku wsunęła się niema kobieta. Przyniosła filozofowi chleb i mleko. Mleko było w tym zestawie niezbędnym dodatkiem do chleba, który osiągał twardość kamienia.

Memento już nie odczuwał głodu, wciąż jednak zmuszał się do spożywania, by przedłużyć swe bytowanie na tym padole łez, cierpienia, krwi i potu. Miał nadzieję usłyszeć Głos Boga jeszcze za życia.

Po śmierci mogło już w tym nie być żadnej filozofii.

Ze zdumieniem zaobserwował ciążę, zaznaczającą się u kobiety. Pomyślał, że ojcem musi być kat, no bo któż inny. Kat z kolei nabierał przekonania, że niemowa jest kochanką filozofa.

Obaj byli w błędzie.

Niemowa była potwornie brzydka, miała toporne rysy twarzy, jej oczy były nieokreślonego koloru, przetłuszczone włosy z trudem osiągały wątłą intensywność barwy lnu.

W Memento wzbudziłyby zapewne uczucie litości, gdyby nie to, że od jakiegoś czasu zajęty był litowaniem się nad sobą i nad światem całym. Dokładnie w tej kolejności.

Czasem, w przypiływie dławiącej rozpacz, filozof myślał, że Bóg jest niemy jak ta nieszczęsnica. Albo że w ogóle Boga nie ma. Obie ewentualności wydawały mu się jednak przerażające.

Kiedy kobieta opuściła komnatę, filozof z trudem sięgnął do podróżnej torby przeciążonej wiedzą uczonych ksiąg w skórzanych oprawach. Niektóre były nawet ilustrowane. Ich autorzy mniemali, że coś wiedzą. Byli i tacy, którzy utrzymywali, że wiedzą, iż nic nie wiedzą. Mimo to pisali książki.

Oprócz ksiąg w torbie znajdował się sztylet o ostrzu wąskim jak usta Memento. I ostrym jak jego język.

Kiedyś kochanka filozofa porównała jego usta do szramy. Sądząc po dobywających się z nich słowach pełnych bólu, porównanie było uprawnione. Niewiasta ta była po trosze poetką, po trosze zasię karczemną dziewczką ze skłonnościami do karczemnych awantur. Jeszcze jako bardzo młody człek, Memento doszedł do pożytecznego wniosku, że kobiety puchem są jeno marnym i niczym nadto. Nigdy żadnej naprawdę nie pokochał. Jedyłą jego miłością była filozofia. Kiedy uprawiał miłość z niczemnymi dziewczkami, miał przed oczami ustępy z filozoficznych dzieł i dopiero przypominanie co celniejszych aforyzmów w połączeniu z fizycznym czysto oddziaływaniem doprowadzało go do spełnienia. Często zastanawiał się, jak też radzą sobie z tym problemem kowale.

– Dość!!! – krzyknął w celu zagłuszenia nazbyt już frywolnych myśli.

Przyłożył ostrze sztyletu do oka i już zamierzał nacisnąć, gdy jego uwagę przykuł niespodziewany refleks zachodzącego słońca. Przyczyną zjawiska okazał się jeździec, najpewniej

zakuty w zbroję. Filozof pomyślał, że to błędny rycerz z obłądem w oczach.

Po chwili zapomniał Memento o jeźdźcu, a jego wyrafinowany umysł zaprzątnęły myśli o ślepej uliczce.

Odwiedził niegdyś zatłoczone miasto Barden, liczące podobno ponad pięćdziesiąt tysięcy nieczystych dusz. Miasto nie przypadło mu do gustu, powietrze wypełniały nieprzyjemne zapachy, ludzie zdawali się być jakby wypłowiali – zapewne z braku świeżego powietrza. Dziewki z kolei były wulgarnie i przekonane o dziejowej misji swego rzemiosła, nie miały w sobie odrobiny liryzmu. Któregoś dnia filozof po raz pierwszy w życiu ujrzał ślepą uliczkę i od razu pomyślał, że to świetna metafora ludzkiego bytowania tutaj jego braku. W tej chwili wydawało mu się, że gdy własnoręcznie pozbawi się wzroku, porównanie jego losu do ślepej uliczki nabierze niepokojącej dosłowności. Natychmiast pocieszył się jednak, że ludzie zasadniczo różnią się od ulic, a ślepcy od ślepych uliczek. Ulice nie miewają problemów natury egzystencjalnej, nie muszą napychać sobie kałdunów ani zdobywać względów – to względne pojęcie – dziewczek. Nie muszą zabijać, by przeżyć.

Nie muszą myśleć o Milczeniu Boga.

Z oddali doszły filozofa niewieście krzyki. Kobieta śmiertelnie się czegoś obawiała i oznajmiała to światu przenikliwym głosem. Do tej pory jedyną kobietą na zamku Kaltern była niemowa. Memento widział dwa rozwiązania zagadki – albo niema służąca odzyskała głos, albo też zjawiała się druga kobieta, tym razem obdarzona głosem, od którego drżały ściany.

– Czego ode mnie chcecie?! – krzyczała. Głos był stłumiony, jakby dochodził spod ziemi, najpewniej z lochów. Kat musiał mieć z tym wiele wspólnego.

Już bez dalszych wahań wziął się dziarsko do wykluwania sobie oczu. Szło mu jednak opornie, była to jedna z tych czynności, które człek wykonuje po raz pierwszy i ostatni zarazem. Podobnie jest na przykład z umieraniem. No i z przychodzeniem na świat.

Poniewczasie przyszło filozofowi do głowy, że mógł poprosić o przysługę fachowca z lochów. Mądry filozof po szkodzie.

Po wyłupieniu pierwszego oka Memento stracił na chwilę przytomność. Kiedy ją odzyskał, natychmiast wyłupił drugie. Na razie nie poprawiło mu to jasności myślenia, a już z całą pewnością nie wpłynęło dobrze na jasność widzenia.

Niema kobieta nie okazała gwałtownych uczuć na widok jatki. Musiała widywać w swym życiu sporo krwi. Potu. Cierpienia.

I łez. Z kamiennym spokojem opatrzyła rany filozofa. Tylko jej dziwne oczy o nieokreślonej barwie były smutne. Tego jednak Memento nie mógł już zobaczyć.

By choć na chwilę zapomnieć o bólu gnijącej nogi i oczodołów, Memento jął rozważać dowody na istnienie Boga. Był to w istocie jeden dowód, ale w czterech częściach. Po pierwsze, niepodważalny fakt istnienia ruchu w przyrodzie warunkuje istnienie Pierwszego Poruszyciela.

Po drugie, zróżnicowana doskonałość istniejących rzeczy wnosi istnienie Istoty Doskonałej. Z istnienia przypadkowości w rzeczywistości wnioskuje się istnienie Istoty Koniecznej. Po czwarte zaś i ostatnie, skoro w przyrodzie istnieje przyczynowość, musi być również Przyczyna Pierwsza.

– Dobrze! – ryknął Memento, pragnąc zagłuszyć cierpienie. – Ale to nie tłumaczy zaklętego Milczenia Boga!

Memento uważał dowody za niewarte funta kłaków. „To nie dowody, to pobożne życzenia” – mawiał w przyływach podłego nastroju, czyli dość często. Bo czyż nie jest tak, że w istocie świat składa się z małych cząstek, te zaś z jeszcze mniejszych, i tak dalej aż w nieskończoność, która wiedzie do pustki zupełnej? A owa pustka oznacza, że świat złudzeniem jest jeno i niczym więcej. Oznaczałoby to również, że Bóg z lubością uprawia pustosłowie monstrualne. Czymże byłby wówczas świat: snem, grą oszukanych zmysłów, odbiciem na wodzie, cieniem cienia, uczciwością złodzieja, milczeniem retora, cnotą dziewczki?

– Mądrością filozofa! – krzyknął Memento i zaśmiał się gorzko.

Albo przyczynowość świata. Rzekoma przyczynowość. Czyż nie jest tak, że każda przyczyna ma swoją własną, i tak bez początku i bez końca, aż okaże się, że Przyczyny Pierwszej nie ma, po prostu nie ma?

Przez chwilę Memento zdawało się, że słyszy zduszony chichot dochodzący zewsząd, ale to jady z nogi filozofa zakłócały równowagę jego czterech zmysłów.

I wtedy usłyszał wrzask pełen zwierzęcego bólu.

– Aaaaaaa!

Ale i w jego realność zwątpił.

Potem zasnął. Śniły mu się uszy zamienione w popiół. Nie obudził się już. Gnijąca noga wykopała go z tego świata. Umarł, nie usłyszawszy Głosu Boga.

Wiara jak gilotyna, tak ciężka, tak lekka

Franz Kafka, *Osiem notatników*

Słońce wzniosło się na najwyższy punkt nieboskłonu, paląc stamtąd świat.

Bezimienny kat i jego towarzysz koczowali na gościńcu, trzeci już dzień czekając na przyszlą ofiarę. Wokół rozciągały się wrzosowiska. Jeszcze kilka dni takich niespotykanych o tej porze roku upałów i rośliny zmarnieją.

Normalny człowiek, obdarzony przeciętną cierpliwością, dawno straciłby wiarę w powodzenie przedsięwzięcia. Ale kat nie był normalny, jego wiara mogła przenosić góry i ciemne doliny.

Towarzysz kata nosił imię Mori.

Spotkali się trzy dni wcześniej. Kat pracował w przyjemnie wilgotnym zaciszu lochów nad najnowszym dziełem, które – już po śmierci genialnego konstruktora – miało rewolucjonizować system wymierzania sprawiedliwości i niesprawiedliwości. W innej rzeczywistości bardzo podobną maszynę nazwano na cześć jej twórcy „gilotyną”. Ponieważ kat nie znał swojego imienia i nie było pośród żywych człeka lepiej odeń w tym względzie poinformowanego, urządzenie miało zostać nazwane „Bezimienną Maszyną”. To dość długa nazwa, ale przecie wynalazca pierwszego w tej rzeczywistości samochodu nazywać się będzie Gorronthrikell.

Kat przerwał pracę, by odetchnąć wilgotnym powietrzem lochów. Pomieszczenie tonęło w półmroku. Wokół Bezimiennej Machiny walały się bezgłowe trupy kurczaków pozabijanych w celach eksperymentalnych metodą prób i błędów. Kamienna posadzka śliska była od krwi, a powietrze przesiąknięte charakterystyczną wonią niewinnie pomordowanych ofiar.

Nad wejściem do lochu wisiało godło rodu Mortenów: Bezgłowy Orzeł. Była to zaiste ponura metafora losów hrabiowskiej rodziny.

Jeszcze niedawno katu bardzo brakowało pana na zamku Kaltern. Codziennie torturowany na własne życzenie, hrabia nadawał sens istnieniu oprawcy. Po śmierci Mortena kat długo dochodził do siebie. Zastanawiał się poważnie nad samobójstwem. Aż niespodziewanie odnalazł utracony sens życia. Pomyślał wówczas – to była niemal iluminacja – że Bóg wcale nie milczy, jak się to wszystkim zdaje. Po prostu mało kto Go słyszy! Uznał wówczas, że świat okrutny jest i zły, ale nie bez przyczyny, i że wszelkie akty nieposzanowania czyjegoś zdrowia, ewentualnie życia, są władnie Głosem Boga! W takim zaś razie Bóg okazuje się istotą nieoczekiwanie rozmowną. Idąc dalej tym tropem, kat nabrał przekonania, że sam nie jest niczym innym, jeno Boskim Językiem. Był niemal przekonany, że sumiennie wykonując swoją pracę, przemawia w imieniu Boga (pozornie) Milczącego. Przemawiał zatem i okazał się nawet niezwykle elokwentnym mówcą.

W tym samym momencie, w którym kat wrócił do chwilowo przerwanej roboty, na dziedzińcu zamku Kaltern zjawił się jeździec. Był krępkim mężczyzną w sile wieku. Barwy jego stroju oraz godło – Bezskrzydła Jaskółka – nie pozostawiały żadnych wątpliwości: przybyły był poddanym księcia Sorma. Złośliwcy powiadali, że Bezskrzydła Jaskółka to bardzo trafny symbol braku lotności umysłowej kolejnych spadkobierców książęcego tytułu.

– Mori jestem – przedstawił się jeździec niemej kobiecie. – Nadworny kat księcia Sorma, niechaj jego szczęśliwa gwiazda nie gaśnie przedwcześnie. Chcę się widzieć ze słynnym Katem Bez Imienia.

Kobieta zbyła jego słowa milczeniem, co oczywiście nie było z jej strony żadnym afrontem.

Sprowadziła Moriego krętymi schodami do lochów. Bezimienny zdziwił się nieco na widok nieznanego wchodzącego z własnej woli na teren pomieszczeń cieszących się zasłużenie złą przecie sławą. Przyjrzał się Moriemu z uwagą. Twarz nadwornego kata księcia Sorma

przypominała kamień z wykutymi w odpowiednich miejscach otworami, wgłębieniami, rysami. Nie mogła należeć do człowieka bardzo błyskotliwego. Albo krotochwilnego. Albo kochliwego. Nie znamionowała nadmiaru żywionych przez właściciela uczuć. Co tu dużo gadać, twarz Moriego uwiodła bezimiennego kata, nie dał tego jednak po sobie poznać.

Tymczasem Mori, niezrażony chłodnym przyjęciem, rozsiadł się na czymś, co wziął za ławę, a co było drewnianą wprawdzie, ale wieloczynnościową machiną tortur. Nie przejmując się zaklętym milczeniem kolegi po fachu, opowiedział historię swojego życia. Na szczęście była krótka.

Ród Morich od stuleci kultywował bogate tradycje tajnego posłannictwa tudzież szpiegostwa. Każdy męski potomek stawał się szpiegiem na usługach kolejnych spadkobierców tytułu książęcego. Specjalnością Morich było przekazywanie tajnych wiadomości, przemyślnie poukrywanych w bujnych czuprynach. W tym celu wysłannikowi należało najpierw ogolić głowę do gołej skóry, wypisać na niej informację, poczekać, aż włosy odrosną, i dopiero wówczas osobnika wysyłało z misją. Ród Morich zawsze słynął z szybkich odrostów. Niestety, natura powetowała sobie jawne kpiny z jej praw. Mori wyłysiał w młodym wieku, tracąc tym samym wikt i opierunek, nie wspominając o aspiracjach zawodowych. To zdecydowało o konieczności rychłego przekwalifikowania się, zatem Mori postanowił zostać katem i zrealizować tym samym swe sekretne marzenia dziecięce. Z tego też powodu udał się, za zgodą i wiedzą Sorma, do słynnego kata z Kaltern, zwanego też Katem Bez Imienia – po naukę. Bo nauka to potęgi klucz.

– Jesteś żywą legendą wśród oprawców, panie – uprzejmie zakończył swą opowieść Mori.

– Wynoś się stąd – odparł bezimienny kat, wprawiając samego siebie w zdumienie. Mniemał, że już dawno zapomniał, jak używa się głosu.

– Nic nie rzekłem ci jeszcze o mej nowej meto...

– Milczeć – uciął kat-gospodarz. Polubił Moriego, ale wciąż nie widział w nim swej potencjalnej ofiary, zatem jego ciekawość pozostała uśpiona.

Mori postanowił zagrać swą ostatnią kartą.

– Torturuję skazańców za pomocą własnej poezji...

Ciekawość bezimiennego kata obudziła się, przeciągnęła i przyjrzała bacznie Moriemu.

Okazało się, że Mori nie tylko był tajnym posłańcem i katem w jednej osobie, ale jeszcze i poetą. Marnym wprawdzie, zachował jednak tyle trzeźwości umysłu, by zdać sobie sprawę z własnej impotencji twórczej. Gdybyż podobną trzeźwość zachowywali inni poeci, świat mógłby być lepszym miejscem.

Nieoczekiwanie Mori odkrył pustoszące właściwości swej poezji; szczególnie podatne na liryczną destrukcję były umysły lotne i wyrafinowane. Im większe wykształcenie miał przesłuchiwany, tym szybciej jego opór kruszał pod przemożnym naporem twórczości Moriego. Ponoć najgorzej znosili ją wybitni poeci i trubadurzy. Najdłużej wytrzymywali poeci kiepscy.

Metoda Moriego zaintrygowała bezimiennego kata, który niezwykle cenił wszelkie nowinki w dziedzinie katowania.

– Potrzebny nam obiekt – powiedział.

Filozofa od razu zdyskwalifikowali, gnijąca noga za bardzo go wycieńczyła. Do niemowy z kolei czuł kat niewytłumaczalny sentyment.

Od tamtej pory minęły trzy dni.

Słońce prażyło niemiłosiernie, jednak kat nie zwracał uwagi na tę niedogodność. Żadnych uwag nie wypowiedział również na głos, nade wszystko bowiem cenił sobie powściągliwość, a cisza była mu przyszywaną siostrą.

Nagle Mori podniósł się na równe nogi i bez słowa wskazał na wschód. W oddali majaczyła samotna postać, pieszo przemierzająca wrzosowiska. Pościg był krótki, mieli wszak wierzchowce. Niefortunny wędrowiec okazał się kobietą. Była to niejaka Joni, do niedawna oficjalna kochanka księcia Sorma, zwanego również Sormem Bez Palca. Miała nieszczęście popaść w niełaskę na skutek swych nadmiernych oczekiwań majątkowych oraz nikczemnych intryg prawowitej małżonki księcia.

Joni była piękna jak zachód słońca.

Bezkrwawy zachód słońca.

Jej portrety sporządzone przed laty przez książęcego malarza zostały spalone, jej dobra – skonfiskowane na rzecz Funduszu Finansowania Kochanek Księcia. Sama, w porę ostrzeżona, cudem uniknęła śmierci. Można by powiedzieć, że wpadła z deszczu pod wodospad.

Wracali do Kaltern. Po drodze minął ich w oddali samotny rycerz, najpewniej błędny. Joni obiecała im pół królestwa za konia, bez śladu reakcji na kamiennych obliczach. Potem, gdy już znaleźli się w lochu, krzyczała, jakby ją obdzierali ze skóry, a nie z odzienia. Kiedy bezimienny kat ujrzał ją nagą w chybotliwym blasku pochodni, serce stopniało w nim jak wosk, natomiast inny organ o dużym znaczeniu twardy stał się niczym skała. Poczł wewnętrzny konflikt żarliwego obowiązku przemawiania w imieniu Boga (pozornie) Milczącego z równie żarliwym uniesieniem, jakie właśnie go opanowało.

– Czego ode mnie chcecie?! – krzyknęła Joni głosem, od którego drżały ściany.

Katu serce się krajało, a ręce pociły, pociągnął zatem z omszałej butli wypełnionej winem utrzymanym w temperaturze loszej. Jeden haust nie zmienił sytuacji na lepsze, więc kat niezwłocznie wyczerpał zapasy trunku.

Zastanawiał się, czy wypuściłby dziewczynę na wolność, gdyby nie obecność Moriego. Może nawet żyliby razem długo i szczęśliwie z gromadą uroczych pacholąt, które stopniowo wprowadzałby w arkana sztuki katowskiej.

Otrząsnął się i odegnał myśli niegodne kata. Rasowy oprawca nie zna przecie litości, a jeśli już zostaną sobie przedstawieni, to czas na zmianę rzemiosła.

Mógłby jeszcze próbować sobie tłumaczyć, że Joni to przecie jeno bezbronna ofiara, która w niczym nikomu nie wadzi – nie licząc może Sorma Bez Palca i prawowitej jego małżonki – ba, ona nawet nie wie nic na tyle istotnego, co trzeba by z niej dobywać z pomocą tortur. Ale znał starą dewizę katowskiego cechu: „Kiedy pyta tortura, odpowiada ból”, co oznaczało tyle, że zadawanie bólu w celu zdobywania informacji jest niedorzecznością. Oprawca mógł przecie wmówić każdemu wszystko i nie musiało to mieć wiele wspólnego z tak zwaną „obiektywną prawdą”. Ofiarę katuje się dla katowania samego, jak miłość uprawia się dla miłości, a sztukę – dla sztuki.

Innym, głębszym sensem bezinteresownego katowania mogło być jeszcze przemawianie w Boskim Imieniu. Dopiero ta ostatnia myśl otrzeźwiła kata.

– Wy... chcecie mnie zabić, prawda? Dlaczego? – zapytała Joni przez łyzy.

– Cóż... – mruknął Mori, przebierając się w katowskie odzienie – świat gra na zwłoki...

Moriemu kobieta nie zawróciła w głowie. Żadna kobieta nie mogła tego uczynić. Miłość była dlań wyłącznie figurą retoryczną, którą wykorzystywał w swej poezji. Miłość fizyczną uważał z kolei za narzędzie służące rozgałęzianiu rodu Morich. Bywało, że śmierć niczym szalony ogrodnik przycinała gałęzie jak popadnie; wówczas Mori, chcąc nie chcąc, siał.

Zbliżał się wieczór. Kiedy powoli, jakby z ociąganiem, zapadła wreszcie ciemność, kaci przystąpili do dzieła.

Joni w żaden sposób nie potrafiła uwierzyć w bliskość swego zgonu. Jak każdy młody człowiek, nie do końca świadomie, ale jednak wierzyła w swą nieśmiertelność.

Myliła się.

Tymczasem Mori rozpoczął deklamację swojej poezji, lotnej jak katowski topór. Na szczęście Joni nie była nieszczęśliwą posiadaczką wyrafinowanego umysłu, zatem poemat nie sprawił jej wielkiej przykrości. Udała nawet zainteresowanie.

Poemat Moriego ciągnął się jak flaki z patroszonego wieprza. W dużym skrócie opowiadał o niezwyklej miłości, jaką zapalał pewien słowik do ponętnej wróblicy. Tu następował drobiazgowy opis ptaszycy: jej piersi krągłych oraz kształtnych nóżek. Ani słowa o piórach czy dziobie. Na przeszkodzie bujnemu rozwojowi romansu stanęła rażąca niezgodność charakterów obu ptaków. Słowik, jak to słowik – lubił śpiewać, i to nie tylko przy goleniu, wróblicy zaś nie podobał się jego głos. Nieustannie zatem uciekała przed nieszczęsnym śpiewakiem, co doprowadzało słowika do czarnej rozpaczki i szewskiej pasji, a nieustanne pogonie zabierały mu cenny czas przeznaczony na śpiewanie. Którejś nocy wreszcie, kiedy to niczego niespodziewająca się wróblica zapadła w sen, słowik podkraść się i obciął jej skrzydła. Zaraz potem usunął sobie język. Było to rozwiązanie zbliżone do kompromisu, cóż jednak z tego, skoro wróblica bez skrzydeł nie pociągała już słowika tak bardzo. Błyskawicznie ulokował swoje uczucia w pewnej słowiczej samicy obdarzonej cudownym głosem i krągłymi piersiami, nie

wspominając już o nóżkach. Ta jednak nie chciała nawet spojrzeć na niemego śpiewaka.

W sumie historia bardzo spodobała się bezimiennemu katu, który był przecie mistrzem katowania, a nie poetyzowania. Doszukał się w niej nawet celnej metafory stanu małżeńskiego jako związku opartego na kompromisie obustronnym, który polega na tym, że małżonkowie tracą dla obopólnego dobra te cechy, za które – nie wiedząc o tym – darzyli się miłością. Tkwił w tym niezrozumiały dla kata paradoks.

Rymy były ciężkie jak kowadła i wydawało się, że lada moment przebiją się przez kamienną posadzkę lochu aż do samego piekła.

– To piękna historia – powiedziała Joni, roniąc obficie łzy fałszywego wzruszenia. Oczywiście wcale tak nie uważała, przemawiał przez nią instynkt przetrwania. Bardzo pragnęła przypodobać się Moriemu i zyskać w ten sposób ułaskawienie. Straszliwie rozwścieczyło to Moriego, bo jego torturujący poemat nie przyniósł spodziewanego skutku. Było mu wstyd przed bezimiennym. Nie miał pojęcia, że za kilkaset lat mógłby zostać uznany za prekursora wojny psychologicznej. Zły, opuścił loch w poszukiwaniu odrobiny wina; zaschło mu w gardle od poetyckiego gardłowania.

Joni przeniosła błagalne spojrzenie na kata. W swoim krótkim życiu nie widziała nikogo choć w połowie tak odrażającego. Hrabia Morten niegdyś okrutnie się z nim obszedł; to była „nauka rzemiosła”. Młode, rozciągliwe kości nie wytrzymały obciążeń i uległy głębokim deformacjom. Kat przypominał teraz monstrum z sennych koszmarów; niewiele miał wspólnego z ludzką istotą. I mimo to Joni powiedziała:

– Jesteś wspaniałym mężczyzną, panie...

Użyła całego swego kunsztu zawodowej kurtyzany i tak przypieczętowała swój los. Bowiem kat nie dał jej wiary. Wiedział wprawdzie, że świat okrutny bywa i zły, ale takiego ciosu nawet on się nie spodziewał.

Nadszedł czas prawdziwych tortur. Bezimienny kat był potwornie nielitościwy, lecz nawet w połowie nie był tak okrutny jak Joni wobec niego.

Co jakiś czas była kochanka Sorma Bez Palca traciła przytomność i Moriemu (który nie znalazł wina) zdawało się, że to już koniec, że umarła, że kat pokpił sprawę.

Ale kat wiedział lepiej.

Nigdy nikogo nie torturował z tak rozpaczliwą zaciekłością. Pomyślał, że Bóg przemawia teraz przez niego z niezwykłą jasnością myśli, być może nawet deklamował swoją Boską Poezję.

Mori obserwował kata w niemym zachwycie. Wiedział, że jest świadkiem kunsztu niespotykanego, niepojętego mistrzostwa, którego sam nigdy nie miał dostąpić. Na jego przedwczesnej łysinie lśnił pot niezdrowej emocji.

Aż nagle kat krzyknął:

– Aaaaaaaa!

Był to krzyk zwierzęcego bólu i cierpienia. Miał teraz przed oczami swoje dzieciństwo, kiedy Morten nieustannie zadawał mu ból, zawsze jednak oszczędzając dłonie chłopca, bo dłonie to kapitał kata. Przypomniawszy sobie swój strach i rozpacz, kiedy dojrzywał i wiedział z niezachwianą pewnością, że żadna kobieta, nawet w przypiływie szaleństwa, nigdy nie zechce na niego spojrzeć. Sądził, że za chwile pęknie mu serce.

Ale serca nie pękają z tak nieistotnych powodów.

Niema kobieta połykała łyżę w swojej komnacie.

Memento umierał w swojej.

Mori bezwiednie obgryzał paznokcie.

Bezimienny kat zabił Joni, która nigdy nie mogłaby zostać kobietą jego smutnego życia. Nic już nie mogło przynieść ulgi jego spopielącej duszy. Zupełnie jakby na duszę kata rzucił spojrzenie Bazyliszek.

Kat zawsze myślał, że wie lepiej.

W istocie nie wiedział nic.

Kiedy skończył z Joni, spojrzawszy na Moriego wzrokiem zamglonym od cierpienia.

– To było niezwykle, mistrzu – wyszeptał Mori. Pomyślał, że ma przed sobą Boga we własnej osobie. – Tobie nikt nie dorów...

Nie dokończył myśli, bowiem kat uderzeniem szybkim jak myśl rozłupał mu czaszkę dwuręcznym toporem. Był to z jego strony akt miłosierdzia, przynajmniej sam tak o tym myślał.

Potem podszedł do Bezimiennej Maszyny i spokojnie położył głowę pod ostrzem. Nie wahał się. Miał nadzieję, że obcinając sobie głowę, pozbawia tym samym Boga Jego Języka.

Był w błędzie.

Nieme niebo tylko niemym odpowiada

Franz Kafka, *Osiem notatników*

Słońce akurat zachodziło krwawo, kiedy rycerz Kwaidan przejeżdżał konno opodal zamku Kaltern, W ostatnich promieniach ujrzał jeszcze samotną postać w otworze okiennym Samotnej Wieży.

Kwaidan był człkiem w średnim wieku i średniej raczej postury. Od pewnego czasu średnie też było jego zainteresowanie sprawami tego świata. Bardzo go za to intrygowało zakłętą Milczenie Boga.

Nad równiną wolno zapalały się gwiazdy. Rycerz zastanawiał się nad kontynuacją wędrówki, czuł jednak narastające zmęczenie. Zsiadł z konia, nakarmił go i oporządził, po czym rozbił płócienny namiot – dom, z którym od lat się nie rozstawał. Można by rycerza nazwać

domatorem.

Sen nadszedł szybkim krokiem, jakby stęskniony towarzystwa Kwaidana. Był to sen o przeszłości, zatem koszmar. Rycerz przyjął go ze spokojem dobrze wychowanego gospodarza, bo taka już była jego natura. Wszystko przyjmował z wychłodzonymi emocjami.

Śnił o swoim rzemiośle, o krwawych wyprawach pod sztandarami księcia Sorma. Śnił o legionach ludzi, którzy nigdy nie zrobili mu nic złego, a których mimo to wysłał na tamten świat, jakby byli przesyłkami bez adresata. A może Adresat jednak istniał?

Potem śnił o dziewczynce, która prawie była już kobietą. Piękna, niewinna, nie mógł przypomnieć sobie jej oczu. Odgryzła palec księciu Sormowi, gdy ten – po bestialskim wymordowaniu jej rodziców – usiłował pogłaskać dziewczynę po czarnych włosach. Wtedy Kwaidan, owa maszyna do zabijania, człek bez emocji, wyprany także z uczuć, zadał dziewczynce jedno pchnięcie mieczem. Natychmiast coś w nim pękło, jego beznamiętny styl został zmacony, jał miewać koszmary, męczyły go noce bez snu. Nagle zainteresował się żywo teologią. Bardzo obchodziła go osoba Adresata, do którego on, Kwaidan, był nadawcą. Chciał zadać kilka prostych pytań. Skąd jesteśmy? Dokąd zmierzamy? Czemu tacy jesteśmy, a nie inni? Dlaczego zabiłem tylu ludzi? Czemu świat tak wygląda? Kim jesteś, mój drogi Adresacie? I czego od nas chcesz?

Filozofie wypracowywane w pocie wysokich czół, wszystkie te dowody kosmologiczne i ontologiczne na istnienie Boga były dla Kwaidana czystą abstrakcją. Albo ich nie rozumiał, albo go nie przekonywały. Potrzebował konkretów, bo przez całe swoje żołnierskie życie twardo stapał po ziemi. Pomysł podsunął mu zupełnie nieoczekiwanie złachmaniony pijak, być może zdegenerowany filozof. Działo się to w gospodzie, przy gościńcu do Barden.

– Poszukujesz... yps... Boga Miłosiernego, tak? – zapytał pijak, kiedy Kwaidan opowiedział mu o swych krwawych czynach i nieoczekiwanej chęci nawrócenia.

– Owszem – odparł Kwaidan.

– Poszukujesz... Boga... Wybaczonego Zbrodnie?

– W samej rzeczy.

– Po mojemu... ep... Jego istnienia dowodzić można jeno... pośrednim sposobem. Bo jeśli istnieje doskonałe dobro... musi istnieć również... i zło doskonałe... bowiem natura wszechrzeczy opiera się... na równowadze przeciwieństw... – W tym momencie pijany filozof złapał rycerza za ramię z niezwykłą mocą, przez mgłę kłębiącą się w jego oczach przebiły się iskry uniesienia. – Poszukaj Bestii, Kwaidan! Poszukaj Twórcy Pustyni! Jeśli Bazyliszek, ów namiestnik piekieł na ziemi, nie jest jeno legendą wymyśloną przez maluczkich dla jeszcze mniejszych duchem... to i Bóg istnieć musi...

Tak to się zaczęło.

Nad ranem Kwaidanowi przyśniły się wylupione oczy, lypiące na niego z wyrzutem. Nie

wiedział, co może oznaczać ów sen.

Zwinął namiot i ruszył w dalszą drogę. Po południu ujrzał w oddali dwóch jeźdźców zmierzających w kierunku Kaltern. Jeden z nich wioził na oklep szamoczącą się postać, bodaj kobietę. Kwaidan nigdy nie był zwolennikiem rycerskiego błędzenia i dokonywania szlachetnych czynów, na przykład z powodu miłości. Nigdy nie kochał tak naprawdę żadnej kobiety. Owszem, pojedynkował się kilka razy, mając wonną chustę przytwierdzoną do kopii, ale traktował to bardziej jako zło konieczne wykonywanego przez siebie zawodu, pozbawione romantycznych podtekstów. I właśnie dlatego nie pospieszył z ratunkiem owej kobiecie, najpewniej porwanej.

Myślał o Bazyliszku. Zgodnie z legendą był to namiestnik diabła na ziemi, potwór o spopielającym spojrzeniu, podobno wyglądał na czteronogiego koguta w koronie z jadowicie żółtym upierzeniem, wielkimi kolczastymi skrzydłami i ogonem węża, który na domiar zakończony jest hakiem albo drugą kogucią głową. Jego niszczący wzrok nie oszczędzał niczego i nikogo; spopielał z jednaką skutecznością ludzi, zwierzęta, rośliny, skały. Nazywano go Twórcą Pustyni, a była to pustynia niezwykła, bo popieliście szara. Jediną osłoną przed przenikliwymi spojrzeniami potwora było jakoby zwierciadło. Kwaidan miał nawet pomysł, żeby zamówić dla siebie u szklarza zbroję wydmuchaną ze szkła. Byłby do tego potrzebny szklarz o solidnych płucach. Potem jednak pojął, że tak właściwie to nie chce mu się żyć i że jeśli nawet Bazyliszek go spopieli, to wyprawa zakończy się sukcesem. Śmierć byłaby dla Kwaidana spełnieniem i... zrozumieniem.

Kwaidan zastanawiał się, jak właściwie doszło do tak dokładnego opisu potwora; przecie nikt, kto pozostawał pośród żywych, widzieć Bazyliszka nie mógł.

Zgodnie ze wskazaniem starych map, które nabył w Barden, Szara Pustynia podobno rozciągała się na północy, na terenach od wieków nienawiedzanych przez wędrowców. Ostatnią ludzką siedzibą przed pustynnymi terenami miał być zamek Kaltern. Kupcy podróżujący do bogatej krainy Hongh omijali pustynię od zachodu, by następnie żeglować wynajętymi okrętami wzdłuż wybrzeży Morza Martwego. Tamtejsi żeglarze jako jedyni w okolicy błogosławili Bazyliszka, z powodów ekonomicznych.

Kwaidan wędrował wiele dni, czasem również nocy. Gdy zasypiał, widział przed oczami swej udręczonej duszy postać zamordowanej dziewczynki; stała bez ruchu i patrzyła na niego bez słowa. Kiedy się budził, widział bezkresne wrzosowiska.

Aż któregoś dnia wrzosowiska urwały się nagle, jakby ktoś wytyczył dla nich granicę nie do przekroczenia. Pustynia rozciągała się po kres horyzontu – istny ocean popiołów.

– Szara Pustynia nieustannie się powiększa – powiedział ktoś za plecami Kwaidana. Rycerz gwałtownie obrócił się w siodle, jednocześnie wyćwiczonym ruchem sięgając po miecz. Ujrzał starca o pooranej twarzy okolonej brodą – długą jak noc bez snów, jak powolne konanie, jak rejestr zbrodni i lista kochanek Sorma Bez Palca.

– Kim jesteś? – zapytał Kwaidan.

– Starym człkiem, na którego już nie chce patrzeć nawet Twórca Pustyni.

– Jakie to?

– Szukałem tu kiedyś śmierci, ale nie znalazłem. Widzisz, chłopcze, Bazyliszek potrafi jeno odbierać, nigdy nic nie daje. Odbiera to, co jest dla ciebie najważniejsze, rozumiesz?

– Więc Twórca Pustyni nie jest legendą? On istnieje naprawdę?

– Szukasz sławy i będziesz próbował go zgładzić, prawda?

– Chcę usłyszeć Głos Boga. Ktoś mi powiedział, że jeśli istnieje absolutne zło, to musi też istnieć dobro absolutne...

– Głupiec z ciebie, jeśli szukasz Boga na Szarej Pustyni. Bazyliszek nie jest ani dobrem, ani złem. Jego naturą jest odbieranie, jak naturą rycerzy jest uśmiercanie, a starców umieranie...

– Ty żyjesz – zadrwił Kwaidan.

– Twórca Pustyni odebrał mi śmierć...

– Jesteś nieśmiertelny?

– Zapytaj mnie o to za sto lat. – Starzec uśmiechnął się gorzko. – A teraz odejź stąd, póki jeszcze jest w tobie nadzieja. Bazyliszek ci ją odbierze...

– A ty? Wierzysz w Boga?

Starzec bez słowa ruszył w swoją drogę. Na południe.

– Wierzysz?! – krzyczał za nim rycerz. – Odpowiedz! Mogę cię zabić, stary głupcze! Taka już natura rycerzy!

Odparł mu wiatr, przesypując zwały popiołu z miejsca na miejsce. Kwaidan zdjął zbroję, puścił konia luzem i ruszył w głąb pustyni. Przy każdym kroku zapadał się niemal po kolana, lecz brnął dalej. Nie wiedział, ile czasu tak szedł po osypującym się popiele, może były to godziny, może dni całe. Słońce prażyło niemiłosiernie. Wreszcie zobaczył przed sobą samotną, drobną dziecięcą postać. Była to dziewczynka, którą zamordował. Nic nie mówiła, tylko stała i patrzyła na Kwaidana. Nawet nie poczuł, jak jego uszy zmieniają się w popiół. Stracił przytomność. Kiedy przyszedł do siebie, była już noc. Nie słyszał wiatru przesypującego popiół, nie słyszał bicia swego serca, nie słyszał oddechu. Niczego nie słyszał.

Wówczas pojął, że starzec miał rację. Bazyliszek nieprzypadkowo pozbawił go słuchu. To był znak. Symbol. Przecież chciał usłyszeć Głos Boga.

Za kilkadziesiąt lat któregoś upalnego dnia wjedzie do miasta ogarniętego zarazą Czarnej Śmierci. Nie usłyszy ostrzeżeń uciekającej w popłochu tłuszczy. A może po prostu będzie szukał śmierci? Może tym razem znajdzie? Pozbawiony nadziei, umrze bez żalu.

Niema kobieta z zamku Kaltern powiła syna, choć była dziewicą. Chłopiec wyrósł na niezwykłego człowieka. Miał w sobie moc uzdrawiania i czynienia cudów. Mówił, że

najważniejsza w życiu człowieka jest miłość. Ze choćby ktoś przemawiał anielskimi głosy, to bez miłości byłby jak cymbał drewniany, bez miłości byłby niczym.

Nie wszyscy mu uwierzyli, ale znalazło się wielu, którzy wiarę dali. Oczywiście w końcu doszło do zdrady, on zaś zginął w cierpieniu i bólu. Połamano mu kości na kole.

I to koło właśnie stało się symbolem nowej, niezwyklej religii.

Śmierć okazała się jego największym triumfem.

W pamięci niezliczonych pokoleń przetrwał bowiem jako Głos Boga.

Będzie ci policzone

Gospodę postawiono opodal gościńca prowadzącego wprost do zakazanego miasta Barden. Miejsce było dobre i gospodarz nie mógł narzekać na brak klientów. Jednak tego akurat dnia miał tylko czterech gości. Możliwe, że pozostali opuścili gospodę, by uniknąć towarzystwa tych czterech, wyglądających na typy spod ciemnej gwiazdy. Ciemnych gwiazd nie można zobaczyć i powiada się, że z tego właśnie powodu tak trudno odczytać losy obwiesiów i bandziorów.

Tak czy inaczej – lokal opustoszał, a nikt nie odważył się powiedzieć przybyszom złego słowa. Dobrego zresztą – też nie. Gospodarz, człek leciwy i doświadczony, o czym świadczyło bielmo na prawym oku, siwizna na skroniach i przeszkadzająca przy chodzeniu podagra, obsługiwał klientów bez słowa. Najmłodszy z czwórki, nazywany przez kompanów Kandanem, usiłował do gospodarza zagadać, wspominając mgliście o jesiennym chłodzie przenikającym szpik kostny. Właściciel gospody tylko łypnął nań prawym, przestłoniętym bielmem okiem i nieproszony dyskutant umilkł.

Pogoda zaiste była paskudna; jesień, niczym złodziej przekonany o własnej bezkarności, ogołociła z liści nieliczne w tej okolicy drzewa. Wiatr szalał po równinie i wyglądało na to, że w tym szaleństwie nie może być metody. Chwilami dach gospody furkotał groźnie, jakby ostrzegał ludzi, że za moment ich pod sobą pogrzebie. Byłby to jednak również jego pogrzeb.

Od dłuższego czasu przybysze pochłaniali wino, nie płacąc za nie. Zanosilo się, że zamierzają w gospodzie nocować. Najstarszy w grupie był Jago; dobiegał już pięćdziesiątki. Wiek oraz karczemne awantury spowodowały znaczne ubytki w jego uzębieniu, co ograniczało komunikatywność niektórych wypowiedzi. Kiedy było trzeba, mówił jednak jasno i krótko, a wszyscy go słuchali; był przywódcą grupy. Kawalkado niemal dorównywał wiekiem Jagowi. Głównie milczał, a jego twarz ginęła w cieniu. Cnob był porywczy i dość młody. Jego oblicze przecinała świeżo zasklepiona rana. Otwierała się, gdy gadał, zatem próbował milczeć i nie okazywać po sobie uczuć; przy jego temperamencie było to niewykonalne.

Kandan gadał o dziewczkach, które miał ostatnio w Barden – w jego opowieściach było dużo przesady i towarzysze właściwie go nie słuchali. Zresztą tak naprawdę nikt nikogo nie słuchał – wszyscy wygłaszali monologi, których byli jedynymi słuchaczami. Jago co jakiś czas wracał do tematu zasłużonej emerytury, wspominał też, że to jest ostatnie parszywe zlecenie w jego życiu. Może jedynie milczący Kawalkado słuchał, ale i to nic pewnego. Z kolei Cnob co chwilę wpadał we wściekłość, choć było to w jego stanie niewskazane; nieustannie wracał do suki, która tak fatalnie go urządziła. Snuł krwawe wizje, jak to wypruje jej wnętrzności, którymi następnie nakarmi trzodę chlewną. Przy trzodzie Jago drgnął.

– Zamknij się, Cnob – rzekł. – Widziałem w życiu więcej wnętrzności, niż ty dziwek i świń razem wziętych. Jakbyś tego nie przeliczał, nawet na wagę. Odkąd się znamy, nie usłyszałem od

ciebie nic nowego, więc wolę, kiedy milczysz. Ta kobieta nam nie ujdzie, musi troszczyć się o bachora.

Kandan, mocno już pijany, z mętym spojrzeniem i czerwonym obliczem, jął niedelikatnie pokpiwać z zawodowych umiejętności Cnoba, którego byle dziewczka naznaczyła sztyletem na resztę życia. Cnob znów się wściekł, rana na policzku znów się otworzyła.

Jago dyplomatycznie rozładował sytuację, wysyłając Kandana po wino, Cnoba zaś na górę, do gościnnej izby, by tam opatrzył ranę.

Gdy zostali przy stole we dwóch, Kawalkado odezwał się po raz pierwszy tego dnia.

– Parszywa robota.

– Robota jak robota – odparł filozoficznie Jago.

– Byłem z tobą pod Wardan, Jago. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziałem tylu trupów w jednym miejscu, jakby stał za tym jakiś potworny kolekcjoner. Nie widziałem takiego okrucieństwa ani takiego morza nonsensownie rozlanej krwi...

– Milcz, Kawalkado – warknął Jago, bo i jemu pamięć dobrze służyła.

– Mordowaliśmy, bo Sorm i jemu podobni za to płacili. Słuszność sprawy nieważna, zawsze szło o to jeno, że jesteśmy najemnikami i z tego żyjemy. Ale coś takiego... – Kawalkado szeptał, jakby dławił go własny głos. – Czegoś takiego, Jago, nikt nigdy od nas nie wymagał. Jestem, jak i ty, mordercą bez honoru, urodzonym pod parszywą gwiazdą i godłem. Ale to... To jest naprawdę złe. Jaśnie oświecony książę Sorm Bez Palca postradał zmysły.

– Przyjęliśmy zlecenie, Kawalkado. Nigdy nikogo nie zawiedliśmy, to nasz jedyny kapitał. Książę płaci dobrze. Robota parszywa, ale nie tylko my się jej podjęliśmy. Jeśli jest piekło, to nie trafimy tam sami. Po tej robocie wycofuję się z rzemiosła, a i tobie radzę. Ale dopiero PO tej robocie... Nie martw się, Kawalkado. Czekają nas spokojna, dostatnia starość.

– Spokojna starość... I milczące sumienie, co, Jago? – zadrwił Kawalkado.

– Czy ja dobrze słyszę? – Kandan zdążył przynieść wino. – Waleczny Kawalkado sumieniem udęczone! Dobrze, więcej złota do podziału.

– Milcz, żółty dziobie – westchnął ciężko Jago. Pomyślał, że piętnaście lat temu za takie odzywki Kawalkado odgryzłby młodemu durniowi język. A dziś byli już starzy, zmęczeni, strapieni zbędnymi wątpliwościami. Świat należał do młodych głupców, jak Kandan czy Cnob. Ich trapiła wyłącznie nadmierna rozrzutność oraz wątpliwości co do czystości dziewczek branych między jednym a drugim pijaństwem.

Ale Kawalkado udał po prostu, że nie słyszy.

– Myślisz, że to prawda?

– Co?

– Co o Sormie gadają, O tej rzezi niemowląt. O przepowiedni szalonego astrologa.

Jago nie odpowiedział, zanurzył usta w cierpkim napoju. Jakiego też płynu przelał w życiu

więcej: wina czy krwi?

– Powiadają, że to nie szaleniec, jeno święty człek! – wtrącił się do dyskusji Kandan.

– Świętość nie powinna iść w parze z krwiożerczością – odciął się Kawalkado. Pochylił się nad stołem, a twarz oświetlił mu chybotliwy płomień pochodni. Liczne blizny tworzyły sieć dolin w rozległej równinie jego oblicza. – W przeciwnym razie nie byłoby pośród ludzi męża bardziej świątobliwego nade mnie!

Zarechotali unisono, ale krótko i sucho.

– Prawda chyba – mruknął Jago. – Nie mówmy o tym więcej. Nie nam roztrząsać przyczyny. My jesteśmy od skutków.

Jago myślał niegdyś poważnie o karierze filozofa. Pewien myśliciel zraził go jednak do tego rzemiosła, udowadniając bezspornie, jakoby zając w żaden sposób nie mógł dogonić żółwia. Filozofia pozostająca w sprzeczności ze świadectwem zdrowych zmysłów wydała się Jagowi jałową igraszką rozumu. Wybrał zatem zawód mający więcej wspólnego z rzeczywistością.

Kandan, którego rozumem jęła komenderować chęć, zapytał gospodarza o potomstwo płci żeńskiej. Gdy jedyną odpowiedzią był błysk bielma, zapytał o siostrę starca. Tymczasem Cnob zszedł na dół; twarz miał obwiązaną brudną szmatą. I przez nią zdążyła przesączyć się krew.

– Do diabła, Cnob! – krzyknął Jago; wino szumiało mu we łbie jak ocean. – To wygląda jeszcze gorzej. Kawalkado, zaszyj mu tę szramę, a będzie ci to policzone!

Zmierzch zapadł szybko, a pomogły mu atramentowe chmury. Jago postanowił dać komendę do zasłużonego odpoczynku, lecz nie zdążył, bo w tym momencie zawitał do gospody nowy gość. Wraz z przybyszem wtargnął do środka przenikliwy chłód, który Kawalkado odczuł jak nagły dotyk śmierci. Ogarnęły go złe przecucia, ale nie pokazał tego po sobie.

Ogień pochodni rozchybotał się, a po ścianach rozpełzły się cienie o fantastycznych kształtach.

– Kobiety mnie nudzą, śpiewu nie słyszę, ale chętnie napiję się wina – rzekł przybysz. – I niech kto zajmie się moim wierzchowcem.

– Nie widzę srebra, nie widzę złota – mruknął gospodarz. – Mogę jednak patrzeć niewłaściwym okiem.

– Tak, wierzchowcem! – powtórzył obcy głośniejszym głosem. – Będę tu nocować. Ale najpierw wino.

– Chyba skądś go znam... – szepnął scenicznie Jago.

Karczmarz z ociąganiem napełnił przybyszowi puchar.

Włosy obcego były białe jak śnieg, ale wyglądały jak rekwizyt teatralny – zbyt był młody na tak wszechogarniającą siwiznę. Twarz przybysza okazała się wspólnym dziełem autorskim smutku i zwątpienia; przypominał psa, którego najpierw ktoś dotkliwie obił, by następnie odebrać mu upragnionego gnata. Pies wlecze się zatem do budy, by tam szukać schronienia, ale na miejscu znajduje zgliszczą. Nieznajomy wyglądał na człeka zmierzającego nieomylnie od

klęski do klęski. Mimo to był rycerzem – świadczył o tym nie tylko miecz u boku, wykonany z drogiej, najpewniej daletańskiej stali; równie i godło na piersi – Wiewiórka Bez Kity. Jago dużo by dał za takie godło. To, które od wieków przynależało do rodu fagów – Koniczyna Bez Liści – było przyczyną nieustannych zgryzot najemnika. Albowiem im wyższy w hierarchii bytów organizm na godle, tym wyższy status społeczny posiadacza. Godłami arystokratów bywały zwykle ptaszyska, rzadziej – ryby. Godłem Cesarza była Kobieta Bez Włosów Łonowych. Krążyły również pogłoski, niepotwierdzone jednak przez autorytety, że godłem władcy krainy Hongh miał być Upadły Anioł Z Jednym Skrzydłem.

Aż nagle przypomniał sobie Jago, kim jest przybysz. Przypomniał sobie, choć kiedy go widział ostatnio, nie wyglądał rycerz na psa obitego, a krwi łaknącego. Jego oblicza nie rzeźbiły smutek i zwątpienie, ale niczym niewzruszona pewność, a jego włosy... włosy były czarne.

– Kwaidan – szepnął Jago i już głośniejszym głosem dodał: – Witaj, panie!

– On nie słyszy – powiedział gospodarz. – Spójrz, panie, na jego uszy.

Kwaidan nie miał uszu.

– Kwaidan – mruknął Kawalkado. – Słyszałem to imię.

Jago opróżnił dzban z wina i wstał.

– Szkoda, że nie mogę go zapytać, w którą stronę świata zmierza.

– Po co? – zainteresował się Cnob.

– Po to, by udać się w przeciwnym kierunku. Idziemy spać, chłopcy. Jutro ciężki dzień. Gospodarzu, za wszystko zapłacimy o świcie. Przed wyjazdem.

– Będzie wam policzone – szepnął do siebie karczmarz.

Kroni kleła, na czym świat stoi, leży oraz siedzi. Osadziła ostro wierzchowca; koń nie był tym zachwycony. Dzieciak znów wymiotował na jej plecy. Kroni miała dość trudów podróży. Chłopiec był za mały. Próbowwała jechać na tyle wolno, by nie chorował, a jednocześnie wystarczająco szybko, by umknąć pogoni.

– I gdzie teraz jesteś, o ty, Który Nie Jesteś?! – krzyknęła. Nawet echo jej nie odpowiedziało. Wokół ciągnęły się wrzosowiska i zdawało się, że nie mają kresu. Lecz kres był, na północy, tam, gdzie zaczynała się Szara Pustynia.

Pobieźnie oczyściła nosidło na plecach i spróbowała nakarmić małego piersią. Nic z tego. Chłopiec płakał wyczerpany.

– Jeszcze trochę – szepnęła. – Jeszcze trochę... Zatrzymamy się w Kaltern, potem niech się dzieje, co chce.

Zaczynała żałować, że cięła młodego siepacza sztyletem w twarz. Może powinna była oddać dzieciaka, może taka cena za święty spokój wcale nie była wygórowana?

Kroni jak zawsze czuła się zdradzona i opuszczona. Uczucie to towarzyszyło jej od

wczesnego dzieciństwa. To zdrada nadawała jej życiu formę. Najpierw zdradzana bywała Kroni, potem sama zdradzała, mszcząc się w ten sposób za swój los. Jej matka była dziewczką z podrzędnego lupanaru – zabiła ją nieczysta choroba. Tuż przed śmiercią oddała Kroni do mieszczańskiej rodziny w Barden; siedmioletnia dziewczynka odczuła to jak pierwszą zdradę. W wieku dwunastu lat zakochała się w panu domu, zdradzając zaufanie jego małżonki, a swej przybranej matki. Nie odczuwała z tego powodu wyrzutów sumienia; talent odziedziczony po matce pomógł jej w sztuce uwodzenia. Pan domu kochał swą żonę i uchodził za człowieka honoru, a jednak nie sprostał umiejętnie rozbudzonej namiętności. Konflikt pożądania i obowiązku doprowadził go do pomieszenia zmysłów i samobójstwa. Kroni odebrała to jako kolejną zdradę. Nie personifikowała zdrady; zdradzał ją świat cały, za niepowodzenia odpowiedzialna była rzeczywistość. Gdy miała lat piętnaście, uciekła z domu dobroczyńców i stała się ulicznicą. Traktowała swe rzemiosło jak jedną, nieustanną, monstrualną zdradę. Wyobrażała sobie, że zdradza wszystkich mężczyzn, którym się oddaje, i poniekąd tak było w istocie. Nie wzięła jednak w rachubę faktu, że zdradzani przez nią wiedzą o zdradzie, godzą się z nią, płacą za nią, a może nawet jej pożądają. Mężczyźni lubią się pławić w moralnych nieczystościach. Jednakowoż dwóch z tego legionu, który ją oblegał, rzeczywiście zapałało żarliwym uczuciem. Nic w tym dziwnego – Kroni była piękna i młoda, na domiar – po matce – uwodzicielska. Mało tego – jako jedna z pierwszych stosowała sztukę makijażu.

Pierwszy ofiarował pokaźny majątek, drugi – arystokratyczne godło. Jednak system wartości Kroni wywodził się jakby z innego piętra rzeczywistości; nie tytuły i nie bogactwa ją mamiły, jeno zdrada w najczystszej postaci. Połamała obu serca, jakby to były wysuszone źdźbła trawy. Kroni uznała, że świat jest dobry wyłącznie dla ludzi silnych i wyzbytych prostych wzruszeń; porywy serca brała za szkodliwe dla serca, w istnienie duszy nie wierzyła wcale. Nic nie wiedziała – nikt jeszcze w jej świecie o tym nie wiedział – o mechanizmach doboru naturalnego, lecz instynktownie uważała się za nieodzowny element takiej właśnie maszyny społecznej. Czasem myślała o sobie, nieco na wyrost, jak o prawie natury, niewzruszonym żywiole działającym poza dobrem i złem.

Kilkakrotnie zaszła w ciążę i za każdym razem ją usuwała, płacąc za to słono znajomej znachorce. O dziwo, mniemała, że były to jedyne akty miłosierdzia w jej krótkim życiu. Miała wręcz pretensje do własnej matki, że ta nie usunęła jej ze swego ciała. Tak oto chwile zwątpienia i cierpienia przeplatały się w jej życiu z chwilami radości z popełnionych występków i zdrad. Śmierć często nawiedzała ją w myślach, Kr oni była jednak przekonana, że samobójstwo jest oznaką słabości, poddania się tym prawom, które – w swym mniemaniu – stanowiła dotąd sama.

Aż nagle, całkiem niedawno, pojawił się On. Podszedł do niej na ulicy, po której przechadzała się w celach zawodowych.

– Jam jest Który Nie Jest – przedstawił się.

– Długie imię, panie Któryniejest. Jestem droga – powiedziała Kroni, uruchamiając arsenał swoich powabów.

Który Nie Jest uśmiechnął się drapieżnie. W tamtym momencie przypominał Kroni wilka – poruszał się lekko, jakby nic nie ważył, lecz z jego postaci biła siła i gwałtowność. Lubiła taki typ mężczyzn; nigdy żadnego nie pokochała, ale właśnie takich lubiła. Dopiero potem zaobserwowała zdumiewającą cechę nowego klienta: jego zdolność do płynnego zmieniania cech charakteru, a czasem wydawało się, że nawet wyglądu – znakomicie to współgrało ze zmianami oczekiwań Kroni. Gdy pragnęła czulego kochanka – jego rysy łagodniały, tembr głosu miękł; gdy chciała zdobywcy – stawał się nim wnet. Oddawanie się klientom nie sprawiało jej radości, ale tym razem było inaczej. Przyrodzenie Któregoniema zdało jej się niemal nadprzyrodzeniem; czuła rozkosz bliską bólu i ból rozkoszny. Tymczasem mimetyczny kochanek zachowywał się w łóżu z zadziwiającą beznamietnością, jego ruchy były obliczone i wyważone, co tylko potęgowało namietność dziewczki. Wyglądało na to, że role nieoczekiwanie się odwróciły: to ona była klientem, on zaś – ulicznicą. I przez cały czas mówił; wymawiał słowa, których nie rozumiała. Gadał o łańcuchu ewolucyjnym zdrady, którego Kroni miała być zwieńczeniem. Mówił o dziecku, które się narodzi, a które okaże się największym zdrajcą w historii.

– Wybrałem cię z tysiąca, moja zdradziecka Kroni – rzekł na odchodnym. – To dziecko musi się narodzić. Nie usuniesz ciąży, a będzie ci policzone.

Uśmiechnął się zdradziecko, szarmancko i lubieżnie, osiągając dużą rozpiętość środków wyrazu niewielkim kosztem. Więcej go nie zobaczyła. Miesiąc później stwierdziła, że jest w ciąży, tak jak zostało to przewidziane. Mimo wściekłości postanowiła donosić dziecko. Była przekonana, że dzieciak okaże się kimś wyjątkowym, jak jego ojciec. Tuż po rozwiązaniu gruchnęła w Barden wieść o przepowiedni nadwornego astrologa księcia Sorma. Gwiazdy mówiły, że w najbliższej okolicy i jeszcze bliższym czasie na świat przyjdzie Król Królów, detronizator autorytetów, mędrzec nad mędrkami. Sorm, za cichym przyzwoleniem Cesarza, rozpoczął hekatombę noworodków płci męskiej. Kroni zbiegła z Barden, raniąc przy okazji jednego z siepaczy Sorma. Myślała w skrytości ducha, że to jej syn jest dzieckiem z przepowiedni.

Próbowała jechać wolniej niż dotąd. Nie minęło pół dnia, gdy Kroni ujrzała na swej drodze podupadające gospodarstwo. Pomyślała, że może jednak los jej sprzyja, zaczynało bowiem brakować wody.

Przywitał ją mężczyzna z widłami; widać okolica nie była spokojna. Kiedy ujrzał, że przybysz jest kobietą, napięcie zeń opadło. Kroni usłyszała płacz dziecka dobiegający z chaty.

– Czy to chłopiec? – zapytała.

– Tak – odparł mężczyzna, wyraźnie dumny. – To syn.

Jego kobieta, ujrawszy Kroni i niemowlę przytroczone do jej pleców, załamała ręce.

Nalegała, by zostali dłużej, lecz Kroni uparła się, że ruszą natychmiast.

– Dokąd? – spytał gospodarz.

– Na północ.

Mężczyzna zbladł.

– Niebezpiecznie tam się zapuszczać, pani. Wracaj lepiej, skąd przybyłaś. Jakikolwiek zły los przywiódł cię aż tutaj, wiedz, że tam czeka cię śmierć.

– Do Kaltern daleko?

– Będzie dzień drogi.

– Dziękuję wam, dobrzy ludzie.

Chciała zapłacić za wodę, ale nie przyjęli srebrnej monety. Kroni nie wspomniała słowem o siepaczach Sorma ani o przepowiedni. Być może najemnicy zadowolą się śmiercią synka tych wieśniaków, myślała. Nawet nie zauważyła, w którym momencie jej skoncentrowana miłość własna nieco rozszerzyła granice. Wreszcie znalazł się w jej życiu ktoś, kogo pokochała, jej syn. Nie wiedziała, czy odzywa się w niej macierzyński instynkt, czy nadzieja na matkowanie przyszłemu Królowi Królów.

Kobieta i mężczyzna patrzyli za oddalającą się Kroni. Oboje myśleli, że widzą ją po raz ostatni.

I nie mylili się.

Kwaidan jechał drogą wijącą się pośród wrzosowisk. Od czasu spotkania z Bazyliszkiem nie opuszczało go zwątpienie w sens jakiegokolwiek działania. Bestia miała wielką moc – zanik uszu pod palącym spojrzeniem był tylko symbolem, materialnym ekwiwalentem utraty właściwości. Kwaidan nigdy nie usłyszy Głosu Boga.

Dwukrotnie próbował ze sobą skończyć, jednak los uparcie mu się przeciwstawiał. Za pierwszym razem powiesił się w pełnym rynsztunku, jak na wojownika przystało, na przydrożnym drzewie – gałąź nie wytrzymała. Kwaidan miał przedsmak związanych z tym wrażeń i obrażeń, uznał zatem, że śmierć przez uduszenie nie jest ani łatwa, ani godna wojownika. Następnie wypróbował na sobie działanie trucizny sporządzonej ściśle według przepisu pewnego pustelnika specjalizującego się w tępieniu insektów – doświadczenie zakończyło się ciężką biegunką, od której śmierć byłaby lepsza. Po tym incydencie Kwaidan postanowił nie ingerować w naturalny bieg spraw i nie ustalać z góry daty swej śmierci. Nie oznaczało to oczywiście, że będzie schodził śmierci z drogi.

Zgorzkniał i zobojetniał; rozpacz pokrył patyną nonszalancji, a nawet cynizmu. I tylko rzeźba jego oblicza nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do natury żywionych przez Kwaidana uczuć.

Nadal zdarzało mu się myśleć o Bogu. Powszechnie obowiązujące sądy o Stwórcy jako

istocie nieskończenie dobrej oraz miłosiernej wydały się Kwaidanowi ubogie w wyobraźnię. Takie pojmowanie Boga poważnie wszak ogranicza Boskie Atrybuty. Albowiem jakiegokolwiek pojedyncze cechy rozbuchane do rozmiarów monstualnych w istocie... pomniejszały Boga. Jeśli rzeczywiście był wolny od ograniczeń, nieskończony, to musiał mieścić w sobie wszystko: dobro i zło, miłosierdzie i okrucieństwo, poczciwość i złośliwość... Tylko taki byt mógł uchodzić za nieskończony i pełny. Z drugiej strony, nieskończoność cech przeciwstawnych wykluczała się wzajem. Poza tym jakiegokolwiek właściwości, choćby posiadane w nieskończonej dawce, ograniczały w istocie posiadacza. Przecie, jak powiadali mędracy, wolna wola nie polega na uleganiu skłonnościom, lecz na przeciwstawianiu się im. Byłby zatem Bóg istotą bez właściwości? Tu zwykle następował kres jałowych rozważań Kwaidana. Poprzestawał na praktycznej konstatacji: oto trafił na parszywy dzień Boga. A dni Boga bywają bardzo długie, czasem są dłuższe niż przeciętna wieku rycerza.

Od dwóch dni poruszał się tropem krwawego śladu na drodze. Najpierw przywiodło go to do gospody i tam zrozumiał, że ślad ma wiele wspólnego z działalnością najemników księcia Sorma Bez Palca, którzy akurat byli podejmowani w karczmie. Jednak dwudniowe krwawienie w takiej obfitości oznacza zwykle śmierć broczącego – nie mogło zatem iść o paskudną szramę na gębie jednego z drabów. W Kwaidanie po raz pierwszy od dłuższego czasu jęło się budzić coś na kształt ciekawości. Trop wiódł na północ, w stronę zamku Kaltern, obiektu cieszącego się ponurą sławą. Dalej na północy rozciągała się Szara Pustynia o sławie jeszcze gorszej. Kwaidan, chcąc nie chcąc, wracał zatem w strony, które winien omijać z daleka, tak jakby nie tajemnica krwawego śladu, lecz los kierował rycerzem.

Trop wiódł do przydrożnego gospodarstwa, które na pierwszy rzut oka wyglądało na opuszczone. Nawet gdyby Kwaidan mógł cokolwiek słyszeć, to i tak nie doszedłby go żaden dźwięk; wokół panowała niczym niezmacona cisza. Rycerz zsiadł z konia i na wszelki wypadek sięgnął po miecz. Drzwi domostwa były uchylone; Kwaidan, zachowując czujność, wszedł do środka. Najpierw ujrzał trupa mężczyzny, wciąż kurczowo zaciskającego dłonie na drzewcu wideł; jego czaszka była rozplątana, a wokół głowy wykwitła aureola krwi. Na widłach też była krew, z czego Kwaidan wywnioskował, że mężczyzna ranił swego przeciwnika. Kobieta skonała w sąsiedniej izbie i rycerz domyślił się, że musiała bronić dostępu do niewielkiej drewnianej kołyski. Żałował, że nie słyszy – być może dziecko płacze i dźwięki te, niczym muzyka sfer, ukołoby Kwaidana, rozwiały obawy, wzbudziły nadzieję. Bowiem kołyska nie poruszała się. W końcu podszedł.

W kołysce było dużo krwi, bardzo dużo. Aż trudno uwierzyć, że tyle jej się mieści w tak małym ciałku. Korpus niemowlęcia pozbawiono głowy. Kwaidan nigdzie jej nie widział.

Pochował ciała. Nie znał odpowiednich do tej okazji modlitw, lecz wstawił się za nimi do Boga, w istnienie którego nie do końca wierzył.

Potem dosiadł wierzchowca i ruszył krwawym tropem.

Na północ.

Niema kobieta, jedyna, nie licząc jej syna, mieszkanka zamku Kaltern, powitała Kroma bez zdziwienia. Od razu wyczuła, że coś je łączy. Obie powiły synów w tym samym czasie i w tajemniczych okolicznościach. Były dla siebie antytezami: dziewczka i dziewica, ale jakby końcami jednego kija. Aktualna pani na Kaltern, przeklętym zamku, natychmiast przejrzała Kroni na wylot – taki już był jej dar. Pojęła, że życie jej gościa było pasmem zdrad. Dostrzegła to w pięknych, lecz twardych rysach twarzy Kroni, w zaciśniętych ustach, w zimnych oczach, których błękit przywodził na mysi niebo, a stal. Niemowa wiedziała, że świat rządony jest twardymi prawami i że sprawiedliwość jest bladym cieniem tych praw. Nie winiła Kroni za jej podłą naturę, nie winiła nawet hrabiego Mortena za to, że niegdyś kazał jej – gdy była małą dziewczynką – usunąć język, by tajemnice zamku zachować w jej głowie. Nie winiła również Kata Bez Imienia za to, że wykonał sumiennie polecenie hrabiego. Świat był ciężkim łańcuchem uczynków i ich konsekwencji, który oplatał ludzi, krępował ich swobodę wyboru, miłosierdzie. Nie potrafili go rozerwać, byli na to zbyt słabi. Zdrada rodziła zdradę, cierpienie odbijało się cierpieniem. Zło nigdy nie ginęło. Było to Prawo Zachowania Zła, które niema kobieta sformułowała kiedyś na własny użytek i którym nie mogła się z nikim podzielić z racji swej niemoty oraz braku umiejętności pisania. Miała jeno nadzieję, że może kiedyś jej syn, urodzony w cudownych okolicznościach, będzie tym, który rozerwie łańcuch i zaprzeczy prawu.

Kroni z kolei dostrzegała – błędnie – w niemowie istotę słabą i bezradną. Nieco nadwierzona trudami podróży uroda Kroni (cienie pod oczami niemające nic wspólnego z wyrafinowanym makijażem, włosy w nieładzie) wykwitła na tle jaskrawej brzydoty pani zamku. I za to głównie, nie za okazaną gościnność, poczuła ulicznica wdzięczność do niemowy.

Zamczysko było przerażające. Kroni nie przywykła do budowli tak obszernych, zawitych, tak zawilgoconych. Każde jej odezwanie, każdy krok kwitowały pogłosy i głębokie echa. Pod nieobecność prawowitych właścicieli zapanował w Kaltern istny raj dla pajaków, które zorientowawszy się w osobistej nietykalności, jeły wyplatać pajęczyny w desenie o artystycznych walorach. Ich dalsza ewolucja przebiegająca w warunkach tak stymulujących mogła w rezultacie zaowocować pajęczym intelektem.

Syn Kroni szybko doszedł do siebie. Matka była dumna z jego siły – musiał odziedziczyć ją po ojcu. Niemowlęta spoczywały w komnacie na piętrze, gdzie w kominku buzował ogień, było ciepło. Dzieci zachowywały się spokojnie, jakby obserwując się wzajem. Ich kolejne spotkanie odmieni losy tego świata.

Nad kominkiem wisiał portret kobiety, nad wyraz urodziwej. Kroni mniemała, że kobiety piękniejsze od niej są już rozrzutnością estetyczną Wszechświata. To ona, Kroni, powinna

wyznaczać kanony piękna, nikt inny. Dlatego próbowała nie dostrzegać kobiety z portretu, ale ten ściągał jej wzrok z siłą fatalną.

Zasnęła z wzrokiem wlepionym w wizerunek, w złym nastroju..

Może dlatego przyśnił jej się ten koszmar.

Najpierw zobaczyła rycerza o białych włosach i pozbawionego uszu. Lecz ten obraz szybko rozwiął się w niebycie, ustępując miejsca innemu. Widziała teraz niemowlę w złotej koronie. Od razu pomyślała, że to jej syn, i poczuła, że serce wyskoczy jej z piersi, deformując atlasową skórę (ta wizja nieco ją zaniepokoiła). Dopiero po chwili dostrzegła, że to nie jest jej syn; to nie jej dziecko było Królem Królów. Był to syn niemej kobiety. Nienawidziła go, Boże, jakże go nienawidziła!

– Dobrze, moja piękna, zdradziecka Kroni – usłyszała szept Którego Nie Ma, a po chwili go ujrzała. – Nie wzywaj jednak imienia waszego Pana, bo jeszcze usłyszysz...

Chciała krzyknąć, sama nie wiedziała – z radości czy złości, pragnęła zapytać go, gdzie też był, gdy go nie było. Chciała przeklinać, drapać go pazurami jak kotka, lecz on tylko pogłaskał ją łagodnie po włosach i musnął wargami czoło. Nic nie powiedziała.

– Patrz – rzekł. – Patrz...

Zobaczyła węża pełznącego w stronę chłopca. Już chciała go ostrzec, krzyknąć, by uciekał, ale nie uczyniła tego. Niech ginie! To nie jej syn, nie krew z jej krwi.

– Przyjrzyj się wężowi, Kroni – szeptał Który Nie Jest. – Czyż nie jest na swój sposób piękny?

Wtedy pojęła: to wąż jest ich synem. Zapłakała.

– Zabij naszego syna, kobieto!

Nie rozumiała – przecież to ich syn. Wprawdzie wije się po ziemi bez wdzięku, ale jednak to ich syn! Który Nie Jest powtarzał wciąż: zabij, zabij, zabij. A jego słowa miały swoją moc.

Podniosła stopę, by zdeptać gada. Ale to syn. Zabij, zabij, zabij. Który Nie Jest powstrzymał ją w ostatniej chwili.

– Pewnego dnia, Kroni, zdradzisz naszego syna – rzekł. – Zdrada rodzi zdradę.

Wąż pełzł uparcie, a Król Królów siedział nieporuszenie. Widział śmierć zbliżającą się z jawną nieuchronnością, lecz nic nie czynił. Tylko patrzył.

Patrzył.

Z litością.

Po przebudzeniu sytuacja Kroni znacznie się pogorszyła. Leżała związana w wielkim pomieszczeniu, centrum którego stanowił duży stół oblegany ławami. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające na przemian to martwe natury z frykasami w roli głównej, to nagonki na dzikiego zwierza. Dzięki tym poszlakom Kroni wydedukowała, że znajduje się w sali biesiadnej.

Obok w równie fatalnym położeniu spoczywała niema kobieta. Jeden z najemników, ten sam, którego onegdaj nazaczyła sztyletem, leżał na ławie w rosnącej kałuży juchy. Pochylał się nad nim Kawalkado, lustrując rany z profesjonalnym zainteresowaniem.

– No i po co ja ci gębę łatałem? – zapytał.

– Źle się czuję – jęknął Cnob.

– To naturalne. Ten wieśniak prawie przebił cię na wylot. Po czymś takim nie można czuć się dobrze, uwierz mi na słowo.

Jago był wściekły. Nie chciał rzezi tej rodziny. A już na pewno nie chciał stracić Cnoba. Kawalkado podszedł do niego i w milczeniu pokręcił przecząco głową – rokowania były marne. A jeszcze ktoś musiał zabić tych dwóch chłopców i wszystko wskazywało na to, że Jago będzie musiał to wziąć na siebie. Nic to, sumienie miał rozciągliwe.

Cnob dogorywał. Kałuża coraz gęstszej i ciemniejszej krwi rozrastała się. Grymas bólu rozciągał mu twarz; szwy Kawalkado puszczały jak przeciążone tamy i szrama znów jąła broczyć. Wyglądało to tak, jakby Cnob postanowił pozbyć się z organizmu jak największej ilości krwi w jak najkrótszym czasie.

Z kolei Kandan łakomym wzrokiem pożerał Kroni.

Trzeba by zabić i tę dziewczkę – pomyślał Jago. Myśl jeszcze bardziej rozciągnęła mu sumienie. Aż poczuł się pusty w środku.

– Kandan – rzekł na głos. – Idź po wór z głowami. Cuchną. Zanieś je do lochu. Tam chłodniej. Weź ze sobą dziewczki.

W skrytości ducha liczył, że chłód lochów może trochę ostudzić głowę Kandana.

– Po co taszczy my te głowy? – warknął Kawalkado, choć znał świetnie odpowiedź. Nerwy mu puszczały.

– Bo Sorm płaci od głowy. Kandan wyszedł.

– Zostawiamy po sobie krwawy ślad. Jak... ślimaki!

– Zamknij się, Kawalkado. Lepiej opatrz tego durnia. Rzygać mi się chce na widok czerwieni, a ten od początku dostarcza jej najwięcej.

Jago zbierał się w sobie, by w końcu pójść na górę i zamordować dzieci. Ciężko mu szło, na tyle ciężko, że niemal z radością powitał okrzyk Kandana, który wbiegł do sali:

– Jaaagooo!

– Gdzie wór? – zapytał Jago.

– Ktoś nadjeżdża traktem od południa!

– Rozpoznałeś kto?

– Chyba ten rycerz. Ten... Kwaidan!

– Niedobrze – mruknął Jago.

– Przecie to nie jego sprawa – zauważył Kawalkado, – Po co ma się wtrącać? I żywotem

ryzykować? Słyszałem, że z niego taki sam drań, jak my wszyscy.

– Kiedyś taki był – przyznał Jago. – Ale potem zabił dziecko. Dziewczynę. Mówią, że coś w nim pękło. Boga jał szukać... Wycofał się z rzemiosła. Ale boję się, że bachory mogą być jego czutym punktem.

Jago myślał gorączkowo. Negocjacje nie miały sensu ze względu na oczywiste trudności w komunikacji. Należało zatem rycerza ubić. Kandan to gołowąs, jeszcze nie kosztował prawdziwej walki, nie przyda się. Jago wysłał go do lochu z kobietami. Cnob właśnie wyzionął ducha, więc zostało ich dwóch, jak zawsze: Jago i Kawalkado. Kawalkado i Jago. Ramię przy ramieniu.

Sentymenty? – pomyślał ze wstrętem Jago. – W moim wieku? Usłyszeli tętent na dziedzińcu. Spokojnie sięgnęli po miecze.

– Naprawdę jest aż tak dobry? – zapytał Kawalkado.

– Tylko raz widziałem, jak wywijał mieczem – odparł wymijająco Jago. – Będzie z dziesięć lat temu. Pojedynekowałem się z jakimś durniem, który miał nieszczęście źle wyrazić się o jego... uszach.

– Już wtedy miał kłopoty z uszami? – zainteresował się uprzejmie Kawalkado.

– Tak. Wtedy miał je w nadmiarze... za duże były. Odstające. Pod hełm nie wchodziły.

– I co?

– Co: co?

– Jak zakończył się pojedynek?

– Był krótki. Trwał tyle, co mgnienie oka. Nigdy nie widziałem nikogo tak szybkiego jak Kwaidan, Nigdy. Ale to było dziesięć lat temu.

– Pocieszyłeś mnie. Mam nadzieję, że będzie ci to policzone.

– Do nieba i tak nie trafimy.

– A piekło przepełnione.

W czasie, gdy najemnicy wymieniali niezobowiązujące uwagi, Kwaidan zaglądał do przesiąkniętego krwią wora. Z wolna narastała w nim furia, z gatunku tych niebezpiecznych, bo zimnych.

Tymczasem w lochu Kandan dzielił swe zainteresowania na dwoje. Po pierwsze, dawno nie miał kobiety, a Kroni jawiła mu się ucieleśnieniem piękna. Po drugie, zaciekała go dziwaczna machina tortur – nigdy przedtem takiej nie widział, choć hobbistycznie zwiedzał różne lochy. Słyszał oczywiście o rezydującym tu legendarnym Kacie Bez Imienia i jego technicznych innowacjach. Kandan z kolei wyobraźni technicznej nie miał, zatem bez obaw położył głowę pod ostrzem, by z takiej perspektywy poprzyglądać się Kroni. Potem jeszcze nieostroźnie oparł się o dźwignię i już nie tylko zainteresowania dzielił na dwoje.

Kwaidan nie spieszył się – podążał krwawym tropem, choć ten nie był już tak obfity.

Zostawił go po sobie nieszczęsny Cnob, widłami przebity. Rycerz od dawna się nie bił, zatem próbował wprawić się w odpowiedni nastrój – furię jeszcze trochę schłodzić, by nie wpływała źle na przytomność myśli. Gdy dotarł do sali biesiadnej, był już właściwie usposobiony.

Kawalkado swoim zwyczajem zaczął od obelg. To, że przeciwnik nie mógł ich słyszeć, nie było istotne – obelgi podtrzymywały w najemniku determinację na wysokim poziomie. Jednak już pierwszy wypad – pchnięcie pozornie szybkie, a nawet błyskotliwe, bo niczym niesygnalizowane, które miało przebić Kwaidanowe serce – zakończył się dla Kawalkada fatalnie. Rycerz wykonał błyskawiczny unik piruetem, co wyglądało jak taniec ze skomplikowaną choreografią. Następnie ciął z góry, pozbawiając najemnika prawej dłoni wraz z mieczem. Ból był potworny, choć nerwy zadziały z błogostawionym opóźnieniem – przed oczami Kawalkado spacerowały dostojnie czerwone plamy. Zginąłby niechybnie, gdyby nie atak Jagona, który odwrócił uwagę rycerza.

– Myślisz, że to ból? – zapytał chłodno Kwaidan. – To żaden ból w porównaniu z bólem istnienia, psie.

Rycerz był głęboko przekonany, że to on doświadczył największego cierpienia w historii ludzkości: bólu własnej duszy.

Kawalkado w duchu zgodził się nawet z przeciwnikiem; sam też doświadczał w życiu większego cierpienia – choćby wtedy, gdy przypiekano mu boki celem zdobycia informacji, których niestety nie posiadał. Do dziś swąd palonego mięsa przyprawiał go o mdłości, zatem wolał spożywać mięso gotowane. Teraz słał się na nogach, krew wypływała z rany, jakby ktoś nieostrożnie otworzył w jego ciele zawór. A jednak pochylił się, by podnieść miecz lewą ręką. Nim zdążył się wyprostować, Jago już był martwy. Spokojna starość, przemknęło Kawalkado przez myśl jakoś ironicznie. Zebrał się w sobie i znów błysnął elokwencją, obrzucając przeciwnika stekiem plugawych przekleństw, od których rycerzowi niewątpliwie spuchłyby uszy. Gdyby je posiadał. Najemnik zdążył pomyśleć, że to dobry dzień na umieranie, i rzeczywiście – w chwilę później już nie żył.

Kwaidan nigdy nie zobaczył uratowanych przez siebie chłopców. Nawet nie wiedział, że ich uratował. Nigdy by nie przypuścił, jak blisko znalazł się cudu, którego przez całe życie oczekiwał. Może i nie zasłużył na tę świadomość, było w tym jednak niewątpliwe okrucieństwo losu.

Kiedy odjeżdżał na południe, niema kobieta, która wyczuła trawiącą go pustkę, pomyślała, że to, czego dokonał, będzie mu policzone w niebie.

Dokładnie w tym samym momencie Kroni, która również przygotowywała się do podróży, krzyknęła za znikającym w oddali rycerzem:

– Będzie ci policzone! W piekle!

Oczywiście nie mógł jej usłyszeć.

Wieczór Trzech Psów

Nie dawajcie psom tego, co święte

Ewangelia wg św. Mateusza

Tego wieczoru myślenie nie przychodziło Dolsilwie łatwo.

– Być... żyć. Być... rzyć. Być... wyć – szukał gorączkowo dobrych rymów, lecz znajdował wyłącznie banalne. – Być albo nie być... Taaa, to dobre pytanie.

Cisnął wściekle gęsie pióro na ziemię i jął tratować buciorami; wcześniej bezwiednie pozbawił narzędzie pracy puchu. Przyczyną takich zachowań poety była męka twórcza, co przyprawia swe ofiary o gorączkę w oczach, niezborną i gwałtowną gestykulację oraz mamrotanie słów niechętnych do układania się w zdania.

Dolsilwa jak zawsze usiłował wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu.

Ale świat jakoś tego nie dostrzegał.

Nawet miejsce (podrzędny lupanar), w którym przyszło zatrzymać się poecie, nie sprzyjało twórczym nastrojom. Święto Płodności zgromadziło w Barden nieprzebrane tłumy kupców i kupujących; gospody były przepełnione, a ceny przypominały wysokością górskie łańcuchy. Lupanar nie z takich gości się utrzymywał – noclegi były tu tanie.

Wystrój pomieszczenia przygnębiał Dolsilwę tanią wulgarnością – szczególnie te różnokolorowe szmaty zwisające dosłownie zewsząd, co być może sprzyjało nastrojowi obyczajowej rozwiązłości, ale zarazem było manifestacją doprawdy kiepskiego smaku. Szmaty, poruszane nieustannym przeciągiem, rzucały na ściany płochliwe cienie, które nieustannie przed sobą umykały, przyprawiając Dolsilwę o oczopląs. Natomiast z wysokości piętra nieprzerwanie dochodziły odgłosy intensywnie uprawianej miłości. Dźwięki zaskakiwały swą różnorodnością – ktoś charkotał jakby duszony, inny świergotł niczym osamotniony wróbel, często również dobywano z siebie jęki wyczerpania. Nakładał się na to płacz niemowlęcia, który Dolsilwa wziął zrazu za wyrefinowaną grę miłosną; potem jednak dowiedział się, że któraś z dziewczek urodziła niedawno dziecko. I jeszcze ten przyprawiający o mdłości fetor spoconych ciał. Poeta był przekonany, że rzeczywistość sprzysięgła się przeciw jego przeczulonym zmysłom, atakując je kakofonią dźwięków i potwornym bukietem zapachów.

Gdzieś na piętrze rozpętała się kłótnia – klient poróżnił się z personelem o metody przeliczania miłości na złoto. Dziewka twierdziła, że liczy się czas uprawy (pewien znany artysta nazwał kiedyś miłość fizyczną gorzkimi żniwami, zatem rolnicze porównania były jak najbardziej uprawnione), klient natomiast uparł się przy ilości stosunków jako przeliczniku. Ponieważ do spełnienia nie doszło, nie chciał płacić, na co dziewczka jadownicie ripostowała, że

klepsydra dwukrotnie była obracana, i sugerowała niedwuznacznie impotencję niefortunnego kochanka. Spór ucięła Kolchinea, właścicielka lupanaru, egzekwując od klienta połowę zapłaty, a dziewczkę strofując za deficyt zawodowych kwalifikacji. Kolchinea uchodziła kiedyś podobno za skończoną piękność. W pewnym wieku widać jednak, że piękno rzeczywiście nie jest kategorią nieskończoną. Poeta usiłował policzyć podbródki Kolchinei, jednak za każdym razem wychodziła mu inna liczba.

Aż nagle cały ten zgiełk i rwetes ucichł; nawet niemowlę umilkło. Często tak bywa w dzikich ostępach (bo w burdelach rzadziej), że pojawienie się drapieżcy niesie z sobą ciszę i bezruch. Dolsilwa rozejrzał się wokół w poszukiwaniu źródeł nagłego i niespodziewanego spokoju. Ujrzał trzy Psy schodzące z piętra. Jak rdza trawi metal na skutek wilgoci, tak Dolsilwie doskwierała ciekawość – skąd w Barden Psy w takiej obfitości? Pies był magiem, mędrce, królem poznania, badaczem pism starożytnych, alchemikiem i, powiadano, zabójcą. Nazwa cechu brała się z godła – zawsze był to pies, bez względu na krainę, bez względu na pochodzenie, na status społeczny mędrca. Pies miał znaczenie symboliczne – pozostawał w ścisłym związku ze śmiercią, był pośrednikiem między światem żywych i umarłych. Nazwa cechu kryła w sobie dwoistość – prosty lud odczuwał w stosunku do magów zabobonny niemal lęk, ale i pogardę. Nie był to bowiem lekki kawałek chleba; powiadano, że Psem mógł zostać ten jeno, kto za życia umarł, którego dusza kamieniem się stała, a sumienie – wspomnieniem. Wiadomo, że pies służy ludziom. Ale przecie nie wszystkim. Gadano, jakoby ubocznym zajęciem Psów było zwalczanie tajemnych a krwiożerczych stworów grasujących po borach i gościńcach świata. Jednak prawdziwe ich cele pozostawały tajemnicą.

Wieść o pojawieniu się niemal w tym samym czasie trzech Psów z różnych stron świata rozniosła się po Barden lotem błyskawicy. Psa nie było tu od dziesięcioleci – świąteczny nastrój prysł; na domiar złego i niedobór dobrego dużo mówiło się o przepowiedni nadwornego astrologa księcia Sorma – oto w okolicy miał się jakoby narodzić Król Królów, Pogromca Autorytetów, Łamacz Praw.

Pierwszy przybył Perkac – z zachodu. Jego droga nie była długa. Oficjalnym celem jego wizyty był Pożeracz Cieni, grasujący jakoby po ciemnych zaułkach Barden. Istotnie, zaginięcia mieszkańców miasta dramatycznie się ostatnio nasiliły. Dolsilwa wyczytał kiedyś w Bestiariuszu niejakiego Grobesa, że Pożeracz Cieni „przód ma krokodyla, środek lwa, a tył hipopotama”, więcej w tym jednak bredni było niżli prawdy. Stwór żywić się miał cieniami istot żywych, „fakt” ów nastęczał jednak myślicielom wątpliwości co do natury jego metabolizmu – nie mogła to być wszak przemiana materii. O Pożeraczu Cieni napisano nawet rozprawy filozoficzne jako o tym czynniku, co pozbawia przyczynę skutku. Czy może istnieć przyczyna bez skutku? – rozważano. Niektórzy odpowiadali na to pytanie twierdząco, odwracając tym samym porządek

świata, W każdym razie istoty pozbawione cienia znikać miały w niebycie.

Perkacabrał się do zagadnienia praktycznie. Przez dwa dni z rządu organizował szeroko zakrojone obławy. Podobno niektórzy uczestnicy nagonki widzieli Pożeracza, tajemnym jednak sposobem każdy inaczej go opisywał, jeden widział krokodyla, inny lwa, jeszcze inny „coś na kształt hipopotama”. Dość, że trzeciego dnia potwora zagoniono do opuszczonego domostwa na peryferiach Barden. Perkacabrał podobno dylemat, jak też monstrum uśmiercić: dostarczając mu nadmiaru cienia (na przykład w postaci fermy kur lub hodowli królików), by – z powodu własnej łapczywości, która obrosła legendami – zdechł z przeżarcia, czy też, co było sposobem wolniejszym, ale skuteczniejszym, odciąć go raczej od cieni? Wybrał sposób drugi. Wokół domu ustawiono strażę, a następnie zaślepiono wszelkie otwory, które mogły dostarczać światła. Pozbawiony cienia, potwór skonać miał z głodu.

W niejaki czas po Perkacu, tego samego dnia przybyli dwaj pozostali. Chormiel ze wschodu, gdzie rozciągały się nieskończone stepy, i Zaarbalt z odległej krainy Hongh. Teraz wszyscy trzej siedzieli przy jednym stole, popijając niespiesznie wino i rozprawiając o czymś w nieznanym Dolsilwie języku. Różnili się między sobą w nieomal każdym szczególe: inaczej się zachowywali, gestykulowali, inne też były ich upodobania kulinarne. A jednak Dolsilwa nie miał wątpliwości: więcej ich z sobą łączyło niż braci syjamskich. Gdyby poeta znał historie ich żywotów, być może nie narzekałby na brak weny.

Nieoczekiwany przeciąg przyspieszył bieg cieni – w lupanarze pojawili się nowi goście. Wkrótce Dolsilwa ich ujrzał – czterech obwiesi spod ciemnej gwiazdy, każdy z obnażonym mieczem w dłoni.

– Najemnicy... – szepnął Dolsilwa i pomyślał, że robi się coraz ciekawiej.

Dwaj byli doświadczonymi wojownikami, pozostali mleko mieli pod nosem. Na widok magów siedzących przy stole najemnicy stanęli jak wryci. – Psy! – krzyknął najstarszy, wyraźnie zaskoczony, lecz bynajmniej nie przestraszony.

– Tfu! Na psa urok! – zawtórował mu jeden z młodszych.

Z góry pospiesznie schodziła do nich Kolchinea, trzęsąc wszystkimi podbródkami, ilu by ich nie było.

– Nareszcie! – krzyknęła.

– Gdzie jest bachor? – zapytał najemnik.

– Na górze. Zaprowadzę. – W oczach Kolchinei błysnęła chciwość. – Co za to dostanę?

– Pozbywasz się kłopotu, kobieto. Zresztą już się umówiliśmy. Cnob, idziesz z babą. Ty załatwisz sprawę. Kawalkado i Kandan zostają ze mną – komenderował stary.

– Z przyjemnością – rzekł ten nazywany Cnobem.

– Panowie z psiarni! – Stary spojrzał na milczących mędrców.

– Pozwólcie, że się przedstawię. Jam Jago o koniczynowym godle.

– Ja i... moi towarzysze broni mamy tu sprawę, która was nie dotyczy. Zatem spędźmy ten czas na miłej pogawędce. Myślę, że nasze... hm... rzemiosła dużo mają z sobą wspólnego...

Długo by tak pewnie gadał, gdyż odnajdował w tym niewątpliwą przyjemność, lecz rozwój wypadków go uciszył. Oto Pies Zaarbalt ryknął coś niezrozumiale i jął szarpać dłońmi brzuch z taką gwałtownością, jakby zamierzył wyrwać z siebie wnętrzności. Po chwili zwałił się ciężko na podłogę i tam zwijał się z bólu. Wywracał przy tym oczami, aż było widać białka, z ust obficie toczył pianę.

– Co, do diab... – zaczął Jago, ale znów nie skończył, bo inny Pies, Chormiel, wykonał błyskawiczny gest o skomplikowanej geometrii i wypowiedział słowa, które dla Dolsilwy brzmiały jak chrząkanie świni. Dość, że w izbie gwałtownie pojaśniało, a zdawało się, że blask ów z powietrza się bierze. Wszystkich obecnych, z wyjątkiem Chormiela rzecz jasna, oślepiło. Dolsilwa słyszał przekleństwa najemników, krzyki kobiety dochodzące z piętra, płacz dziecka i szybkie kroki na schodach – ktoś wchodził na górę.

WIARA

Kolodi mógł uważać się za szczęściarza – urodził się w rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec był najważniejszym człowiekiem w Rondrike – peryferyjnej osadzie położonej z dala od uczęszczanych szlaków handlowych. Raz w roku mężczy potomkowie rodu mieli prawo, zaszczyt i obowiązek oglądać na własne oczy Horoda, władcę krainy Hongh, którego godłem był Upadły Anioł Z Jednym Skrzydłem. Horoda zwano powszechnie Bożym Namiestnikiem, mniej powszechne, ale również przyjęte było określenie „Dotknięty Przez Boski Palec”. Bezlitośnie tępieni opozycjoniści powiadali, że Bóg musiał stracić czucie w palcach, kiedy dotykał władcę Krainy Hongh.

Młody Kolodi nie lubił corocznych eskapad do Kerose, stolicy krainy. Miasto było potwornie ludne i zawsze sprawiało na młodzieńcu wrażenie zmęczonego, spoconego. Horod zaś, w końcu żywa legenda, okazał się opasłym knurem o rozwodnionym spojrzeniu zogniskowanym na nicości. Szczęściem ród Kolodich nie miał istotnego znaczenia w geopolityce Hongh, zatem czas oglądu władcy nie był długi. Znamienitsi poddani mieli obowiązek obserwowania Horoda cały jeden dzień w roku. A bywało, że i znaczną część nocy. Kolodi senior im zazdrościł, junior – współczuł; taka była różnica między ojcem i synem. Senior był przekonany, że możliwość oglądania władcy daje rodowi wysoką pozycję i splendor. Celem każdego kolejnego Kolodiego miało być przedłużanie nudnego widowiska. Senior, dzięki licznym ranom i uszczerbkom na zdrowiu poniesionym w wojnach przeciw dzikim plemionom Widarian z północy, dorzucił dziewiętnaście ziaren piasku w klepsydrze i był z tego powodu bardzo dumny, ponieważ

w bieżącym stuleciu był to rekord.

Syn jego, jak najodleglejszy od podobnych ambicji, już jako dziecko odznaczał się niespożytą ciekawością świata. Opowiadano, że w kołysce niszczył licznie dostarczane mu zabawki, by osiągnąć tajemnicę ich przeznaczenia i działania. Gdy nieco podrośł, ciekawość gnała go w leśne ostępy, gdzie polował z łukiem, a następnie dokonywał na ofiarach sekcji zwłok, albowiem jęły interesować go zasady funkcjonowania organizmów żywych.

Zdarzyło się, że senior rodu umarł, a jego prawa oraz obowiązki przejął młody Kolodi. Był już wówczas młodzieńcem – co prawda niezwykle wysokim, ale odznaczającym się również chorobliwą niedowagą. Przypominał wyschły pień drzewa tuż przed połamaniem. Twarz miał pociągłą, ascetyczną w wyrazie. Życie uczuciowe Kolodiego nie było bogate. Śmierć ojca zupełnie go nie obesła, myślał jeno o wykonaniu sekcji zwłok rodziciela, do czego – ze względu na tłum gapiów odwiedzających wystawione w zamkowych katakumbach zwłoki – nie doszło.

Wciąż zżerała go ciekawość świata. W towarzystwie Sekstara, człeka z gminu, którego na wyrost zwykł nazywać przyjacielem, odbywał wielodniowe wycieczki po bliższej i dalszej okolicy. Matka Kolodiego nie pochwałała ani tej przyjaźni, ani niezwykle zainteresowań syna. Dawała Kolodiemu do zrozumienia, że nadszedł czas, by korzystnie się ożenić, krzewić i rozprzestrzeniać ród. A nawet i niekorzystnie – byleby rozszerzać rodzinę i oderwać syna od głupstw.

W niecały rok po śmierci ojca Kolodi jął sposobić się do podróży na dwór władcy Krainy Hongh, by dopełnić wiadomego rytuału. Wybierał się niechętnie, a traf chciał, że jego przyjaciela żywcem zżerała ochota ujrzenia władcy i zapoznania się z dworskimi obyczajami, które zdawały mu się szczytem wykwintu. Od słowa do słowa – zmówili się, że zamienią się miejscami. I tak Sekstar pojechał do stolicy, Kolodi zaś na długie polowanie, bo zamierzał przyczynić się do śmierci pięknych saren – chciał z bliska, takiego bliska, że bliżej już się nie da, przyjrzeć się ich skoczny kończynom.

Obaj byli przekonani, że mistyfikacja się powiedzie. Łączyło ich bowiem pewne podobieństwo, nadto Kolodi pouczył Sekstara na temat arystokratycznych zachowań. Mimo to podmiana została wykryta. Sekstara, jako człeka niepowołanego do oglądania władcy krainy Hongh, skazano na wyklucie oczu i obcięcie dłoni. Po wstawiennictwie Kolodiego, który prosił o pozostawienie Sekstarowi oczu, karę złagodzano.

Pozostawiono dłonie.

Tymczasem ród Kolodich utracił równo trzydzieści ziaren piasku w klepsydrze. Obecnie było ich tylko sto i pięć.

– Dobrze, że twój ojciec tego nie doczekał – powiedziała matka Kolodiego.

Kolodi nic na to nie odparł.

Często odwiedzał swego oślepionego przyjaciela i opowiadał mu o ptakach – coraz mocniej

zajmowało go zjawisko lotu. Sekstar za każdym razem pytał, dlaczego właściwie nie odjęto mu dłoni i nie pozostawiono oczu. Kolodi odpowiadał na to pytanie filozoficznie.

– Równie dobrze, mój przyjacielu – mówił – mógłbyś zastanawiać się, dlaczego słońce jaśniej świeci od księżyca...

No właśnie, dlaczego? – przemknęło przez myśl Kolodiemu; demon ciekawości znów wziął w posiadanie jego duszę, a zagadnienia astronomiczne pochłonęły rozum.

Sekstara nie zadowalały filozoficzne wykładnie jego losu. Bez przerwy narzekał na jakość życia ślepeca; brak kolorów był mu niemiły, a brzęczenie muchy, na którym – wbrew jego woli – koncentrowały się pozostawione mu zmysły, powodowało u biedaka udrękę bezsenności.

Któregoś dnia Kolodi zabił Sekstara i z ciekawością obejrzał jego organy wewnętrzne. Kiedy zabijał, mówił szeptem, że to dla dobra wszystkich ludzi, a w jego oczach lśniły łzy, które przypominały klejnoty. Kolodi należał do tego gatunku osobników, którzy zabijają, by jak najwięcej dowiedzieć się o życiu, czynią zło dla ogólnego dobra, wierzą w powszechne szczęście, siejąc wokół siebie nieszczęście.

Ku zgryzocie matki Kolodi opuścił Kondrike na zawsze. Była w nim niezachwiana wiara w doniosłość własnego przeznaczenia. I zdarzyło się, że napotkał po drodze starca, który rościł sobie pretensje do mądrości. Starzec był Psem.

– Widzę, panie, że pcha cię naprzód wielka determinacja. Musisz być człkiem gorzko doświadczonym przez życie... – rzekł starzec, gdy wieczorną porą zasiedli przy ognisku.

– Nie narzekam – odparł Kolodi z ujmującą prostotą.

– I to dostrzegam. Pan nie rozróżniasz dobra od zła i wyrzucasz to sobie, prawda?

Kolodi zastanowił się. Wyrzuty sumienia nie były plagą, z którą się zmagał. Dostrzegał jednak, że gdy – we własnym mniemaniu – czynił dobrze, inni ludzie zwykle fatalnie to odbierali. Chciał wiedzieć dlaczego, więc zapytał:

– Dlaczego?

– To proste: jedność przeciwieństw, mój panie! Pan wcale nie widzisz mniej od innych, jeno więcej. Dobro i zło to końce jednego drąga. Z tym jest jak z ogniem i mrozem: niby przeciwieństwa, a w swych ekstremach działają podobnie – skutki odmrożeń i poparzeń są jednakie, nieprawdaż? Dlatego ludzie dotknięci monstrualnym dobrem fiksują, jakby ich dotknęło zupełne zło.

Wywody starca zdumiały Kolodiego swą prostotą. Oto do czego zawsze zmierzał – absolutna prostota, uniwersalizm zupełny podany na talerzu w trzech nieskomplikowanych zdaniach!

– Patrzysz na mnie, panie Kolodi – perorował namiętnie starzec – i widzisz Psa. Czujesz zapewne coś na kształt lekkiej obawy i obrzydzenia wymieszanego z ciekawością. A ja ci, panie Kolodi, powiem, że wszyscy ludzie są psami. Tak, wszyscy, nie dziw się.

Zwykły pies, a mam tu na myśli czworonoga, nie wie, dlaczego jego pan wymaga od niego

szczekania na jednych ludzi i merdania ogonem na widok innych. Nie wie, dlaczego może szczać wszędzie, jeno nie w domostwie właściciela. Nie ma pojęcia, po co musi ścigać do upadłego inne stworzenia, a następnie – wbrew naturze – ich nie zjadać. W zamian dostaje gnata i wątpliwą protekcję, jednak sens praw, które musi respektować, jest dla niego tajemnicą. Respektuje, lecz nie wie dlaczego. Podobnie sprawy się mają między Bogiem a ludźmi. Wszyscy ludzie są psami, panie Kolodi, ale tylko my mamy odwagę przyznać się do tego i jeszcze czasem potrafimy ugryźć Stwórcę w rękę, która podaje nam gnata! A teraz, panie Kolodi, powiedz, wierzysz mi?

W Kolodim gdzieś głęboko, gdzieś, gdzie nie sięgnęłaby żadna sekcja zwłok, było takie puste miejsce: miejsce na wiarę. Wszystko jedno w co. Do tego miejsca odbył się wyścig – kto pierwszy, ten lepszy.

Pierwszy był Pies.

Kolodi Psem zatem został i przyjął imię Zaarbalt, co w psiej mowie oznacza „Wierzący Na Słowo”.

Nauka psiej profesji odbywała się w Akademii Psów mieszczącej się na wyspie Haanor, którą obmywały zewsząd wody słodkiego jeziora Alzaa. Nauka długa była i żmudna, lecz umysł Zaarbalt, choć nieskomplikowanej był natury, okazał się chłonny. Szczególną uwagę, co oczywiste, poświęcał księgom anatomicznym. Nadto wymagano od niego, by bacznie snom swym się przyglądał, albowiem uważano, że tajemny protektor Psów w snach właśnie najczęściej objawiał swą wolę – i to tylko wybranym. Nazywany był Władcą Snów albo – co wydało się Zaarbaltowi nonsensem – Tym, Który Nie Jest. Natura Władcy Snów była tajemnicą, pochodzenie – nieznane, cele – mgliste. Zaarbalt podejrzewał, że jest to postać legendarna, zatem po jakimś czasie przestał zwracać uwagę na sny, tym bardziej, że najczęściej nie śniło mu się nic, z wyjątkiem parujących człowieczych wnętrzności.

Ponieważ młodzieniec wciąż przejawiał pewne altruistyczne skłonności (które wprawdzie nie dotyczyły żadnego konkretnego człowieka, lecz całej ludzkości), stary Pies zabrał go któregoś dnia na przejażdżkę łodzią po jeziorze. Dopłynęli do piaszczystego półwyspu nazywanego Półwyspem Zuka. Już w pierwszej chwili Zaarbalt zrozumiał, dlaczego tak, a nie inaczej ochrzczono ów spłachetek lądu. Na piaszczystym brzegu roiło się od ogromnych żuków – były ich miliony. Drgające punkty wyraźnie odcinające się od tła. Większość, na skutek oddziaływania silnych wiatrów, osypującego się piachu albo fal śmiało penetrujących ląd, leżała bezradnie na grzbietach. Wciąż poruszały odnóżami, wciąż – bardziej chyba instynktownie niż z jakąkolwiek celowością – próbowały zmienić niekorzystne położenie. Daremnie.

– Wyobraź sobie, Zaarbaltcie – mówił stary Pies, którego uczniowie nazywali Psem Z Kulawą Nogą, ponieważ lekko utykał – że te nieszczęsne żuki to ludzie w opresji, wszystko jedno jakiej, dość, że w ostatecznym rozrachunku śmiertelnej. Jak im pomożesz? Ilu ocalisz? Życia nie starczy ci nawet na ułamek. Na którym poprzestaniesz? Który będzie ostatnim

szczęśliwcem, a który nieszczęśnik pierwszym i niezasłużonym pechowcem?

Zaarbalt zrozumiał. Odtąd zawsze, gdy zobaczył jakiegoś żebraka przymierającego głodem albo dziewczę bliższą dna niż sukcesu towarzyskiego, nie czynił nic. Za każdym bowiem razem przypominał sobie o żukach. I o daremności.

Kilka lat później, gdy Zaarbalt był już pełnoprawnym Psem, zdarzyło się pewnej nocy, że przyśniły mu się bynajmniej nie parujące wnętrzności. W tym śnie znajdował się na plaży, nawet wydawało mu się, że czuje na twarzy łagodną, ciepłą bryzę, która kołata, balsamowała skórę. Rozejrzał się wokół i wtedy zobaczył żuki; były dosłownie wszędzie – jedna rozedrgana masa. Niemal wszystkie poprzewracane byty na grzbiety. Zaarbalt pochylił się nad jednym i jął obserwować beznadziejną pracę jego odnóży. Zaraz też zapragnął żuka rozplatać i pooglądać go od wewnątrz. Bo wewnątrz właśnie musiała się kryć tajemnica tej beznadziejnej dążności, tego pędu ku istnieniu, który wszyscy nazywają życiem. A jednak coś innego odwróciło uwagę Zaarbalt. Ujrzał w pewnym oddaleniu drobną figurę chłopca, który mógł mieć siedem, może osiem lat. Dziecko niespiesznie przechadzało się plażą, nie robiąc przy tym nic szczególnego. A jednak tam, gdzie przeszło, żuki nie były już bezradne. I to nie były żuki.

Byli to ludzie.

– Oto jest ten, którego w przyszłości będą nazywać Głosem Boga. – Zaarbalt wyraźnie słyszał szept, nie widział jednak szepczącego.

– K... kim jesteś?

– Nazywają mnie różnie. Jak zwali, tak zwali. Musiałeś słyszeć o Głosie Boga? – Szept zdawał się dochodzić zewsząd. Czyli znikąd.

– Stare przepowiednie. Syn Boga wcielony w człeczą skorupę...

– Dobrze, Zaarbaltie, odrobiłeś lekcję. Przyjdzie na świat niebawem, a stanie się to na terenie Cesarstwa Lechandryjskiego. Cesarz już wie i jest... hm... żywo zainteresowany jego śmiercią. Powiem ci dokładniej i musisz to zapamiętać. Opoдал miasta Barden, na Zamku Kaltern, dawnej posiadłości hrabiego Mortena. Zapamiętasz?

– Tak.

– Świetnie. On pokaże ci sens świata i przyczynę życia. Weźmiesz go pod opiekę, nauczysz, co sam umiesz. Ukształtujesz go na rasowego Psa. Pozbaw go duszy, a zadbaj o rozum i świat będzie lepszy. Dużo lepszy...

Ale Zaarbalt miał swoje plany. Wciąż bardzo zajmowała go zasada funkcjonowania Wszechświata. Jeszcze w szkole wykonał skomplikowany model: maszynę, której rytm działania miał być zarazem rytmem świata. Jeden z praktyczniej myślących uczniów Akademii wykorzystał model Zaarbalt do konstrukcji pierwszego zegara.

Tymczasem Zaarbalt myślał o wnętrznościach – i to nie byle jakich, bowiem jego umysł bez reszty zajmowały Trzewia Bożego Syna.

Po co będę go o cokolwiek pytał, myślał Pies, Przecie jego wnętrzości muszą być modelem świata. Zrozumiem wszystko, gdy ujrzę jego serce.

Myśl ta pochłonęła Zaarbalt bez reszty, jakby nie myślą była, a przepaścią. Towarzyszyła mu podczas przygotowań do dalekiej podróży i podczas samej wędrówki do Cesarstwa Lechandryjskiego. W trakcie dwutygodniowej żeglugi wzdłuż brzegów Morza Martwego Psu zebralo się na wymioty. Pogłębiło to jego irytację na niedoskonałość człowieczej kondycji, miał za złe własnemu organizmowi taką oczywistą słabość. Usiłował umysłem zapanować nad reakcją wymiotną. Daremnie. Owe zmagania na krótki czas oddaliły go od myśli o Bożych wnętrzościach. Gdy zdał sobie z tego sprawę, opanował go jeszcze większy gniew, no bo jakże to – własna słabość oddalać go ma od myśli o Absolucie?

Barden zaskoczyło Zaarbalt swą pokazową, jak mu się wydawało, żywotnością, wigorem. Wszystko działo się tu szybciej, w większym napięciu niż w jego rodzinnych stronach; ludzie wydawali się żyć pełniej, radośniej. Lecz Zaarbalt myślał o nich wszystkich jak o żukach przewróconych na grzbiet. Ot, te żuki po prostu szybciej przebierają odnóżami, lecz daremna to aktywność.

Spotkanie w lupanarze (instytucje podobne były w Kramie Hongh czymś nie do pomyślenia) z dwoma innymi Psami wywodzącymi się z innych części świata, innych kultur, innych Akademii wreszcie, zdumiało Zaarbalt, jednak nie doprowadziło do żadnych głębszych refleksji. Po prostu brakło miejsca, Pies bez reszty był pochłonięty jedną obłądną ideą.

Trzeciego dnia pobytu w Barden zebrali się wszyscy przy jednym stole, pili wino i gadali. O dziwo, choć pod każdym względem odlegli, zdawali się Zaarbaltowi bliżsi niż ktokolwiek inny – nawet jego matka, nawet przyjaciel, którego zabił. Nie wsłuchiwał się uważnie w rozmowę, sam raczej milczał. Raz wznosił toast, chcąc wyrazić wdzięczność opatrności za tak interesujące spotkanie, ale zamiast „wdzięczności” wyszły mu „wnętrzości”, więc umilkł, zawstydzony. Tymczasem dwaj pozostali mówili coś o Pożeraczu Cienia, o cieniu świata, o jakichś Trzech Królach.

Zaarbalt czuł się bardzo źle i jego stan pogarszał się z każdą chwilą. Znów, jak na statku, nie potrafił siłą umysłu zapanować nad buntem organizmu. Jakby zapomniał, że umysł też jest jeno częścią organizmu.

– Ale to się zmieni – szeptał do siebie. – Już wkrótce się zmieni... Wszystko się zmieni...

Głęboko w to wierzył. Nawet wówczas, gdy upadł na podłogę, tocząc z ust pianę i wywracając oczy białkami do góry.

I z tą niczym niezachwianą wiarą umarł.

NADZIEJA

Wiele wskazywało na to, że losy Gerolda z miasta Menola są przesądzone. Od dziecięcych lat cichy, spokojny, skoncentrowany na własnym, nieco po prawdzie ubogim świecie wewnętrznym, zawsze na uboczu, od swych rówieśników mniejszy, znacznie bardziej wyciszony. Podobno jeszcze w kołysce leżał nienaturalnie spokojnie, niczego się nie domagając. W gruncie rzeczy Gerold wydawał się niezmienny jak gład, ale z kamienną twardością nic wspólnego nie miał. Wręcz przeciwnie – była w nim miękkość i miałkość, być może przesądzona z góry wyglądem zewnętrznym. Wystarczyło Geroldowi jedno krótkie zerknięcie w zwierciadło, a choćby nawet i w kałużę, i hardość natychmiast się w nim załamywała – a to na skutek łagodnych rysów twarzy, dziewczęcych niemal.

Pochodził Gerold z rodziny mieszczańskiej: ojciec był krawcem i wyglądało na to, że syn pójdzie w jego ślady. Chłopiec spędzał długie godziny pośród strojów i materiałów. Kiedy był pewny, że nikt go nie widzi, rozmawiał z nimi nawet. Miał wówczas wrażenie, że obcuje ze światem wykwintu i dobrych manier, że oto nagle stał się kimś lepszym i przekroczył ramy zakreślone nad jego życiem przez przeznaczenie. Rodzice Gerolda trzebili w nim wszelkie ambicje nielicujące z jego pochodzeniem i pozycją społeczną. Byli przekonani, że czynią to dla jego dobra, oszczędzając mu niepotrzebnych rozczarowań i bólu. Nie wiedzieli, że cierpienia w żaden sposób nie da się wyminąć, a rzeczywistość bywa w swym bezosobowym okrucieństwie przezorna.

Gerold dorósł i – rzeczywiście – został krawcem. Dawało mu to okazję do mierzenia kobiet w tali i biuście. Często były to piękne arystokratki o aksamitnej skórze i porcelanowej cerze, lecz młodego krawca zupełnie to nie poruszało – wydawało się, iż jego marzenia rzeczywiście zostały wytrzebione. Mimo to w samotności, dobrze ukrywając swą tajemnicę, wciąż przemawiał do strojów.

A stroje mu odpowiadały.

Gerold dorosły okazał się niemal dokładną kopią Gerolda brzdąca. Ta sama łagodność rysów przekładająca się na łagodność obyczajów, ta sama nieśmiałość i małomówność. Był co prawda większy, lecz proporcje się nie zmieniły – pod żadnym względem.

Ojciec i syn prosperowali niezłe, ich zakład przy ulicy Krzywe Koło rozrósł się o dodatkowe pomieszczenia. Ubierali się u nich arystokraci i bogaci kupcy. Wszystko zatem układało się dobrze – do czasu.

Któregoś dnia w Menoli pojawił się niejaki Kerac, emigrant (podobno polityczny) z Krainy Hongh, a przy tym – jak się wkrótce okazało – krawiec. Z miejsca przystąpił do odzieżowej ofensywy i od razu z sukcesem. Jego oferta niosła ze sobą egzotykę i oryginalność, dobór kolorów szokował, a już furorę zrobiły obszerne kołnierze i haftowany wzór godła władcy Krainy Hongh: Upadły Anioł Z Jednym Skrzydłem. Ojciec Gerolda zareagował natychmiast

odważnym połączeniem żółcieni z fioletem, jeszcze obfitszymi kołnierzami, lepszą jakością materiałów oraz – w patriotycznym uniesieniu – haftowanym godłem Cesarza Lechandrii: Kobieta Bez Włosów Łonowych. Ten ostatni akt krawieckiej desperacji władze miasta uznały za szarganie symboliki Cesarstwa. Starego Gerolda niezwłocznie osadzono w lochu, gdzie umarł po upływie trzech tygodni na skutek fatalnych warunków sanitarnych.

Matka Gerolda doznała pomieszania zmysłów – nieustannie wydawało jej się, że widzi męża. Chętnie do niego przemawiała, co przed tragiczną śmiercią krawca zdarzało się rzadko. Natomiast syna zdawała się nie dostrzegać, jakby to on właśnie umarł. Gerolda nawet to nie dziwiło; sam przecie zwykł rozmawiać z ubraniami.

Po śmierci ojca w Geroldzie zaszła, zrazu niedostrzegalna, zmiana – jakby nagle runęły tamy jego charakteru, prawdziwego, choć latami ukrywanego. Była to pierwsza z dwóch wielkich metamorfoz życiowych, jakie go czekały.

Któregoś dnia nałożył na siebie szczególnie elegancki strój, który odznaczał się również niepospolitą gadatliwością, i mrucząc coś pod nosem, udał się do zakładu znakomitego konkurenta. Kerac, powodowany pogardliwą ciekawością, przyjął Gerolda. Spodziewał się unizoności, niepewnej propozycji połączenia sił, na co zamierzał oczywiście odpowiedzieć odmownie. Nic podobnego jednak nie nastąpiło. Gerold, znacznie od konkurenta niższy, wspiął się na palce i wymierzył Keracowi siarczysty policzek. Wyrzucono go kopniakami, ale był z siebie, chyba po raz pierwszy w życiu, dumny. Nic nie wskazywało na to, że zajście zmieni życie Gerolda na lepsze. Tak się jednak stało.

Świadkiem awantury była Meroni, posługaczka w zakładzie krawieckim Keroce. Kobieta niezbyt wielkiej urody, za to wielkiego serca. Czasem wydawało jej się, że przestrzenią swego serca może objąć świat cały, z jednym jednak wyjątkiem: nienawidziła szczerze Keroce. Człowiek ten – poprzez swą arogancję, oschłość i bezwzględność – krystalizował jakby całe zło rzeczywistości; był uosobieniem tego, czego Meroni nie potrafiła znieść.

I tak zaczęła się ich dziwna miłość. Oboje zrazu nie potrafili uwierzyć we własne szczęście. Szczególnie Gerold, który był przekonany, że jego los jest przesądzony. Nie brał pod uwagę potęgi pieczołowicie hodowanego przez Meroni uczucia – ta kobieta bez trudu mogłaby pokochać trędowatego, ostatniego potwora, gdyby dostrzegła w nim choć cień dobra. A w miłości charakteryzował ją wielki upór; niektórzy nazywają to wiernością. Z upływem czasu Gerold przestał przejmować się własnymi niedostatkami, a nawet zaczął je uważać za atut. W tych stronach ludzie niechętnie dążyli do doskonałości w czymkolwiek, a to z obawy przed obrazą Stwórcy. Koła u wozów były nie do końca koliste, wieże zamków – strzeliste, a i ulice nazywano tak, by Bogu nie urągać: Krzywe Koło, Brudna Sadzawka albo Łysy Pagórek. Zatem nędza własnej kondycji wydawała się w końcu krawcowi jak najbardziej na miejscu.

Meroni objęła swą monstrualną uczuciowością również matkę Gerolda, co nie było łatwe,

albowiem staruszka przestała już dostrzegać kogokolwiek z wyjątkiem męża nieboszczyka. Gerold coraz rzadziej przemawiał do strojów, a te przestały mu odpowiadać.

Ślub był skromny, takie też miało być życie młodej pary. Więcej nie potrzebowali – tylko odrobiny wzajemnego ciepła, przy którym ich dusze i serca, niczym dłonie zgrabiące od chłodu przy ogniu kominka, mogły wreszcie odtajać. Któregoś dnia Meroni powiedziała mężowi, że jest przy nadziei. I nadzieja zagościła w ich domu. Gerold natychmiast zabrał się za szycie ubranek dla dziecka; wkrótce urósł ich cały stos. Myślał tylko o jednym – że zapewni dziecku los lepszy, niż ten, który przypadł jemu w udziale, że nigdy nie będzie zabijał marzeń swojej latorośli.

I niech diabli porwą tradycje krawieckie! – myślał, szyjąc wciąż nowe ubranka.

Pewnego dnia zszedł do piwnicy w poszukiwaniu odpowiedniego materiału. Leżały tam całe bele płótna, aksamitów, w najróżniejsze wzory, we wszystkich możliwych kolorach. Poniewierają się również stare, zużyte lub wybrakowane stroje.

Nagle Gerold poczuł Obecność. Nie była to obecność kogoś konkretnego, ta Obecność nie potrzebowała materialnego ekwiwalentu. Gerold poczuł ją znacznie mocniej i pełniej niż wtedy, gdy rozmawiał ze strojami.

– Jest tu kto? – zapytał drżącym głosem.

– Jest. I nie jest – odparła ciemność. – Jest Nikt.

Stary surdut leżący w kącie jakby nagle napęczniał i jął opinać szybko formujący się kształt. A kształtem tym była ciemność, najczarniejsza z czarnych, gęsta jak zupa, niemal namacalna – jakby pochodziła z samego dna piekieł. Już po krótkiej chwili ciemność przybrała postać ludzką. Drżący płomień świecy trzymanej przez Gerolda nie mógł przeniknąć tej atramentowej czerni.

– Kim... czym jesteś? – zapytał Gerold.

– Milcz i słuchaj. Nie mam dużo czasu. Twój syn umrze podczas porodu. Twoja żona też umrze. Tak jest zapisane.

– Zapisane? Gdzie? Syn... Mój syn? Meroni...

– Tak postanowił Stwórca, lecz czas twej zemsty nadejdzie, leszcze się zobaczymy, Geroldzie.

Surdut, w jednej chwili sflaczały, opadł na ziemię, ciemności rozrzedziły się; po Obecności nie było nawet śladu.

Meroni była w ósmym miesiącu ciąży, kiedy zaczęły się przedwczesne bóle. Gerold od razu przypomniał sobie, że ósemka uchodzi za liczbę fatalną – jako „odwrócona nieskończoność” oznacza przedwczesne zakończenie życia. Nie potrafił znieść spojrzeń swojej żony: było w nich nie tylko przerażenie, było też nieme pytanie – dlaczego? Meroni mniemała, że poprzez swe wszechogarniające dobro wykupiła sobie wreszcie dobry los. Myliła się.

Dopiero wtedy trwoga zagnała Gerolda do Boga. Modlił się gorączkowo, błagał, groził,

obiecował. Miał jednak wewnętrzne przecucie, które kiełkowało, rośło, aż wydało gorzkie owoce. Cień nie mylił się, jego rodzina lada dzień umrze. Nadzieja umarła w Geroldzie.

Stało się dokładnie tak, jak było zapisane gdzieś bardzo, bardzo wysoko. Tak wysoko, że ludzie zbyt są krótkowzroczni, by odczytać własny los.

Trzy dni i trzy noce Gerold zajmował się głównie rwaniem na sztuki uszytych przez siebie strojów. Zaczął od ubranek dziecięcych. Cały czas milczał, a w jego oczach nie było łez. Trzeciego dnia nastąpiło drugie wielkie przeistoczenie Gerolda. Zszedł do piwnicy i starannie zapakował stary surdut – jedyny ocalały z odzieżowej rzezi. Potem zniknął i nikt więcej nie słyszał o nim w Menoli.

Tej samej nocy spłonął dom krawca Keroca wraz z właścicielem i jego rodziną. Nikt jakoś nie powiązał faktu zniknięcia jednego krawca ze śmiercią drugiego. Dość, że w Menoli przez długi czas panował deficyt krawców.

Jakiś czas po tragicznych wydarzeniach Gerold – już jako Pies – przybrał imię Perkac, co w psim języku tyle znaczy, co „Nadzieja Głupca”.

Mówi się, że Pies musi być duszy i sumienia pozbawiony – taki wymóg fachu, takie kwalifikacje zawodowe. Perkac bił w tym względzie wszelkie rekordy. Okazał się Psem o nadzwyczaj zimnym i wyrachowanym intelekcie. Wydawało się nawet, że rysy jego twarzy – tak zawsze łagodne, tak zaokrąglone – wyostrzyły się; była w nich teraz ledwo skrywana drapieżność. Oczy Perkaca ściałał mróz zawziętości.

W swej celi w Akademii Psów, gdzie najpierw pobierał nauki, a następnie ich udzielał, powiesił Perkac na haku stary czarny surdut, którego nigdy nie zakładał. Bardzo lubił, gdy w pomieszczeniu panował przynajmniej półmrok, a najlepiej już mrok. Jeśli nie pracował, potrafił całymi dniami przesiadywać samotnie w ciemnościach i wpatrywać się w surdut, jakby w oczekiwaniu na coś.

Renoma Psa Perkaca rosła; podobno sam Cesarz radził się go w delikatnych sprawach. Za taką właśnie uznać należy narodziny Detronizatora Cesarzy. Perkac uzyskał od władcy wszelkie prerogatywy w tej sprawie. Zresztą już od dawna zajmowały go badania nad starymi przepowiedniami mówiącymi o rychłym przyjściu na świat Syna Bożego, w innych wersjach nazywanego Głosem Boga.

– Ochrypniesz... – często mówił do siebie Perkac. – Głos stracisz... Syn za syna!

Wreszcie zdarzyło się, że stary surdut znów wypełnił się Obecnością i Perkac został poinformowany o miejscu i czasie narodzin Głosu Boga.

Intrygę uknuł szybko i starannie, nie chciał bowiem wywoływać niepotrzebnego zamieszania swym nagłym pojawieniem się w Barden. Za pośrednictwem zaufanych ludzi, wiernych poddanych Cesarza, rozpuścił po mieście plotkę o Pożeraczu Cieni. Kilku głupców postradało życie dla uwiarygodnienia historii. Całe zamieszanie sprawiło, że Pies przybył do Barden na

usilne życzenie władz miasta. Po odegraniu komedii z nagonką i polowaniem, Per kac mógł wreszcie zająć się właściwym celem swojej wizyty. Pojawienie się dwóch innych Psów mocno skomplikowało sytuację. Per kac od razu domyślił się, że ma do czynienia z konkurencją. Od czasu historii z krawcem Keracem Pies fatalnie znosił konkurencję.

Kiedy zatem pewnego wieczoru zasiedli razem przy stole, Per kac dosypał Psom dyskretnie trucizny do wina.

– Przyznaj jednakże, panie Per kac, że ostatniego Pożeracza Cieni, a wiem o tym, bom sprawdzał w kronikach miejskich, widziano w tych okolicach jakieś czterysta lat temu... – powiedział ten, który zwał się Chormielem.

Zaarbałt wychylił kielich, a Per kac skwapliwie dolał mu wina. Pies Zaarbałt wydawał się bez reszty pochłonięty jakąś doniosłą ideą, głównie bowiem milczał. Chormiel za to mówił za dwóch. Jednak ku zgryzocie Per kacza do tej pory nie tknął zatrutego wina. Jego uwaga o Pożeraczu Cienia niosła z sobą oczywisty podtekst – Chormiel wiedział, jaki był prawdziwy cel wizyty Per kacza w Barden, mało tego – zapewne cele wizyt wszystkich Psów były identyczne. Czyż trzy Psy mogą się spotkać w jednym miejscu w tym samym czasie zupełnie przypadkowo?

– Taaaak – westchnął Per kac. – Ale, ale. Wiesz pan, panie Chormiel, cała ta historia z Pożeraczem przypomina mi pewną starą teorię o cieniu...

Chormiel wykazał uprzejme zainteresowanie, Zaarbałt wciąż milczał. Per kacowi wydawało się, że Pies z Krainy Hongh mocno pobladał.

– Otóż mędrzec powiedział kiedyś – kontynuował Per kac – jakoby świat nasz cieniem był jeno świata doskonalszego, a w każdym razie prawdziwszego. Stwórca całym swym światłem, łaską i chwałą obdarza tamten, prawdziwszy świat. Niezamierzonym (choć czy może być cokolwiek niezamierzonego w postępkach Boga?) efektem tego procesu jest cień prawdziwego świata rzucony na pustkę – i to ma być właśnie nasz świat. Mędrzec ów wyrokował, że nasza rzeczywistość jest jakby zaprzeczeniem albo odwróceniem rzeczywistości właściwej...

– A zatem w tamtym świecie nasze – Chormiel zawahał się – oryginały mogłyby okazać się całkiem przyzwoitymi ludźmi...

Chormiel podniósł kielich do ust. Per kac wstrzymał oddech w napiętym oczekiwaniu i... nic. Chormiel odstawił naczynie, by mówić dalej:

– Może są jakimiś mędrkami, królami poznania... – urwał i niemal wwiercił się spojrzeniem w Per kacza. – Którzy przybyli złożyć hołd Bożemu Synowi.

Zapadła ciężka cisza.

– Cóż – przerwał ją Per kac – wznoszę toast za nasze... oryginały, Oby nie zeszyły na psy!

Zarechotali, napięcie opadło.

Na czole Zaarbałta perlił się zimny pot.

Chormiel wreszcie wychylił kielich.

Kielich goryczy, pomyślał z ulgą Perkak.

Dokładnie w tym momencie do lupanaru wpadli najemnicy z obnażonymi mieczami. Perkak od razu domyślił się, że musi chodzić o tego bachora, który niedawno przyszedł na świat z nieczystego łona jednej z dziewczek.

To sprawka tego głupca Sorma! – pomyślał z wściekłością Pies. Zaraz przyszła mu do głowy inna niewesoła myśl. Tak wielu potężom, ludziom, cesarzom, książętom, Psom i nadprzyrodzonym Cieniom nie w smak było przyjscie na świat Głosu Boga, że ich działania wzajem się niwelowały – nieustannie wchodzili sobie w drogę. Być może to wszystko, a w tej liczbie i on, Perkak, było częścią Boskiego Planu? Myśl ta była Psu tak nienawistna, że aż się zatrzęsł.

Tymczasem najemnik, który zwał się Jago, figura dość po prawdzie szpetna, gadał coś o pokrewieństwie rzemiosła psiego i najemnego. Młodszy obwieś, Cnob, poszedł na górę wraz z Kolchinea. Ale właśnie zaczynało się krótkie, lecz bolesne umieranie Zaarbalt. Widok był nieznośny – w umieraniu jest jednak coś intymnego. Perkak pomyślał, że każdy powinien umierać w samotności. Z utęsknieniem czekał również na zejście ze sceny Chormiela, ten jednak nieoczekiwanie posłużył się Magią Gestu i uczynił to z taką biegłością i szybkością, że Perkak nie zdążył zasłonić oczu. Był to Znak Zii, gest oślepiający – jego działanie nie miało skutków trwałych, więc Perkak cierpliwie czekał. Słyszał przekleństwa najemników, odgłosy tłuczonych naczyń, z góry dochodziły okrzyki kobiety i płacz niemowlęcia. Przez krótki moment Perkak zastanawiał się, po co właściwie Chormiel wtrącał się w robotę najemników? Zaraz jednak zrozumiał: Chormiel chyba nie do końca pozbył się sumienia. Perkak uznał, że to nadzwyczaj zabawne.

Po jakimś czasie wszyscy przejrzeni na oczy. Z piętra chwiejnie schodził Cnob, cały skąpany we własnej krwi. Jego twarz przecinała paskudna szrama.

– Dziewka... – powiedział. – Dziewka uciekła!

– Co z bachorem? – zapytał Jago.

– Zabrała go z sobą.

Jago zaklął szpetnie i rozejrzał się wokół. Opodał poniewierał się trup Zaarbalt. Chormiela nie było przy stole.

– Co z tym drugim Psem?

– Zimny – odrzekł Cnob.

– I bardzo dobrze. – Jago zerknął na Perkaca. – I co my z tobą zrobimy, mój pieski przyjacielu?

– Nie wchodźmy sobie w drogę – spokojnie odrzekł Perkak. Nie uważał się za biegłego w doraźnej Magii Gestów; najpewniej nie zdążyłby. Postanowił zatem pertraktować.

– Ja mówiłem o tym wcześniej – zauważył Jago. – Ale twój przyjaciel już wszedł nam

w drogę...

– To nie byt mój przyjaciel.

– Wszyscyście z jednej sfory. Jak i my zresztą...

– Mówmy otwarcie. – Perkac był zaniepokojony. Sytuacja wymykała się spod kontroli, a tego nienawidził. – Chcecie dostać owego boskiego bachora, co przyszedł na świat gdzieś w okolicy, i sądzicie, że uda wam się tego dokonać mieczykami, tak? Nie macie, panowie, bladego pojęcia, z czym przyjdzie wam się mierzyć. To Syn Boga. Ja być może mam szansę, wy – na pewno nie.

– Mądrze prawi jak na Psa, co, Kawalkado? – mruknął Jago. – Ale ty, Psie, nie jesteś bogiem, prawda?

– Mam nadzieję – odrzekł Perkac.

Los, jak zawsze perfidny, chciał, by były to jego ostatnie słowa.

– Sprawdźmy – powiedział Jago i przebił psie serce.

MIŁOSC

Daleko na wschodzie ciągną się stepy rozległe jak morza. Wszystko w tej krainie wydaje się większe, obszerniejsze, intensywniejsze niż gdziekolwiek indziej. W gorące, wilgotne lata komary tną tam niemiłosiernie; zimą mróz skuwa ziemię, jakby była jego więźniem, amnestia następuje każdej wiosny. Jesienie bywają tu ponure jak dusza poety. Podczas gwałtownych burz niebo piorunuje glebę wszechwidzącymi spojrzeniami – marny robał nie umknie ze swoimi sprawami jego uwadze, a co dopiero ludzie i ich namiętności, które mają tu potworne przebiegi, a zakończenia nieoczekiwane.

W tych właśnie okolicach wzniesiono przed wiekami dwa zamki – jeden, o surowej architekturze, od początku należał do szlachejnych Korlholzów; drugi, urządony z większym przepychem i smakiem, do równie dobrze urodzonych Wenterów. Nienawiść dzieląca szlachejne rody sięga korzeniami czasów bardzo odległych i różnie powiada się o jej przyczynach. Jedną z nich mogłaby być charakterologiczna niezgodność: Korlholzowie wywodzili się z plemion koczowniczych, krew ich była gorąca i gęsta, wszelkie spory zwykli rozstrzygać ogniem oraz mieczem. Wenterowie inaczej – chlubili się cywilizowanymi praszczurami, wykształcenie odbierali staranne, bardzo lubili gadać o mroźnym błękiecie rodowej krwi. Korlholzowie nie pojmowali tej metafory – puszczali wrogom juchę w celach eksperymentalnych, oczekując po niej nietypowego ubarwienia i temperatury. Nieustannie dziwili się jej pospolitej czerwieni.

Powiadano także, lecz jest to najmniej prawdopodobna wersja, jakoby spór zaczął się od ptaszysk zdołałych rodowe gofła i ich zdolności lotniczych. Gofłem Korlholzów był Szpak

Szpotawy, natomiast Wenterów – Biały Kruk Z Bielmem Na Oku. Oba rody najęły pono znawców tematu, lecz ekspertyzy okazały się zgoła odmienne i lotniczego sporu nigdy nie rozstrzygnięto polubownie.

Była i romantyczna wersja historii – mianowicie seniorzy znakomitych rodów zapalali jakoby zgubną namiętnością do jednej i tej samej kobiety. Rychło jeden drugiemu łeb strzaskał ze skutkiem śmiertelnym, lecz komu kto – historia milczy. Dość, że od tej pory chlubną tradycją rodów było pouczanie spadkobierców jeszcze w pacholęcym wieku, by unikały jak ognia wyższych uczuć, ze szczególnym uwzględnieniem miłości.

W bieżącym pokoleniu pojawił się równie znakomity powód do nienawiści, a także wzajemnej rzezi. Otóż los, ślepy jak ziarno dziobane przez kurę, chciał, by Korlholz, mimo licznych a mozolnych prób z kobietami o zróżnicowanym pochodzeniu społecznym, spłodził jedno dziecko, podczas gdy Wenter okazał się niespodziewanie jurny – pacholąt dochował się siedemnaściorga. Tak poważna dysproporcja w potomności, która zrazu wydawała się w oczywisty sposób działać na korzyść Wenterów i Korlholzową krzywdę, miała jednak swe drugie dno. Jedynym dzieckiem Korlholza syn był, zatem spadkobierca, Wenterowi zaś ponurą jakąś serią córki się jeno rodziły. W okolicy nazywano je Siedemnastoma Mgnieniami Wiosny, bo senior rodu płodził je, gdy na rzekach lód trzaskał. Wenter podejmował również próby jesienne, dla losu odwrócenia, lecz taki płodozmian nie przynosił oczekiwanych rezultatów. Kobiety w tych stronach nie więcej znaczyły niż podpis pod umową majątkową, a często nawet mniej. Wenterowi nic nie zostało, jeno starać się o znamienitych małżonków dla cór, a i nie wszystkich, bo siedemnaście ślubów z wystawnymi weseliskami zdziesiątkowałoby dobytek. Dla niektórych dziewcząt wyznaczył zatem zupełnie inne role. Wenter był przekonany, że czeka go starość gorzka jak żółć, albowiem krew jego rodu nadto się rozrzedzi, a może nawet zatraci swój błękit i niebezpiecznie się ociepli. Nocami senior fatalnie sypiał, bo nieustannie śniły mu się otaczające go zewsząd legiony wnuczek, córek jego Siedemnastu Mgnień. O niczym tak nie marzył, jak o gwałtownej śmierci Korlholzowego syna.

Pieczę nad młodym Korlholzem sprawował zaufany sługa rodziny, stary wojownik i wiarus, doświadczony przelewacz wenterowej krwi, Gardos godła Stonoga Bez Dwu Nóg. Miał za zadanie nauczyć młodzika trzech rzeczy, lecz dobrze wywiązał się z dwóch jeno. Do robienia mieczem junior, po przodkach, od razu wykazał nadzwyczajny talent i ochotę. Ale już kaligrafia zdała się chłopcu wyrafinowaną torturą, której poddawał się bardzo niechętnie. Gardos twardą miał rękę; zdarzało się, że chłopcu od razów puchły dłonie, a i krew ciurkiem puszczała się spod paznokci. W końcu naturalny opór został złamany, a młodzieniec jął kaligrafować z rzadkim kunsztem; nawet wydawało się, że większą uwagę przywiązywał do formalnej doskonałości w trudzie stawianych liter niż do treści przekazu, Z czasem nabrało to charakteru łagodnej obsesji – Korlholz mniemał, że graficzna doskonałość i piękno tożsame są z prawdą treści i starczą za

jakiegokolwiek dowody. To zadziwiające skrzywienie umysłu już w niedalekiej przyszłości zaważyć miało na życiu młodzieńca.

Jedynym wychowawczym zadaniem, któremu Gardos nijak nie potrafił sprostać, było oduczenie chłopca miłości. Korlholz od wczesnego dzieciństwa odznaczał się monstualną kochliwością; zrazu zakochiwał się bez wzajemności w drewnianych zabawkach, potem przeszedł na materię ożywioną, a komplikacja miłowanych organizmów postępowała wraz z wiekiem chłopca. Gardos pojęcia nie miał, jak się do rzeczy zabrać. Wprawdzie opowiadał podopiecznemu, że miłość do kobiet powoduje u mężczyzny pieczenie żołądka i łamanie w sercu, ale brzmiało to nieprzekonująco. Wreszcie doszedł do wniosku, że by oduczyć Korlholza miłości, w pierw trzeba by nauczyć go nienawiści, a tego wolał uniknąć, słusznie mniemając, że sam los będzie tu najlepszym nauczycielem. Być może nie potrafił stary Gardos uczyć chłopca bez miłości, bo sam skrycie, mimo pozorów oschłości, kochał go jak syna.

Był stary obyczaj, że raz do roku niesnaski wszelkie w niepamięć szły, a wrogowie, korzystając z prawa nietykalności, spotykali się na hucznej zabawie w mieście Kelnor. Przeciwnicy rzucali się sobie w ramiona, obiecując dozgonną przyjaźń. Lecz już następnego dnia próbowali zgon wroga przyspieszyć, a przyjaźń tym samym skrócić.

Zdarzyło się, że młody Korlholz skończył osiemnaście wiosen i tyleż jesieni, zatem mógł udać się po raz pierwszy w życiu na festyn. Oczywiście w towarzystwie Gardosa. Korlholz rozglądał się wokół w oszołomieniu, bowiem ludzi w takim nagromadzeniu jeszcze nie widział. Tu i ówdzie potworzyły się egzotyczne pary wczorajszych i jutrzejszych, ale nie dzisiejszych wrogów. W najlepszej komitywie wspominali kradzieże wzajemnych dobytków, nastawanie na cnotę żony bliźniego swego oraz krwawe mordy na inwentarzu szczególnie znieawidzonego sąsiada.

Zaczęły się tańce. Korlholz zagłębiał się w tłumie niczym w wodach nieznanego morza. Tuż za młodzikiem w dyskretnym oddaleniu posuwał się stary Gardos. Sługa sprężył się natychmiast do skoku, gdy ktoś wpadł niespodzianie na Korlholza z tanecznym impetem. Rozluźnił się jednak, bo niefortunną tancerką okazała się dziewczyna, która jakby mimochodem oślepiła młodzika swą urodą. Na jej widok Gardos jęknął w duchu, spodziewając się kłopotów z Korlholzową kochliwością.

– Wybacz, panie – rzekła nieznajoma. Jej głos zdawał się mgliście coś obiecywać, choć właścicielki takich głosów nigdy nikomu niczego nie obiecują.

– Wybaczę pod jednym warunkiem: zatańcz ze mną, pani.

Gardos rozważał przez moment poważnie ewentualność ogłuszenia młodzieńca i dostarczenia go z powrotem do zamku.

Ale na to było już o wiele za późno.

Młodzi zawirowali, choć Korlholz myślał, że to świat wiruje, posągowo unieruchamiając

roztańczoną parę. Tak oto taniec, a nie czyjkolwiek geniusz astronomiczny, świat z posad wybił. Korlholz często mylił figury, tracił rytm, ale w jego ruchach nieposkromiony był żywioł, bo taką miał naturę. Nieznajoma tańczyła z nieomylnością śmierci, bezbłędnie jak Słońce, co zawsze wie, kiedy wzejść i zejść, choć czasem tę wszechwiedzę burzą chmury. Wyglądało, jakby dwa przeciwieństwa jęły niespodziewanie tańczyć, miast szukać nieuniknionej zwady. Ogień z mrozem. Rozkosz z bólem istnienia. Mrok żywy, bo wzrokiem nieprzebity, z blaskiem, który oślepia.

Kobieta z mężczyzną.

Nieznajoma mówiła za dużo, co kontrastowało z zakłętym milczeniem Korlholza, który w werbalnej powściągliwości z kamieniem mógł iść w zawody. Opowiadała o pewnym malarzu, którego obsesją była starość.

– Żebyś widział, panie, z jaką maestrią oddawał na płótnie drżączkę poskręcanych artretyzmem dłoni albo fakturę zmarszczek na starczych obliczach. Malował wieczorami jeno, przy chybottliwym blasku świec. Mniemał bowiem, że wieczór jest śmierci zwiastunem...

Korlholz bardziej wsłuchiwał się w barwę jej głosu, niemal ją widział (łagodne pastele), natomiast sens przemowy mu umykał. Młodzikowi przytrafiła się zatem przygoda podobna tej z kaligrafią.

– ...obiegał, że mnie namaluje – gadała dziewczyna – ale za lat pięćdziesiąt. Powiedział tak, choć sam był już starcem. Jakby jego nie dotyczyły prawa przemijania, jakby stał ponad naturą, ponad śmiercią, bo był przecie portrecistą wieczorów żywota...

Ruszyli powoli ulicami wyludnionego miasta, zostawiając za sobą zgiełk zabawy i całą resztę świata, z wyjątkiem Gardosa rzecz jasna, który – ukryty w cieniu – podążał za nimi, jakby sam był cieniem.

Wreszcie nadszedł czas wyznań, bowiem Korlholz wyraźnie czuł, że chwila jeszcze, ledwie ziarno piasku, i serce z piersi mu wyskoczy, by samodzielnie przemierzać kontynenty w poszukiwaniu spełnienia.

– Kim jesteś, pani? – zapytał.

– Liściem – odparła – przez wiatr porwanym. Gwiazdą z nieba upadłą. Kołyską bez dziecięcia. Koroną bez głowy...

– Zatem?

– Kobieta? – zadrwiła.

– Bez imienia?

– Och, mam imię. Jam Weni z zacnego Wenterów rodu.

Korlholz poczuł, jak niebo na głowę mu spada kaskadą bardzo ciężkich gwiazd.

– Zacnego Wenterów rodu... – powtórzył bezwiednie. – Przeklętego Wenterów rodu!

– Dla... – nie dokończyła. – Nie... Ty nie możesz być...

– Mężczyzną?

– Korlholzem?! Nieszczęście! – krzyknęła i pobiegła w noc.

Powiadają, że nieszczęścia chodzą parami. Czasem są to pary ludzi.

Mijały miesiące, a w tym czasie Korlholz zmieniał się na gorsze. Zbladł, schudł, szedł jakby – tak mocno trawiły go od wewnątrz sprzeczne uczucia. Nikt prócz Gardosa, co grobowo milczał, nie znał Korlholzowej tajemnicy. Wreszcie stary sługa nie wytrzymał cierpień młodego Korlholza i zaofiarował prostodusznie i z głębi serca, że zamorduje Weni, a całą robotę zakończy odwieczny grabarz miłości – zapomnienie.

Wtedy Korlholz, tytanicznie wysiliwszy umysł, zadał Gardosowi pytanie, które miało mu towarzyszyć przez resztę życia:

– Czy czełek może się zmienić i siłą woli wykastrować z siebie istotę własnej natury?

Gardos nic na to nie odrzekł, ale zaraz pojął, że sprawa poważniejszą jest, niż początkowo mniemał. Postanowił nie dopuścić do dalszej utraty wagi przez młodzieńca ani do gwałtownego zapadania się jego błękitnych oczu w pogłębiające się wąwozy oczodołów, ni czernienia oblicza, co wiadomym jest znakiem podobnych procesów zachodzących w duszy. Zatem taki plan Gardos obmyślił: młodzik list miał napisać tajemny a miłosny, stary sługa natomiast wykorzysta dawną znajomość z piastunką Wenterowych Mgnień; ta z kolei dostarczy pismo pięknej Weni. Jak postanowili, tak też uczynili.

Korlholz w udręce ducha pisał dwa dni i tyleż nocy, bardziej dbając o estetykę stawianych liter niż o treść listu. Zatem zdumiona Weni przeczytała, że umysł młodzika wygotuje się niczym kasza, a serce na przestrzał przebije piersi, by siłą miłosnego ciągu przedzierać się przez gleby i skały aż na samo dno piekieł – mimo że piekło dna nie ma. A duszy to Korlholz zgoła całkiem już nie posiada, bo wyparowała w wysokiej temperaturze miłości. Młodzieniec w słowach tyleż uprzejmych, co formułowanych ze wzgardą dla reguł gramatyki obiecywał solennie, że jego organizm osiągnie niechybnie stan wyżej opisany, jeśli Weni nie wyrazi zgody na spotkanie.

Gardos zorganizował schadzkę w pewnej wynajętej w Kelnor norze. Miejsce okazało się obskurne, a nędza trwożliwie wyzierała tam z każdego kąta. Młodzi jednak tego nie widzieli, ponieważ w ogóle niczego nie widzieli, jeno siebie wzajem. Stąd liczne ich kontuzje powstałe wskutek zderzeń ze ścianami oraz sprzętami domowego użytku, a także pajęczyny wplątane we włosy.

Pierwsze spotkanie zaczęli od wyznania wzajemnej nienawiści, by już po chwili oddawać się zapamiętanej miłości. Spotykali się nieregularnie, by tropy mylić; często w przebraniu, zawsze incognito. Rychło stał się Korlholz wybitnym i jedynym znawcą geografii ciała Weni, a miał także kartograficzne ambicje. Pracowicie kaligrafował w pamięci jej mapę, na którą nanosił cielesne zbocza, doliny i lasy, gdzie zapuszczał się z odwagą zdobywcy nowych lądów.

Lecz stało się, co stać się musiało – intryga wyszła na jaw. Zdarzyło się, że gościł na zamku

Wenterów odległy ich krewny, figura nieciekawa i nieco szpotawa: niejaki Redrak. Powiadano, iż szpetota jego charakteru odbijała się piętnem na wyglądzie – i coś w tym było z prawdy. Redrak był prostym człekiem. Jego dusza w całości składała się z potrzeb, a niektóre z nich urastały do rangi żądz. Żądze zaspokajac był zmuszony, bo inaczej niechybnie spłonąłby na wewnętrznym stosie samoudręki. Uroda Weni, czyli siódmego z Mgnień, olśniła go natychmiast z potworną mocą. Redrak jął czesać się na bok i kwiaty zbierać po ogrodach, co było u niego oznaką chorobliwej fascynacji. Weni za nic miała jego konkury – przedziałek na nieforemny łbie wyśmiała, prychała ze wzgardą na dobór kwiecica w bukietach, rzekomo niefortunny kolorystycznie.

Redrak, poruszający się pod niesłychanym kątem nachylenia tułowia względem powierzchni ziemi – tak, że obserwatorom zdawało się, iż za chwilę opadnie na dłonie i pocznie galopować na czterech kończynach – był jedyną osobą zdumioną niepowodzeniem swych uwodzicielskich prób. Jął zatem śledzić poczynania Weni, a gdy odkrył jej tajemnicę, nie rzekł słowa staremu Wenterowi. Sam postanowił zastawić pułapkę, a Korlholza ubić. Czterech najętych przez Redraka zbirów zasadziło się na młodego kochanka, a każdy dla pewności ostrze miecza zanurzył w truciźnie. Nie wzięli w swych rachubach pod uwagę Gardosa, który krążył zaułkami wokół miejsca schadzek i na wszystko miał baczenie. Obwiesie zachowywali się nierozważnie – stary ujrzał ich cienie, usłyszał podniecone szepty. Zaraz też natarł na nich odważnie, jakby armią był w jednej osobie. Niegdyś uważano go za mistrza, lecz dobre lata miał za sobą. Dwóch wprawdzie położył od razu, z zaskoczenia i bruk zaczerwienił się w księżycowym blasku, ale trzeci ciął paskudnie starego przez rękę. Gardos przerzucił miecz do lewej dłoni, którą władał z równą swobodą, i rozplątał przeciwnikowi czaszkę. Z ostatnim fechtował czas jakiś, jakby ćwicząc pchnięcia i wypady, by wreszcie z niewymuszoną gracją broń mu wyłuskać, a ostrze miecza do gardła przyłożyć.

– Mów kto, nędzniku, a życie daruję! – warknął Gardos.

– Redrak... – wycharczał najemnik.

– Życie twe Bogu darowuję. – Gardos przebił obwiesiowi gardło.

Gdy Korlholz, nieco zmęczony siłą żywionych uczuć, wyszedł na zewnątrz, by odetchnąć wieczornym powietrzem i sprawdzić, czy księżyc jest na swoim miejscu, ujrzał niecodzienny widok. Na bruku poniewierały się stygnące trupy, a w środku tak utworzonego kręgu stał na drżących nogach Gardos, ciężko opierający się na mieczu, na którego ostrzu zastygał szkarłat. Trucizna siała już spustoszenie w woli życia starca, ciężko oddychał i tracił świadomość. Zdawało mu się, że znów jest młody i morduje Wenterów w rodowych wojnach, więc drapieżny uśmiech rozszerzył mu oblicze. Trzy ziarna piasku przed śmiercią odzyskał świadomość i wyszeptał imię Redraka.

Korlholz nie poddał się rozpacz, mimo że kochał starca jak drugiego ojca. Zapałał za to nową namiętnością – zemsta paliła go wewnętrznym żarem. Była to natura skłonna do popadania w skrajności; stany pośrednie duszy miał za nic.

Redrak przezornie nie opuszczał murów Wenterowego zamku. O dziwo, stary Wenter nie wyrzekł się córki, choć szesnaście miał innych.

Długo czekał młodzik na odpowiednią okazję i ta w końcu nadeszła. Na corocznym święcie ogólnej ugody pogodził Redraka z jego rosnącymi potrzebami, łamiąc tym samym starą tradycję nietykalności.

Nastał czas rzezi i niepokoju. Senior Korlholzowego rodu zaniemógł nagle i zmarł. Wówczas jego syn, trawiony nienawiścią i niespełnioną miłością, poprowadził wojnę podjazdową z zaciekłością niespotykaną w poprzednich pokoleniach. Okolica wyludniała się w rosnącym tempie, zbrodnia zbrodnię goniła, łuny pożarów co noc raniły niebo, aż wydawało się, że pozostawia na nim trwałe blizny.

Któregoś jesiennego dnia Korlholz otrzymał list tajemny, a jego autorką była Weni. Młodzieńca zdumiała pospolitość charakteru jej pisma, dopiero potem zainteresował się treścią. Okazało się, że Weni żyć nie potrafi z mordercą kuzyna, bo to nie uchodzi. Nie może również żyć bez Korlholza, zatem nie może żyć wcale.

Nastąpiła ożywiona wymiana korespondencji. Korlholzowi też źle się żyło bez Weni, więc postanowili zgodnie przedwcześnie zakończyć żywoty. Truciznę zorganizować miała Weni, zaś wieczór ich żywotów (Weni przypomniała metaforę śmierci starego malarza) dokona się w miejscu schadzek. Ustalili też datę.

Jednak w przeddzień tak dokładnie zaplanowanej śmierci wydarzyło się coś niespodziewanego. Korlholz otrzymał list, którego autorką nie była Weni. Ledwo złamał pieczęć i rozwinął rulon, zaraz ciemność stanęła mu przed oczami, a sam z trudem utrzymał się na nogach dotkniętych gwałtownym rezonansem – tak porażająca była doskonałość formalna pisma. Korlholz, choć znał się na rzeczy, nigdy nie widział porównywalnego arcydzieła kaligrafii, kunsztu piśmienniczego w równie potwornym stężeniu, rafinady literniczych zawijasów o nieludzkiej wręcz opływowości. Autor listu zwracał się do Korlholza z niecierpliwą pogardą, nazywając go głupcem i ślepcem impregnowanym na oczywiste prawdy. Ostrzegał przed Wenterową córą, albowiem Weni miała być bronią ostateczną przeciw rodowi Korlholzów. Od dziecka po to ją jakoby chowano i szkolono, by młodzika zgubić, jej nauczycielkami były autorytety pośród kurtyzan tego świata, znawczynie etykiety, miłosnej retoryki i płaczki, które uczyły Weni ronić łzy na zawołanie. W tym miejscu następowała wyraźna zmiana tonu listu i nieznaną anonim po przyjacielsku radził (a jak zapewniał, przyjaciół Korlholza cały jest Legion), by młodzieniec podmienił fiołki z trucizną, a wówczas dopiero przekona się o prawdziwych intencjach kochanki: jeśli szczerze, oboje umrą szczęśliwie, jeśli nie – Korlholz

pechowo przeżyje. Wszystkim nieszczęściom, jak utrzymywał nieznajomy, winna była miłość; przez miłość do Korlholza zginął Gardos, od miłości spór rodowy wziął swój początek, z powodu miłości do ojca wreszcie Weni posunęła się do straszliwej zdrady. Powiadają, że Bóg jest miłością, kończył swe miłosne wywody nieznanym korespondentem. Obiecał, że w następnym liście poda receptę na likwidację wszechświatowej miłości – ku ogólnemu pożytkowi, rzecz jasna. Na fundamentalne pytanie Korlholza o zmienność ludzkiej natury, anonim twierdzącą dał odpowiedź: Człek może się zmienić. Na tym pieskim świecie bywa to jego psim obowiązkiem.

Podpisu nie było.

Korlholz zrazu nie chciał uwierzyć w epistolarnie insynuacje, lecz doskonałość zapisu zasiała w nim ziarno wątpliwości. Trapiiony wyrzutami, co miały przerzuty i magicznie odradzały się w coraz to nowych postaciach, nieco spóźnił się na własną śmierć.

Weni już na niego czekała; jej podkrążone oczy obficie roniły łzy, ale Korlholz przypomniał sobie fragment z listu o płaczkach i wzdrygnął się wewnętrznie. Dziewczyna podała mu fiołkę, sobie zatrzymując inną. W świadomości młodzika walczyły ze sobą zacięcie dwie skończone doskonałości: oślepiająca uroda Weni z obezwładniającą rafinadą formalną anonimowego pisma, opływowe kształty piersi kochanki z geometrią liter stawianych dłonią genialną i nieomylną. Wreszcie zdecydował. Z mocą przytulił do siebie ukochaną, aż żebra jej zatrzęszczały od serdeczności uścisku, i, niby to na pożegnanie, pocałował ją z taką zapalczywością, że wytrącił jej z dłoni fiołkę; potem zręcznie podmienił naczynia. Czuł się podle.

– Żegnaj – powiedziała Weni i wychyliła zawartość swej fiołki.

Czy w jej głosie był fałsz?

– Spotkamy się w lepszym świecie – rzekł Korlholz i wypił.

Jednak ich spotkanie zostało odłożone. Weni skonała w ramionach Korlholza, on zaś wciąż żył, choć wszystko w nim umierało. Najpierw miłość. Drugim trupem była młodość.

Od tej pory postanowił krew studzić, nikomu w drogę nie wchodzić, pilnować własnych spraw. Porzucił rodowe włości bez żalu i ruszył w świat.

Wenter triumfował, lecz triumf jego był krótki. Jego koszmarne sen ziścił się – córki płodziły wyłącznie dziewczynki, jakby ich łona obłożone były kłębami. Po dziewiątych takich urodzinach Wenter doznał pomieszania zmysłów; wkrótce umarł.

Korlholzowi tłukły się po łbie urywki z anonimowego listu: pieski świat, psi obowiązek. Potraktował to jak cenne wskazówki i został Psem. Przybrał imię Chormiel, co w psiej mowie znaczy „Kochanek Fortuny”. W naukach nie był zbyt biegły, wspaniale za to kaligrafował i wnet zatrudniono go do przepisywania ksiąg wiedzy tajemnej. Okazało się, że ma talent do posługiwania się Magią Gestu, gdzie nieodzowna jest zręczność dłoni.

Całymi latami czekał na obiecany list i doczekał się. Była w nim przybliżona data i miejsce narodzin Głosu Boga.

– Bóg jest miłością – szepnął do siebie Chormiel. – Trzeba zabić tę miłość.

Podróż trwała długo, lecz przybył do Barden na czas. Gdy na miejscu spotkał dwa inne Psy – Zaarbalt i Perkaca – zrozumiał, że cel ich wizyty tożsamy jest z jego zamiarami. Nie przeszkadzało mu to, wręcz przeciwnie – w końcu dobrze jest połączyć siły, by dokonać dzieła trzebieńia miłości.

W lupanarze, w którym – na skutek tłoku w gospodach – zatrzymali się wszyscy trzej, mieszkała dziewczka, która niedawno powiła syna. Na imię miała Kroni i urodą, a nawet gestykulacją i głosem (który niejasno coś obiecywał) bardzo przypominała Chormielowi Weni. Jego piękną Weni. Nie spodziewał się, że wspomnienia i dawne uczucia odżyją w nim z tak potworną siłą. Kroni, którą sterowała nieomylna intuicja, zwróciła się o pomoc właśnie do niego. Pragnęła uciec z Barden; w mieście właśnie zaczęły się niepokoje, siepacze księcia Sorma masowo mordowali dopiero co narodzonych chłopców. W odpowiedzi dał jej garść srebrnych monet; ten gest zdawał się nie kłócić z wyznawaną przez niego zasadą nieingerencji.

Jednak pamiętnego wieczoru, gdy trzy Psy przy jednym zasiadły stole, by popijać wino i gadać w psiej mowie, Chormiel co jakiś czas wracał myślami do Kroni. Opoдал męczył się twórczo poeta Dolsilwa. Chormielowi starczał rzut oka na niechlujne liternictwo artysty, by zawyrokować o nędzy jego poezji. Rozmowa z podstępny Psem Perkacem (Zaarbalt wydawał się być nieobecny myślami i chory) zajmowała Chormiela częściowo, ponieważ nieustannie dręczył go stary dylemat o zmienności człeczej kondycji. Do niedawna sądził, że dylemat rozstrzygnięty – teraz nie miał takiej pewności. I kiedy do lupanaru wraz z jesiennym chłodem wtargnęli najemnicy Sorma, Chormiel w jednej chwili rozstrzygnął dylemat.

Zaarbalt upadł nagle, tocząc z ust pianę – najpewniej otruty. Chormiel pojął, że Perkac ich podszedł, że czasu zostało mu niewiele, a musiał – tak, musiał! – pomóc Kroni. Oślepił wszystkich obecnych gestem Zii, a potem pobiegł schodami na piętro, tropem młodego najemnika. Zaczynał odczuwać działanie trucizny, świat wirował mu przed oczami w takt niesłyszalnej muzyki. Zaarbalt usłyszał za to wołanie Kroni, a w jej głosie, jej obiecującym głosie był strach. I błaganie.

– Nie! – krzyczała. – Oszczędź!

Wówczas Pies ujrzał, choć wzrok mu się mącił, miecz wzniesiony do ciosu; wówczas rzucił się ostatkiem sił, resztą energii gasnącego w nim życia, by zasłonić dziewczkę własnym ciałem.

Nie poczuł nawet chłodu ostrza i nie zobaczył, jak Kroni sztyletem tnie najemnika w twarz; potem złapała niewielkie zawiniątko, w którym musiał być jej synek, i zbiegła na dół – miała jeszcze trochę czasu. Chormiel nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że właśnie uratował życie chłopcu, który w przyszłości okaże się największym ze zdrajców. Ale czy świadomość tego faktu cokolwiek by zmieniła?

Pies, dogorywając, zastanawiał się, co też wykończy go wcześniej: upływ krwi czy jady

trucizny? Potem przypomniał sobie opowieść Weni o owym malarzu, który wieczorami portretował śmierć.

Tak, pomyślał Chormiel, wieczór to dobra pora na umieranie.

Tuż przed śmiercią ujrzał Weni, która przyszła wreszcie na umówione spotkanie.

– Weni – szepnął. – Piękna, zdradziecka Weni.

Skonał, kochając.

Jeszcze kilka ziaren piasku i śmierć Perkaca zadana mieczem Jagona dopełnić miała Wieczór Trzech Psów.

Kiedy najemnicy opuścili lupanar, Dolsilwa, nie zważając na psie trupy, jął ostrzyć nowe pióro. Niestety, wciąż cierpiał na niedostatek rymów.

I dobrych tematów.

Jedna trzydziesta szósta

*O duszo moja, nie zmierzaj do
nieśmiertelnego życia, lecz aż do
końca zbadaj obszar możliwego.*

Pindar, *Epinika*

To nie moje oczy – pomyślał Rozenkrontz.

Myśl była nedorzeczna, bo widział dobrze. Zbyt dobrze? Tak. Wszystko jawiło mu się wyostrzone, kontury rzeczy były jak miecze z daletańskiej stali, kolory jaskrawe niczym łgarstwa dziewczek o dozgonnej miłości. Rozenkrontz zapragnął dotknąć tych dziwnych narzędzi oglądu świata, lecz zachcianka okazała się niewykonalna. Nie czuł swych dłoni, nie czuł ciała, nie dochodziły doń zapachy, nawet dźwięki, nie wprawiał w ruch członków! Jakby ktoś uwięził jego duszę w skorupie cudzego cielska. Bez możliwości apelacji.

Rozenkrontz chciał krzyknąć. Lecz nie mógł.

Dopiero teraz jął z uwagą przyglądać się otaczającej go rzeczywistości. Choć i tu napotkał trudności, bowiem nie mógł sterować szyją ani naprowadzać wzroku na intrygujące go przedmioty. Kto inny wodził tym cielskiem i wyglądało na to, że zamierza swą materialną manifestację na tym łez padole ukryć przed wzrokiem postronnych, przebiegał bowiem opłótkami w pozycji przygarbionej, z czujnym spojrzeniem rzucanym w różnych kierunkach świata – jakby zewsząd spodziewał się napaści. Rozenkrontz słyszał o takich dolegliwościach duszy – chory podejrzewał o spiski przeciw sobie wszystkich i wszystko, bywało, że nawet meblom przypisywał złośliwość.

Że też musiałem się wpakować w cielsko jakiego przygłupa, przyszło mu na myśl.

Wpakować, ale jak? I w celu jakim? Myślenie nie prowadziło Rozenkrontza ku dobremu, postanowił zatem jeno patrzeć. Okolica nie była mu znana; ot, zapuszczona osada, być może południowe rubieże Cesarstwa. Słońce właśnie wschodziło i podpalało niebo. Cielsko zarządzane przez nieznaną Rozenkrontzowi umysł wyraźnie kierowało się ku jednemu z domostw. Ostrożnie podbiegł ku oknu i zajrzał. Rozenkrontz wyraźnie zarejestrował zmianę ostrości widzenia – przedmioty bliższe rozmyły się, natomiast dalsze wyostrzyły. Gdy bywał – nagminnie przecie – we własnym ciele, takich zmian nie dostrzegał; wszystko przebiegało tam niepostrzeżenie.

Po chwili napierał ramieniem na drzwi. Dopiero teraz, przez mgnienie oka Rozenkrontz dostrzegł, że nieznanomy dzierży w dłoniach narzędzia – pałkę i jakowyś szpikulec. Zaniepokoiło go to – oto znalazł się w cielsku jednego z tych, których przez żywot swój bez wytchnienia tropił: złoczyńcy, oprycha, złodzieja! Albo i co jeszcze gorszego...

W izbie było ciasno i mroczno. Przybysz rozglądał się wokół wyraźnie spięty, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Nagle ktoś zerwał się z łoża i ruszył w kierunku Rozenkrontza, a raczej ciała, w którym ów był uwięziony. Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie – doskok, krótki cios pałką i gospodarz zmiękł jak wosk. Napastnik (Rozenkrontz przez chwilę zastanawiał się, czy nie będzie sądzony za współudział w zbrodni) podniósł bezwładne ciało. Przez chwilę ważył w ręce ów szpikulec, przypatrując się narzędziu jakby w zadumie. Rozenkrontz dostrzegł, że w dłoni zbrodniarza brak małego palca. Po chwili napastnik pochylił się nad nieprzytomnym mężczyzną i jednym płynnym ruchem wyłupał mu oko. Rozenkrontz zawył. Niejedno w życiu widział i o niejednym słyszał, a jednak chciał odwrócić wzrok, chciał móc nie widzieć. Ale musiał patrzeć. Zaraz drugie oko podzieliło los pierwszego. Potem napastnik sięgnął do lewego ucha ofiary i wtedy...

Wtedy Rozenkrontz poczuł, jak jego więź z nieznanym ciałem słabnie. Po chwili zagłębił się w czymś na kształt wiru, a co wirem jednak nie było. To coś wysssało z niego świadomość. I wyekspediowało. Z powrotem.

Obudził się z duszą na ramieniu; ktoś albo może coś gramoliło się w izbie obok tam i siam, bez wdzięku, za to z akompaniamentem dźwięków iście potwornych. Naczynia dramatycznie protestowały, ciecze (nieliczne przecie, o ile dobrze zapamiętał ostatnią noc) chlupotały. Rozenkrontz pomyślał, a myśli miał cięższe od młyńskich kamieni, że to musi być niewątpliwie niedźwiedź. Szybko się zreflektował – toż przecie mieszka w mieście. To widać. Słysząc. Niekiedy nawet czuć. Niedźwiedzie nie zapuszczają się na miejskie tereny z powodu szczątkowego instynktu przetrwania, co wciąż się w nich tli i nie pozwala na gatunkową hekatombę.

Druga myśl zaniepokoiła Rozenkrontza nieco bardziej niż pierwsza. Wymyślił mianowicie, że to nie niedźwiedź. Że może to być poeta Dolsilwa.

Po drodze do nawiedzonej izby w stratowanej wczorajszym pijaństwie głowie Rozenkrontza wylęgły się wspomnienia niedawnego snu. Zdumiewająca była jego realność. Ale znacznie bardziej zdumiewał sam fakt zaistnienia snu. – Rozenkrontz nigdy do tej pory nie śnił. Ani razu. Przez całe życie.

To rzeczywiście był Dolsilwa; poruszał się z męczącą zwiewnością. Rozenkrontzowi zdawało się, że poeta wszędzie jest, wbrew wszelkim zasadom szczelnie wypełniając swą wątłą postacią obszerne przecie pomieszczenie; innym znów razem, że Dolsilwy zgoła nigdzie nie ma, a ledwo widoczna obecność ma w sobie coś niematerialnego, zjawiskowego. Podobną energią wykazywał się artysta w trzech jeno razach – gdy o baby szło, poezję albo żarcie. Metodą żmudnej dedukcji Rozenkrontz wyeliminował dwie pierwsze ewentualności.

– Znów gadałeś przez sen – zagał Dolsilwa.

Nie widzieli się od trzech lat.

– Słuchałeś? – Rozenkrontz ziewnął rozdzierająco.

– Życie mi nie obrzydło.

– Co cię tu sprowadza?

– Muzy. Przeznaczenie. Bardenkie dziewczki. Zważ, Rozenkrontzu, że wszystkie te kategorie mogą w istocie okazać się jedną.

– Źle się czuję, kiedy zaczynasz filozofować, Dolsilwa.

– Pusto tu u ciebie, Rozenkrontz. – Dolsilwa przezornie zmienił temat, ale nie była to zmiana szczęśliwa. – Brudno. Źarcie podłe. Muzy cię nie odwiedzają. Nie ma kto sprzątać.

– Szkoda dziewczek. Jeszcze bym której śmierć przepowiedział...

– Albo że zbrzydnie.

– Tak. To by ją mogło zabić.

Dolsilwa roześmiał się i oblizał paluchy z tłuszczu. Potem z namaszczeniem przyglądał rude wąsiska, dość obrzydliwie prezentujące się na jego bladej twarzy.

– Dawniej nie miewałeś wąsów – zauważył przytomnie, choć późno gospodarz.

– Bo nie wiedziałem, że wzmagają natchnienie.

– Muzy? – domyślił się Rozenkrontz.

– Właśnie. Bez muzy życie poważnie traci na wartości. A ja liczę na zyski. – Poetę ogarnęła nostalgia, lecz był to przejściowy stan ducha. – W Barden trochę się zmieniło. Na niekorzyść. Klimat...

– Tak. Te piekielne deszcze...

– Nie o tym mówię. Idzie mi o klimat... moralny. Barden zawsze było przychylnie dziwakom i innowiercom. A teraz...

– Cóż teraz? – zdziwił się Rozenkrontz. Nie pamiętał wprawdzie, by jego miasto rodzinne odznaczało się kiedykolwiek szczególną przychylnością dla kogokolwiek. Ale nie odznaczało się również szczególną nieprzychylnością.

– Ludzie się burzą, Rozenkrontz. Chodzą jakieś ploty o tych dziwakach, co sobie wycinają ozory, by zjednoczyć się z Bogiem Milczącym. To się może zakończyć rzezią.

– Jak zawsze przesadzasz.

– Może i masz rację. Wiesz co, Rozenkrontzu? Opowiem ci historię.

– Byle nie tę o trzech Psach. Za każdym razem zmieniasz zakończenie. Bokiem już mi wychodzi.

– Psom też wyszło. Opowiem inną. Zakończenia jeszcze nie znam...

– Powiedz lepiej, że nie wymyśliłeś jeszcze zakończenia – poprawił poetę Rozenkrontz.

– To nie jest moja historia. Ktoś mi ją opowiedział. Może dziś jeszcze poznam zakończenie.

– Powiedz lepiej, z czego żyjesz. I nie licz na pożyczkę...

– Sława... – westchnął poeta i zerknął w dal niedosiężną, choć wzrok musiał mu się zatrzymać najdalej na stropie. – Znasz tę nową gospodę? – dziwna architektura, jakieś owale, łuki... Jakby żywcem z Hongh przeniesiona...

– Ta bez nazwy?

– I w tym rzecz, Rozenkrontzu. Właściciel o mnie słyszał i zaproponował, bym wymyślił nazwę. Bracie! Wikt, opierunek, niemało muz w różnym wieku, choć ich jakość to już sromota... Ale ja nie o tym. To chcesz usłyszeć historię czy nie?

– Nie.

NIEDOKOŃCZONA OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Jak wiesz, drogi Rozenkrontzu, nie było mnie w Barden od dawna, od czasu historii z Psami trzema, w którą nigdy nie chciałeś dać wiary. Com w tym czasie przeszedł, choćby na dworze księcia Yorsika, okrutnika, a przy tym bezbożnika, to zupełnie inna historia, której nie omieszka ci opowiedzieć, jeśli opowieść podlejesz gorzałką. Albowiem opowieści nie podlewane schną i więdną, o czym wiedzą najlepsi poeci, a nawet trubadurzy. Ów Yorsik ziarno siał, lecz nie zbierał zniw i mniemał, że to gleba jałowa. Czekał potomka jak zmiłowania, boć za wszelką cenę pragnął zeń uczynić potwora na własne podobieństwo. To stała cecha potworów – chca pienią swą potworność. Apostołowie dobrych uczynków nie mają takich inklinacyj, rzadko przedłużają swą szlachetność na kolejne pokolenia – dlatego więcej na świecie zła niż dobra. Tymczasem wino była po stronie ziarna. Stare legendy Północy głoszą, jakoby kobiecą bezpłodność dobrze leczy okładanie łona tartą marchwią w połączeniu z poetyckimi strofami sączonymi jak miód w ucho dziewczki głosem jak najbardziej aksamitnym. Takoz wyleczyłem nałożnicę księcia, choć nie głosu aksamitem, ani nawet poetyckim gaworzeniem. A i marchew niezbyt się przydała. Nadto przyczyniłem się do poprawy kondycji ludzkości, bowiem potomek księcia Yorsika nie monstrum może się okazać, lecz poczciwcem o niemałych talentach. No nie krzyw pyska, Rozenkrontz, już wyzbywam się wszelakich dygresyj i natychmiast przechodzę do istoty opowieści. W Barden zatrzymałem się w nowej gospodzie, gdzie dostał propozycję, o której już wiesz. Aleć napotkałem tam pewnego ponuraka, z którego złoto spływało kaskadami, jakby był wodo... a raczej złotospadem. Jakoś mi przyszło do łba, że go łacnie ogram w kości czy inną hazardową grę. Rozumowanie proste było: jak człek ponury – znaczy, że go pech prześladowuje. Prawie się nie omyliłem, pech zaiste biedaka prześladował, jednakoż innego, niżem mniemał, rodzaju. Dość, że ograł mnie w kości do cna, alem go chyba rozweselił chwilowo swym wrodzonym rezonem i dowcipem, bo przegraną darował, a nawet dzban wina postawił. Jąłem mu w podzięce opowiadać historyje przedziwne a prawdziwe z różnych stron świata, lecz

w zdumienie nijak nie potrafiłem go wprowadzić. Jego zainteresowanie też było krótkie – ot, ledwo kilka ziaren piachu w klepsydrze. Niby słuchał, ale zaraz popadał w melancholię czarną jak dusza Psa. Ni opowieść o trzyletnim chłopcu, co wiódł z mędrkami dysputy jak równy z równymi i który rzekł im, że ostatni będą pierwszymi, ni historia trzech Psów, ani nawet ta o cierpieniu hrabiego Mortena nie wybiły go z obojętności. Wyglądał na człeka, co sto życiorysów przeżył, a w każdym z nich – tysiąc awantur wartych pamięci. Poirytowany, wyzwiałem go, by stanął w imaginacyjne szranki i opowiedział historię od mych ciekawszą, a dobrze by było, żeby prawdziwą. Na to z nagłym błyskiem w siwym oku odrzekł, że opowie własny życiorys...

Rozenkrontz ziewnął z ostentacją, na co Dolsilwa zachnął się, a policzki poczerwieniały mu z taką intensywnością, jakby za chwilę poeta miał eksplodować. Nic jednak nie rzekł na Rozenkrontzową obojętność, jeno przeszedł do rzeczy. Czyli opowieści.

Człek ów wprawdzie młodo wyglądał, lecz oczy zdradzały doświadczenie, jakiego nie da się nabyć w nikłym żywocie. Znużenie biło z niego, i to nawet wtedy, gdy obrzucał spojrzeniem obsługujące nas muzy, zwiewne niczym poetyckie strofy. Podczas gdy mnie chciało się przez te zmaterializowane w ciężkim powietrzu gospody istoty, nadprzyrodzonej bez dwu zdań proweniencji, gardłować z właściwym mi wyrafinowaniem frazy. I tu, Rozenkrontzu, dziwna rzecz – muzy wcale zgoła mnie nie dostrzegały. Wszystkie wgapiały się w mego nieznajomka, jakby bóstwem był, a nie ponurakiem. Rysy miał wprawdzie ostre jak miecz, nos orli, brwi gęste, w płowych włosach dyskretne siwe kosmyki, co mu dodawało szyku. Wysoki, postawny jak wieża, gadał ze znużonym wykwintem; widać, że w szerokim świecie bywały.

Pomyślałem, że winien być poetą, skoro muzy tak mu się u stóp ścielą kobiercem wiecznych pożądań. Nieźle powiedziane, co, Rozenkrontzu? Ale on był szlachetką jeno; godło Śledź Bez Łusek zapewne niewiele ci powie. Niby opowieść jak wiele innych – młody człek zaprzątnięty niedorzeczną myślą o uzdrawianiu świata nie przyjmuje do wiadomości, że choroba jest nieuleczalna. Dopiero nieszczęśliwa miłość budzi w nim niechęć do uczuć wyższych, a także do wyżej zorganizowanych organizmów, szczególnie już ludzi. Dla mnie to śmieszne, lecz on musiał być przyzwyczajony do uległości muz. Kiedy jedna odmawia mu wdzięków, młodzian wietrzy w tym spisek wszechświatowych sił przeciw niemu skierowany. Zdrowe samolubstwo przeistacza się w beczucie zupełne. Szlachcic postanawia szerzyć zło, a w tym celu pragnie duszę diabłu sprzedać w zamian za korzyści doraźne. Dusza bowiem to pusty pieniądz, materia się liczy, to, co dotykalne, a do żywego nie dotyka, to, co mierzalne, a nie przebiera miarki, to, co cielesne, bo dusza jest duszna. Moim skromnym zdaniem, można taki efekt osiągnąć i bez piekielnych interwencji, lecz nieznajomy należał do rzadkiego gatunku ludzi o potwornych zachciankach, które wysiłkiem żelaznej woli realizowali bez umiaru i w całości...

Nieoczekiwany łomot przerwał Dolsilwie monolog – ku uldze Rozenkrontza ktoś dobijał się do drzwi.

– Kogo tam diabli niosą? – warknął Dolsilwa, zły, bo bardziej od samego siebie kochał tylko własną frazę.

Rozenkrontz otworzył.

Niespodziany gość okazał się roslym mężczyzną; oblicze skrywał w cieniu kaptura przytroczonego do płaszcza czarnego jak noc. Wraz z obcym do izby wdarł się chłód późnej jesieni, jednak Dolsilwie zdało się, że chłód nie aury jest atrybutem, lecz przybysza.

Poeta wzdrygnął się i wyszedł bez pożegnania.

– Wina? – zagadnął Rozenkrontz.

– Chętnie – odparł gość i zdjął płaszcz. Zaiste, nosił się z czarna aż do przesady, bo wszystko zdawało się w nim przynajmniej ciemne (pewnie myśli też, wysnuł refleksję Rozenkrontz). Natura nie oszczędziła mu czerni włosów ni smagłości cery. Oczy – czarne – wydawały się głębokie jak piekło. Rozenkrontz złapał się na niedorzecznej myśli, że czerń karnacji nie była u przybysza przypadkiem. Że to wybór. W pełni świadomy wybór.

– Pan Rozenkrontz? Nie mylę się?

– Do usług. – Rozenkrontz dostrzegł, że płaszcz gościa jest suchy jak popioły Szarej Pustyni, choć od wielu dni padał deszcz. – Pieska pogoda...

– Zaiste, nie dla ludzi to aura – westchnął gość, po czym umoczył usta w winie, skrzywił się boleśnie, ale przełknął.

Rozenkrontz, zdumiony, spostrzegł, że płaszcz nieznajomego jest jednak mokry, a nawet wokół miejsca, w którym stał, rosła aureola deszczówki. Na tym nie koniec fenomenów – kielich gościa był już pusty, choć Rozenkrontz dałby sobie łeb ściąć, że przybysz ledwo zamoczył usta.

– Co cię sprowadza w me skromne progi, panie? – Pokazał krzesło i zasiedli.

– Twe talenta, panie Rozenkrontz. Progi skromne masz w istocie, aleś bogaty w zdolności. Głośno o nich w całym Cesarstwie.

– Zbytek łaski...

– Zbyteczna skromność.

– Mam kogoś odszukać? – domyślił się gospodarz.

– O, tak – w głosie nieznajomego pobrzmiwała kpina. Nie było jednak jasne, z czego lub kogo kpi. Rozenkrontz uznał, że obcy kpi z niego, chyba, że była to kpina ogólniejszego rodzaju – ze świata, stosunków międzyludzkich albo gatunków win spotykanych na terenie Cesarstwa Lechandyjskiego. – Masz pan rację, Rozenkrontz, Co do tego deszczu: jestem w Barden od niedawna, ale słyszę, że niebo pluje tu wodą od tygodnia. Owe... niebiańskie plwociny mogą naruszyć domy, zalać piwnice, zniszczyć... gościńce. Powiadają, że kamienista droga z ulicy Górnej może się lada moment obsunąć...

– Przybyłeś tu, panie – przerwał Rozenkrontz niecierpliwie – uciąć sobie ze mną miłą pogawędkę.

– Bynajmniej, Rozenkrontz. Rozmowa nie będzie miła. Krew mnie tu przywiodła. Nadto ból i zębów zgrzytanie, że nie wspomnę o znoju. Ktoś zadaje ludziom bezprzykładne cierpienia. Pozbawia ich zmysłów, a nikt nie wie, dlaczego właściwie. Pragnąłbym, abyś dzięki swej legendarnej dociekliwości zrozumiał dlaczego. No i, oczywista, kto. Najważniejsze zaś – kto za tym wszystkim się kryje. Sprawca bowiem narzędziem jest, niczym więcej, niczym mniej. Gdy ustalisz, czyja jest idea tej odrażającej zbrodni, masz to rozgłosić wszem i wobec. To moje specjalne życzenie, Rozenkrontz.

– Kim jesteś? – We łbie Rozenkrontza, jak refren w kiepskim wierszydłe Dolsilwy, rezonowały słowa: „pozbawia zmysłów, pozbawia zmysłów, pozbawia...”

– Nikim ważnym. Stroskanym obywatelem. Niedługo w Barden pojawi się Sędzia zwabiony świeżą nowiną o zbrodniach. Cesarz bowiem równie mocno jak ja stroskany jest niewesołym losem swych poddanych. Pan wiesz, co to oznacza. Nie omylę się, jeśli powiem, że podzielasz mój brak wiary w skuteczność działania Sędziów. A szczególnie już jednego z nich...

– Kowenor... – szepnął Rozenkrontz.

– W pewnych kręgach zwany Kowenorem Krwawym. Choć bardziej znany jest pod mianem Kowenora Dziesiątnika, ponieważ dziesiątkuje populacje znajdujące się pod jego jurysdykcją. Panowie mieli, zdaje się, zwadę?

Rozenkrontz milczał.

Tajemniczy gość położył na stole zapieczętowany rulon.

– Tu znajdziesz pan znane szczegóły zbrodni. Niewiele tego, trzeba zatem będzie błysnąć inwencją, Rozenkrontz.

– Dlaczego mniemasz, cudzoziemcze, że dźwignę swój drogocenny tyłek, by wchodzić w drogę Kowenorowi, zwanemu Krwawym nie bez powodu?

Rozmówca Rozenkrontza uśmiechnął się zimno.

– Powody dwa są przynajmniej. Po pierwsze, wiesz, że Kowenor zrobi w Barden jatkę pośród ludzi najpewniej winnych Bogu ducha i niewiele więcej. A uczyni to, by w oczach miłościwie nam – a raczej – wam panującego Cesarza uchodzić za człeka czynu. Taka jego natura. Natomiast pan, Rozenkrontz, jako człek z natury poczciwy, a kto wie, czy nie szlachetny, nie dopuści do rozlewu krwi. Po drugie, posiadasz, drogi panie, kilka organów o znacznie bardziej żywotnym znaczeniu niż dupa. I, jako człek rozsądny, musisz o nie dbać.

– Uważam się za człeka umiarkowanie zadbanego.

– „Umiarkowanie” to odpowiednie słowo. Ale nie rozmawiamy o higienie. Natura twego... talentu jest mi znana. Nie dziw się, Rozenkrontz, mam swoje źródła wiadomości. Dobrego. I złego.

– Nie wiem, o czym mówisz, panie.

– Piętnaście lat temu po raz pierwszy i nie ostatni nie tyleś zasnął, co raczej zapadł w rodzaj

letargu, w otchłań bezświadomości, pustki. Jak zwał, tak zwał. Była to wszak twa jeno bezświadomość i twoja pustka. Kobiecie o imieniu Paola, z którą dzieliłeś łóżko, przepowiedziałeś śmierć dziecka, o istnieniu którego wiedzieć wówczas nie mogłeś. Dziecko było w łonie kobiety. Twoje dziecko, Rozenkrontz. Kobieta, przerażona i niewiele pojmująca, odeszła w dal siną. I ty zrazu niewiele pojąłeś. Dziecko rzeczywiście rozstało się z życiem tuż po tym, jak ujrzało świat, i wtedy dopiero dowiedziałeś się o jego istnieniu. Gdy już istnieć przestało. Życie ludzkie to źdźbło trawy... – Rozenkrontz słuchał tego w milczeniu. Twarz tężała mu w wyrazie z trudem udawanej obojętności. Gość tymczasem perorował głosem swobodnym, bez cienia żalu czy smutku, który mógłby się przecie okazać fałszywym. – Pomyślałeś zapewne, gdy cię odeszły pierwsze cierpienia i rozpacz, że to przypadek, traf ślepy jak szczenię. Ale to nie był traf. Historia powtarzała się – za każdym razem we śnie przepowiadałeś nieszczęście i za każdym razem sprawdzało się co do joty. Nie wiesz jeno, czy w istocie przyszłość przepowiadasz, czy też ją... kreujesz? Twój przypadek, mimo niewątpliwego tragizmu, jest na swój sposób komiczny. Na jawie jesteś człkiem wprawnie posługującym się rozumem – niejedną w ten sposób rozwiązałeś zagadkę. Brzydzisz się za to bytami niematerialnymi, powątpiewasz w ich istnienie. No a metafizyka to bab bajanie. We śnie tymczasem jesteś sprawcą fenomenów nadprzyrodzonych, przepowiadasz prawdę z większą skutecznością, niżbyś to czynił z pomocą żmudnych dedukcyj. Siedzą na tobie okrakiem jakby dwie istoty – każda swym ciężarem ciągnie w inną stronę. Myślisz, że masz wybór?

– Nie wiem – szepnął Rozenkrontz.

– Teraz wyimaginuj sobie, panie Rozenkrontz, że nie okażę się człkiem dyskretnym, że rozpuszczę język i wszędy opowiem o twej tajemnicy... Cesarz lechandryjski to pan zapobiegliwy, a ty byłbyś dla niego bronią, że tak powiem, obosieczną – albo wykorzystałby twój dar, albo oddałby cię w łapy różnych Kowenorów, oprawców bez litości...

– Zasób twej wiedzy, panie, tak jest obszerny, że nie wiem doprawdy, po co ci me nędzne usługi.

– Me królestwo nie jest z lechandryjskiej ziemi. Nawet nie z Imperium Honghni Zachodnich Ziem. Jest dalej. I bliżej, niżby się kto spodziewał. Nie jest w moim zwyczaju ingerować bezpośrednio w bieg spraw, a ktoś przecie musi naprawiać świat, prawda, Rozenkrontz? – Gość uśmiechnął się kpiąco i wstał od stołu. Z jego postaci bił mroczny majestat, i to nie tylko za sprawą ciemnej karnacji i takiejż kreacji. – A z ciebie, mój panie, zacny jest majster. No, ale mam w Barden do załatwienia jeszcze jedną sprawę, a czas goni...

Nim wyszedł, odwrócił się i rzekł:

– Jest zresztą trzeci powód, dla którego zajmiesz się mým zleceniem, Rozenkrontz.

Rzucił na stół mieszek ze srebrnymi monetami.

Deszcz zacinał prosto w twarz. Im bliżej Barden, tym gorzej.

Pod każdym względem, pomyślał. Pod każdym względem.

Miał przeczucie, że wszystko dopełni się w tym mieście na końcu świata, mieście, z którego pochodził, opodal którego umarła jego biedna matka.

Widoczność była coraz gorsza; z wolna zapadał zmierzch.

– Zdamy przed nocą? – zapytał dowódca eskorty; jego wierzchowiec był przyzwyczajony do klimatu o mniejszej wilgotności.

– Zdamy – odparł.

Spojrzał na dłoń, w której brakowało małego palca. Ta dłoń – była przypomnieniem.

Dolsilwa kłął szpetnie, bo nie lubił deszczu. Nauczył się tego na Zachodzie, gdzie przekleństwa miały charakter szczególny. Mianowicie mieszkańcy Ziemi Zachodnich przekleństwami zniechęcali bogów do wszelakich ingerencji w bieg spraw. Istoty znane ze swego nadprzyrodzenia miały zostawić ich samym sobie, nie karać, nie nagradzać. Nie pomagało oczywiście, lecz klęli jak nikt na całym świecie.

Dolsilwa uważał ich za ludzi niezwykle religijnych.

Poeta tolerował wilgoć w niewielkich dawkach, dozowaną wyłącznie wedle własnego przepisu i do użytku wewnętrznego. Deszcz nie spełniał żadnego z tych wymogów, zatem droga ku gospodarce bez nazwy wydawała się Dolsilwie szczególnie uciążliwa. Dla zabicia czasu, który był nieśmiertelny, układał w myślach poemat tragikomiczny luźno inspirowany losami Moratora (takie było miano ponurego sprzedawcy duszy). Szlachcica chętnie przerobiłby poeta na alchemika babrającego się w nieszlachetnych metalach w celu ich uszlachetnienia. By osiąść zakazaną wiedzę, zawiera pakt z diabłem. W tle miłosne ceregiele, bo to się nieźle sprzedaje; gmin złańniony jest podniet mu niedostępnych i niezbyt zrozumiałych.

W bezimiennej gospodarce panowało różnorodne towarzystwo – od obwiesiów po zubożałą szlachtę. Te dwie ludzkie kategorie dzieliło jedno – godło, które niektórzy mylą z godnością. Moratora jeszcze nie było, więc Dolsilwa zadowolił się piwem. Gospodarz patrzył na poetę chmurnie – chrciny gospody okazały się kosztowne. Dolsilwa nawet myślał leniwie o nazwie, nic zadowalającego nie przychodziło mu jednak do głowy. Od jakiegoś czasu jego umysł był rzadko odwiedzany.

Gościom przygrywała eksperymentalna w doborze środków wyrazu kapela, sławna już na całą okolicę. Muzycy, miast na instrumentach, grali na własnych organizmach. Kakofonia czknięć, beknięć, kichnięć oraz pierdnięć okazywała się pozorna – melomani z zaskoczeniem odkrywali w tych dźwiękach znane kompozycje.

Kultura masowa, pomyślał Dolsilwa nie bez wstrętu.

Przybycie Moratora zwiastowały liczne znaki i omeny. A nawet fenomeny. Żona gospodarza, dotąd dozująca wino z katowską precyzją, nieoczekiwanie jąła rozlewać cenny napitek na ziemię.

Ktoś pośliznął się na tak powstałej kałuży i wybił kolekcję zdobionych dzbanów. Dalej poszło jak po sznurze wiodącym na stryczek: pewna pani upuściła udziec barani, inna – miast w pieczeni – zagłębiła uzębienie w ramieniu oblubieńca. Moratorowi towarzyszyły maślane spojrzenia wszystkich rezydujących w gospodzie muz.

Opis szlachcica z opowieści Dolsilwy był wierny; gdyby imć Rozenkrontz napotkał Moratora, zapewne by go rozpoznał. Nie mieli się jednak nigdy spotkać. Do opisu należy dodać jeszcze spojrzenie, znudzone wprawdzie, lecz śmiałe i, zda się, nieugięte. Morator wyglądał na człeka, który nigdy nie odwraca oczu.

Morator przysiadł się do Dolsilwy i bez zbędnych słów podjął przerwana onegdaj opowieść.

HISTORIA SZLACHETNIE URODZONEGO MORATORA, PRZEZ NIEGO SAMEGO OPOWIEDZIANA, CHOĆ WCIAŻ NIEZWIĘCZONA FINAŁEM

Dulea... Piękna i nieprzystępna jak warowny zamek. Piersi Dulei były jak wzgórza bronione przez zaciężne wojska jej niechęci do wszystkich młodzików świata. Jej oczy mroziły serca i członki, a nozdrza wdychały inne powietrze niż na przykład moje. Niż twoje, Dolsilwa, z całą pewnością. Powiadali, że jednego ma kochanka, któremu oddała serce i duszę czystą jak bryła lodu. Był to srogi starzec, najstarszy ze starych, starszy niż świat i od świata bodaj okrutniejszy. Widzę, że się domyślasz, Dolsilwa. Tak, o Boga szło. Byłem młodzieńcem nieprzywykłym do wszelakich oporów materii, choć Dulea kuta była w materiale szlachetnym. Wnet jąłem Bogu urągać, lecz był to jeno akt bezsiły – wszak spirytualnego bytu nijak na pojedynek wyzwać się nie da. Nie toleruję bezradności, zatem postanowiłem zło siać po świecie, by choć w taki okrężny sposób Bogu dopiec. Ale najlepszy byłby sojusz z Nieprzyjacielem Jego. Kontakt szukałem rozpaczliwie, poddając się gustom i zakłębom, konferując z magami, a bywało, że nawet Psami. Wszystko na nic. Pomyślałem, że tak obnażona determinacja obniża mą wartość. Z diabłem jest jak z kobietą – usilnie zdobywana gardzi niespełnieniem. Wzgardzona – sama garnie się do łoża. Jak postanowiłem, tak uczyniłem; istotna wszak była metoda. Wiedziałem, że nieliczni pomazańcy, co szukają kontaktu ze Stworzycielem, umartwiają się, poddają ostrej kuracji ascetycznej, która wyostrza percepcję. Wymyśliłem, że by z Niszczycielem wejść w komitywę, należy postępować odwrotnie. Oddawałem się zatem rozpuście, lecz dla Sprawy, swawoliłem dla Wyższej Konieczności, psułem dziewczęta nie dla pustej przyjemności, pojedynkowałem się nie z zادیorności, a majątek ojców przegrywałem w kości bynajmniej nie z rozrzutności...

Morator przerwał, by gardziel przepłukać. W jego głosie znać było zmęczenie, jakby wszystkie wymienione czynności, przyprawiające przecie gawiedź o ekstazy, jego przyprawiały o ból głowy jeno.

Tak przez trzy lata, może nieco dłużej... Diabeł wreszcie zjawił się, zwabiony bodaj mą żelazną konsekwencją w czynieniu nierządu, oszustw i draństw na niebotyczną... a raczej piekielną skalę. Lecz była w owym demonie jakaś tandeta, nadmiar efektu, niepotrzebna ostentacja, która budziła mą niechęć. Od razu pojąłem, że pośledni to diabeł, co w hierarchiach piekielnych nisko się sytuuje. Już jego pojawienie się, któremu towarzyszyły liczne fenomeny – błyski, siary smród, stukot kopyt – źle mnie do czarta nastawiły. Prawił grzecznie, acz bez elegancji, której można by oczekiwać po przedstawicielu handlowym organizacji z takimi tradycjami. Zrazu wyraził podziw dla mych niecnych postępów i zaproponował układ – w zamian, oczywista, za duszę. Ludziska nawracają się z wiekiem, rzekł, trzeba zawierać umowy w odpowiednim momencie, gdy ochota podsyca jeszcze żar pożądań.

Dusza. Zawsze mnie zdumiewała domniemana wartość tego splechotka bezmaterii, którego nawet nie da się ująć w palce... Diabeł usiłował, niby to chytrze, nakreślić horyzont czasowy mych niecnot i dokazywań, na których skuteczność otrzymałem gwarancje. Pojąłem, że bydlę ofiarowuje mi towar, co już jest w mym posiadaniu. Swawolić mogłem i bez piekielnych przyzwoleń.. Takż omotałem gbura siecią zobowiązań, aneksów do umowy, odstępstw od reguł, jak uczył mnie tego nasz rodzinny buchalter, kiedyś jeszcze mleko miał pod nosem. Na tym stanęło, że zemrę naturalną koleją rzeczy, a do tej – oczywistej – cezury doznawać będę powodzenia we wszystkich mych niecnotach. Musisz wiedzieć, Dolsilwa, że ma familia słynęła z nadzwyczajnej długowieczności, o czym diabeł pewnikiem nie miał zielonego pojęcia.

Tak zaczęła się plaga mych nieustannych sukcesów. Kobiety ulegały mi masowo, w kości wygrywałem z oszustami, bogactwa zalewały mnie kaskadą niezastużonego dorobku. Ale nie o to mi przecie szło. Jam Bogu chciał dopiec, na drodze Mu stanąć. I wtedy, tak, wtedy właśnie pomyślałem o Dulei. Pragnąłem wznowić konkury, pewien druzgocącego efektu. Oto silny i celny cios w dobre samopoczucie tego, co mieni się Kreatorem!

Kiedym ją ujrzał... Znów ogień jaki ogarnął me wnętrzości, a pożądanie niemal żywcem spaliło grzeszne cielsko. Cóż to była za kobieta... Te nędzne dziewczki, za którymi wodzisz swym smętnym spojrzeniem, Dolsilwa, to jeno cienie, nic nadto...

Dolsilwa pomyślał: Gdybyż wszystkie cienie potrafiły tak budzić i zaspokajać nasze uczucia.

Odwiedziłem Duleę w jej rodzinnych włościach – dość ponurym zamczysku oplecionym zielskiem jak całunem śmierci. W takich miejscach ludziom przychodzić mogły do głów jeno samobójcze albo zbożne myśli – może w tym tkwiła tajemnica Dulei. Pani zamku była dla mnie uprzejma, lecz zarazem chłodniejsza od zamkowych lochów. Dulea niestety wciąż pławiła się w swej świętości, a ojciec jej załamywał ręce, że z Bogiem to ona potomstwa się nie dochowa, kto zatem włości przejmie? jego lamentsy drażniły mnie swą nawracającą bezustannie powtarzalnością. Gotów był nawet, w głębokiej konfidencji, dopomóc mi w porwaniu własnej córy! Za nic miałem takie rady – Dulea musiała mnie pokochać, a od Boga – odwrócić! Byłem

pewny swego – z kontraktem piekielnym w kieszeni, z nabytymi właściwościami łamania najtwardszych lodów niewieścich serc. To miało być łatwe zwycięstwo. Nic z tego jednak. Znów chłód jej błękitnego spojrzenia wychłodził me żądze, a ja z niczym zostałem, czyniąc z siebie durnia. Takiego upokorzenia downom nie zaznał...

Pamiętam, jak wściekły wrzeszczałem w księżycową noc, wysyłałem wszystkie diabły do diabła! Gdyby tylko znał drogę do piekła, to wybrałbym się tam niezwłocznie, by sprać po pysku owego czarciego bękarta! Lecz i tym razem to piekło odnalazło mnie. Była to wizyta znamienitszego gościa; już nie ów kundli hochsztapler, ale diabeł z piekielną klasą, nawet sądziłem, że może to być Szatan we własnej osobie. Gość zapowiedział się grzecznie i stawiał o wyznaczonej porze bez żadnych kuglarskich sztuk. Coś w jego wyglądzie budziło respekt, choć trudno powiedzieć co. Nosił się z czarna, bez przepychu, ale nie bez smaku. Jego głos pobrzmiwał nieustanną kpina, jakby nie przywiązywał do niczego nadmiernego znaczenia, jakby świat zdawał mu się mizernym dowcipem. Rozumiałem go.

„Przybyłem renegocjować warunki umowy”, rzekł.

Czułem się dziwnie mały pod tym jego kpiącym spojrzeniem, co przewiercało mnie na wylot. Usiłowałem zachować rezon, głupca grałem – że niby umowa obustronnie jest korzystna, a raczej była, bo mi pewna białogłowa odmówiła wdzięków, o niewdzięczna!

„Od każdej reguły są wyjątki”, on na to. „Szlachetnie urodzoną Duleę trzeba do nich zaliczyć. To służebnica Przeciwnika, Glejt jest w jej posiadaniu, a sama o tym nie wie. Umowa zasię obustronnie korzystna bynajmniej nie była, bo głupiec ją z tobą zawarł. Jego przecenilem, a ciebiem nie docenił. Naprawimy to. Ma propozycja jest taka...”

Lecz nie zdążył Morator wyłuszczyć Dolsilwie propozycji demona, bo w gospodzie gruchnęła niespodziana wieść, jakoby do Barden zawitał Sędzia. Na niektórych bywalcach wiadomość uczyniła piorunujące wrażenie. Morator wprawdzie nie zaliczał się do tego grona, jednak urwał opowieść i wstał od stołu.

– Jeszcze się spotkamy – rzeki do wierszoklety na odchodnym.

I rzeczywiście.

Rozenkrontz przez długi czas nie dotykał dokumentu, lecz wpatrywał się w papier, jakby pragnął przeniknąć treść bez łamania pieczęci.

Na pieczęci nie było żadnego godła ani znaku. Przez chwilę badał fakturę papieru – i tu bez nadzwyczajności. W końcu złamał pieczęć i przyjrzał się pismu. Wprawdzie nie znał się na kaligrafii, lecz pismo zdało mu się nieodległe od pełnej doskonałości, litery stawiała dłoń nieomylna; forma znaków była zwiewna i zarazem zamaszysta. Rozenkrontz uznał, że ma do czynienia z człkiem hardym i pełnym pogardy, a przy tym i umysłowo lotnym. To niezmiernie rzadkie połączenie.

Po tych wstępnych oględzinach, które przyniosły nikły rezultat, Rozenkrontz jął czytać. Zrazu pomyślał, że ma do czynienia z fragmentem jakiegoś teologicznego rękopisu, jakich przecie pełno na byle pchlim targu. Autor dokumentu pisał o nieznanym Rozenkrontzowi Zasadzie Zastępstwa, którą miał jakoby ustanowić sam Bóg na początku świata. Oto niektórzy ludzie pozornie bezzasadnie cierpią, a los w swej gorzkiej szczodrobliwości doświadczeń im nie szczędzi. Jednak cierpienia „wybrańców” (Rozenkrontz uważał, że pobrzmiwa w tym określeniu ironia) w istocie bezsensowne nie są. *Ci, co cierpią i mimo to zachowują wiarę w Boże Miłosierdzie*, pisał autor, biorą bowiem na siebie grzechy wielu innych. Na tym w skrócie polegała właśnie Zasada Zastępstwa.

W drugiej części dokumentu autor zwracał się już bezpośrednio do Rozenkrontza. Następował tu dość szczegółowy opis makabrycznych zbrodni. W miarę czytania w Rozenkrontzu narastał wewnętrzny dreszcz, bowiem opisy dokładnie odtwarzały jego sen. Jedyny sen, jaki mu się kiedykolwiek przyśnił. Było w tym coś niewątpliwie szyderczego, bowiem wielu ludzi opowiadało mu swe sny – czasem były przerażające, lecz częściej piękne. Rozenkrontz czasem tęsknił za sennymi wizjami; czuł się w jakiś sposób wyzuty z przywilejów dostępnych nawet tym najbiedniejszym. No i doczekał się.

Siedem osób z wyłupanymi oczami i przekłutymi uszami. Szczegóły wskazywały na dużą konsekwencję i determinację sprawcy; choćby okoliczność, że musiał podróżować po terenie niemal całego Cesarstwa. Człek ów musiał być opętany jakąś niebywałą manią, która dawała mu moc czynienia zła na znaczną skalę. A może w jego mniemaniu dobro czynił? Zło było mu środkiem wiodącym ku znakomitemu dobru?

Sposób kalectwa ofiar musiał mieć jakieś znaczenie, lecz póki co niewiele Rozenkrontzowi mówił. Tych biedaków zgoła nic ze sobą nie łączyło, poza okolicznościami zbrodni. Dlaczego ktoś pozbawia ludzi zmysłów, no a jeśli już poczyna sobie z nimi tak niedelikatnie, to czemu pozostawia ofiary przy życiu? Rytuał? Mania religijna?

W Barden działał półoficjalnie Kościół Boga Milczącego, którego wyznawcy dobrowolnie wycinali sobie języki. Ale w przypadku tej zbrodni nie mogło być mowy o dobrowolności. Same ofiary nie wносиły do sprawy niczego. Nie wiedzieli, dlaczego akurat ich spotkało nieszczęście. Nie dostrzegli sprawcy, nie potrafili dać jego opisu.

I owa Zasada Zastępstwa. Czy cierpienia tych ludzi miały stanowić odkupienie win innych?

Przedostatni akapit tajemniczego dokumentu poświęcony był wypadkowi dwojga ludzi, którzy jednak życie postradali. I tym razem nie oszczędzano na szczegółach – wyglądało na to, że dosłownie rozpękli się, eksplodowali pod wpływem nieznanymi wewnętrznymi naprężeniami. Mogło się zdawać, że ich śmierci nic nie łączy z okaleczeniami wszystkich pozostałych. A jednak związek bez wątpienia istniał. Tuż przed śmiercią ofiary przeczytały identyczne, zalakowane w czarnych kopertach listy. Cała dziewiątka dostała podobne pisma, ale siódemka okaleczonych

przeczytać ich już nie mogła – z oczywistych przyczyn. Listy zaginęły w dziwacznych okolicznościach; nikt – poza dwoma zmasakrowanymi trupami – nie zapoznał się z ich treścią. Jakaż to treść?

Autor dokumentu nie wyraził na ten temat wiążącej opinii. Wyraził natomiast przypuszczenie co do makabrycznej natury śmierci obu ofiar. *Przyjęło się domniemywać – pisał stylem lakonicznym, który pozostawał w kontraście z tragicznym przekazem – jakoby śmierć równie niezwykłą spowodować może oddzielenie się duszy od ciała – dokonane jeszcze za życia posiadacza obu tych związanych atrybutów. Przypadki takie były opisywane w starożytnych manuskryptach alchemicznych. Dusza uwalnia się z okowów materialnego cielska, którego siły żywotne są naonczas znaczne, a więzy połączeń – silne. By uwolnić się, dusza rozrywa ciało na sztuki, co nie jest widokiem ładnym ni przyjemnym.*

– Zaiste – mruknął Rozenkrontz w kierunku ściany.

Dokument zwieńczony był sugestią, jakoby właśnie w Barden znajdowała się kolejna ofiara szaleńca, lecz tożsamość jej – to tajemnica. Autor doradzał Rozenkrontzowi rychłe spotkanie z Sędzią Kowenorem, który z racji swych nadzwyczajnych kompetencji (i w tym sformułowaniu wietrzył Rozenkrontz ironię) miał posiadać wiedzę innym niedostępną.

– Taaak... – westchnął Rozenkrontz.

Ściana milczała.

Równie dobrze mógłby niewczesny doradca proponować Rozenkrontzowi, by ten natychmiast udał się do najbliższego leprozorium i tam zaraził trędem.

Sprawa wyglądała na ponurą i na pierwszy rzut oka – trudną. Czekająca go ciężka praca, lecz srebrniki obciążały mu po równi kieszeń i poczucie zawodowej przyzwoitości.

Rozenkrontz jak ognia unikał spraw, w które choćby na odległe sposoby wmieszany był Bóg. Z drugiej strony nie miał pewności, czy istnieją takie sprawy, w których nie maczałby swych Palców Stworzyciel. Stosunki Rozenkrontza z Bogiem były bardzo skomplikowane. Rozenkrontz, choć przekonany o istnieniu Tego, Który Jest, nie miał jednak pewności co do jego dobrych intencji. Nie wiedział jeszcze, że jego opinia na temat Boga nie jest najistotniejsza.

Ważna była opinia Boga na temat Rozenkrontza.

Bardzo wysoki człowiek w czarnym płaszczu stał od dłuższego już czasu w cieniu. Ciemne zaułki ulicy Szczerbatej oraz liczne wyłomy w elewacjach budynków wydawały się potwierdzać jej nazwę. Krople deszczu, choć to niemożliwe, zdawały się z respektem omijać człeka w czerni. Ten wpatrywał się w tłum gromadzący się z wolna przed świątynią wyznawców Boga Milczącego. Zbliżała się pora corocznej uroczystości rzezania języków wyznawców, którzy osiągnęli dojrzałość. Paradoksalnie, moment, który w każdej kulturze oznaczał inicjację, preludium życia dojrzałego, pełnego, możliwość wypowiedania się w ważnych sprawach tyjących

społeczności, w tym akurat wypadku oznaczał wieczyste zamknięcie.

– A co się stanie, gdy wasz Bóg w końcu się odezwie? – szepnął szyderczo nieznajomy.

Rosła w nim irytacja, jak zawsze, gdy ktoś spóźniał się na umówione spotkanie. Aż tu nagle coś huknęło i gruchnęło, w powietrzu rozszedł się ostry zapach siarki, szybko przechodzący w gnilny odór, a nawet błysk przeszył i ugodził śmiertelnie cienie zaułków.

Oczekujący zmełł w ustach przekleństwo.

– Tandeciarz! – warknął.

Z niebytu wychynął osobnik nikczemnej postury. Jeden z wyznawców Boga Milczącego ujrzał fenomen i postradał przytomność. Inni wierni jęli go cucić, a ci, co jeszcze mieli języki – wypytywać. Nic nie powiedział, od dawna pozbawiony daru wymowy.

– Wszystko gotowe, Mistrzu Kontekstów – rzekł przybyły. – Sądysz, panie, że tym razem nam się nie wymiga?

– Jeszcze żaden mi się nie wywinął – odparł zimno ten w czerni. – Ale nie można nie doceniać rozmiarów oddziaływań chaosu ich przeklętych dusz.

– A ta druga sprawa, z tym... Rozenkrontzem? Pewny człek?

– Cała rzecz w tym, że niepewny. Na tym polega sztuka, głupcze. Gra nie przebiega w materii, choć ona naszym skrytym sprzymierzeńcem. Wszystko rozgrywa się w duszach i sumieniach tych biedaków. – Zamyślił się. – Czasem myślę, że cały nasz spryt, rozum, plany – wszystko to na nic.

– Jakże to, panie? To defetyzm! Na Demona Implikacji! Wygrywamy! Każda przyczyna niesie skutek – oto woda na nasz młyn! Oto zasada rządząca tym światem!

– W mojej obecności głosu nie podnoś, psie. A nie pomyślałeś kiedy o tym, że możemy być częścią planu Przeciwnika? Ze może zło jest przyprawą, bez której nie da się skonsumować tego bigosu? A jeśli jesteśmy kimś, a raczej czymś w rodzaju ścierwojadów? Zżeramy psujące się dusze, te metafizyczne ścierwa, i tym samym oczyszczamy, miast zanieczyszczać rzeczywistość? – Ależ to herezje...

– Herezje! – zaśmiał się czarny. – Mniejsza. Wiesz, co zrobić? I kiedy?

– Wiem, panie.

– Do dzieła.

Rozenkrontz brnął po kostki w brei, deszcz wszystko rozmywał, zdawało się, że za chwilę zmyje z rzeczywistości wszelki sens, który polorem, wierzchnią warstwą był jeno, niczym więcej.

Czuł się coraz gorzej, choć kac demolujący organizm powinien już się kończyć. Wyglądało na to, że dusza za chwilę go opuści, rozsadzając mimochodem ciało. Rozenkrontz, by myśleć o czymkolwiek innym niż stan zdrowia, jął snuć subtelną refleksję na temat delikatnej

równowagi utrzymywanej między ciałem a duszą. Jej rozchwianie wiodło do oplakanych skutków, głównie dla ciała. Materia okazywała się jednak ubogą siostrą bytu spirytualnego – na wszelkich rozchwianiach wychodziła kiepsko; ponosiła koszty rozvodu.

Rozenkrontz był przekonany, że ta równa ściana deszczu musiałyby się wydać Kowenorowi Dziesiątnikowi na swój sposób urzekająca. Tak, Sędzia wielbił rzeczy równe, dość dobrze ułożone, na boki nieodstające ani – nie daj Bóg – w górę. W górę nigdy.

Sędziowie. Namiestnicy świeckiej władzy w sprawach ocierających się o metafizykę. Materialni uzurpatorzy w sferę ducha. Było ich, nie wiedzieć czemu, trzydziestu sześciu. Mówiono: Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych, ale określenie to niosło ze sobą ironię. Odznaczali się znaczną autonomią działań, ich kompetencje były właściwie nieograniczone, bo pod metafizykę dało się podciągnąć każde zdarzenie. Ścigali odszczepieńców, równali dziwnowierców. Jeśli kto nie dawał się równać, emigrował w inne (zdaniem Sędziów – takie przekonanie ułatwiało pracę – lepsze) regiony rzeczywistości. Zazwyczaj łamano biedaków kołem, głównie w celu sponiewierania charakterów; łamanie gnatów było tu efektem ubocznym, Kowenor odznaczał się szczególnym okrucieństwem nawet pośród Sędziów, a Rozenkrontz zmierzał nierozsądnie do jaskini tego lwa.

Sędzia wraz ze swą świtą zatrzymał się w Zajeździe Lechandryjskim. Nazwa wzięła się pono z patriotycznych zapalów właściciela, który – taki już urok neofitów – był naturalizowanym obywatelem Cesarstwa. Z okien zwisały nasiąkłe deszczówką flagi z godłem Cesarza – Kobieta Bez Włosów Łonowych. Poza wspomnianym defektem kobieta z godła odznaczała się jeszcze smętnym obliczem, miała to być bowiem w zamyśle matrona niewzbudzająca pożądań. Wizerunki odmładzano jeno w przypadku wojen – na bitewnych sztandarach, by wojownikom krew się gotowała, a zapal szybko nie stygł. Statystyki wykazały, że im bardziej ponętne wdzięki widniały na sztandarach, tym bardziej rosła liczba odzysków flag rabowanych przez przeciwników.

Jak spod ziemi wyrosła przed nim męska postać. Rozenkrontz chciał obcego wyminąć, lecz ten z premedytacją stawał mu na drodze. Ulice Barden były o tej porze puste; deszcz wyludnił je jeszcze bardziej. Rozenkrontz jął ostrożnie się wycofywać, podejrzewając napaść w rabunkowych celach, ale jego plecy natrafiły na opór w postaci jakiegoś ostrego narzędzia, najpewniej sztyletu. Napastników było zatem przynajmniej dwóch. Fakt, że jeszcze nie postradał życia, uznał Rozenkrontz za okoliczność wielce szczęśliwą.

– Nic nie mam – rzekł, by rozwiąć wątpliwości.

Napastnicy pominęli milczeniem jego deklarację majątkową. W ogóle się nie odzywali – jeden dał Rozenkrontzowi gestem do zrozumienia, by też milczał. Przez chwilę rozważał możliwość podniesienia rabanu; wszak w Zajeździe Lechandryjskim dość było zbirów Sędziego, których interwencja w tym jednym jedynym przypadku mogła okazać się zbawienna. Nie

zdążyliby – ocenił. Pozostało poddać się woli owych milczków. Przesłonili mu oczy jakąś szmatą; pierwszy wziął Rozenkrontza pod ramię i jął wieść ku nieznanemu. Obecność drugiego, którego Rozenkrontz jeszcze nie zdołał ujrzeć, manifestowała się regularnym nakłuwaniem pleców.

Pomyślał, że chcą go zaciągnąć w jakie ustronne miejsce, by tam – w spokoju – zadźgać. Lecz wędrówka trwała za długo – w Barden roilo się wprost od ustronnych miejsc, pielgrzymki nie były niezbędne.

Weszli do jakiegoś wnętrza, Rozenkrontz nie czuł już bowiem bombardowania kropel deszczu. Pomieszczenie było wilgotne i chyba obszerne, ponieważ echo rezonowało w powietrzu. Jeśli schodzić w dół, a każdy krok był zwielokrotniony głuchym pogłosem – tak, że wydawało się, iż cały legion ludzi maszeruje po schodach, a nie skromne trio.

Schodzili długo. Rozenkrontzowi chodziły po głowie myśli o tych wszystkich ludziach zaginionych w niewyjaśnionych okolicznościach i nigdy nieodnalezionych.

Gdzie oni mnie prowadzą? Do piekła? – myślał.

W końcu dotarli na miejsce i ktoś zdjął szmatę z oczu Rozenkrontza. Pomieszczenie oświetlała pochodnia, w jej blasku ujrzał kolejnego nieznanego.

– Cieszę się, że raczył pan przyjąć moje zaproszenie, Rozenkrontz – głos wyprany był z emocji, nie pobrzmiewało w nim żadne uczucie – ani ciekawość, ani złość, ani litość. Nic.

– Nie ośmieliłbym się odmówić – odrzekł z ironiczną kurtuazją Rozenkrontz. – Z kim mam przyjemność?

– Na pewno słyszał pan o mnie. Zwą mnie... Pustakiem.

Rozenkrontz słyszał. Ale nie wierzył. O Pustaku powiadano, że jest władcą podziemnego świata Barden, że macza palce w brudach, czerpiąc z tego korzyści materialne, choć z jakichś powodów nie lubił materii. Że widzi więcej niż inni, bo jego dusza uwalnia się z okowów ciała i swobodnie dogląda spraw Pustaka. Dlatego zwano go zresztą Pustakiem – bo zwykł paradować bez duszy, skąd miało płynąć jego niespotykane okrucieństwo. Rozum bezduszny człeka to pono najgorsza rzecz w świecie.

Powiadano wreszcie, że kto ujrzy Pustaka – niczego już więcej w życiu nie dojrzy.

– Sądziłem, że jesteś, panie, wymysłem prostego ludu, folklorem Barden. Prawdę mówiąc, nadal tak myślę – rzekł Rozenkrontz.

– Mniemasz, że jestem sprytnym rzeźmieszkiem, co stworzył legendę Pustaka dla osiągnięcia posłuchu i zysku? – ten wyprany z emocji głos wprawiał Rozenkrontza w irytację. – Chciałbym, by tak było...

Rozenkrontz pragnął ujrzeć twarz człowieka wypowiadającego słowa z taką beznamiętnością: czy rysy jego oblicza znamionują owo zupełne beczucie? Czy nie krzywią jej emocje? Nie zniekształca ból istnienia? Czy jest regularna jak bryła lodu?

Lecz ten, co zwał siebie Pustakiem, krył twarz w cieniu.

– Nie pragnę cię do niczego przekonywać, panie Rozenkrontz. Nie ma znaczenia, w co wierzysz. Chciałem cię zobaczyć. I być może coś ci powiedzieć...

– Od jakiegoś czasu brnę w gównie tajemnic. Tajemnic jest na świecie więcej niż normalnego życia. Rzygam tajemnicami, panie Pustaku.

– Od jakiegoś czasu nie jesteś panem swego losu, Rozenkrontz. Jesteś żaglowcem bez sternika, a dmie silny wiatr, wypełnia twe żagle pustką, która gna cię ku przeznaczeniu. Ten wiatr to Kwizad, Wicher Przeznaczeń. Śmiertelnicy nie wiedzą o nim nic.

– O tym chciałeś mi powiedzieć?

– Nie. To była niezobowiązująca pogaduszka. Wiele nas łączy, Rozenkrontz. I twa dusza oddziela się czasem od ciała, wędrując po bezdrożach przyszłości. Masz jednak to szczęście, że oszczędzono ci przy tym brzemienia świadomości... Mnie nie było to dane. Niewiele obchodzi mnie zło świata, Rozenkrontz. Ani dobro. Cały ten konflikt, co jest zarazem gwarantem równowagi. Anielskość mnie nudzi, diabelska przewrotność – śmiesz. Ja jestem stworzony do tego, by konstatować daremność, by dowodzić pustki. Wszelkie knowania i usiłowania do niczego nie prowadzą.

Wiem, że odwiedził cię ten, którego imię Trzydzieści i Sześć. Ten, który uważa się za część owej siły, co pragnąc zło czynić, czyni dobro. Albo odwrotnie. Jego zamiary to zasłona w zasłonie. Nic nie jest takie, na jakie wygląda. Wiem, że domyślasz się, kim jest, choć twój rozum stawia wciąż opory, Czas przełamać lody wątpliwości, Rozenkrontz. Świat jest piętrowy; w tej chwili przebywamy nie na dnie nawet, lecz w kloace. Czyściciel już przybył, ale robota jego – ciężka. I chyba daremna...

Rozenkrontz słuchał tego potoku słów wypowiedzianych równym, jednostajnym tempem – i niewiele z tego pojmował. Myślał, że ma do czynienia z szaleńcem, lecz coś mu podpowiadało, że mimo wszystko może być inaczej.

– Kwizad wieje tak jak wieje. Przywiedzie cię w odpowiednie miejsce w odpowiednim czasie. Ale wola człeczka istnieje, Rozenkrontz. I czas wyboru nadejdzie. Lecz i to nic mnie nie obchodzi. Chcę jeno, byś wiedział, że Sędzia Kowenor, którego niebawem odwiedzisz, nie przybył do Barden jedynie z powodu tych biedaków pozbawianych zmysłów. I on ma swoje cele. Cesarzowi wydaje się, że Kowenor jest jego narzędziem; Kowenor myśli to samo o Cesarzu. Obaj się mylą. Chcę, byś wiedział, że Kowenor przybył tu również po to, by dokonać rzezi pośród wyznawców Boga Milczącego. Albowiem Bóg nie może milczeć, skoro przemawia ustami Cesarza. Rozumiesz, Rozenkrontz? To szeroko krojony plan – nowa religia państwowa potwierdzająca boskość władcy niemiłościwie nam panującego. Miejska tłuszcza, która jak zwykle niczego nie pojmuje, jest od jakiegoś czasu urabiana przez ludzi Kowenora. Narasta niechęć do Niemot, jak powiada się o sługach Milczącego Boga.

– Skoro nic cię nie obchodzi, człeku z duszą na ramieniu, to czemu troszczysz się o tych szaleńców wyzbytych języków?

– Dobrze mi służą. – Rozenkrontz spojrział na swych przewodników: więc stąd ich milczenie!

– Niczego nie oczekują ani od Boga, ani ode mnie. Ich wiara jest pusta, ich samookaleczenia wiodą ku pustce. To dużo. Tak dużo, że prawie nic.

– Mam przeciwstawić się woli Cesarza? W jakiz sposób? Nie mam regimentów. Nie mam wpływów. Nie mam powodu.

– Wybierzesz, co wybierzesz. Audycja skończona.

To nie moja sprawa, nie moja sprawa, nie moja... – powtarzał w myślach Rozenkrontz zakłęcie chroniące go od odpowiedzialności. Mniemał, że nimb tajemnicy wokół Pustaka był sztuczką. Jak mógł oddzielać duszę od ciała, skoro wiecie to prostą drogą do miazgi? Z drugiej strony świat nie dla wszystkich układał się podobnie. Skąd brali się szaleńcy i odmieńcy? Skąd garby na plecach? Skąd na duszach zadry?

Dostrzegł śmieszność swego rozumowania: jeszcze niedawno nie dowierzał nowinkom z dostarczonego mu dokumentu, wątpił w owe eksplozje cielsk, z których łuskano dusze. Teraz wieść ta stanowiła dla niego argument zbijający rewelacje Pustaka.

Być może Pustak nie był wydrążonym człekiem, dla którego dusza stanowiła rodzaj gończego psa. Być może nie było w nim żadnych metafizycznych nadzwyczajności. Ale jego informacje mogły być prawdziwe, choć źródło ich – nieznane.

Imię jego Trzydzieści i Sześć, przypomniał sobie Rozenkrontz słowa Pustaka. Targnięty przecuciem, wysypał na stół srebrniki ze sztosu nieznanomego w czerni. Przeliczył – było ich trzydzieści.

I sześć.

Jeszcze ten dziwny sen. Jedyny sen w jego życiu. Jakże podobny i zarazem jak różny w swej naturze od dotychczasowych talentów Rozenkrontza. Jakby dwie siły zmagaly się o jego duszę – jedna objawiała za pośrednictwem Rozenkrontza przyszłość, bez świadomości medium, druga objawiała mu pewne prawdy – jakby zostawiając mu prawo wyboru. Z jednej strony był manipulowaną kukłą, z drugiej – podmiotem w sprawie.

Trzeba było iść do Kowenora. Do Dziesiątnika.

Tym razem nikt nie przeszkodził mu w dotarciu do Zajazdu Lechandryjskiego. Strażnicy, dość ponure draby w barwach cesarskich, patrzyli na Rozenkrontza spode zakutych (w stal) łbów. Zapewne nie wyglądał na gościa, z którym Sędzia Kowenor chętnie uciąłby sobie pogawędkę. Szybciej nakazałby ścięcie głowy. Rozenkrontz miał takie nieprzyjemne uczucie, że wkrótce dostanie się w sękatę łapy tych wykonawców sprawiedliwych wyroków.

– Pan Rozenkrontz... – brzmiało to niczym ciężkie westchnienie. Głos zdawał się ciepły, nawet jowialny, lecz Rozenkrontza to nie zwiodło. Ujrzał rozmówcę i krew w nim stężała, znał

go bowiem i z widzenia, i ze słyszenia. Był to kat sędziowski, zwany Toporem Kowenora. W swym fachu niedościgły, porównywany nieraz z legendą katowskiej profesji – Bezimiennym Oprawcą z Zamku Kaltern.

Nie wyglądał na kata: dość niski, wąty jak myśląca trzcina, o twarzy nienaturalnie wąskiej, jakby ściśniętej tuż po porodzie mocarną prawicą albo szczypcami akuszerki.

– Proszę za mną, panie Rozenkrontz. Sędzia będzie bardzo kontent z pańskich odwiedzin...

– A kat współczuje ofierze – rzekł Rozenkrontz.

Oprawca zaśmiał się sucho i brzmiało to jak ostrzenie jakiegoś narzędzia na kamieniu. Topora na przykład.

– Nie brak panu dowcipu, Rozenkrontz.

– Odczuwam za to braki innego rodzaju.

– Nie brak ci... głowy. Chciałem przez to rzec, że masz głowę na karku, panie.

– W pewnych okolicznościach to zaiste fortuna.

– Fortuna kołem się toczy. – Rozenkrontz odczytał to jako aluzję do łamania kołem gnatów.

– Zawsze podziwiałem twój kunszt, panie kacie.

– Och, jestem jeno narzędziem we wprawnych dłoniach Sędziego Kowenora...

– Cóż za skromność.

Tak gawędząc, mijali istną galerię portretów. Największy przedstawiał Cesarza, drugi co do wielkości – Kowenora Dziesiątnika, zwanego również Krwawym. Wreszcie dotarli do ascetycznie urządzonej izby zatopionej w dusznym półmroku. Raptem dwie świece rzucały w stęchłą przestrzeń rozchwianą światłość, dobywając z mroku nieliczne tu sprzęty. Rozenkrontz pomyślał, że Wszechświat w dniu stworzenia mógł wyglądać jak owa izba. Bóg według tej naprędce skleconej „teorii” nie tyle stwarzał materię, co raczej oświetlał swym blaskiem, dobywając ją nie z pustki, a z wszechogarniającego Mroku.

Kowenor szczyił się swą powściągliwością w gromadzeniu dóbr. Ubóstwo, prócz specyficjnie pojmowanej równości, było dlań cnotą naczelną; szczególnie już, jak zakpił sobie kiedyś nieostrożnie Rozenkrontz, ubóstwo wyobraźni.

Dopiero po dłuższej chwili Rozenkrontz dostrzegł Sędziego. Kowenor spoczywał na zgrzebnym krześle; z trudem udawało się stwierdzić, w którym miejscu człek się zaczyna, a w którym kończy mebel. Jakby tworzyli monstrualną hybrydę – powyginane mocą ciesielskiej woli krzesło i zgięte przez czas ciało. A czas, jak to miał w zwyczaju, obszedł się z Sędzią okrutnie.

– Zostaw nas samych – rzekł Sędzia do kata. Rozenkrontz mógł się mylić, mogła to być gra kalekiego światła świec, lecz chyba jednak ujrzał na obliczu oprawcy zdumienie oraz frasunek, co objawiło się dalszym, niemożliwym już niemal zwięzieniem twarzy. Trwało to krótko – ot, przesypały się dwa ziarna piachu w klepsydrze i już kata w izbie nie było.

– Myślałem – mówienie przychodziło Kowenorowi z pewnym trudem – że potrafię nakreślić granice już wszystkich fenomenów tego świata. Lecz twa bezczelność przekracza granice mego pojmowania.

– Są na świecie rzeczy, o których nie śniło się nawet Sędziom – odparł Rozenkrontz słynną frazą Dolsilwy, nieco przerobioną.

– Ale znam granice swej cierpliwości.

Nie darzyli się wzajemną sympatią. Ani zrozumieniem.

Przed łąty prowadzili w Bar den śledztwo, obaj w tej samej sprawie – tyle że Kowenor z cesarskiego, a Rozenkrontz z prywatnego nadania. Szło o makabryczne mordy dokonywane w mieście i najbliższych jego okolicach. Ktoś łby ludziom ścinał i zostawiał, niczym drogowskazy, na gościńcach. Różnice metodologiczne w działalności obu panów były przemożne. Rozenkrontz myśl silił i bieg jej nadawał ściśle określony (od ogółu do szczegółu). Kowenor natomiast wyrównywał, karczował. Sędzia rychło znalazł kozła ofiarnego – człeka najpewniej niespełna rozumu, opanowanego manią. Biedak był przekonany, że Stwórca wszystkie zmysły ma wyczulone bezgranicznie, a w tej liczbie również węch, który uczone księgi i wszelkie ortodoksje niesłusznie pomijały. Osobnik ów wywodził się z Dalekiego Zachodu, gdzie mieszkańcy Bogu w drogę nie wchodzą, oczekując wzajemności. Postanowił zatem Bogu zniknąć z nosa, stać się doskonale niewyczuwalnym. Idea zaprowadziła go daleko – jął tarzać się w odchodach, posypywać ślady pieprzem. Kowenor skazał go na podstawie wątych poszlak. Rozenkrontz zaś udowodnił, że przynajmniej w czterech morderstwach skazaniec nie mógł brać udziału. Publicznie upokorzył Kowenora, co nie było szczytem umysłowego wyrafinowania. Rozenkrontz ustalił, że wszystkie ofiary w jakiś sposób powiązane były z osobą okrutnego hrabiego Mortena, pana na zamku Kaltern, który zmarł przed łąty w tajemnych okolicznościach. Korzenie tajemnicy wgłębione były w mroczną przeszłość. Najdziwniejsze w tym wszystkim było, że mordy zaiste ustały.

Milczenie przedłużało się nieznośnie, zdawało się, że tężeje, wręcz nabiera kształtów, aż Kowenor przeszył je śmiertelnym sztychem ostrza swego głosu:

– Po co tu przyszedłeś?

Rozenkrontz zrelacjonował wizytę dziwaka w czerni. Sędzia zrazu przysłuchiwał się bez uwagi, w jakimś roztargnieniu, jego myśli zdawały się krążyć w innych rejonach, z dala od tej zacienionej izby, od tak zniechęczonej doczesności, od marność tego łoż padołu, obarczonego materią niczym garbem. W pewnej chwili jął jednak słuchać uważniej, może nawet chłonał opowieść Rozenkrontza. Dolsilwa powiedziała by, że Kowenor nagina interpretacje, by przetrącić im kręgosłupy niewygodnych sensów. Albo jakoś tak, równie zawile. A kiedy usłyszał Sędzia o Zasadzie Zastępstwa, to niemal zadrżał i nawet na moment oderwał się od krzesła, przez co jął odlegle przypominać istotę ludzką. Gorączkowo przy tym szeptał, jakby spierając się

wewnętrznie ze swą drugą – gorszą chyba jeszcze – połową. Wreszcie zapytał Rozenkrontza:

– Słyszałeś o Wemal Daw?

Rozenkrontz oczywiście nie słyszał. Był zdecydowanie najgorzej poinformowanym podmiotem w sprawie.

– To język staroweręński. Niektórzy utrzymują, że to najstarsza mowa świata... Że to... Język Boga. Niemal zapomniany, Psy posługują się wersją zwulgaryzowaną. Zresztą mniejsza. – Kowenor umilkł, zbierając rozproszone myśli. – Wemal Daw oznacza tyle, co „Filary Świata”. Pisał o nich Grobes, lecz była to relacja z drugiej ręki...

– Filary Świata?

Sędzia sięgnął po zakurzony foliał i zacytował:

– Istnieje i zawsze istniało na świecie trzydziestu sześciu prawych ludzi, których zadaniem jest usprawiedliwianie świata przed Bogiem, Sami jednakże nic o tym nie wiedzą. Jeżeli jeden z nich umiera, jego miejsce natychmiast zajmuje kto inny; tak, by liczba zawsze się zgadzała. Jeśli jednak który dowie się o swej niezwykłej roli – umiera bez pozostawienia następców. Sami tego nie podejrzewając, są utajonymi filarami, na których spoczywa świat. Gdyby nie oni, Bóg unicestwiłby rodzaj ludzki. Tyle Grobes. Trzydzieści sześć to liczba tajemnicza. Symbolizuje związki między niebem i ziemią. Jest też symbolem całości, ponieważ stanowi sumę pierwszych czterech parzystych i pierwszych czterech nieparzystych liczb: 20+16. Powiada się też, że trzydzieści sześć jest również liczbą Bestii, która w taki oto sposób urąga Stworzycielowi. Jednak prawda o Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych jest bardziej skomplikowana. Jeśli bowiem któryś z... Filarów dowie się o swej niezwykłej kondycji, jego dusza natychmiast dobywa się przemocą z ciała, co bywa widokiem... – ...nieprzyjemnym. Słyszałem – a w myślach kołatało mu: trzydzieści sześć, liczba Bestii...

– Dwie są drogi wiodące do unicestwienia świata. Pierwsza taka: rodzaj człeczy spsieję do tego stopnia, że nie znajdzie się trzydziestu sześciu prawych. Druga zaś taka, że...

– ...ktoś ludzkości „życzliwy” powiadomi Wemal Daw o ich niebagatelnej roli we Wszechświecie – dokończył Rozenkrontz.

– Rozenkrontz – zaczął uroczyście Sędzia – na naszych oczach dopełniają się Proroctwa. Wemal Daw to nie legenda. To szczerą prawdą.

– A fasada Zastępstwa? Co ma do tego Zasada Zastępstwa?

– Nie pojmujesz? Filary Świata nie mogą odznaczać się jeno sprawiedliwością. To by ich czyniło nieludzkimi. Ekonomia świata jest okrutna: by usprawiedliwić grzechy innych, konieczna jest wymienialna waluta czystego cierpienia. I tak aż do chwili, gdy odezwie się Głos Boga. Wtedy cały ciężar przypadnie Jemu w udziale.

Wszystko poczęło się układać we łbie Rozenkrontza, jakby ktoś nagle rozniecił ogień w ciemnych zaułkach jego umysłu. I stała się światłość.

W aktach okrucieństwa, owych zmysłowych kastracjach, był ukryty zamysł. Zamysł wprawdzie obłądny, lecz obarczony wewnętrzną logiką. Nie ma nic bardziej wewnętrznie logicznego niż szaleństwo, za którym kryje się metoda. Sprawca okaleczeń musiał być z jakichś przyczyn przekonany, że ofiary są Filarami, co trzymają świat w ryzach. Pozbawiał ludzi zmysłów z niebywałą, żelazną precyzją, bo przecie zmysły dostarczają bodźców wraz z zabójczą wiedzą. A kto inny usiłował owych Wemal Daw zawiadomić o ich niezwykłości – i świat z istnienia wymazać. W dwóch razach mu się udało – dusze zawiadomionych rozmazały ciała po ścianach.

Sen, pomyślał Rozenkrontz, mój jeden jedyny sen.

– W jakim celu przybyłeś do Barden?

– Anonim – odrzekł enigmatycznie Kowenor. – Anonim do Cesarza, wyobrażasz sobie?

Rozenkrontz przyjrzał się uważnie Dziesiątnikowi. Nie tylko po to tu przybyłeś, pomyślał, a głośno rzekł:

– W czarnej kopercie?

– W czarnej kopercie. Ale nikogo po zapoznaniu się z treścią nie rozerwało na sztuki. Była tam wiadomość, że kolejna ofiara; szaleńca znajduje się w Barden. Bliższych szczegółów nie było. Od? jakiegoś czasu śledzimy te zbrodnie. Bez rezultatu. Nadszedł czas na rezultaty, Rozenkrontz.

Przez jakiś czas milczeli, po czym jakby coś nagle wstąpiło w Kowenora Krwawego. Jego oczy rozżarzył blask, który był mroczny; podniósł się z krzesła i jął spacerować tam i nazad z energią czerpaną nie wiedzieć skąd. I mówił, mówił tonem zaprawionym goryczą. Opowiedział Rozenkrontzowi koleje swego życia, jakby poczuł nagłą potrzebę spowiedzi przed tym, którego i zawsze brał za wroga. Może właśnie dlatego, że uważał go za wroga? Za wroga, który już nie był groźny, który już był zneutralizowany? Rozenkrontz jął się obawiać, czy uda mu się opuścić Zajazd Lechandyjski w jednym kawałku.

Kowenor usprawiedliwiał swe krwawe usposobienie. Okazało się bowiem, że wykonywał dziejową misję i że był narzędziem Wysokich Potęg. Nadnaturalny charakter misji nie ulegał wątpliwości, – bowiem wieść o zadaniu otrzymał młody podówczas Kowenor od swego ojca. Nie dość tego – od nieżyjącego ojca. „Widziałeś ducha swego ojca?”, zapytał Rozenkrontz, nieco zdumiony. „Ojca i nie ojca” – brzmiała odpowiedź. Postać przyjęła wprawdzie kształty rodziciela Kowenorowego, by ukazać się o północy na murach zamkowych, spowitych wilgotną ciemnością niczym pleśnią, ale – jak – i wyraził się Sędzia – nie forma była w tym przypadku istotna, lecz treść. Choć po prawdzie i forma nie pozostawała bez znaczenia, bo Kowenor szczerze nienawidził swego ojca, będąc mu jednocześnie bezgranicznie powolnym. Stosunki Kowenora z ojcem były bardzo skomplikowane; w dalekiej przyszłości schorzenie Sędziego miało dać nazwę całej rodzinie podobnych duchowych niedomogów (tzw. „Kompleks Kowenora”).

W każdym razie Widmo głuchym głosem powiadomiło Sędziego o istnieniu Wemal Daw. Zadaniem Sędziego miało być wyszukiwanie potencjalnych Filarów Świata i mordowanie ich.

„Mordowanie?”, krzyknął Rozenkrontz, mocno wzburzony. Tak, właśnie, dla dobra Sprawy. Dla ratowania świata. Kowenor był jednak ślepy jak szczenię – nie znał tożsamości Wemal Daw. Zrazu próbował formuł matematycznych, wierzył bowiem, że Język Boga jest językiem matematyki („wemal daw” oznacza „filary świata”, lecz także... trzydzieści sześć). Zadanie go jednak przerosło, zatem szybko zmienił metodę. Filarami musieli być ludzie „dotknięci przez Boga”, nieszczęśliwi, cierpiący, może nawet obłąkani. Kowenor w swym miłosierdziu skracał zatem jeno ich ból, a zarazem mylił tropy Przeciwnikowi ludzkiego rodzaju – oto misja Sędziego. Liczył, że zgładził przynajmniej kilku z grona Wemal Daw, a na miejsce każdego zabitego – w nieświadomości, rzecz jasna – przychodził na świat nowy. Świat to podłe miejsce, opływa w nieustanne nikczemności, ale zawsze znajdzie się odpowiednia liczba ludzi wartych w Oczach Boga istnienia. Kowenor Dziesiątnik otoczył się bandą morderców i oprawców i karczował łany nieszczęśliwych w majestacie prawa. A wszystko to – dla dobra ludzkości. Ludzkości zaś pozostawi Kowenor Krwawy swe pamiętniki, gdzie wszystkie swe wiekopomne myśli i czyny zanotował; nie omieszka tam również zawrzeć spotkania z Rozenkrontzem. Pamiętniki go wybielą w pamięci pokoleń, może nawet zapewnią mu nieśmiertelną sławę?

W Rozenkrontzu wzbierały mdłości – były jak przyptyw oceanu żółci, nie do powstrzymania.

– Teraz już wiem, kogo karczować, Rozenkrontz – mówił Sędzia gorączkowo. – Znam tożsamość Wemal Daw. Wreszcie przejrzałem, naprawdę przejrzałem...

– Ale oni nic nie widzą. I nie słyszą. Po co ich zabijać?

– Ten oprawca... on popełnia błąd. Zabijać trzeba. To jedyny pewny sposób. Na ich miejsce przyjdą inni, nieświadomi, niczego niepojmujący. Dam światu czas...

Rozenkrontz nie słuchał dalej. Wybiegł z izby, choć nogi pod nim drżały, jakby zasłyszane wieści poważnie podniosły ciężar jego ciała. Był już przy schodach, na wysokości portretu Cesarza z dumnie uniesioną głową, gdy kątem oka ujrzał kobiecą postać. Lecz nie opływowość jej kształtów, nie kibić, nie piersi przykuły uwagę Rozenkrontza.

Oczy.

Były pełne światła.

Myślał, że nigdy więcej nie ujrzy oczu tak rozświetlonych blaskiem nie rzucającym cieni.

Oczy kobiety, której bezwiednie przepowiedział śmierć jedyne dziecko.

Jego kobiety.

– Paola – szepnęła.

– Smutna historia – rzekł Dolsilwa między jednym a drugim haustem wina. – I to... ep...

w dwojakim znaczeniu, drogi Rozenkrontzu. Po pierwsze – nie wiem jak się z tego wypłaczesz. Po drugie – z tego nijak nie da się wykroić poematu. I to jest najgorsze.

Siedzieli w gospodzie bez nazwy, a wszystko wokół nich jakby zastygło w oczekiwaniu. Poczucie tego nieokreślonego oczekiwania było namacalne, rzeźbiarz mógłby w nim ciosać kształty jak w granicie. Dolsilwa uważał, że atmosfera brała się z umysłowego fermentu: w jego głowie; w ciasnej tej przestrzeni wre ciężka ideowa praca nad nazwą gospody. Istne kamieniołomy myśli. Wszystko wokół zamarło i oczekuje wyników, bo materia cieniem jeno jest idei. Wszystkie j istotne decyzje dotyczące kształtu doczesności zapadają „wyżej”. Na przykład w głowie poety Dolsilwy.

– Co ona u niego robiła? – Rozenkrontz operował tą frazą od dłuższego czasu; zmieniała się wyłącznie intonacja, osiągając subtelne odcienie cierpienia.

– A co mogła robić? Ech, te muzy. Rzadko one nadobne i zdojne. Prędzej obłudne i zgubne.

– Co ona u niego robiła?

Dolsilwa machnął ręką i jął przysłuchiwać się gorączkowej dyspacie czterech podchmielonych jegomościów. Dyskutowali o wyznawcach Milczącego Boga, czyli Niemotach. Jeden naśmiewał się z ich milczenia, pozostali przypisywali im liczne okropności, jakich bezjęzykowcy mieli się regularnie dopuszczać. Dolsilwa włączył się do rozmowy zasłyszana niegdyś frazą: „Milczenie jest złotem”. Ale spojrzeli na niego spode łbów, jakby dopuścił się niestosowności wymagającej regulacji w postaci upustu krwi. Dolsilwa powrócił zatem do swej ulubionej czynności – picia mianowicie.

Potem przysiadły się do nich jakieś dziewczki, bo poeta obiecał im nieśmiertelność w swych strofach, a one potraktowały obietnicę ze śmiertelną powagą.

Rozenkrontz, nawet z pewną regularnością, powtarzał:

– Co ona u niego robiła?

W takim stanie właśnie zobaczyła ich pani Paola, oficjalna nałożnica Sędziego Kowenora, powiernica skrytych jego namiętności, gdy zajrzała do nienazwanej gospody w niewiadomym zrazu celu. Ujrzała ich pijanych, obarczonych towarzystwem kobiet podejrzanej konduity i nędznej kondycji. Dolsilwa przy tym był prawie uduszony, bo próbował oddychać biustem jednej z dziewczek, który – choć obfity – nie dorównywał zasobom atmosferycznym planety.

Lecz ona przypatrywała się Rozenkrontzowi – był taki, jakim go zapamiętała. Sprawiał wrażenie człeka wymiętego. Wymięty – to najlepsze określenie. Zgnieciony przez los, poturbowany przez życie. Jego twarz taka była – zarysowana nazbyt wyraziście, a jego sylwetka – zgięta okolicznościami. Pamiętała, że wzbudzał w niej kiedyś uczucia macierzyńskie; pragnęła roztaczać nad nim opiekę, a on – kiedy to wyczuwał – zawsze straszliwie się złościł.

Pani Paola sprawiała wrażenie kobiety, która wewnętrznym spokojem potrafi gasić jak świece konflikty zbrojne oraz pomniejsze swary. Akurat w tej epoce nie było dużego

zapotrzebowania na podobne usługi.

W żadnej nie było.

– Rozenkrontz – powiedziała, jakoś tak ciepło.

– Co ona u niego robiła? – rzekł Rozenkrontz (jakoś tak miękko) na jej widok.

Rozenkrontz z trudem dochodził do siebie; zdawało mu się, że przy tym dochodzeniu pokonuje straszliwe odległości – jakby na piechotę do gwiazd się wybrał. Łeb wypełniały mu dialogi unoszących się wokół dusz lub aniołów, prowadzone najpewniej w Języku Boga.

Paola na początku nic nie mówiła, wędrowała jeno swym jasnym jak słońce spojrzeniem po tak dobrze jej znanej izbie.

– Kowenor zrobi w Barden krwawą jatkę – powiedziała w końcu.

Rozenkrontz pomyślał nagle, że nigdy nie potrafił zadbać należycie o swych bliskich, natomiast nadmiernie przejmował się losem ludzi, którzy w gruncie rzeczy nie powinni go obchodzić.

Zawsze tak było i nie bardzo wiedział, na czym polegało to przekleństwo.

– Wiem. Taki już jest ten Kowenor. Znasz go przecie. Nie usiedzi chwili bez jakiej rzezi.

Spojrzała na niego surowo.

– Zmieniłeś się.

– Niestety, świat nie zmienił się wcale. Ostatnio dużo osób oczekuje ode mnie jakichś działań, które mogłyby zapobiec kataklizmom.? Nie potrafię powstrzymać trzęsienia ziemi, Paolo. Nie gaszę huraganów. Taki już jestem. – Bardzo chciał ją zapytać, co, u diabła, robiła u tego rzeźnika. Ale nie uczynił tego. Uznał, że nie ma prawa.

– Kowenor pragnął, bym mu dała syna. Chciał przedłużyć siebie. Syn Kowenora mógłby jeno być takim samym potworem jak jego ojciec. Twój syn... nie byłby potworem.

Syn! – krzyknął bezgłośnie Rozenkrontz.

– Nie. Na pewno nie. Przecie był też twoim synem.

– Zrób coś, Rozenkrontz. Ktoś musi coś zrobić – powiedziała i wyszła w deszcz.

Pragnęła wiele rzeczy wyjaśnić, opowiedzieć. Ale nie umiała. Przed jej oczami wciąż rozgrywała się ta scena; scena, która zakorzeniła się w pamięci na zawsze i nieustannie wydawała ponury plon.

Śpiący i nieśpiący zarazem Rozenkrontz. Potworne słowa wypowiedziane bez emocji, bez drżenia. O śmierci dziecka. Potem powiedział jej o czymś jeszcze.

Kiedyś, na samym początku ich znajomości, opowiadał jej o swym dzieciństwie, o matce. Gdy był bardzo mały, nie chciał zasypiać. Nie pamiętał tego, matka mu powiedziała. Organizm zmuszał go do zaśnięcia, a on bronił się, płakał, popadał w histerię. We śnie jest coś ze śmierci – może niektóre małe dzieci to wyczuwają. Tak. Sen to zapowiedź śmierci.

Nigdy nie osądziła Rozenkrontza surowo. Znała jego grube wady. Ale Rozenkrontz nie był

potworem. Nie świadomie.

Tak. Nie przestała ciepło o nim myśleć, może nawet darzyła go jeszcze uczuciem. Ale zrozumiała, że nie potrafi już na niego patrzeć.

Rozenkrontz odprowadzał ją spojrzeniem. Chciał pobiec za nią, krzyknąć, zatrzymać. Lecz nie mógł.

Syn, powtarzał wciąż w myślach, syn.

OPOWIEŚCI MORATORA CIĄG DALSZY

Spisaliśmy z czartem ostateczną umowę. Dulea miała mi być powolną, podobnie zresztą jak znakomita większość aspektów rzeczywistości. W zamian diabeł domagał się praw wyłączności do mej duszy. Nalegał przy tym na dołączenie do umowy aneksu brzmiącego tak nedorzecznie, żem omal nie parsknął śmiechem. Umowę krwią mą błękitną podpisałem, jak to czasem bywa w bajędach ludu pracującego nadaremnie. Byłem – nomen omen – piekielnie ciekaw, jak się też czart do roboty weźmie, w jaki sposób Duleę przychylnie do mnie nastawi. Diabeł (nie chciał zdradzić, jakie jego miano, bredził coś jeno o legionach i radził nauczyć się liczyć do trzydziestu sześciu) rzekł do mnie tak: „Tym, co odróżnia człeka od bydłęcia, jest, nie licząc duszy, wolność jego wyborów, czyli wola, która jest przyczyną jego wzlotów i – częściej – upadków. Chcesz pannę zdobyć, musisz się woli na czas jakiś wyzbyć. Ja pokieruję materią twego cielska, zagram miłosne serenady na strunach głosowych, stopię serca jej lód żarem sztucznego ognia uczuć. Byś się woli wyrzekł, musisz taką wpierw wolę wyrazić. Niełatwo być lalkarzem człecznych członków. Ludzie to nie świny, w które wniść i wyjść mogę w każdej chwili. Nawet w stado całe”.

Spojrzałem mu w oczy, które były otchłanią. Nie dało się z nich nic wyczytać. Ale umowa spisana, więc chyba nie kłamał. W końcu wyraziłem zgodę.

Kiedy wniknął we mnie duchem, porzuciwszy pierwej w kącie skorupę własnej doczesności, wrażenie było straszne. Poczulem jego jaźń realnie, jakby nagle obte i ośliżte cielsko owinęło mi się z jaszczurzą zwinnością wokół duszy! Przez krótką chwilę zalał mnie potokiem swych niewyobrażalnych wrażeń, od których omal nie doznałem pomieszania zmysłów. Może był to przypadek, lecz ja myślę, że nie...

Morator zbladł. Dłoń zaciśnięta na nędznej imitacji pucharu drżała; zaciskał mocniej – aż białąły kości. Dolsilwa przypatrywał się scenie ze zdumieniem. Nie spodziewał się takich emocji po wyniosłym szlachetce.

– Czy ktoś z panów wie, gdzie jest szlachetna pani Paola? – Młody człowiek w podróźnej pelerynie, przemoczony i utopiony w błocie, usiłował przebić się przez gwar głosów. – To dziwne, lecz widziano, jak tu wchodziła.

Dolsilwa przywołał go gestem.

– Usiądź z nami, chłopcze. Napij się wina, posłuchaj zajmującej opowieści szlachetnie urodzonego Moratora. Odpocznij, bo widzę, żeś strudzony.

Przybysz był posłańcem, z ramienia zwisała mu skórzana sakwa.

– Obowiązki mi nie pozwalają, panie. Od trzech dni jadę śladem Sędziego Kowenora i pani Paoli. Wiozę list dla tej ostatniej. – Co powiedziawszy, posłaniec mocniej przycisnął do siebie sakwę.

– To co innego – rzekł Dolsilwa, ujrzawszy wzbierającą w Moratorze niecierpliwość. – Obowiązkowość to cnota kardynalna. Dobrześ trafił, bo znam panią Paolę i wiem, gdzie możesz ją teraz znaleźć. Akurat odwiedza mego przyjaciela, niejakiego Rozenkrontza. Budę, którą zamieszkuje ów osobliwy osobnik, znajdziesz przy ulicy Trzech Zwiędłych Wiązów.

– Dzięki, panie! – krzyknął młody posłaniec i tyle go widzieli.

Morator podjął przerwany wątek.

– *Nie, nie był to przypadek. Ujrzałem albo poczułem... piekło! Trwało to nie dłużej niż mgnienie oka. I nie krócej niż wieczność. Wystarczyło, by zmrozić mnie na wieki wieków.*

Piekło to śmiertelny mróz, Dolsilwa! Nie ogień trawi tam duszę, lecz zimno wszelkich braków, zło niespełnień, zastoju, bezradności, oczekiwań daremnych, bezruchu. Tęsknoty – sam nie wiesz za czym. Na duszy osadza się szron bezmyśli, o którym nie możesz przestać myśleć, beczucia z mocą odczuwanego...

Zamrożone dusze, Dolsilwa. Dusze są chyba pozbawione kształtu i fizycznych właściwości, ciężaru... Są tacy, co mówią, że dusza jest energią albo formą... A tam... tam zdawało mi się, że widzę właśnie zamrożone dusze. Każda zastata, ustalona w kształcie... Kształcie jak najbardziej odrażającym, być może wyrażającym najpełniej grzechy popełnione za życia...

Dolsilwa poczuł nagle, jak zalewają go fale wyśmienitych rymów, przyboje geniuszu. Czuł uniesienie, a dzika żądza tworzenia czegoś z niczego – czyli poezji z jego umysłu – brała go w swe posiadanie. Zerwał się z ławy i – zostawiwszy zdumionego szlachcica – podskoczył z nadprzyrodzonym wigorem do gospodarza.

– Wina, gospodarzu – rzekł. – Ta karczma... Rym się nazywa!

I już był z powrotem. W myślach układał poematy, a jednocześnie słuchał Moratora. Czuł, że może czynić równocześnie wszystko – dziewczki chędożyć, układać wiersze, słuchać, gadać, pić wino, pojedynkować się sztychami ostrych wersów o muzy tego świata. Na wszystko znalazłby czas.

Czas, Dolsilwa. Zamrożony czas. Czas utracony. Tysiąclecia... szubrawiec! Dał mi posmakować piekła, bym wiedział, co tracę wraz z duszą. By życie smakowało gorzko, bym poczuł nicość doczesności, daremność i śmieszność tutejszych mych przewag...

Morator znów przerwał. Wydawał się być zmęczony, czy też może nawet udręczony? Dawna

pewność spojrzenia zwiędła. Teraz jego oczy przepelniała gorzka, bo spóźniona mądrość. A mądrość zawsze oznacza brak pewności czegokolwiek. Poza tym może, że niczego się nie wie.

I tak utraciłem panowanie nad własnym korpusem. Diabeł panował nade mną, a ja byłem świadkiem jeno. Nawiedzaliśmy Duleę; diabeł zdobywał jej przychylność mistrzowsko i stopniowo. Mówił dokładnie to, co niewiasta pragnęła usłyszeć. Nawet ja dostrzegalem teraz wyłomy w jej fortyfikacjach – pobożność Dulei była w istocie samolubstwem, a o świętość przyspariała ją obawa przed światem. Tak naprawdę nie przejmowała się szczególnie losem biedaków, o których uwielbiała rozprawiać z tak nabożnym smutkiem i skupieniem. Czart moimi usty rozwodził się nad losem żebraków, snuł nawet odległe plany reform społecznych; do zbożnych czynów jednak nie dochodziło, bo nie mogło dojść. I tak, dyskutując namiętnie nad poprawianiem świata, znaleźli się pewnej upojnej nocy w łóżnicy. Wówczas czart oddał mi kontrolę nad ciałem. Posiadłem Duleę i natychmiast pojąłem, że me zwycięstwo jest zarazem najdotkliwszą klęską! Kochałem Duleę niedostępną i niezrozumiałą. Dulea w łóżnicy była jak najbardziej dostępna i zrozumiała, bo w mroku sypialni jest najjaśniej. Mało tego – jej tajemnica okazała się banalem! I cóż mi z takiego triumfu nad Bogiem, skoro tak naprawdę triumfu żadnego nie było? Dulea jeno uzurpowała sobie prawa do miana Jego oblubienicy. Bóg, choć wszytkowiedzący, najpewniej nic o tym nie wiedział. Zdobyłem coś, co nie miało żadnego znaczenia...

– Wspominałeś, zdaje się, panie, coś o aneksie do umowy... – wtrącił Dolsilwa.

– To głupstwo. Nie ma o czym gadać. Skoro jednak nalegasz...

Ulica Trzech Zwiędłych Wiązów. Kręcił się po okolicy od dłuższego czasu. Trzeba zakończyć tę sprawę. Uczynił, co było w jego mocy. Nikt nie mógł wymagać więcej. Nawet Bóg. Był teraz śmiertelnie znudzony. Nie, to złe określenie. Śmierć jest odpoczynkiem.

Od jakiegoś czasu z trudem znosił napięcie, w jakim żył od lat. Brzemień było coraz cięższe, uwierało, niszczyło go. Postępował lekkomyślnie, z niepotrzebną brawurą, jakby podświadomie szukał śmierci. Misja. Misja trzymała go przy życiu. Ale śmierć wzywała.

Zacisnął dłoń na rękojeści topora. Przytroczone do pasa narzędzia – szpikulec i pałka – zdawały się ciążyć bardziej niż zwykle.

Ciekawe, czego dziś użyję? – pomyślał z jakąś ponurą ironią.

Narzędzia. Sam też był jeno narzędziem. Nieco może bardziej wyrafinowanym.

– Policzę do dziesięciu i ruszam – szepnął w ciemność. Spojrzał na dłoń. – Do dziewięciu.

Jakiś czas temu domostwo Rozenkrontza opuściła pani Paola. Widział przez jasno oświetlone okno Rozenkrontza, przechadzającego się niecierpliwie po izbie. Rozenkrontz gadał do siebie.

Tak naprawdę Rozenkrontz nie gadał do siebie; przemawiał do Boga.

Bóg – jak zwykle – milczał. Nie ma pewności, czy słuchał.

NIEWIELKA IMPROWIZACJA ROZENKRONTZA

Jeśli rzeczywiście jesteś wszechmocny i wszechwiedzący, to ja nie jestem wolny. Ani ja, ani nikt inny. Z góry przewidujesz nasz los; darzysz łaską albo nie. Jedni z nas trafią do Królestwa, inni – pogrążą się w otchłani. Bo Ty tak chcesz!

Jeśli jesteśmy wolni, jeśli decyduję za siebie, to Ty nie jesteś wszechmocny i niewiele o mnie wiesz. Nie znasz moich myśli i nie wiesz, co za chwilę uczynię. Więc co z Ciebie za Bóg?

Jeśli jesteś wszechmocny i wszechdobry, jak wielu powiada, to dlaczego mój syn nie żyje? Dlaczego pozwalasz komuś oślepiac biedaków, których sam rzekomo wybrałeś na Filary Świata? Po co obdarowałeś mnie garbem ślepej wszechwiedzy?

Czy wycofałeś się ze swej wszechmocy i wszechwiedzy, by obdarować nas wolnością? Gorzki to dar. Nie wiedziałeś, jaki uczynimy z niego użytek? Czy rzeczywiście tak mało wiesz o własnym dziele? O ciemności, która w nas zalega? O złu nas trawiącym? O tym, że czego byśmy się nie tknęli, to zawsze przynosi więcej krzywdy niż pożytku; więcej krwi niż chleba? Czy to nasza wina? Czy Twoja?

A może Twe wycofanie się z wszechmocy jest równoznaczne z wycofaniem się z wszechdobroci?

Nie pragnę już niczego. Chcę nicości, Panie. Chcę umrzeć i szczeznąć w niebycie. Ześlij mi beczucie i... ciszę. Nie chcę nagrody ni kary. Spopiel mą duszę tak, by nawet pamięć o mnie nie przetrwała...

I gadałby tak Rozenkrontz długo, czerpiąc napęd z rozżalonej duszy, lecz ktoś mu przerwał swym niespodzianym nadejściem. Nie kto inny to byt, jeno posłaniec skierowany na ulicę trzech Zwiędłych Wiązów przez Dolsilwę.

– Pan Rozenkrontz? – zapytał młodzik.

– A kto pyta?

– Ten nie błądzi.

– Długie imię.

– Szukam pani Paoli. Mam dla niej ważne wieści.

– Co za wieści? – W Rozenkrontzu wykiełkował, niejasny zrazu, niepokój. – I od kogo?

Posłaniec przycisnął sakwę do piersi.

– Pokaż choć kopertę.

– Nie mogę. Etyka zawodowa.

– Ho, ho. Wysokie rejestry. Napijesz się wina, chłopcze? Panna Paola nie zajac, nie ucieknie.

Wino nie kobieta – nie zaszkodzi.

– Chcesz mnie podejść, panie? Pismo zabrać? – Posłaniec z wolna wycofywał się ku wyjściu, lecz Rozenkrontz postępował za nim.

– Skąd te podejrzenia? Ta... koperta. Czarna? Powiedz mi tylko, czy czarna.

– Tak. Czarna jak noc.

– Jak piekło. Wiesz, co dzieje się z posłańcami dostarczającymi złe wieści? Nie oddasz tego listu.

– Czas już na mnie.

– Kto wysłał wiadomość?

– Nikt.

– Jak to: nikt? Ktoś przecie musiał...

– Nikt. Tak się przedstawił.

Czas zając się wreszcie kimś bliskim, przemknęła myśl przez ciężki łeb Rozenkrontza dokładnie w tym samym momencie, gdy rzucał się na posłańca. Lecz ten był młodszy, szybszy, silniejszy. Rozenkrontz twardo wylądował na ziemi, lecz i młodzik nie uszedł daleko. Po chwili leżał obok, martwy, z paskudnie rozłupaną czaszką. Ktoś trzeci i zupełnie nieoczekiwany pojawił się w domostwie. Gospodarz ujrzał go w ostatnim błysku świadomości i nawet zdążył się zdziwić – był to Topór Kowenora.

– Nie dostarczysz już żadnej wiadomości – rzekł kat z wąskim uśmiechem na oszczędnych ustach.

Potem w umyśle Rozenkrontza zapadła na jakiś czas błogosławiona ciemność. Przyjął ją z wdzięcznością.

– Zatem o co szło z tym aneksem, panie? – dopytywał się nachalnie bardzo już pijany Dolsilwa.

Z zewnątrz dochodziły ich rytmiczne stukoty – pacholek przybijał szyld z nową nazwą gospody.

– Doprawdy nie ma o czym mleć ozorem, wierszokleto. Ot, diabeł może mi za życie wyrwać duszę w takim jeno wypadku – wystaw to sobie, Dolsilwa – gdy po drodze kocie łby się potoczą.

– Hm... – zdziwił się poeta. – I to wszystko?

– No, nie. Ale już te kocie łby są dziwne.

– Widywałem dziwniejsze zdarzenia. Podobno Bezimienny Kat z Kaltern ćwiczył na kurczakach. Dużo łbów kurzych wałało się po gościńcach wokół zamku. No albo ten szaleniec, co przed laty umieszczał na gościńcach ludzkie czerepy. Ale, ale, były jeszcze jakie warunki?

– Jeden.

– Też taki głupi?

– Głupszy jeszcze...

Rozenkrontz lekki był jak piórko. Jakby pozbył się wszelkich balastów. Podróżował po świecie tak szybko, że krajobrazy zlewały się w kolorowe smugi, a horyzonty nie nadążały z formowaniem się przed jego wzrokiem-niewzrokiem. Aż nagle znalazł się w punkcie wyjścia – to go zastanowiło. Czyżby ziemia była okrągła? – pomyślał i dopiero jawny absurd tego mniemania przywrócił go rzeczywistości. Ale rzeczywistość też nie wyglądała dobrze. Rozenkrontz spoczywał na podłodze, obok stygł trup doręczyciela złych wiadomości. Na ławie zaś siedział posępny Topór Kowenora i ciężko opierał się na narzędziu zbrodni, którym był oczywiście katowski topór. Oblicze miał dziś bardziej zwężone niż zwykle, co mogło być oznaką frasunku lub migreny. Rozenkrontz postawił na to pierwsze.

– Nie musiałeś go zabijać. – Rozenkrontz spróbował wstać; wówczas świat znów objawił kulistość swego kształtu i gospodarz domu postanowił jeszcze trochę sobie poleżeć. – Nigdy nie zabijaj posłańca.

– Niczego nie pojmujesz, co, Rozenkrontz?

– Nie pojmuję? Czego mianowicie? – Wtedy zerknął na ręce kata i dostrzegł ubytek małego palca w prawej dłoni. – To ty?! Więc to ty... Dlaczego? Byłeś narzędziem, tak? Narzędziem Boga?

– Dlaczego tak mniemasz?

– Nietrudno się domyślić. Bóg ma tu gdzieś w okolicy chyba jakiś warsztat. Same narzędzia. I wszystkie do naprawy świata.

– Nie wiesz wszystkiego.

– Nie jestem Bogiem. I nie wiem, czy jestem ciekaw.

– A jednak ci powiem. Pamiętasz tamte zbrodnie przed laty w okolicach Barden? Te głowy ścinane i zostawiane na gościńcach... Widzę, że pamiętasz. Kowenor skazał owego biedaka, co próbował się wymknąć Boskiemu Powonieniu. A ty publicznie upokorzyłeś Sędziego.

– Po co mi o tym opowiadasz? – W Rozenkrontzu narastał niepokój, którego źródła na razie nie dostrzegał.

– Racja była wtedy po twojej stronie, Rozenkrontz. To nie tamten biedak o pomieszanych zmysłach zabijał...

– Mianowicie... – Morator jakby się odprężył, może wino zrobiło swoje, może wizja piekła wydała mu się w tym momencie bardzo odległą perspektywą? – mianowicie czart może odebrać mi duszę w jednym jedynym miejscu...

– Jakim miejscu? – dopytywał się Dolsilwa.

– Iw tym sęk. Takiego miejsca nie ma. Sprawdziłem.

Gdzieś całkiem blisko miauknął przeciągle kot, aż obaj się wzdrygnęli, bo pomyśleli o tym

samym – o kocich łbach toczących się po drogach i gościńcach świata.

– Nazywa się jakoś? – indagował poeta.

– Kto? Co?

– No, to miejsce.

– Zatem i w tej zbrodni maczałeś swoje dziewięć palców. Ty pozbawiałeś czerepów tych wszystkich nieszczęśników... – Rozenkrontz był już zmęczony, bardzo zmęczony. – W jakim celu?

– To nie ma już znaczenia. Ważna jest misja...

– O, taaak. Trzeba świat ratować. A może rzeczywiście należałoby ten świat oddać do warsztatu, co, Toporze Kowenora?

– Nie kpij, Rozenkrontz. Jak już mówiłem, nie wiesz wszystkiego. Może to, co teraz usłyszysz, zmieni i ciebie, i świat wokół ciebie. – Kat podniósł się z ławy i jął przechadzać po izbie. Topór został na stole, co nie umknęło uwadze Rozenkrontza. – Dlaczego nie zapytasz, skąd znałem imiona owych... Filarów Świata?

– Rym! Wyobrażasz sobie, Dolsilwa, Rym. Jeno kompletny głupek mógłby wymyślić taką nazwę dla jakiegokolwiek miejsca! – śmiał się gromko Morator.

Dolsilwa wytrzeźwiał.

– Prawie mnie wtedy dostałeś, Rozenkrontz. Czułem na karku twój oddech. Więc postanowiłem cię zabić. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak blisko byłeś śmierci. Siedzieliście w karczmie z tym poetą... Dolsilwa i piliście na umór. Ona gadał o muzach, a ty... mamrotałeś coś o śledztwie, które niebawem zakończy się sukcesem. O śledztwie w mej sprawie. Byliśmy ostatnimi gośćmi – wy dwaj i ja. Karczmarz na moment gdzieś wyszedł, a poeta postradał przytomność. Podszedłem do ciebie... pamiętam to jak dziś... Już zamierzałem przeszyć cię sztyletem, gdy... Przemówiłeś drewnianym głosem natchnionego wróża. Nie, to nie było pijackie mamrotanie, wyrażałeś się jasno, a nawet dobitnie. Nie mogłem nie dać ci wiary...

– Nie – szepnął Rozenkrontz, – Nie...

– Roztoczyłeś wizję, która nadała sens memu życiu. Opowiedziałeś o Wemal Daw i o misji ratowania świata. Podałeś siedem imion, Rozenkrontz. Siedem. Nająłem się do pracy u Kowenora, bo był to najprostszy sposób uniknięcia odpowiedzialności i zejścia z widoku. Kompetencje potwierdziłem łatwo. Jak wiesz, miałem pewne doświadczenie w ścinaniu głów... Kiedyś widziałem nawet Bezimiennego z Kaltern, zatem otarłem się o szczyty finezji...

– Nie...

– Co ci, Dolsilwa? – Morator klepnął jowialnie poetę w plecy. – Życie przed nami, piekło daleko!

– Piekło... – Szlachcic aż wzdrygnął się na dźwięk tego głosu. Dolsilwa uniósł głowę i ujrzał mężczyznę, który nie tak dawno odwiedził Rozenkrontza, przynosząc z sobą chłód. Nadal nosił się z czarna. I kpiąco uśmiechał. – Piekło, drogi Moratorze, jest we mnie.

– Czego chcesz?! Umowa! – krzyknął Morator. Jego pewność siebie gdzieś się ulotniła. W gospodzie zapadła cisza, wszyscy chłonęli niezwykłą scenę. A był to dopiero początek niezwykłości.

– Nasza umowa zostanie niebawem sfinalizowana.

– Żarty!

– W pracy nie żartuję.

– A teraz poznałem tożsamość ósmej Sprawiedliwej. Kto by się spodziewał? Nałożnica Kowenora...

– Nie mów tak o niej.

– Moja misja nie jest zakończona.

– Nie zrobisz tego. Nie tym razem.

– Muszę. Przecie jestem Narzędziem Boga. – Kat odwrócił się do Rozenkrontza plecami, jakby go prowokował.

– Mylisz się. Musisz się mylić – szepnął Rozenkrontz. – Inaczej już nic nie ma sensu.

Sięgnął po topór spoczywający na stole. Czy to możliwe, że kat o nim zapomniał?

– A Rym? A kocie łby?! – Morator poderwał się z ławy.

– Jesteśmy... gdzie jesteśmy – Nieznajomy uśmiechnął się do Dolsilwy. – Co do kocich łbów... – Przymknął oczy i zastygł w teatralnej pozie; nagle rozwarł źrenice i pstryknął palcami.

– Już!

Dokładnie w tym samym momencie przy wejściu do gospody „Rym” wrzawa wybuchła i podniósł się rwetes. „Lawina”, krzyknął ktoś, „Kocie łby”, zawtórował kto inny. Okazało się, że padający od wielu dni deszcz naruszył okoliczne drogi, wypłukał zaprawę i wyłuskał z niej kamienie. Kocie łby potoczyły się z ulicy Górnej, a lawina poczyniła liczne szkody.

Jednak najbardziej poszkodowanym okazał się szlachetnie urodzony Morator.

Rozenkrontz uderzył w plecy; topór uwiązał w ciele kata. Oczy mężczyzny zastygły w wyrazie... ulgi?

Przedwczesna to ulga. Nic się nie skończyło. Nigdy się nie kończy.

Kat czuje coś na kształt podmuchów wiatru, którego Rozenkrontz czuć nie może. To Kwizad, Wiatr Przeznaczeń, Wicher Losów. Jego wpływu doznać mogą jeno uwolnione od ciał

dusze. Kwizad pokonuje czas i przestrzeń, a dusza kata – wraz z nim.

Topór Kowenora patrzy więc na siebie, tyle, że młodszego. Jest wątłym, może dziesięcioletnim chłopcem. Nosi dawno zapomniane imię – Sedar.

Dziedziniec Zamku Kultem, wieża zwana Samotną wskazuje na niebo. Jesień. Chłodny wiatr pędzi ciemne chmury.

Nienaturalnie blady, wysoki mężczyzna o starannie wypielegnowanych dłoniach trzyma chłopca za rękę. Dłonie chłopca wypielegnowane nie są. Przed chwilą obcięto mu palec – pogładowa lekcja cierpienia.

To hrabia Morten.

Na dziedzińcu zmalretowana kobieta kładzie głowę pod topór, bo taki jest kaprys hrabiego. Wyraz jego filozofii życiowej.

„Zobacz, chłopcze – mówi Morten swym melodyjnym głosem – oto jest sens wszystkiego. Zapamiętaj – wszystko zaczyna się i kończy cierpieniem”. Chłopiec zapamiętuje tę lekcję. Zapamiętuje bardzo dobrze. Na całe życie.

Bezimienny Kat celebrowa egzekucję. Mimo zdeformowanych członków porusza się z pewną gracją. Sedar rozpoznaje w wycieńczonej kobiecie swą matkę. Wokół cieszą się, bo muszą, poddani Mortena; chłopiec obserwuje ich twarze i zapamiętuje każdy rys. Jeszcze się spotkamy, myśli. I rzeczywiście.

Sedar wewnątrz jest rozdarty – czuje rozpacz, ból pierwszej i nie ostatniej straty. Ale również fascynację. Widowisko porusza w nim jakąś głęboko ukrytą strunę; strunę, na której w przyszłości grać będzie tylko jeden utwór – requiem. Teraz wchłania w siebie potężną dawkę cierpienia, by potem obdarowywać nim szczerze ludzkość.

I kiedy mścił się po kitach na wszystkich uczestnikach egzekucji, czuł jeno ulgę, bo ciężar zgromadzonego bólu był nie do zniesienia. Obcinał tym głupcom tły i zostawiał na gościńcach – niech się toczą, niech toczą się, jak toczyła się głowa jego matki, jak toczy się świat cały.

To jeszcze nie koniec. Teraz widzi siebie kastrującego zmysły bliźnim. Ich oczy. Pełne zadziwiającego blasku, jestem jak noc, mówi do siebie kat. Czymże byłoby słońce beze mnie?

Kwizad dmie mocniej. Dużo mocniej. Trzeba się spieszyć. Ale dokąd?

I ten chłód. Dlaczego jest tak zimno?

Szlachetnie urodzony Morator o nieugiętym – dotąd – spojrzeniu najpierw zbladł, a dopiero potem rozpekł się z dziwnym mlaśnięciem jak przejrzały owoc.

Mieszkańcy Barden długo wspominali to wydarzenie – po latach obrosło legendą i mało kto już wierzył w tę historię, choć była przecie prawdziwa. Szczątki Moratora zbierano przez wiele dni, a odnajdywano je w nieoczekiwanych miejscach.

Tuż po śmierci Morator poczuł się lekki jak piórko. A w istocie był nawet jeszcze lżejszy.

Wszystko widział teraz z niezwykłą wyrazistością; w jednej chwili pojął wiele rzeczy, cudownym wprost sposobem. Doczesnym swym szczątkom walającym się po gospodarze przyjrzał się z pobłażaniem; tak mógłby przyglądać się pozostałościom po kokonie świeżo wykluty motyl.

Nagle jego uwagę przykuło hipnotyzujące światło, fascynujące, wabiące. Morator pomyślał, że to nic innego, jeno Boża Iluminacja. Bóg jest miłosierny, Bóg wybacza, nawet takim grzesznikom jak Morator.

Zatem ruszył ufnie lotem koszącym w stronę światłości, lecz naraz zrozumiał, że to jeno wąły blask kaganka wyolbrzymiony jego, czułymi teraz nad miarę, zmysłami-niezmysłami. Dusza Moratora zachowywała się niczym ćma, mimo że nieporównywalnie wyżej stała w hierarchii bytów.

A potem coś jęło ją ciągnąć z siłą nieodpartą. Była jak źdźbło porwane nurtem wezbranej rzeki; wszystko już przesądzone. I poczuł Morator, a raczej dusza jego, strach, który był niczym ukłucie śmiertelnego chłodu.

Tak.

Chłodno.

Nieznane metafizyczne pływy ciągnęły Moratorową duszyczkę wprost w czarną otchłań, zda się – bez dna. Im bliżej tej otchłani zachłannej, tym bardziej przypomina oko. Czarne wprawdzie, ale jednak oko.

– Coś mi wpadło do oka – powiedział nieznajomy (którego niektórzy nazywali Trzydzieści i Sześć, a inni Legionem) do oniemiałego Dolsilwy. – Kto wie, może jeszcze się spotkamy? Jestem wielbicielem pańskiej poezji.

Sędzia Kowenor postradał życie tego samego dnia, co jego Topór. Znalezione go w izbie Zajazdu Lechandryjskiego, zespolonego w jedność z krzesłem, znieruchomiłego w groteskowej pozie, z – nomen omen – toporem wbitym w czaszkę. Sędziowska obstawa zaspąła; mniemano, że ktoś ich uśpił. Na wszelki wypadek skazano na ścięcie kucharza, lecz ten – szczęśliwie – umknął niesprawiedliwej sprawiedliwości. Podejrzanie padło na sędziowskiego kata, wskazywało na to choćby narzędzie zbrodni. No i fakt, że zniknął i słuch o nim zaginął.

Odnaleziono pamiętniki Sędziego, którego sprytnie dobrane i ogłoszone publicznie fragmenty kompromitowały go jako szaleńca, judzącego do licznych pogromów na Bogu ducha winnych innowiercach. Kilka ostatnich stron pamiętnika ktoś usunął. Również w środku dokonano cenzorskich zabiegów – plotki głosiły, że w miejscach, w których Kowenor przywoływał opinie samego Cesarza. Oczywiście rzekome opinie.

W każdym razie plotki na temat wyznawców Boga Milczącego na jakiś czas przycichły. Na jak długi jednak?

Przed wyjazdem z Barden Rozenkrontz udał się na miejski cmentarz, gdzie właśnie chowano doczesne szczątki Sędziego Kowenora. Nie było prawie nikogo.

Tylko Rozenkrontz.

I Paola.

– Co zamierzasz teraz uczynić? – zagadnął ją po pogrzebie.

– Słyszałam o chłopcu, który mądrzejszy jest od uczonych w piśmie. Pragnę go zobaczyć. I posłuchać. – Po chwili milczenia zapytała: – To ty go zabiłeś, prawda?

Nie czekając na słowa Rozenkrontza, odwróciła się i odeszła. Wciąż nie mogła na niego patrzeć. Choć to nie jego wina, że przewidział śmierć ich syna. Ani to co przepowiedział chwilę później. Że Paola zostanie nałożnicą Sędziego Kowenora po to, by chronić niewinnych. Cóż, każdy jest łamany kołem własnego żywota.

Rozenkrontz chciał zapytać Paolę, czy to nie ona uśpiła przyboczną straż Kowenora. Uznał jednak, że to niemożliwe.

Przypomniały mu się słowa zleceniodawcy: „Najważniejsze – kto za tym wszystkim stoi. Kiedy ustalisz, czyja jest idea tej odrażającej zbrodni – rozgłoś to wszem i wobec”.

Uśmiechnął się gorzko. Bo sam nie wiedział – czy w transie przewidywał jeno to, co nieuchronne, czy też przewidywaniem swym nakręcał spiralę makabrycznych zdarzeń?

Zaraz nawiedziła go inna refleksja. Słowa Pustaka o demonie...

– Jego zamiary to zasłona w zasłonie... – szepnął. – Siła, która chcąc zło czynić, czyni dobro... Albo...

Albo odwrotnie?

A jeśli jemu wcale nie zależało na tym, by zgładzić Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych – myślał Rozenkrontz. – Jeśli chodziło o to jeno, by zmniejszyć ich liczbę? I to było moje zadanie – w odpowiednim momencie powstrzymać szaleńca. Dobro, które nie jest dobrem. Demonom nie zależy na unicestwieniu świata, jeno na psuciu go. Świat stał się przez to trochę gorszym miejscem. Ubyło dwóch Wemal Daw. Dwóch – w Cesarstwie. A może gdzie indziej – więcej... Ilu ich teraz jest? Ilu usprawiedliwia świat przed Bogiem?

Zajrzał po raz ostatni do domu, spojrzął na panujący tu nieład. Brak kobiecej ręki. Nie omieszkał spalić czarnej koperty zaadresowanej do „Szlachetnie urodzonej Pani Paoli”.

Spakował, co niezbędne i udał się na bardeński rynek. Po drodze zauważył, że deszcz przestał padać. Niebo przetało się, po bezkresnym błękitnie leniwie wędrował ledwo jeden biały obłok. Rozenkrontz pomyślał, że może to Bóg wywiesił białą flagę, znak pokoju. Uznał to za dobry omen.

Mógł się oczywiście mylić.

Na bardeńskim rynku odnalazł studnię i wrzucił do czeluści trzydzieści pięć srebrników, bo

zwykł zwracać długi.

Miał nadzieję, że nie będzie to oznaczało trzydziestu pięciu powrotów do Barden.

Jedną monetę zatrzymał.

Na tę jedną – zasłużył.

Jądro światłości

A światło świeci w ciemności

Ewangelia według św. Jana

Arneb, cesarski doradca, dyskretnie przemykał (co przy jego tuszy było ekwilibrystyką) korytarzami zamku Gomoren, letniej siedziby Cesarza lechandryjskiego. Wszędy na ścianach, kobiercach i dywanach królował motyw Kobiety Bez Włosów Łonowych, cesarskiego godła, w różnych aspektach i ujęciach. Wielu artystów z różnych epok eksponowało nieszczęsną postać na cesarskie zamówienie. Wielu o tym marzyło, bo takie zamówienie, bez względu na wartość artystyczną, bywało zamówieniem życia. Z pewnych powodów nazywano je „Złotym Kiczem”. Jeden wizerunek Bezwłosej Matrony wybijał się jakością artystyczną. Był to portret sprzed dwustu lat, nieznanego malarza; kobieta z obrazu odznaczała się tajemnym półuśmiechem, ni to ironicznym, ni rozmarzonym. Interpretacje znaczenia uśmiechu rychło wyrodziły się w nadinterpretacje.

Gdy wszedł do Komnaty Sekretów, wąskiego prostokąta o podwójnych ścianach nieprzepuszczających dźwięków, Cesarz już czekał. Siedział na jednym ze swych trzystu tronów, rozparty, z wyдутym brzuchem. Zlustrował Arneba niechętnym spojrzeniem, cesarskie obowiązki były mu dziś nie w smak.

– Cóż mi dziś doradzisz, Arnebie? – ziewnął.

Arneb padł na kolana, a następnie doczołgał się do stóp cesarskich, by je ucałować. Taka czołobitność, dopuszczalna etykietą, choć nadmierna, oznaczała, że Arneb ma złe wieści do przekazania.

– Wasza Cesarska Mość, Słońce Lechandryjskiej Ziemi, Pogromco Niewiernych...?

– Wystarczy. Nie każe cię ściąć. Co tam niedobrego?

– Nasi szpiedzy donoszą, że operacja „Cięń Szczura” przynosi pożądane przez Waszą Cesarską Mość rezultaty.

Cesarz rozpromienił się.

– Zaraza powoli rozprzestrzenia się w Barden. Zarażone szczury zostały przez naszych ludzi dostarczone.

– Kara Boska wreszcie dotknie tego aroganta Sorma Bezpalecznika – rzekł Cesarz w uniesieniu. – A ponieważ wiadomo powszechnie, że w żyłach lechandryjskich cesarzy płynie krew boska, kara jest sprawiedliwa... Ludzi odpowiedzialnych za ów akt boskiej dywersji należy, tak jak to ustalaliśmy, bezwzględnie zabić.

Mogli się zarazić, a nadto wiedzą o wiele za dużo. Czy już wykonałeś rozkaz?

Armeb skulił się w sobie.

– Zlikwidowano wszystkich... z jednym wyjątkiem, Wasza Cesarska Mość. Niejaki Golamir zwany Podlewką, łotr bez serca...

– Lubimy takich... – mruknął Cesarz. – Lecz nie do tego stopnia, by ich utrzymywać przy życiu...

– Wymknął się, bo został wybrany do innej misji zleconej przez Waszą Cesarską Mość. Gołgoran go najął...

– Co?! – ryknął Cesarz.

– Wybacz, Najjaśniejszy. Wasza Cesarska Mość nakazała pozostawić Gołgoranowi całkowitą swobodę w doborze... współpracowników...

– Głupiec – wycedził chłodno Cesarz. – To naraża na szwank delikatną misję Gołgorana. Twe niedopatrzenie jest karygodne, Armebie, doradco mój. Ale, jako rzekłem, głowy nie stracisz...

Gołgoran był wściekły, lecz nie pokazał tego po sobie. Zeskoczył z wierzchowca, pochylił się nad ziemią. Nabrał w dłonie piasku i jął przesypywać z jednej na drugą. Za każdym razem przesypywał mniej – piachu gdzieś ubywało.

Oto metafora życia, pomyślał. Odebrał dość wszechstronne wykształcenie, które nigdy do niczego mu się nie przydało.

Weron podszedł do niego na trzęsących się nogach. Pozorny spokój Gołgorana nie zwiódł go; znali się od lat i nie byli zachwyceni swymi znajomościami. Czasem los tak układa dzieje.

– Podlewka i Nowy wrócili... – rzekł Weron. – Oni...

– Jałowa ziemia – przerwał mu Gołgoran. – Nawożona padliną, podlewana krwią. Tu rodzi się śmierć jeno.

– Oni... Psia krew! Mamy dwa następne nawrócenia. Jeśli tak dalej...

Gołgoran podniósł się na nogi i otrzepał z kurzu.

– Wieszcza? – zapytał.

– Wieszcza. I wznoszą modły. Za nas.

Gołgoran ruszył powoli wzdłuż szpaleru jeźdźców, który topniał z dnia na dzień; zostało dwunastu ledwo. Będzie jeszcze mniej – wiedział o tym. Patrzył na twarze swych ludzi otoczone szczecina, jakby szerniały. I oczy błyszczące obłędem. Niewiele im brakowało. Gdyby nie obiecane złoto...

– Jesteśmy blisko, panowie! – krzyknął Gołgoran, ale jego głos porwał wiatr i zaniósł w nieznane. – Złoto nasze!

– Wszyscy gardło dacie... – rzekł ktoś z końca szpaleru. Gołgoran znał ten głos.

– Wieszczysz, Podlewka – westchnął. – Niepotrzebnie ty wieszczysz... Fałszywe świadectwo

dajesz...

Zobaczył ich – o dwa nieszczęścia więcej w i tak niezbyt szczęśliwej scenerii. Obaj wychudli, a oczy błyszczały im chyba bardziej niż reszcie. Rynsztunek walał się u stóp. Nowy bazgrał coś patykiem na piasku, ale dla Gołgorana równie dobrze mógłby pisać po wodzie. Twarz Nowego przecinała paskudna szrama niewiadomego pochodzenia. Pewnego dnia pojawił się wśród kompanów ze świeżą blizną na gębie i rzekł, że teraz jego oblicze wygląda jak nowe. Od tej pory jego prawdziwe imię poszło w zapomnienie. Gołgoran zastanawiał się – skąd, u licha, wzięło się miano Podlewki? Nie mógł sobie przypomnieć. A sam Podlewka wyglądał rzeczywiście paskudnie. Czuł się źle od kilku dni, trawiła go gorączka, rzygał.

– Zbierać rynsztunek i w drogę – rzekł Gołgoran ze spokojem, który mógł zmrozić ocean.

– Wszyscy dacie gardło – powtórzył Podlewka. – Z jednym wyjątkiem. Gołgoran żyć będzie. Lecz i on niedługo. Zbliża się mór. Śmierć Czarna...

– Skąd wiesz? – zapytał Weron.

Nowy milczał i zawzięcie rysował. Jakby się spieszył, jakby chciał zdążyć zanim...

– Anioł mi powiedział.

Gołgoran usłyszał za plecami szept. Jego ludzie rozważali właśnie ze śmiertelną powagą możliwość istnienia aniołów. Brali tę ewentualność za całkiem prawdopodobną, choć jeszcze miesiąc temu parsknęliby śmiechem na Podlewkowe rewelacje metafizyczne.

– Skoroście w jedną noc tyle rozumu zjedli... – Gołgoran powoli zbliżał się do nawróconych – powiedzcie mi: czy człek, co rodzi się pod czarną gwiazdą z duszą czarną jak noc bez gwiazd, może się zmienić na lepsze?

– Człek wolną wolę ma. I wybiera – odparł Podlewka. Była to jego ostatnia kwestia wygłoszona za życia.

– Głupiec – warknął Gołgoran i ruchem szybszym niż myśl przebił Podlewkę mieczem. Nie przesypało się ziarno piasku w klepsydrze, a Nowy padł trupem.

– Co z nich za prorocy! – krzyknął Gołgoran, ocierając twarz z krwi przelanej. – Nie przewidzieli własnej śmierci!

Patrzył w oczy swym ludziom i oceniał – zaatakują czy nie? Jakby czytał w ich niezbyt skomplikowanych umysłach. Za i przeciw. Dziesięciu na jednego. Złoto do podziału. I śmierć wokół. Po stronie Gołgorana był jeszcze jeden atut – pochodzenie. W jego żyłach płynęła bowiem malandryjska krew; to zawsze budziło respekt. Dopóki lękali się Gołgorana bardziej niż aniołów, miał szansę.

Opuścił wzrok, by za bardzo ich nie prowokować, i wtedy ujrzał bazgroły Nowego. Zabijesz nas, Gołgoran – głosił napis. Obok widniał rysunek strzelistej wieży. Gołgoran wiedział, co to za wieża. Niektórzy nazywali ją Samotną. Starł bazgroły butem.

Do wczoraj Nowy był niepiśmienny.

Niema kobieta spoglądała przez południowe okno Samotnej Wieży. Wyobrażała sobie, że wrzosowiska to wcale nie wrzosowiska, a łagodnie pulsujące morze. Słyszała, będąc dzieckiem, opowieści kupców z odległych stron świata o żeglugach po Morzu Martwym. Jej wyobraźnia, ukształtowana na widoku zamkowej studni na dziedzińcu, nie mogła sprostać takiemu nagromadzeniu wody, do tego słonej.

Jakby Bóg uronił łzę, myślała.

Ogarniał ją smutek, więc zabawiła się w swą starą grę w wymyślanie imion. Kiedyś, gdy była mała, wymyślała sobie imiona, bo prawdziwego nigdy nie poznała. Imiona były stosowne do okazji. Imiona-schronienia, gdy była przestraszona, brzmiały tak wyniośle, że czuła, jakby cudownym zrzędzeniem znalazła się na szczycie szklanej góry. Były też imiona-marzenia, co więcej obiecywały niż dawały.

Za jej plecami spokojnie spał czteroletni chłopiec. Bardzo się o niego martwiła, bowiem nie potrafiła nauczyć go mowy. Chłopiec milczał jak zakłętý, prawie nigdy nie płakał; obawiała się, że jego nienaturalny spokój jest spokojem niemowy. Wiedziała, że będą musieli niedługo opuścić mury Kaltern, chłopiec powinien poznać innych ludzi, usłyszeć ich rozmowy. Bała się tej chwili, bo choć z zamkiem wiązały się jej najgorsze wspomnienia, to jednak przywykła do ciszy i zapleśniałych półmroków, do aury Kaltern. A przecież to w lochach zamczyska hrabia Morten i jego wierne narzędzie, Bezimienny Kat, pozbawili ją ongiś języka. Była wówczas mała, ot, trzyletnia smarkula, co nic nie wie o świecie, lecz wnet dowiedziała się wiele. Ponura edukacja, najgorsza z możliwych, dawała wiedzę pewną, lecz gorzką jak piołun.

W chłopcu było coś dziwnego, czego jednak kobieta nie potrafiła nazwać ni określić. Ten spokój, stający się zwykle udziałem starców, a nie brzdąców, owa aura miłości, która zdawała się rozgrzewać do fundamentów Kaltern. A może ta stateczna ciekawość świata? Malec nie uczył się na błędach jak inne dzieci, jakby od razu wiedział wszystko o otaczającej go rzeczywistości, Z ciekawością spoglądał jeno w dal z okna Samotnej Wieży, jakby potrafił przeniknąć okiem horyzonty. Nigdy jednak nie patrzył przez północne okno. Tak. Przez północne – nigdy. Jego matka zastanawiała się nad tym fenomenem. Słyszała kiedyś o rozciągającej się jakoby na północ od Kaltern Pustyni Bestii, nazywanej też Szarą Pustynią. Ale skąd miałby wiedzieć o niej jej synek?

I zmęczenie wyczierające z dziecięcego błękitu spojrzenia – skąd to u niego, na Boga?

Wiedziała, że jest niezwykle, lecz – jak każda matka – lękała się o jego losy. Niezwyczajnym ludziom zwykle pisane są dwa rodzaje przeznaczeń – albo narzucają swą wolę innym, albo umierają w nędzy i niezrozumieniu. Żaden z tych losów nie wydawał się kobiecie dobry dla jej syna.

Strach. Przez całe życie bała się: do niedawna o siebie, potem zaś o syna. Jak wszystko na

świecie, strach ma swój zapach. Niema kobieta czuła go przez całe życie. Miała niezwykle wyczulone powonienie, jakby natura w ten oto sposób rekompensowała jej utratę zdolności rozmawiania z bliźnimi. Wyczuwała uczucia innych ludzi, czuła zbliżający się deszcz na długo przed ulewą, wyczuwała nawet śmierć. Kiedy przed czterema laty nawiedził Kaltern rycerz Kwaidan, przeczuła, że przywiózł ze sobą śmierć. Potem ją wywiózł, zebrawszy przedtem obfity plon. Kwaidan właściwie nie pachniał, jakby nie żywił żadnych uczuć. Albo smród śmierci zabijał w nim wszelkie inne wonie.

Śmierć ma zapach zgniło-słodki. Łączy w sobie przeciwieństwa – spełnienie żywota i strach przed tym zwińczeniem. Pewność śmierci i niepewność życia.

Jej syn pachniał miłością.

Kobieta nie wiedziała, jak można pachnieć miłością, nie wahała jej w życiu dużo. Coś jej jednak mówiło, że chłopiec pachnie miłością.

Patrzyła teraz przez północne okno. Krajobraz był podobny, kogo innego raziłby swą powtarzalnością, monotonią, lecz nie ją. Ona lubiła to, co znane i oczywiste, bo to przynosiło spokój, zabijało strach.

Ale nie tym razem.

Tym razem coś ją wyraźnie zaniepokoiło w znanym pozornie widoku. Nieznane w znanym. Na początku nie wiedziała, o co chodzi. Jakiś szczegół, rys, drobna zmiana... Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała: krajobraz był subtelnie zamazany, jakby na dalsze elementy padał cień. Widok, jaki się przed nią rozciągał, przypominał płótno pejzażysty, który nie dba o szczegóły dalszego planu obrazu. Skądinąd wiedziała, że TEN pejzażysta przecie dba o najdrobniejsze szczegóły.

Co to jest, myślała, mgła? Dym? Szara mgła... Szara... Pustynia?!

Wiatr dął z północy. I niósł z sobą tumany popiołów. Nie słyszała, by kiedykolwiek widziano w tych okolicach pustynne popioły. A więc prawdą było, że Pustynia Bestii nieustannie poszerza swe obszary. Być może kiedyś ogarnie świat cały. Jeszcze jeden powód, by opuścić Kaltern.

Od jakiegoś czasu Kroni usiłowała wyłapać choć strzępy wyjątkowo interesującej rozmowy toczonej za ścianą. Najbardziej przeszkadzał jej w tym klient, kupiec bławatny Garbacz, o którym powiadano, że jest najbogatszym człkiem w Barden, nie Ucząc, rzecz jasna, Gordego, handlarza bronią. Garbacz sapał na niej ciężko, nadto, jak miał to w zwyczaju, dokonywał półgłosem jakichś zawiłych obliczeń dotyczących wiązanych transakcji, co zdawało się go podniecać daleko bardziej niż ciało leżącej pod nim dziewczki. Wreszcie doszło do spełnienia, co kupiec skwitował przeciągłym rżeniem. Kroni wywnioskowała, że spodziewany interes Garbacza zapowiada się znakomicie.

Ledwo kupiec wyszedł (sypnąwszy uprzednio srebrem), pozostawiając po sobie

przemieszana woń pachnideł i potu, a Kroni już przykładła kształtne uszko do ściany, by strzępy dialogu w całość zrozumiała złożyć. Dialogowała właścicielka lupanaru, Kolchinea o niezliczonych, jak powiadali złośliwcy, podbródkach, z jakimś bliżej nieznanym Kroni osobnikiem. Mężczyzna wyrażał się ze znaczną swobodą i pewnością siebie, jakby nawykł do wydawania poleceń. Dziewka płonęła z ciekawości, kto zacz, lecz płomień, ten nieszybko miał być ugaszony.

– ...szaleństwo! – perorował nieznajomy. – Cesarz, choć oczywiście oficjalnie za tym nie stoi, wysłał ekspedycję karną złożoną z obwiesi o duszach czarnych jak brud za paznokciami twych dziewczek, droga Kolchineo. Mają porwać albo zabić tego bachora o szczególnych właściwościach. To już trzecia taka wyprawa. Żadna nie zakończyła się sukcesem...

– Moje dziewczki, panie, słyną z wypielęgnowanych paznokci – rzekła powściągliwie Kolchinea. – Nie wiem, co nadzwyczajnego może kryć się w jakimkolwiek bachorze. Widziałam ich trochę w swoim krótkim życiu, nie ma w nich nic poza odrobiną kości i krwi. Nie da się też pominąć kału występującego w dzieciach w nadmiarze i przewadze nad wymienionymi składnikami. Czasem wydaje się, że składają się jeno z krzyków. W naszej profesji dzieci szczególnie nie są pożądane, albowiem łamią kariery dobrze zapowiadających się...

– Dość, Kolchineo. Nie przybyłem tu, by wysłuchiwać lamentów. Chcę, byś oczy miała otwarte. Uszu na wieści też nie zamykaj. I ta wyprawa nie zakończy się sukcesem, już moja w tym głowa...

– Nie pojmuję, mój panie. Przecie Cesarz pragnie śmierci bachora, jak i ty. Dlaczego zatem mu przeszkadzasz?

– Dążenia tego malowanego głupca na tronie nigdy nie były zbieżne z moimi, kobieto. Żaden z moich ludzi nie dotarł do Kaltern, mimo ponawianych prób. Jedni popełniali po drodze samobójstwa, inni postradali zmysły, jeszcze inni nawracali się, jeśli głosić prorocstwa na tyle dla mnie niewygodne, że musiałem kazać ich zabić. To nie do zniesienia!

Przez chwilę w komnacie obok panowała cisza przerywana odgłosem nerwowych kroków, z czego Kroni wywnioskowała, iż mężczyzna musi się przechadzać.

– Co słyhać w Barden? – przerwał milczenie nieznajomy.

– Interes podupada, panie. Od kiedy twoi ludzie wyrznęli tu niewiniątka...

– Nieznani sprawcy!

– Nieznani sprawcy – powtórzyła Kolchinea. – Otóż od tego czasu ludziska chędożą głównie w celach prokreacyjnych, jakby pragnęli nadrobić dotkliwie straty...

– Dość tych lamentów, głupia babo!

Kroni zamarła. Nikt, kto pragnął pozostać przy życiu, nie odzywał się tak do Kolchinei. Tymczasem ta przełknęła obelgę gładko. Kim był ów mężczyzna, na Boga?! Kim?!

– Dawniej nie mówiłeś tak do mnie, panie.

– Było to kilka podbródków temu, Kolchineo. Jakie nastroje w mieście?

– Prorocy mnożą się jak króliki, nie brak też świętych mężów. Co dziwne, żaden nie żąda za usługi zapłaty...

– Taaak. To dziwne... – Mężczyzna jakby się zamyślił. – A co z tą dziewczką i jej bachorem? Wspominałaś coś o tym...

Kroni zastygła niczym posąg odlany w srebrze jej klientów.

– Dziwna historia, panie. Kilka lat temu, bodaj dokładnie wtedy, gdy twoi... to jest nieznanymi sprawcy dokonywali tu mordów na dzieciach, jedna z mych dziewczynek, śliczna bestyjka i nie pozbawiona talentów, powiła, niestety, dziecko. Syna...

– Syna, powiadasz?

– Zniknęła nagle, przez dłuższy czas jej nie było. Niedawno wróciła do pracy, lecz chyba już bez bachora. Zatrudniłam ją.

– Jej imię?

– Kroni.

– Kroooniiii! – Dziewka usłyszała wołanie, ktoś dobijał się do jej komnaty. – Masz klienta! Pospiesz się!

– Już idę! – krzyknęła Kroni i oderwała się od ściany. Usłyszała dość. Szybko doprowadziła się do jako takiego ładu i wyszła.

Tymczasem podsłuchiwanie jakby tylko na to czekali.

– Myślisz, że słuchała? – zapytał mężczyzna. Był średniego wzrostu, lecz mocnej budowy. Nosił się surowo, po żołniersku. Jego twarz znamionował żelazny upór; gdyby sądzić po pozorach, wąskie, zaciśnięte usta mogły, choć nie musiały świadczyć o okrucieństwie.

– Jestem tego pewna, mój... książę – odparła Kolchinea. – Ciekawość dziewczki to pierwszy stopień do piekła namiętności, która rychło zmienia się w rutynę. To nasza cecha zawodowa.

– Dobrze. Wywiedz się, gdzie ukryła chłopca. Może się okazać ważny w tej rozgrywce.

– Teraz na pewno tam pobiegnie. Kazałam ją śledzić.

– Nie zatraciłaś swej przebiegłości, Kolchineo.

– Książę mi pochlebia...

– Oddaję sprawiedliwość. Czas na mnie. Informuj mnie o tej dziewczce. Bachora chcę mieć żywego. Żegnaj.

Po wyjściu mężczyzny wyraz twarzy Kolchinei zmienił się gwałtownie, jakby w jej umyśle rozpełtała się nawałnica sprzecznych namiętności. Zbladła, oblicze wykrzywił grymas wściekłości, spod grubej warstwy pudru wypęzła złośliwość starsza niż świat. Widać było, jak wiele kosztowała ją dotychczasowa powściągliwość.

– Kilka podbródków temu... – syknęła wściekle. – Na twoim miejscu, mój książę, zastanowiłabym się, czy doczekasz choć jednego jeszcze...

Następnego dnia, ni z tego, ni z owego, skamieniało dwóch, których Gołgoran nie znał; na wyprawę kaptował ich Werten.

Stali, wpatrzeni w słoneczną koronę, nie mrużąc przy tym oczu, nie reagując na nic, ani nie dając żadnych oznak życia. Na twarzach malował im się błogostan, jakby dostąpili szczęścia niczym nie rozrzedzonego, a wręcz diabło stężonego.

– Tego jeszcze nie było – mruknął Werten i splunął przez lewe ramię, by odpędzić uroki. Wszelkie usiłowania poruszenia tych żywych figur spełzły na niczym.

Ludzie jęli szeptać na boku. Strach ogarniał ich jak jakiś żywioł, któremu nie da się postawić tamy. Gołgoran musiał to uciąć.

– Podzielić między siebie ekwipunek – rzekł z nienaturalnym spokojem. – Konie rozkulbaczyć i luzem puścić. Jeszcze dzień drogi i zaczną się wrzosowiska. Potem pół dnia i Kaltern. I złoto.

A coraz go więcej na łebka...

Niechętnie, ale zastosowali się do poleceń.

Wieczorem, gdy odpoczywali, Gołgoran spoglądał w gwiazdy, lecz nie przyszłość tam znalazł, a przeszłość. Jego malandryjskie przekleństwo. Krew przodków, co nie ręce plamiła, a los. Malandria zajmowała ongiś obszar południowo-wschodniego skrawka dzisiejszego Cesarstwa Lechandryjskiego. Była krainą ze wszystkich stron obleganą przez wrogów; trudno orzec – wina była po stronie obleganych czy oblegających. Zresztą w wojennym czasie trudno wyrokować o winach. Niewątpliwie okazali się Malandryjczycy wielkimi wojownikami, lecz zarazem nie wykazali się politycznym zmysłem. Ich chroniczna niezdolność do osiągnięcia jakichkolwiek kompromisów i brak zdolności współdziałania doprowadzić musiały do klęski. Nim lechandryjski praszczur obecnego Cesarza wszystkich pogodził, Malandria została spustoszona, a mieszkańcy niemal wycięci w pień. Przedtem jednak wytworzył się wśród mieszkańców krainy szczególnie kodeks moralny polegający na tym, że żaden Malandryjczyk nie mógł skrzywdzić innego ziomka, albowiem ludność stawała się najcenniejszym zasobem terenów nieszczęsnej krainy. Zasadę tę wpajano już najmniejszym pachołom, i to z taką mocą, że gdy dochodziło do – przypadkowego z reguły – zabójstwa, winowajca natychmiast pozbawiał się życia. Prowadziło do sytuacji dziwnych i tragicznych, opiewanych potem przez poetów tej miary, co Dolsilwa zwany (przez siebie) Wielkim. Ci, co hekatombę przetrwali, kultywowali stare zasady ze zdwojoną siłą. Malandryjczycy, trudniąc się z reguły najemnym wojowaniem, zasłynęli jako mordercy wytrawni i skuteczni. Jedyne, czego unikali, to siebie wzajem. Gdy jeno mogli, wywiadywali się o pochodzenie potencjalnych ofiar, by nie trafić na swego.

Gołgoran pragnął zmyć z siebie odium klęski własnego ludu, dystansował się od korzeni i przeznaczenia. By to osiągnąć, jedno miał wyjście – zaprzeć się przeszłości, zostać notablen

cesarskim.

Tytuł arystokratyczny i godło, które Cesarz jeno w swej nadzwyczajnej łaskowości przyznać mógł, zmyłyby ślady pochodzenia, z jego życiorysu. I taka była cena Gołgorana, gdy Armeb, doradca Cesarza, wynajmował go na tę wyprawę. Uznawano Gołgorana za największego z wojowników Cesarstwa (choć niektórzy wskazywali raczej na rycerza Kwaidana), zatem ustalona przez niego cena nie była kwestionowana.

Armeb, tłusty eunuch o sprytnych oczkach mknących w rozległych przestrzeniach oblicza, przyjął Gołgorana w cesarskiej j Komnacie Przyjęć, co samo w sobie było zaszczytem, o ile przyjmującym był Cesarz. Ale Cesarz nie brudził sobie rąk, od tego miał Armeba. Komnata kapiała złotem i klejnotami, na ścianie wisiała mapa Cesarstwa, granice inkrustowane były srebrem. Rzeki kapwały od złota.

– Wielki wojownik – rzekł Armeb na wstępie. Przez moment Gołgoran myślał, że mowa o nim, ale zobaczył, że doradca wpatruje się w portret Cesarza na siwym koniu.

– O tak.

– Przejdę od razu do rzeczy, Gołgoranie. Cesarz, za moim pośrednictwem, pragnie cię nająć do dobrze płatnej roboty.

– To dla mnie zaszczyt. Dlaczego jest aż tak dobrze płatna?

Armeb roześmiał się dość obrzydliwie.

– Widzę, że polecono mi właściwego człeka! Dobrze płatna, bo ryzykowna. Wielu postradało zmysły albo życie, próbując tego dokonać. Nie wiem, co gorsze. Ja bym chyba wolał zachować życie kosztem zmysłów, a ty?

– Odwrotnie. Kogo trzeba zabić?

– Zabić albo porwać. Dziecko. Chłopca. Zamek Kaltern, opodal Barden, prowincja przebrzydłego Sorma, któremu odgryziono palec. A jeśli nie zdołasz go ubić ni porwać, to zdobądź choć kapkę jego krwi. Bo o krew głównie się rozchodzi.

– Tak dobrze jest chroniony?

– Trudno powiedzieć... Magowie cesarscy bredzą coś o jakowejś barierze... – Armeb był wyraźnie zakłopotany. Nie lubił rozprawiać o tematach, w których nie czuł się kompetentny. Nie było ich wiele. – Ale nie jest to barykada w sensie klasycznym, ani też nic materialnego... To magia jakaś... Podejmiesz się? Płacimy tobie i ludziom, których wybierzesz, tyle złota, ile wazycie...

– Mnie na złocie nie zależy. Godła chcę.

Potem przez tysiąc ziaren piachu przeglądali Księżę Godeł. Gołgoran długo wahał się między Jaskółką Nieczyniącą Wiosny a Ślepym Sokołem. W końcu wybrał to pierwsze. Jakiś czas po rozmowie z Gołgoranem odnaleziono ciało zamordowanego Armeba. Zgodnie

z obietnicą Cesarza, w jednym kawałku – został uduszony.

A teraz Gołgoran myślał, czy nie podjął się misji zbyt pochopnie. Nie dlatego, że była niebezpieczna – Armeb wspominał mu mimochodem o kilku zwieńczonych dramatem misjach – ale z tego powodu, że nie był pewien, czy tym sposobem zmyje z siebie odium złej krwi. Czy wystarczy uzyskać godło bez godności? Ale na takie myśli było już o wiele za późno. Na wiele rzeczy było w jego życiu za późno.

Nawet instynkt ostrzegł go za późno. Tak to jest, gdy wojownik trafia na zagrożenie, które nie jest poprzedzane jakimikolwiek oznakami niebezpieczeństwa. Gołgoranowi zdało się, że świat zafalował, jakby wypadł z formy, po czym niechętnie do niej powrócił, ale nie do końca. Wszystko wokół wyglądało jak przed momentem, a jednak w nieuchwytny sposób inaczej, jego ludzie nadal siedzieli przy ognisku, lecz zarazem czuł, jakby byli oddaleni o tysiące dni drogi. Gołgoran wszystko wyraźniej postrzegał, a jednocześnie wszystko było odległe jak gwiazdy. Chciał podejść do ogniska i – rzeczywiście – ruszył, potem jął biec, szaleńczo, aż do rozerwania płuc, lecz nie zbliżył się do światła ant na jotę!

– Do mnie! – krzyknął. Głos niby rozszedł się w powietrzu, a nikt go nie usłyszał.

Szaleństwo! – myślał – Czy jestem martwy, czym jeno duchem błakającym się bez celu? Nawet jął rozglądać się wokół w poszukiwaniu własnego ciała, być może podstępnie strtego albo choć przebitego ostrym narzędziem. Nic z tego. Uszczypnął się w policzek. Zabolało. Kto wie, do czego doprowadziłyby Gołgorana dalsze eksperymenta; szczęśliwie przerwał je głos głęboko brzmiący i czysty jak ła tenora.

– Żyjesz, Gołgoranie. Twój czas jeszcze nie nadszedł, ale nie wiem, czy to dobra, czy zła wieść.

Rozmówcą Gołgorana był młodzieniec, smukły, lecz niezbyt wysoki, o włosach jasnych, lecz nie za jasnych, i wejrzeniu melancholijnym, ale nie smutnym. Roztaczał wokół siebie dość specyficzną, słodkomdłą woń.

– Gdzie... jesteście? – zapytał Gołgoran, osłupiały nieco.

– Poza czasem i poza przestrzenią, gdzie nic się nie dzieje i gdzie można spokojnie porozmawiać. Schowaj miecz, wojowniku. To nie jest broń na takiego zwierza jak ja.

– Kim jesteś? – Gołgoran nie posłuchał; dzierżył miecz w prawicy.

– Aniołem – odparł nieznajomy lekko i uśmiechnął się.

Gołgoran milczał. Wszystko w nim buntowało się przeciw temu, co widział i słyszał, a z drugiej strony wiedział, że to prawda. Świat to dziwne miejsce.

– Znamy twe czyny, wojowniku. Twe serce jest okrutne, ale przeznaczenie – niejednoznaczne. Musisz się o czymś dowiedzieć...

– Dlaczego muszę? Dlaczego twój pan nie zrobi porządku z takim nędznikiem jak ja? Dlaczego nie uporządkuje tej kloaki pod naszymi stopami? Po cóż mam się o czymkolwiek

dowiadywać? Co to jest – jakaś gra w zgadywanki? Zabij mnie, jeśli potrafisz, i będzie wreszcie spokój!

– W tej chwili, Gołgoranie, nie byłoby to dla ciebie dobre rozwiązanie... Nie przenikam planów naszego Pana. My, aniołowie, jesteśmy jak nici łączące niebo z ziemią. Gdy ziemia oddała się od nieba, nici bardzo się napinają. Odczuwamy to boleśnie, cierpimy daleko bardziej niż ty, Gołgoranie, choć na własną, ludzką miarę cierpisz bardzo. Twe okrucieństwo jest miarą twego cierpienia. Wy, ludzie, jesteście dziwnymi istotami. Gdy umieracie, błagacie Pana o życie. Gdy wysłuchuje waszych prośb, chcecie być bogaci. Kiedy już opływacie w dostatki, czujecie przemożny smutek jałowej egzystencji i popełniacie samobójstwa...

– Tyle wiesz. Podlewka i Nowy też sporo wiedzieli. Dlaczego nie wykorzystacie tej wiedzy...?

Anioł roześmiał się gorzko.

– Za jasnovidzenie zawsze płaci się słono. Jak za wszystko – za miłość, za dobro, za zło. Waluta się zmienia, Lecz cena zawsze pozostaje wygórowana. Widzisz, gdy twoi kompani zyskali dar, natychmiast zrozumieli, że do niczego im się nie przyda. Bo uzyskali też gorzką wiedzę na wiele innych tematów, przestało im zależeć na dziewczkach, na złocie, na czymkolwiek innym, może nawet na własnym życiu. Zyskali inną perspektywę. To wszystko i nic zarazem. Tak jest ze wszystkim w doczesności. Na przykład z mądrością, która zwykle nierozdzielna jest ze zgrzybieniem...

– Czego chcesz ode mnie? – Gołgoran był zmęczony tym dialogiem, który nie zmieniał jego perspektywy ani – jak mniemał – perspektyw na przyszłość.

– Niczego, Gołgoranie. Sam będziesz musiał wybierać, co jest dobrem, a co złem. Ja jestem tu po to jeno, by uświadomić ci... całokształt spraw. Twoi ludzie za moment zginą, a ich czarne dusze Kwizad zwieje tam, gdzie ich miejsce.

– Co?! – krzyknął Gołgoran i wtedy zobaczył, bo widział z tego miejsca lepiej niż kiedykolwiek przedtem, skradające się cienie.

– To ludzie księcia Sorma. Wielu ich stracił, kiedy przedzierali się przez Bariere. Ale ci, co się przedostali zaskoczą twych obwiesi. Nikt nie przeżyje, tak jak przewidział to Podlewka.

– Chcę tam być. – warknął Gołgoran. – Przepuść mnie...

– Musisz żyć. Wypuszczę cię. Ale nie teraz.

Obaj patrzyli na rzeź. Gołgoran zaciskał dłoń na mieczu. Nienawidził bezsilności. Anioł był smutny.

Dali się zaskoczyć. W normalnych okolicznościach było to niemożliwe, ale okoliczności bardzo oddaliły się od wszelkich norm. Byli zmęczeni i przestraszeni. Oni, nędznicy, których matką była bezwzględność, a siostrą okrucieństwo, teraz dali się zabijać... jakby z ulgą? Gołgoran krzyczał. Ale nikt go nie słyszał.

- Takie chwile oddalają niebo od ziemi, Gołgoranie.
- Więc uczynić coś!
- Nie mogę... – szepnął anioł, a w jego głosie brzmiał ból.

Wenter bronił się najdłużej. Doświadczony najemnik nieraz przedstawiał się śmierci. Tym razem to ona przedstawiła się jemu.

– Zabij mnie... – rzekł zimno Gołgoran. – Zabij mnie, bo jeśli tego nie uczynisz, nic nie powstrzyma mnie przed zabiciem tego bachora...

– Nim go zabijesz, Gołgoranie, wiedz, że jego matka jest Malandryjką, choć sama nic o tym nie wie.

- Łżesz!
- Nie potrafię kłamać.
- To bardzo łatwe. Mógłbym cię nauczyć.

Anioł zniknął, a Gołgoran znalazł się sam pośród trupów.

Kroni podążała spiesznie, spoglądając za siebie, czy ją kto nie śledzi, jednak ten, co szedł za nią, zbyt wytrawnym był szpiegiem – nie dostrzegła go. Nawet gdyby dostrzegła, to i tak nie wzbudziłby jej podejrzeń, wyglądał bowiem na średniozamożnego kupca zainteresowanego wszystkim, jeno nie dziewczką zdążającą na spotkanie z synem.

Zrazu chciała iść do izby, w której od czasu do czasu pomieszkiwała, tej przy Ulicy Głębokiego Snu, lecz po chwili namysłu zrezygnowała i ruszyła prosto ku Zaułkowi Cudów. Budynkom, które mijala, niewiele brakowało do tego, by nazwać je ruinami. Dzielnice Wschodnie Barden były siedliskiem ludności zdeklasowanej: napływowych biedaków, bankrutów i złoczyńców, w większości źle czyniących nie z powodu słabej woli czy niedobrej natury; oni grzeszyli, by żyć. Zresztą i inne dzielnice nie wyglądały dużo lepiej. Barden umierało, szlaki handlowe Cesarstwa jeły omijać miasto. Dużo mówiło się o sekretnej rywalizacji między Cesarzem a księciem Sormem Bez Palca. Rywalizacja ta nie odbijała się oczywiście na podmiotach sporu. Jak zawsze – cierpiały przedmioty, czyli ludzie.

Opodal dwóch proroków wiodło publiczny spór na temat ciemności i światła. Jeden obstawał przy wyższości światła, które rozprasza ciemność, drugi mówił, że bez ciemności nie byłoby światłości. Spór od retorycznych argumentów przeszedł do inwektyw, zwolennik jasności nazwał przeciwnika ciemniakiem, i ten odgryzł mu się mianem „oślepionego blaskiem kłamstwa”.

Nieco dalej człek tak umartwiony, że żadne zmartwienie nie mogło go dotknąć, zapowiadał świetlaną przyszłość ludzkości. Mówił o czasach, co nadejdą, kiedy to ludzie zreć będą owoce z drzew wiadomości dobrego i złego aż do przesyty, aż do sraczkii słów i naukowego rzygania. Epokę tę zwał Oświeceniem.

Kroni nieustannie rozmyślała o rozmowie Kolchinei z owym nieznanym mężczyzną. Kim

był? Z całą pewnością kimś znaczącym, skoro Kolchinea pozwalała mu tak sobą pomiatać. Na ile jednak znaczącym? Czy znów będą musieli uciekać? Kroni wołała w myślach swego protektora, ojca jej syna, Tego, Którego Nie Ma, choć jest bardziej niż wielu innych, których znała. Ale od kilku lat nie odzywał się do niej, nawet w snach. Pamiętała jego słowa, stowa ze snu właśnie: „Zdrada rodzi zdradę. Będziesz musiała zdradzić naszego syna”.

Mogła zdradzić matkę, ojca (których nie znała), lecz syna? Źródło jej dumy, przedłużenie jej natury, jej piękna i wdzięku, jej przeklętego losu? Byt wyznaczony do wielkich zadań. Jakże mogła go zdradzić?

Zaułek Cudów, tak, a nie inaczej zwany ze względu na rezydującego tu ongiś legendarnego maga Galandiego. Mag, jak głosi legenda, uciążliwy był dla mieszkańców okolicy. Podpałał wodę w studni, sprawiał, że upierzenie domowego ptactwa osiągało ciężar ołowiu, a czasem wzniecał lokalne trąby powietrzne, by przewietrzyć mieszkanie. W końcu przodek księcia Sorma miał Galandiemu dyskretnie zasugerować, by ten zniknął bez śladu. Mag jakoby spełnił prośbę protektora na tyle skutecznie, że nikt więcej go nie zobaczył.

W powietrzu znać było jakieś napięcie. Nie tak dawno po mieście rozeszła się plotka o zarazie Czarnej Śmierci, która jeła zbierać ponure żniwo we wschodnich dzielnicach. Jeśli to prawda, upał nie był okolicznością sprzyjającą. Kroni coraz bardziej upewniała się w przekonaniu, że należy opuścić Barden jak najszybciej.

Gdy wchodziła do mrocznej izby, zdawało jej się, jakby zstępowała do otchłani. Mrok zdawał się tu pochłaniać przedmioty z większą żarłocznością niż gdzie indziej.

Womisa, opiekunka jej syna, wypęzła z cienia tak nieoczekiwanie, że Kroni aż krzyknęła. Prezentowała się coraz gorzej, cienie pod oczami jakby zlewały się z cieniami izby, stawały się jednością. Womisa z wolna, lecz nieubłaganie przejmowała właściwości miejsca, w którym pracowała.

Oby nie, pomyślała Kroni.

– Powinnaś częściej tu wietrzyć, Womiso. I wpuść trochę światła... Co robi Enrew?

Piastunka jakby wzdrygnęła się na dźwięk tego imienia.

– Bawi się... – szepnęła. – Tak, bawi się... Wczoraj pytał o panią. Zapytał, co to znaczy kochać. I...

– I?

– I dlaczego pani kocha w nim jeno to, co jest panią?

– Co odpowiedziałś?

– Ja... ja już nie potrafię z nim rozmawiać.

– Dobrze. Ja porozmawiam. – Kroni rzuciła Womisie srebrną monetę. Nie chciała mieć z nią żadnego kontaktu fizycznego, czuła odrazę.

Chłopiec zadawał dziwne pytania. Był mądry jak na swój wiek. Bardzo mądry. Do drugiego

roku życie cechowała go zachłanna ciekawość świata. Wszystkie dzieci są ciekawe, lecz u Enrewa przekraczało to wyobraźnię. Wszystkiego dotykał (zmysł dotyku sprawiał mu szczególną rozkosz), smakował, nieustannie obserwował. Mowę opanował bardzo szybko, wydawać by się mogło, że po to jeno, by zasypywać wszystkich gradem pytań. Potem, gdy ukończył trzecią jesień żywota, nagle mu się odmieniło. Jakby popadł w odrętwienie, zatracił gdzieś swą nieokiełznaną aktywność, zagłębił się we własnym świecie. Gdyby nie to, że miał cztery lata, można by go podejrzewać o pewną dojrzałość. Możliwe, że dziwaczność jego zachowania miała coś wspólnego z trybem życia, jaki stał się jego udziałem. Przebywanie w mrocznej izbie z na wpół obłąkaną kobietą, spacerowanie jeno późnymi wieczorami, brak kontaktu z innymi dziećmi – to wszystko musiało odcisnąć na nim piętno.

Z trudem wyłuskała go wzrokiem z ciemności. Siedział na podłodze, wpatrywał się w jakiś punkt w kącie izby z taką intensywnością, jakby zależało od tego jego czteroletnie życie.

– Enrew – chciała, by jej głos był ciepły.

Zerwał się na równe nogi, przez chwilę wydawało się, że do niej podbiegnie, ale zdusił w sobie tę chęć.

– Witaj, matko.

„Matko” zabrzmiało bardzo, bardzo chłodno. Zignorowała to.

– W co tak się wpatrywałeś, synku?

– Czekam na ojca. Obiecał, że któregoś dnia do mnie przyjdzie.

Kroni nigdy nie opowiadała mu o ojcu. Nigdy.

– Rozmawiałeś z nim?

– W snach. Zawsze wychodzi z ciemności.

– Co jeszcze ci mówił?

– Nic.

– Być może będziemy musieli stąd wyjechać, Enrew.

– Tak? – udał zainteresowanie.

– O czym rozmawiałeś z Womisą?

Wreszcie na nią spojrział. Miał smutne oczy. Cztery lata i smutne oczy.

– Dlaczego jestem inny, mamó?

Podeszła do niego i przytuliła go.

– Nie jesteś. A jeśli nawet, to dlatego, że jesteś lepszy od innych.

– Ja nie chcę być lepszy... Mam sny... Straszne sny. – Wyczuła jego łyzy. – W tych snach... zdradzasz mnie.

Poczuła nagły chłód. Ciarki przeszły jej po plecach.

– To niemożliwe, synu. Nigdy cię nie zdradzę.

– Szepty mówią inaczej.

– Szepty?! – Czy jej syn był szalony?

– Szepty. Dochodzą z różnych stron. Przemawiają do mnie.

– Wkrótce stąd wyjedziemy, synku. Pojedziemy na południe. Tam jest ciepło. Słonecznie. I nie będziesz musiał siedzieć w domu. Nie będzie żadnych szeptów... – brzmiało to jak baśń. A baśnie nigdy się nie spełniają.

Kiedy wychodziła, poczuła na policzkach łzy. Nie płakała od lat.

Wrzosowiska. Gołgoran przyjmował ową jednostajność krajobrazu z ulgą. Lepsze wrzosi niż rzezie. Lepsze wrzosi niż anioły. Lepsze wrzosi niż wspomnienia.

Spotkanie z aniołem nie zadziwiło go ani nie zamgliło jego obrazu świata. Zawsze wierzył w istnienie Boga, co nie przeszkadzało mu w robieniu zła, co czyniło z Gołgorana figurę dość paradoksalną. Tak został stworzony – tłumaczył sobie. Zło było do czegoś Stwórcy potrzebne, w przeciwnym razie nigdy by nie zaistniało. Żli ludzie byli koniecznością. Nie było wyboru. Bóg nie obdarzył go Łaską. Nie miał o to nigdy pretensji. Tak być musi i basta. Przeznaczenie. Wola Boska. Zło było jak ciemność. Czym byłoby światło bez ciemności? Uśmiechnął się do swych myśli. Jego imię – Gołgoran – oznaczało w malandryjskiej mowie tyle, co „Ciemność w Jasności”. Nigdy nie zgłębił znaczenia swego miana.

Anioł zdawał się sugerować, że jest jeszcze przed Gołgoranem jakiś wybór, ale przecie sam się przyznał do niewiedzy i braku wglądu w Wyroki Pana. Cóż było czynić – trzeba zmierzać przed siebie, do celu, do Kaltern. Zatem zmierzał. Nie zastanawiał się nad tym, co uczyni na zamku. Zabije chłopca czy weźmie go żywcem? Chodziło wszak o krew, o nic więcej. Kapkę krwi dziecięcej.

Tyle, że chłopiec był Malandryjczykiem.

Malandryjczyk. Gołgoran zaklął.

Samotną Wieżę widać było z daleka. Wznosiła się nad przeklętymi wrzosowiskami jak gigantyczny palec wskazujący niebo. Był niczym kierunkowskaz: oto droga, którą obrać należy.

Kolchinei było zimno i nie wiedziała do końca, czy odpowiada za to temperatura katakumb, czy też raczej strach. Jej towarzysze milczeli, ale nie z braku uprzejmości, lecz z konieczności, albowiem dobrowolnie pozbawili się języków w swoim czasie. Wyznawcy Milczącego Boga też postanowili życie spędzić w milczeniu. Kolchinea zastanawiała się, gdy była nieco młodsza, czy akt językowej kastracji był wyrazem uwielbienia dla milkliwego Stwórcy, czy może raczej buntu, prowokacji, wyzwania? Oczywiście nie rozstrzygnęła tej wątpliwości.

Była jedną z nielicznych, a być może nawet jedyną, której podczas wędrówki przez katakumby nie zakrywano oczu. Poczytywała to sobie za zaszczyt. Bo też nie byle kto ją przyjmował, a sam Pustak Bezduśnik, pan katakumb, władca świata podziemnego Barden. Taka

audiencja więcej dla niej ważyła niż spotkanie z Cesarzem.

Szło jej się ciężko, z racji nadwagi, co jakiś czas przystawała dla nabrania oddechu. Wówczas rozglądała się wokół, chcąc rozeznaczyć się w okolicy, rozpoznać jakieś szczegóły. Bezskutecznie, wszystkie zaułki wyglądały podobnie; oszczędna, surowa architektura podziemi nie miała cieszyć niczyjego wzroku, raczej już odwrotnie – wprawiać w rozpacz. Nadto niewiele widziała w kapryśnym świetle pochodni niesionej przez jednego z przewodników.

Bezduśnik czekał na nią. Oblicze jak zwykle chował w głębokim cieniu. Dawniej Kolchinea podejrzewała, że może to być jakaś znana w Barden persona, zachowująca ze zrozumiałych powodów anonimowość. Teraz nie wykluczała tej hipotezy, lecz mocno w nią powątpiewała.

– Moja piękna Kolchinea, najwierniejsza z przyjaciółek – rzekł na powitanie Pustak głosem doskonale pozbawionym barwy. Kolchinea potrafiła czytać w ludzkich głosach, wyczuwać w nich fałsz, obłudę czy – o wiele rzadziej – wielkoduszość. Z głosu pana podziemi nie potrafiła wyczytać nic.

– Byłam piękna, panie. Lecz dwadzieścia lat temu.

– Piękno nie zależy od czasu, moja droga, ja potrafię w ludziach dostrzec to, co opiera się czasowi. Na przykład ostre piękno twego bezkompromisowego okrucieństwa. Nie zmieniłaś się wcale, Kolchineo.

Nie była pewna, czy ma to odczytać jako komplement.

– Książę Sorm podjął pewne działania, panie. Interesuje cię to?

– Niezbyt. Ale opowiadaj.

Zrelacjonowała treść rozmowy z księciem. Pustak milczał chwilę.

– Głupiec – rzekł w końcu. – Podjął grę, której nie rozumie. I którą przegra. Nie zmartwi cię to chyba, Kolchineo? Byłaś, zdaje się, jego kochanką...

– Kilka... podbródków temu...

– To dobrze, bo klęska jego wydaje się nieunikniona. Zapewne niewiele pojmujesz z tego, co się wokół dzieje? Wydarzenia nabierają rozpędu i rozmachu. Zdawać by się mogło, że Barden i okolice to dziura, gdzie diabeł mówi dobranoc, a anioł dzień dobry, a jednak to, co tu się dzieje, za jakiś czas wstrząśnie światem całym. Trudno dać w to wiarę, ale tak będzie. Wyjaśnię ci, co sam wiem. Widzisz, moja droga, to dziecko, o którym wspominał Sorm, to, co przyszło na świat w Kaltern, jest Boskim Nasieniem. To Zbawca świata, obrońca słabych i zapomnianych, ostatnich, którzy winni być pierwszymi, a nie bywają. Kim jest w istocie, sam nie wiem. Co z sobą przyniesie – trudno orzec. Może dobro, a może koniec świata. Dla mnie jedno i drugie jest nie do przyjęcia, zatem raczej stanę w opozycji... – Pustak podniósł się z krzesła bodaj, Kolchinea nie widziała dobrze, w każdym razie jął się przechadzać, jego kroki ciężko rezonowały w wilgotnej pustce. – Widzisz, lubię umiarkowane klimaty. Lubię i też, gdy nie oślepią mnie ani palące słońce, ani też bezdenne ciemność. Bo efekt tego taki sam. W każdym razie teraz ów

Namiestnik Boga jest jeszcze dzieckiem. Powiadają o nim niestworzone rzeczy – że gadał z mędrkami i zapędził ich w kozii róg. Ale to nieprawda, siedzi w Kaltern. Znajduje się tam w czymś na kształt ochronnego kokonu; cesarscy magowie nazywają kokon Barierą, bo liczne ekspedycje karne, mające za zadanie zgładzić go, kończą się spektakularnymi porażkami. Nie potrafię dokładnie zdefiniować tego fenomenu; to jakby... energia dobra, światłość, która poraża słabe i złe umysły. Skutki oddziaływania owej... strefy, której jądrem jest Kaltern, stają się odczuwalne już i w Barden. Kwiaty zła nie kwitną tak pięknie jak niegdyś, pewnie to zauważyłaś... jakieś nawrócenia, prorocтва, bezinteresowne zachowania. Żle się to odbija na naszych interesach, lecz nie martw się za mocno. Przewiduję rychłe zakończenie tych metafizycznych brewerii. On nie może wiecznie przebywać pod ochronką, nie po to tu przybył. A z czym przybył – rychło zobaczymy. Dostrzegam tyle możliwych rozgałęzień przyszłości...

– A rola Sorma w tym wszystkim? I Cesarza?

– Ha. Banał. Żądza władzy. I wieczności. Chcą wykorzystać dzieciaka. Przedtem myśleli jeno o jego śmierci, teraz doszedł nowy element. Wiesz, że Cesarz jest bezpłodny... Istnieje taki stary obyczaj, rzadko kultywowany. Jeśli linia dynastyczna trwa, to wcale nie jest kultywowany. W każdym razie jeśli cesarz umiera bezpotomnie, jego następca powinien dokonać symbolicznego obrządku – musi wypić odrobinę cesarskiej krwi, bo nie jest to krew zwykła, lecz jucha pomazańca. Ten akt zapewnia krwistą kontynuację. Jeśli potomstwo jest, to boska krew jest przekazywana naturalnym sposobem. Oczywiście w cesarskiej krwi nie ma nic boskiego, to bajęda dla maluczkich. Lecz Cesarz pragnie odwrócić obrządek...

– Nie rozumiem...

– To on wypije krew. Krew Boga, droga Kolchineo. To ma go uczynić nieśmiertelnym, wówczas potomstwo do niczego nie będzie mu już potrzebne...

– ASorm...

– A księżę Sorm ma dokładnie taki sam pomysł na życie...

Kiedy Gołgoran przekraczał zamkową bramę, zwrócił uwagę na ciszę. Cisza zawsze oddalona jest od doskonałości, lecz w tych okolicach nie była to duża odległość. Spod kopyt jego rumaka uciekły wystraszone kury przechadzające się po dziedzińcu. Incydent ten natychmiast zmącił ciszę i przywrócił rzeczywistości właściwe proporcje.

Wojownik zastanawiał się, co czynić, a czego nie czynić. I Czy bardziej czynić niż oddać się bezczynności, w nadziei, że rzeczy same pójdą właściwym torem.

– Malandryjczycy – rzekł na głos. – Bracia i siostry w przekleństwie...

Czuł, że jest obserwowany. Czekał przez jakiś czas na reakcję mieszkańców Kaltern. Ale się nie doczekał.

Niema kobieta wyczuła krew na długo przed przybyciem obcego. Im bardziej się zbliżał, tym

bardziej obezwładniający był smród. Miał krew na rękach. Dużo przelanej krwi.

Był ogromnym mężczyzną, wyglądał jak góra poruszająca się wbrew prawom natury i przywiązaniu do ziemi. Zarazem poruszał się lekko i szybko, co było jawnym dysonansem. We włosy wplątały mu się już nitki siwizny, a twarz przecinała mapa czasu, lecz znać po nim było wciąż niepokromioną siłę. Kobieta pomyślała, że jest to człek, który nie chodzi z życiem na kompromisy. I do niedawna rzeczywiście tak było.

Nie obawiała się go, bo nie wyczuła w murach Kaltern zapachu śmierci.

Gołgoran wybrał sobie na tymczasowe lokum lochy, sam nie wiedział dlaczego. Może z powodu chłodu. Albo półmroku rozchwanego światłem pochodni.

Przez jakiś czas przyglądał się nagromadzonym tu machinom tortur. Miał dwojakie uczucia; z jednej strony fascynował go geniusz konstruktorski i niewątpliwa znajomość anatomii oraz cierpienia autora projektów takich urządzeń. Z drugiej – uważał tortury za barbarzyństwo. Sam zadawał śmierć ze znaczną częstotliwością, ale zawsze szybko. Doszedł do daleko idącego wniosku, że ofiary winne są mu wdzięczność za pośpiech zadawanej śmierci.

Nie odzywali się do siebie, jeno obserwowali skrycie z dala. Po jakimś czasie Gołgoran pojął, że kobieta jest niema, a chłopiec nieuczony w mowie. Gospodyni na Kaltern karmiła kury i Gołgoranowego konia. Zostawiała również pożywienie dla gościa przed wejściem do lochów. Tymczasem przybysz miotał się po lochach jak wilk w klatce, bowiem sprzeczności toczyły w nim monstualną batalię. Krzyczał, kłął, gadał z sobą, wcielając się w różne strony sporu. Najczęściej padającymi słowami były: kapka krwi, przekłęci Malandryjczycy, godło, godność.

Czwartej nocy bardzo już bliski był oblędu, więc musiał jakoś przemóc swe decyzyjne rozchwianie. Przerwał więc wewnętrzny dialog, który był monologiem, i rzekł:

– Napnę trochę bardziej nici między niebem a ziemią.

Ciemność wokół jakby zgęstniała.

Wyobraził sobie, że anioły umykają w popłochu z okolicy. Jak gołębie. Albo kury.

Oboje spali w Samotnej Wieży, tej, co wskazywała odpowiedni kierunek. Gołgoran piął się po krętych schodach w górę, lecz im bardziej się piął, tym bardziej mu się zdawało, że oddala się od? nieba. Wreszcie dotarł. Ich sen był spokojny i cichy.

– To niedobre czasy na spokojne sny... – szepnął Gołgoran i dobył miecza.

– Bacz, by światło, które jest w tobie, nie okazało się ciemnością – powiedział chłopiec przez sen.

Gołgoran zmartwiał. To, że mały przemówił, było już samo w sobie niezwykle. To, że nawiązał frazę do imienia Gołgorana, które nie mogło być mu znane, pachniało cudem. Jednak o wiele dziwniejsze było, że wypowiedział te słowa w martwym języku.

W malandryjskim mianowicie.

Enrew przysłuchiwał się głosom. Womisa protestowała słabo, inny kobiecy głos, brzącający zdecydowanie, łamał te opory. – Ale moja pani...

– Twoja pani nie jest moją panią.!

– Ale...

Dalsze opory stłumił dźwięk przesypywanych monet. Za dużo ich się nie przesypało. Lecz wystarczyło.

Ktoś wszedł do izby, drewniana podłoga skrzypiała pod ciężarem.

– Jesteś tu, chłopcze? – tym razem głos brzmiał łagodniej. – Dlaczego tu tak ciemno, u diaska? Nic nie widzę.

Enrew siedział pod stołem. Chciał, by jego mama tu była. Bardzo chciał..

Ktoś ciężko rozsiadł się na ławie.

– Nie jesteś ciekaw, kim jestem, mały? – zapytała nieznajoma.

– Ciekawość aż cię pali, co? A wystarczy na mnie zerknąć...

Enrew zerknął.

– Ładny chłopiec... Jak ci na imię?

Kobieta była stara. Enrew nigdy nie widział tak starej kobiety. Musiała mieć ze sto lat. Enrew umiał już liczyć do stu. Była tłusta i brzydka. I miała tyle podbródków, ile lat.

– Enrew.

– Enrew. Pewnie coś to znaczy w jakimś tam języku. Takie teraz czasy, że wszystkie imiona coś znaczą... Musisz się do mnie przyzwyczaić, drogi Enrewie. Bo od tej pory będziesz mieszkał u mnie. Będzie ci lepiej niż u matki.

– Nie.

Nie był to krzyk ani płacz, ani dziecięcy protest. Było to stanowcze zaprzeczenie, męska niezgoda na los. Kolchinea spojrzała na chłopca z uznaniem.

– Twoja mama tak naprawdę cię nie chce, drogie dziecko. Ona kocha siebie jeno, musiałeś to zauważyć, bystry z ciebie dzieciak.

– Kłamiesz!

Łzy pociekły mu po policzkach; był przecież dzieckiem.

– Chcesz się przekonać?

Skinął głową.

– Dobrze. Schowaj się i czekaj. Czego byś nie usłyszał, milcz. Rozumiesz?

– Tak.

Sorm Bez Palca nerwowo przechadzał się po marmurowej posadce. Witraże z okien Pałacu Na Wodzie rzucały na księcia różnokolorowe refleksy. Opodal stały starodawne zbroje, jeszcze

z czasów bitwy pod Kaldos, gdzie ród Sormów wslawił się męstwem. To po tej bitwie Cesarz obdarował Sormów tytułem książęcym i włościami znacznymi, lecz peryferyjnymi. Potomkowie Cesarza żalowali potem tej decyzji.

Pałac Na Wodzie wznosił się na wyspie na środku jeziora Geret opodal Barden. Była to ulubiona rezydencja Sorma. Urządzony był z istic honghijskim przepychem, wszystko tu spływało drogocnością, mnogość te wszystkie błyskotki pospolitowała. Nawet rzygacze w kształcie smoczyc łbów wieńczące pałacowe rynny wykonane były ze złota. Nagromadzenie dzieł sztuki rabowanych w licznych wojennych wyprawach sprawiało wrażenie chaosu; jedne do drugich nie pasowały, zdawało się, że rzeźby zaraz ożyją i rzucają się do walki, jak miało to miejsce z kulturami, które je wydały. Zderzenie cywilizacji rezonowało kakofonią pod murami Pałacu Na Wodzie.

– Czy te wiadomości są pewne? – zapytał stojącego przed nim posłańca.

– Niestety tak, panie. Czarna Śmierć...

– Akurat teraz!

Odprawił posłańca niecierpliwym gestem.

– I co teraz, Wozeku?

Zapytany nie odpowiedział od razu. Był starym człowiekiem, książęcym doradcą. Doradzał jeszcze ojcu obecnego księcia. I choć powiadano, że nie znosił serdecznie młodszego, choć nie tak już znowu młodego pana, to służył mu wiernie.

– Pałac Na Wodzie to dobre miejsce, by przetrwać zarazę – rzekł. – Spizarnie są pełne. Odizolujmy się od świata, nikogo nie przepuszczajmy aż do zimy. Zimą zaraza wygaśnie...

– Nie o to idzie, stary. Zaraza zarazą. Gramy o nieśmiertelność, i to nie duszy, a ciała! Podzielę się z tobą i tym, jak wszystkim innym. Ale jak to teraz przeprowadzić? Co robić, skoro szaleje Czarna Śmierć?

– Ciężko będzie zrealizować twe plany, panie, w tak niesprzyjających okolicznościach...

– Tyle to i ja wiem. Nasi ludzie wrócili?

– Hm... – Stary wyglądał na wyraźnie zakłopotanego. – I tak, i nie, panie.

– Ubili cesarskich obwiesi?

– Nie wszystkich. Jeden się ostał... Gołgoran.

– Gołgoran. Słyszałem o nim. Nawet go niegdyś poznałem... Toż to wielki wojownik... Jak?

– Większość naszych ludzi w drodze powrotnej opadły wyrzuty sumienia tak gwałtowne, że jęli masowo się zabijać. Dotarł jeden, co zdał relację, spowiadając się podstawionemu przez nas fałszywemu duchownemu jakiejś podrzędnej religii... Inaczej nie wyznałby prawdy...

– Sprytnie, Wozeku, całkiem sprytnie...

– Dostali wszystkich, jeno nie Gołgorana. Ten jakoby zniknął, we mgle się rozpląnął...

– Chcę porozmawiać z tym, co przetrwał – rzekł książę.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Wczoraj, tuż po spowiedzi, powiesił się.

– Piekło i szatani!

Przez dłuższy czas milczał. Wózek siedział w bogato zdobionym fotelu, zgarbiony, zwiotczały, opuszczony przez siły, zdradzony przez witalność.

– Zrobimy tak, Wozeku. Wzmóc patrole. Strach przed zarazą ma wielkie oczy, ale zaślepimy je blaskiem srebra. Podwoić... nie, potroić żołd. Tym, którzy pojmagą owego Gołgorana, obiecuję specjalną nagrodę. Może mu się udać. Pamiętam go pod Farsalos. To diabeł, a nie człek...

– Radzę, książę, wstrzymać się z działaniami do zimy...

– Nie mam czasu, by czekać zimy, starcze!

– Co się ze mną stało, na Boga? – rzekł nagle Wózek zmienionym głosem. – Byłem kiedyś dobrym człowiekiem. Jak mój ojciec i dziad. A teraz doradzam barbarzyńcy... I nie podpowiadam mu, jak ratować ludzi, za których odpowiada, bo dziwnym losu rządzeniem jest ich panem. Mówię mu jeno, by czekał zimy, bo to mu życie przedłuży... Widziałeś kiedyś, panie, jak ludzie umierają na Czarną Śmierć? Widziałeś te cierpienia, które nie mają sensu? Umierasz i nawet nie zastanawiasz się, z jakiego powodu, bo za bardzo boli, by myśleć...

Książę słuchał tej przemowy z rosnącym zdumieniem.

– Widzę, że i ciebie dopadła zaraza. Jakże inna jednak od Czarnej Śmierci... Trąd duszy, który mać rozsądek. Nie rozumiesz, głupcze? To wpływ Bariery, nic innego. Chcesz im pomóc? Znaj mą łaskawość. Zezwalam. Pozbywam się starego doradcy – głos księcia pobrzmiwał patosem podszytym sarkazmem. – Zostaję sam, bezbronny wobec knoń wrogów. Idź, starcze. Droga wolna!

Nie można otrzymać wyraźniejszego znaku: chłopiec był Malandryjczykiem. Gdyby był jeno diabłem albo aniołem, ręka nie zdrząłaby Gołgoranowi. Był Malandryjczykiem. Malandryjczykiem jak diabli! Ale był też kimś więcej. Czy te bajki mają w sobie ziarno prawdy? Czy to istotnie namiestnik Boga? Jego krew... Po co Cesarzowi ta krew?

Tak oto Jaskółka Nieczyniąca Wiosny odfrunęła z Gołgoranowego godła.

Gołgoran powiedział kobiecie, że jej syn potrafi mówić, ale ta spojrzała na niego z niedowierzaniem. Wtedy opowiedział jej wszystko, a jej niedowierzanie rosło i rosło, aż zapadło się pod własnym ciężarem i uwierzyła. Opowieść Gołgorana była niezwykła, lecz spójna. Gdy rzekł o krwi niewinnej, zdrząła i potrząsnęła głową. Uspokoił ją; już wiedział, że nie wypełni misji.

– Czy twój syn jest Bogiem? – zapytał.

W jej oczach wyczytał ból. Zrozumiał.– niełatwo być matką Boga. Pewnie jeszcze trudniej jest być Bogiem. Spojrzał na chłopca – zwykły dzieciak, może zbyt spokojny, i te oczy tak smutne, jakby cztery lata nie dzieliły go od narodzin, lecz od śmierci. Ale przecie dzieciak!

– Za dużo na twojej głowie, chłopcze – rzekł Gołgoran. – Nawet jeśli naprawdę jesteś Bogiem... współczuję ci.

I jął zbierać się do drogi.

– Walandiera – powiedział nagle chłopiec.

– Mówiłem, że mówi – mruknął Gołgoran. Spojrzał na kobietę i dostrzegł, jak na jej twarzy malują się mieszane uczucia – radości, niedowierzania, strachu. Żaden malarz nie dobrałby tak komponentów, chcąc zostać zrozumianym przez tak zwaną masową publiczność.

– Gdybyś nie wiedziała, przemówił oczywiście po malandryjsku. To, co rzekł, oznacza mniej więcej tyle, co „Matka Cierpienia”...

Kobieta zrozumiała – chłopiec wypowiedział jej imię. Piękne, ale smutne. Dostojne, lecz wcale nie niedostępne. Czowała, że to jej prawdziwe imię, że chłopiec go nie wymyślił.

– Czas na mnie. – Gołgoran z trudem wsiadł na konia. Jakaś boleść go toczyła; nie czuł się za dobrze.

Dopiero wtedy Walandiera wyczuła mdlący, zgniłosłodki zapach. Chciała zatrzymać Gołgorana, ale nie mogła. Musiałaby krzyknąć. Los był zapisany.

– Żegnaj, Rewne! – zawołał jeszcze do chłopca i tyle go widzieli.

Rewne oznacza po malandryjsku „Gaduła”. Było to tylko jedno z wielu imion, jakie w przyszłości miały być przypisywane temu, którego zapowiadano jako Głos Boga. Lecz było pierwsze, a matka od tej pory zawsze tak właśnie nazywała go w myślach.

Kroni miała złe przecucia. Womisa nie przywitała jej swym upiornym wyglądem. W domu panowała cisza, lecz ktoś tu był. Zapach ciężkich pachnideł zdawał się wyciskać powietrze z obu izb. Woń o takich komponentach nie była Kroni obca. Nie mogła się mylić. Więc nim weszła do izby, powiedziała:

– Nie przypominam sobie, bym cię tu zapraszała, miła Kolchineo.

– Dla ciebie, drogie dziecko, zawsze „pani Kolchineo” – odparła stara.

– W pracy jeno.

Kroni rozejrzała się po izbie. Chłopca nie było.

– Osobom starszym i zasługującym na wyrazy admiracji szacunek winno się okazywać w każdych okolicznościach...

– Gdzie moje dziecko?

– Niepotrzebnie go przede mną ukrywałaś. Słynę z miłości do dzieci...

– Gdzie chłopiec? – powtórzyła Kroni.

– Na spacerze z tą nieudacznicą.

– W mieście panuje zaraza.

– Złego lichu nie bierze.

– Czego chcesz?

– Zapałam miłością do tego rozkosznego brzdąca... Ty niewiele możesz mu zapewnić.

– Postradałaś rozum, stara wiedźmo!

– Nigdy nie myślałam jaśniej, Kroni. Dla niego to wstęp do wielkiej kariery, jest niewątpliwie uzdolniony. Istnieje dodatkowy argument: ty go nie kochasz. Miłość nie ma do ciebie dostępu, bo to oznaczałoby utratę kontroli nad życiem. Nigdy byś sobie na to nie pozwoliła... – akurat te, nieistotne z jej punktu widzenia kwestie, wypowiadała Kolchinea pod adresem chłopca. Musiał to usłyszeć.

– Nie mów mi jeno, że ty jesteś zdolna do miłości!

– Nie wydawaj pochopnych sądów, dziewczko – rzekła Kolchinea zimno. – Ja przynajmniej bywałam zdolna do gwałtownych uczuć. Nienawiść to rodzaj miłości. Módl się, bym ciebie aby nie pokochała. Dość jednak o meandrach naszych ścieżek życia uczuciowego, bo poplątane to drogi. Istny labirynt. Wracając do sedna rozmowy, nie zapominaj o tym zbrodniarzu Sormie. On chce zabić twe dziecko, a ja do tego nie dopuszczę.

Sorm, pomyślała Kroni, a więc to był książę Sorm!

Gorączkowo zastanawiała się – zabić starą i próbować ucieczki, wyrwać się poza kordon żołdaków księcia otaczających miasto? Ale jak? Cały czas kołatały jej się w głowie słowa Tego, Którego Nie Ma: „Zdrada rodzi zdradę”. A jeśli tak będzie lepiej dla Enrewa? Jeśli to właśnie jest przełomowy moment w jego życiu? Wstęp do wielkości...

Kolchinea o mnogich podbródkach obserwowała wewnętrzną walkę Kroni, jak patrzy się na daremne usiłowania ucieczki owadów zamkniętych w słoju.

– To byłaby zdrada... – szepnęła Kroni.

– Mówienie o zdradzie w naszej profesji to niestosowność.

– Zapewnisz mu wykształcenie? – zapytała dziewczka drżącym głosem. Zdawało jej się, że słyszy jęk rozpacz, ale zaraz odezwała się czujna Kolchinea:

– Wszechstronne. Sama nauczę go wielu pożytecznych umiejętności. Nie masz wyjścia, Kroni. Masz tu trochę srebrników. Będą ci potrzebne, by przekupić strażników z kordonu. I na nowy początek, W tym mieście nie masz już czego szukać.

– Nie chcę srebrników...

– Ależ chcesz, moja droga. Chcesz...

– Bądź dla niego dobra.

– Przelicz. Powinno być piętnaście.

– Czy będę kiedyś mogła...

– Nie, nigdy. Teraz jesteśmy kwita.

Gołgoran ledwo trzymał się w siodle; dopadła go gorączka, a z nią – majaki i wątpliwości.

Coś mu mówiło, by zawrócić, zabić, jednak zdobyć godło godności kosztem. Jakieś szepty bez twarzy, myśli bez głów. Głosy bez ust.

– Zawrócić, zawrócić, zawrócić...

– Zabić, zabić, zabić...

Osadził wierzchowca i zawrócił. Krew krwią zmyć. Zabić, zabić, zabić. Zabić?

Wózek czekał na nich w lupanarze.

Dziewki były wystraszone. Przyszłość rysowała się w ciemnych barwach. Jeśli kto jeszcze myślał o uprawianiu miłości, to byłaby to uprawa na ugorach. Zaraza rozwijała się szybko, a upał jej sprzyjał. Co i rusz słyhać było wozy z charakterystycznym dźwiękiem dzwonka – tak zbierano po domostwach trupy, by je potem palić w odosobnionych miejscach. Co dziwne, ci, którzy zbierali zwłoki, sami zwykle nie ulegali zarazie, jakby strzegła ich moc jakowejś opatrności. Niektórzy żarli czosnek, który miał jakoby cudowne właściwości i strzegł od moru. Rychło wszelkie zapasy czosnku wyczerpały się; główka osiągnęła zawrotną cenę trzech srebrników, na co stać było niewielu. Nierzadko też żony zbieraczy zwłok zajmowały się pielęgnacją zapowietrzonych, co było zajęciem niemal beznadziejnym, lecz ktoś musiał to robić. Kobiety myły głowy octem, skrapiały też octem czepki, tak, by stale były wilgotne. Jeśli fetor chorych zbyt był nieznośny, zasłaniały twarze chustami moczonymi oczywiście w occie.

Był to straszny czas. Jak zwykle mór najbardziej pieniał się w dzielnicach nędzy, ale właśnie biedacy zachowywali się z największą odwagą. Jedni powiadali, że odwaga dyktowana była szlachetnością serc, inni, że rozpaczą jeno. Z tej rozpacz i determinacji brali się za najniebezpieczniejsze zajęcia: pilnowali domostw, których mieszkańców zaatakował mór, by nie wychodzili na ulice i nie roznosili zarazy, zbierali zmarłych. Rozeszła się fama, jakoby zaraza była Gniewem Boga, a najobfitsze żniwo zbierała pośród tych o czarnych sercach. Być może przyczyniła się do owych pogłosek śmierć Garbacza, bławatnego kupca uchodzącego za okrutnika i liczykrupę. W chwili śmierci krzyknął podobno:

– Zainwestujcie w czosnek!

Statystyki potwierdzały te pogłoski, lecz z jednego tylko powodu – ludzi złych więcej jest niż dobrych. Dlatego ginie ich więcej.

Kolchinea zawiesiła działalność burdelu na czas nieokreślony. Wiedziała nieomylnie, że czas lupanarów jeszcze nadejdzie. Po czasie śmierci zawsze nachodzi ludzi ochota na życie i zaczyna się okres radosnego chędożenia.

Spojrzała na byłego doradcę Sorma, który był teraz jej doradcą.

– Ruszamy? – zapytała.

– Ruszamy.

To Wózek powiedział jej o prawdopodobnych właściwościach chłopca. Istniała

przepowiednia, że wraz z przyjściem na świat legendarnego Głosu Boga narodzi się również dziecko będące jego przeciwieństwem, antytezą. Wiele wskazywało na to, że idzie tu o Enrewa właśnie. W jego towarzystwie mieli szansę dotrzeć do Kaltern bez jakichś gwałtownych zmian światopoglądowych, nawróceń czy innych niepożądanych fenomenów. Enrew miał rozpraszać tę obezwładniającą energię dobra promieniującą z Jądra Światłości. Coś w tym było na rzeczy. Od jakiegoś czasu Kolchineę jęły bowiem męczyć wątpliwości natury moralnej. Nie na tyle mocne, by spowodować nawrócenie; nie, jej wściekłość zbyt była zapiekła, zbyt pierwotna i dobrze ukorzeniona. Były jednak dokuczliwe jak owady. Obecność chłopca zdawała się je jednak rozpraszać. Co za ulga, myślała Kolchinea, bo dobre myśli pierzchały z jej głowy.

Przekupili strażę i wyjechali z Barden. Wozeka wiodła do Kaltern nadzieja na cudowne panaceum – lekarstwo na człeczą niedolę i śmierć ważone z Boskiej Krwi. Kolchinea myślała jeno o własnej nieśmiertelności, Enrew zaś obsesyjnie wracał do sumy, za jaką został sprzedany. Nie znał się na handlu, lecz wydawała mu się niska. „Piętnaście srebrników, piętnaście srebrników” – powtarzał nieustannie.

Nie ujechali daleko. Wózek pierwszy spostrzegł wojownika siedzącego przy ognisku. Im bardziej się do niego zbliżali, tym wyraźniej widzieli ogrom tego człeka.

– To najemnik cesarski – szepnął Wózek. Znał Gołgorana z opisów.

Gołgoran wciąż siedział oparty na mieczu i trząś się w gorączce.

– Widzę, że zmierzacie do Kaltern – rzekł, – Zawróćcie. Zabiłem Boga, a jego matkę poćwiartowałem. Nie ma czego szukać w Kaltern. Wracajcie i głoście to wszem i wobec, tak, by wszyscy wiedzieli.

– Zdobyłeś jego krew? – zapytał z nadzieją Wózek. – Tą krwią można by uratować wiele ludzkich istnień...

– Przecie widzisz, że nie zdobył, głupcze – mruknęła Kolchinea. – Czarna Śmierć go toczy. Niewiele zostało mu czasu. Kto wie, może bredzi?

Wówczas przyszła jej do głowy nowa myśl.

– Wiesz, że to z rozkazu Sorma wyrżnięto w pień twoich ludzi? – zapytała.

Przed oczami Gołgorana znów stanęła scena śmierci. Nie tęsknił za tymi obwiesiami, których wiódł ku kłęsce, ale nienawidził poczucia bezsiły.

– Jeszcze możesz się zemścić, Gołgoranie. Muszę cię jeno zdradzić...

Czterech mężczyzn siedziało przy stole w opustoszałym lupanarze. Popijali wino, lecz oszczędnymi łykami, czekała ich bowiem poważna robota. Było ich czterech, bo Sorm lubił tę liczbę. Stworzył elitarne, świetnie wyszkolone grupy do specjalnych poruczeń – wszystkie czteroosobowe. Czterech to dość do mokrej roboty. Czterech łatwo ubić, gdy za dużo wiedzą. „Czwórkami do piekła szli”, zwykł mawiać w przyływie dobrego nastroju.

Jeden, najmłodszy, o imieniu Holdar, trzymał przy nosie chustę nasączoną octem, co powodowało wybuchy wesołości u jego kamratów. Odszcze kiwał, że to najnowszy wynalazek sztuki medycznej – ocet powstrzymywać miał szkodliwe wapory, a także i śmierć czarną czy białą, wszystko jedno.

Najstarszemu, temu o twarzy posiekanej jak mielone mięso, nie zamykały się z kolei usta. Gadał nieustannie i o wszystkim. Reszta towarzystwa nie protestowała, przyzwyczajona widać. Wołali go Malador.

Ale przywódcą nieformalnej grupy był Kindar, człek w średnim wieku, noszący się z wysiloną elegancją i wypowiadający się z niejakim afektem. Najwyraźniej był aspirantem do wyższych sfer, deklasującym się jednak na wstępie i na własne życzenie.

– Na pewno przyjdzie? – zapytał ten czwarty, Zerwer, który do tej pory nie powiedział nic. I nic już więcej nie miał powiedzieć.

– Kolchinea rzekła, że na pewno – odparł Kindar.

– Żywcem go? Czy raczej... – Malador zawiesił głos.

– Raczej – powiedział przywódca.

– To mi przypomina... – zaczął Malador kolejną opowieść, lecz przerwał mu młokos.

– Dlaczego ty tyle gadasz?

– Widzisz, Holdarze... – westchnął ciężko stary – gdybyś widział ryle, co ja... Też byś gadał albo strugał patyki, albo wachał ocet, albo czynił cokolwiek, byle coś robić. I nie pamiętać. Nie myśleć. Lepiej gadać... Pojmujesz?

– Lepiej gadać... – powtórzył żółtodziób.

Stary wstał od stołu i jał się przechadzać. Gadał coś do siebie. Szeptem.

– Malador za dużo krwi widział – odezwał się Kindar. – Zerwer też zresztą. Jeden gada, drugi milczy. Każdy ma jakąś metodę na czerwień egzystencji.

Do lupanaru wszedł mężczyzna wielki jak góra i rozmowa urwała się. Zaiste był ogromny; wydawało się, że w pomieszczeniu wszystko zmałało i straciło na znaczeniu, jakby rzeczywistość przyrównała się do przybysza i zaraz skurczyła, zawstydzona swą nikłością i bylejakością. Ledwo trzymał się na nogach, gorączka wyraźnie go toczyła, twarz błyszczała od potu, wzrok miał jednak wciąż przytomny.

– Nie z panami byłem tu umówiony – stwierdził.

– Pan Gołgoran, jak mniemam? – zapytał Kindar i dał kompanom znak, bo znał odpowiedź.

Malador zachodził Gołgorana z lewej, a Holdar z prawej strony. Mieli go odciąć od wyjścia.

– Pan mnie zna? – Gołgoran położył dłoń na rękojeści miecza.

– Słyszałem o tobie.

W tym momencie zaatakowali jednocześnie z trzech stron. Atak, zdawać by się mogło, nie do odparcia. Gołgoran jednak jakimś cudem uniknął ciosu Maladora, sztych w głowę Kindara

sparował i zdołał wyprowadzić kontrę, która dosięgła pachwiny Holdara. Zerwer, który uchodził w tym towarzystwie za najlepszego rębajłę, pokiwał z uznaniem głową, lecz nic nie powiedział. Malador oczywiście gadał nieustannie, a młodzik upuścił chusteczkę i wpatrywał się w rosnącą plamę krwi pod stopami.

Teraz Zerwer zaatakował; przez kilka ziaren piachu fechtowali z wielką szybkością, jeno stał rzucała refleksy na twarze pięciu mężczyzn. Gdy Gołgoran odparł Zerwera, Kindar cisnął sztyletem; ostrze otarło się o policzek Gołgorana i utkwilo w ścianie. Ogromny wojownik ciężko dyszał. Widać było, że nie ma już sił.

– Myślisz, że będę żył? – zapytał młodzik Maladora.

– Będziesz. Nie wiem jeno, jak długo.

Znów natarli, tym razem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Gołgoran leżał w kałuży krwi. Zerwer próbował coś powiedzieć, lecz nie zdołał, z ust dobyła mu się krew miast słów; miał podcięte gardło. Zaraz zresztą padł na wznak i już się nie ruszył.

Gołgoran żył jeszcze, gdy pochylił się nad nim Kindar.

– Gdzie to masz? – zapytał.

Wojownik uśmiechnął się i splunął Kindarowi w twarz, wydając nań tym samym wyrok śmierci w zawieszaniu.

– Cesarskie ścierwo! Przeszukać go! – krzyknął przywódca.

Malador szybko znalazł to, czego szukał. Nie zwrócił uwagi na niewielkie nacięcie na kciuku Gołgorana, który miał przecie wiele poważniejszych nacięć, i to te oddalały wojownika od życia.

Gołgoran nie czuł, jak Malador go przeszukuje. Umierał i myślał o czym innym. Zastanawiał się, czy jego śmierć przybliży, czy też raczej oddali ziemię od nieba. Kiedy umiera drań, to może aniołowie się radują?

Pałac Na Wodzie zimą nazywany Pałacem Na Lodzie rychło stał się wyspą w morzu śmierci. Wieści napływające do Sorma nie były pocieszające: Czarna Śmierć zebrała obfite żniwo. Sorm Bez Palca krążył po pałacowych komnatach i zastanawiał się – kim, u diabła, będzie rządził, gdy zakończy się epidemia? Nadzieja na krwistą obietnicę powoli w nim obumierała, lecz nie ustawał w wysiłku, bardziej pchany inercją swej mrocznej duszy niż realnymi przesłankami. Czy Gołgoran przeniknął tajemną Bariere? A jeśli tak, to kim jest teraz? Czy wykonał cesarskie polecenie? Zdobył krew niewinną?

Sorm przemieniał się w gigantycznego pajaka, który tka czułą sieć. Jej centrum było w pałacu, lecz nici sięgały daleko, książę czekał jeno choćby drgnienia jednej z nich. I rzeczywiście, jedna zadrgała. Gdy przysły wieści od Kolchinei, nie potrafił uwierzyć w swe szczęście.

– Niewiara czyni cuda! – krzyknął.

Natychmiast zorganizował nieliczną grupę obwiesi, najemników, których poinstruował, czego mają szukać przy trupie Gołgorana. Nie powiedział im, że mają go zabić, rzekł, by przeszukali trupa. Im mniej ludzi wie, tym lepiej. Najlepiej, by nie wiedział nikt, lecz stany idealne rzadko trafiają się w rzeczywistości.

Powróciło dwóch, a jeden z nich – poważnie ranny. Przywódcę grupy dopadła ta kurwa, Śmierć Czarna, lecz nie zmartwiło to Sorma, bo właśnie przywódcy obiecał najwyższą zapłatę.

– Obsypię was złotem! – zawołał do nich z oddali, bowiem wołał trzymać się od obwiesi na odległość. – Czy... macie... to?

Malador skłonił się i wyjął z sakwy małą buteleczkę wypełnioną czerwonym płynem. Młody Holdar słaśniał się na nogach; blady był jak trup. Musiał utracić wiele krwi.

– Jesteście pewni, że miał to przy sobie?

– Tak, panie.

Buteleczkę zabrał Baldir, dowódca pałacowej straży. Gdy wyszli, Sorm rzekł do Baldira:

– Zabij ich.

Baldir bez słowa skinął głową.

Im mniej ludzi wie, tym lepiej. Idealny stan rzeczywistości... Trzeba by coś zrobić z tym Baldirem. Jakaś dyskretna trucizna w winie wypitym za sukces.

Przyjrzał się buteleczce. Jest. Krew Boga. Nareszcie. Świat był jego. Rzeczywistość miała swą wielką szansę, by nagiąć się do ideału.

Wychylił zawartość jednym haustem. Smakowało jak krew. Nie czuł żadnych sensacji ni uniesień.

– Trzeba czekać – szepnął.

Czekał cztery dni.

Powiadano, że nawet wtedy, gdy na jego ciele pojawiły się broczące wrzody, niechybna oznaka rychłej śmierci, Sorm wciąż myślał o nieśmiertelności. Gadał, że to bolesny wstęp do przemiany w nadczłeka. Mówił coś o szpetnym kokonie doczesności, z którego wyzwoli się motyl wiecznej witalności. W malignie widział siebie na uroczystości koronacyjnej, a królestwem jego miał być świat cały.

Na uroczystym spaleniu zwłok książęcych widziano Kolchinę. Ktoś podobno słyszał, jakoby nad grobem księcia cedziła coś o podbródkach z mściwą satysfakcją. Towarzyszył jej mały chłopiec.

Książę był jedną z ostatnich ofiar zarazy. Upały zelżały; dziwaczny sojusz słonecznego blasku i mroku Czarnej Śmierci zakończył się, co uznano za cud. Pośród wtajemniczonych rozniosła się wieść, jakoby metafizyczna Bariera runęła, co zdawało się potwierdzać wersję o śmierci tego, którego zwali Głosem Boga.

Zatem świat ruszony z posad zdawał się wracać do właściwych proporcji. Nikczemność pieniała się z dawną intensywnością, odruchy szlachetności powróciły do swej stałej częstotliwości, mocno zbliżonej do zera. Kwiaty Zła zakwitły, jak przewidział Bezdusznik. Większość cieszyła się z tego stanu rzeczy.

Jednak nie wszyscy dali wiarę w śmierć Pomazańca. Zaraz wysłano ekspedycję do Kaltern, lecz nikogo tam już nie było.

Ciał nie odnaleziono.

Druga przepowiednia

Komedia deterministyczna

Nieszczęście w szczęściu

Powiedzenie ludowe

Grimaldi beknął, aż po izbie rozeszło się echo. Dolsilwa uśmiechnął się do swoich myśli, bo wyglądały lepiej niż współbiesiadnicy.

- Znów się zadumał, psia kurwa! – warknął Seimari.
- Dziel się myślami, Dolsilwa – zawtórował Grimaldi.
- To by się skończyło bankructwem wyobraźni... – mruknął poeta.

Dolsilwa poznał ich wczoraj – kartografów cesarskich. Krasnolud, elf i widmo – tak nazywał ich w myślach. Krasnoludem i elfem mianował kartografów, których wzrost dzielił, choć w innych sprawach wydawali się zgodni. Grimaldi żartował, że takie rozmiary są wymogiem zawodu – dobry kartograf winien poruszać się z nosem tuż przy ziemi, by poznać każdą jej piędź. Seimari odmiennego był zdania: „Zawód kartografa wymaga dystansu” – mawiał sentencjonalnie. Zapuscili się w odległe ostepy, by uściślić mapy mniej znanych prowincji Cesarstwa. Zatem uściślali, a następnie się upijali z pewną regularnością, jakby uprawiali jakiś rodzaj rytuału. Dzięki takim rytuałom Dolsilwa chętnie stałby się człowiekiem religijnym, zatem postanowił im towarzyszyć. Grimaldi i Seimari gadali za trzech, przy czym ulubionym powiedzonkiem tego ostatniego było „psia kurwa”. Gdy mu Dolsilwa zwrócił uwagę, że „suka” byłoby krócej (jeśli na czymkolwiek poeta oszczędzał, to były to czasem słowa), „elf” zadumał się wprawdzie, lecz nie zmienił przyzwyczajęń. Trzeci natomiast, zwany przez poetę widmem, milczał. Dolsilwa dowiedział się jeno, że miano jego – Regrac, i że jest Jończykiem. Widmowość jego postaci przekładała się na obojętność wobec wspólnych wszystkim śmiertelnikom namiętności; nie zdradzał ochoty absolutnie na nic, do tego stopnia, że chwilami Dolsilwa miał wątpliwości co do jego istnienia. I to właśnie Regrac miał być przewodnikiem po tajemnej krainie, z której wyrosły ongiś jego korzenie. Po Joanii. Coś łączyło „elfa” i „widmo”, jakiś rys nieuchwytny. Dolsilwa nie wiedział jednak, w czym ta łączność tkwi.

Od kilku godzin siedzieli przy okrągłym stole w karczmie z widokiem na wznoszony właśnie szafot. Na ścianie wisiła kiepskiej próby podróba słynnego obrazu Greubla Starszego „Taniec pod szubienicą”, jak najbardziej tu na miejscu. Zdawało się, że głuche dźwięki roboty ciesielskiej wyznaczają rytm rozmów i toastów. Szafot z obrazu wydawał się lustrzanym odbiciem tego zza okna. Dolsilwa pomyślał, że sztuka wyprzedza rzeczywistość, wizerunek jakby domagał się swego spełnienia w rzeczywistości, co zachodziło na oczach poety.

Właśnie ze względu na atrakcje możliwych powieszzeń lub wycięć co cenniejszych narządów ceny były karczmię słone, lecz kartografowie nie narzekali na brak monet ze szlachetnego kruszcu. Był to zresztą jedyny przejaw szlachetności w tym przybytku zbytku sąsiadującym z obszarem zimnych tchnień śmierci. Grimaldi, ten o posturze krasnoluda, który miał skłonność do filozoficznych roztrząsań, gadał coś o prawdzie życiowej tkwiącej jak ćwiek w fackie takiego, a nie innego usytuowania karczmy.

– Ktoś to dobrze wymyślił – prawil. – Zabawa i śmierć, uśpiona świadomość obok wyostrozzonej świadomości braków w naszym istnieniu. Nicość i wieczność.

– Zatem jesteś, panie, Jończykiem – rzekł do widmowego Regraca Dolsilwa, nieco już zniecierpliwiony wywodami krasnoluda.

– Taaak... Joania. Coś mi mówi ta nazwa. Mój przyjaciel miał tam sprawę. Rozenkrontz...

– Opowiadaj, wierszokleto! – krzyknął Seimari.

– Gadaj, gadaj.

Dolsilwy nie trzeba było namawiać. Zebrał się w sobie, jakby przed wysiłkiem grożącym wyczerpaniem sił witalnych, przepłukał gardło winem, po czym zagłębił się. Jedni mówili, że zagłębiał w takich chwilach pokłady pamięci; inni – że raczej wyobraźni.

– Gdyby Rozenkrontz nie postanowił ujrzeć na własne oczy słynnego Targowiska Próżności... – zaczął.

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Gdyby Rozenkrontz nie postanowił ujrzeć na własne oczy słynnego Targowiska Próżności, wszystko potoczyłoby się inaczej – może lepiej, a może gorzej.

Targowisko w mieście Kolar zwano tak, a nie inaczej, ponieważ fałszerze sprzedawali tam szlacheckie godła wraz z genialnie podrobionymi dokumentami mającymi potwierdzać wiarygodność rodowodu. Za odpowiednią cenę można było uzyskać certyfikat nieodzownego krwi błękitu – i stąd właśnie dokumenty zwano „błękitkami”. Nadto, za dodatkową opłatą, oferta obejmowała również genealogiczne drzewa lub – w zależności od bujności rozgałęzień – krzewy i drapaki. Sporządzenie takowych do łatwych nie należało, trzeba się było wykazać zmyślnością i wyobraźnią; nadto proceder wiązał się z ryzykiem – wykryte fałszerstwo kosztowało oszusta dłonie. W razie recydywy obcinano głowę, lecz do tego nie dochodziło prawie nigdy – z powodu braku rąk do pracy.

Ale nawet obecność Rozenkrontza na rzeczonym Targowisku, o ściśle określonej porze i w ściśle określonym miejscu, nie wystarczyłaby jeszcze, by wydarzenia jęły bieć tak, a nie inaczej. Nieodzownym warunkiem był jeszcze jego charakter, a raczej jeden rys: ciekawość,

która – po zbyt już długiej głodówce – wyzrzała w nim zdrowy rozsądek. To ciekawość zesłała Rozenkrontza na południe, z dala od przekłętego miasta Barden; to ciekawość kazała mu udać się na Targ, tak jakby nigdy w życiu nie widział ludzkiej pychy i apetytu na czcze zaszczyty. To ciekawość wreszcie sprawiła, że wmieszał się w nie swoje sprawy, choć od dawna wiedział, że to jedyna rzecz, której doprawdy czynić nie powinien.

I kiedy ujrzał tego człeka z obłędem w oczach, w białej szacie unurzanej w błocie, zataczającego się pod niewyobrażalnym, acz i niewidzialnym ciężarem, od razu pojął, że to nie żaden człowiek, a los nadszedł w niewłasnej osobie. Nie mógł tego wiedzieć, a wiedział; była to jedna z tych rzadkich chwil, które darują nam nagłą znajomość rzeczy, oczywiście zawsze w nieodpowiednim miejscu i w złym czasie.

Rozenkrontz przyjrzał się mężczyźnie. Biała szata bywa dowodem niewinności (w Barden w podobnym odzieniu umarłaków chowano, by przekonać bogów o ich cnotliwości); ulubiona barwa rzekomych dziewic oraz oskarżonych, pragnących wyrzeć dobre wrażenie na sędzie. Ale w obcym wszystko zdawało się blade i wiotkie, i jakby nietrwałe, za chwilę mógł rozwiać się w powietrzu, nie wywołując w Rozenkrontzu zdumienia. Biała szata przylgnęła do niego jak druga warstwa skóry.

Zachowywał się dziwnie, potykał, zataczał, przewracał kosze z owocami (wszak nie tylko próżnością tu handlowano), jakby nie dostrzegał materialnego aspektu rzeczywistości, jakby żeglował po oceanach własnej imaginacji, a było stamtąd daleko do wszystkiego.

Zresztą nie tylko Rozenkrontz zwrócił uwagę na odmieńca; już wszyscy obserwowali go z jawną wrogością.

– Jończyk – parł szept przez zastałe powietrze – Jończyk, Jończyk...

– Jończyk – powtórzył Rozenkrontz, mimo woli przyłączając się do powszechnego szmeru informacji. Nic mu ta nazwa nie mówiła.

Tymczasem szept przestał być szeptem; przeistoczył się w gwar. Rozenkrontzowi nie spodobała się jego mroczna barwa.

Przebijała z niej nienawiść, żądza odwetu za zaznane lub niezaznane krzywdy. Paletę tych emocjonalnych kolorów mieszał wytrawny malarz – strach przed obcym.

Zawsze ktoś musi być pierwszy – w kierunku odmieńca poleciało jakieś warzywo. Po chwili szybowały inne; Jończyk nie zwracał na to uwagi.

Rozenkrontz wiedział, że pierwszy kamień jest kwestią kilku ziaren piasku. A gdy za ukamienowanego trupa odpowiada tłum, to nie odpowiada nikt. Poczucie błogiej bezkarności okupione momentem porannego niesmaku – oto marzenie bogatych ciałem.

Chciał krzyknąć, zareagować, powstrzymać, ale nie bardzo wiedział jak. Co miał powiedzieć? Kto czuje się bez winy, niechaj pierwszy rzuci pomidorem? Przecie już ciskali. I wówczas go olśniło; miał drzeć gębę, szepnąć do najbliższego z rzucających:

– Zielony Motyl...

Gdyby piorun strzelił w zgromadzenie, wrażenie byłoby daleko mniejsze. Szept niósł się jak fala przyboju, ogarniał rzesze niczym zaraza, przekazywany z ust do ust. Zielony Motyl to było godło-legenda; niepodrabialne ze względu na unikalność doboru barwników czerpanych ze skałek wapiennych Laudanii (tak zwana „zieleń laudańska”), dawno temu wyeksploatowanych rabunkowo. I choć owadzie godło nie mogło świadczyć dobrze o statusie społecznym posiadacza, to jednak unikalność była w tym wypadku wartością samą w sobie. Podrobić Zielonego Motyla – to było wyzwanie! Zatem rosła ciekawość tłumu, wprost proporcjonalnie do niknącego zainteresowania Jończykiem. Rozenkrontz najwyraźniej osiągnął zamierzony skutek, choć ten czy ów splunął jeszcze za dziwakiem. Aż ciekawość stała się jakby jednym monstualnym organizmem, który zarastał błyskawicznie przestrzeń wokół Rozenkrontza, istny żyjący krąg żądz wiedzy. Zewsząd napierały nań członki ciekawości – czyjs łokieć wbił się w jego splot słoneczny, aż mu dech zaparło, a wszystko to z powodu głębokiego, wręcz penetrującego zainteresowania. Jął się zastanawiać, czy dobrze uczynił, lecz teraz wyboru już nie miał.

– Kto? Gdzie? Widziałeś? – pytania sypały się jak kamienie.

Rozenkrontz machnął ręką w kierunku wschodnim, bo nie mógł mówić. Tłum zrzędiał gwałtownie, wszyscy rzucili się ku wschodowi, nie wiedząc czemu.

W tym momencie, nagle i nieoczekiwanie dla siebie samego, Rozenkrontz wpadł w trans wieszczy, co mu się – niestety – zdarzało coraz częściej. Niegdyś wieszczył podczas snu jeno, co kazało mu unikać towarzystwa dziewczek. Od jakiegoś czasu częstotliwość transów nasilała się; dusza oddzielała się od cielska i wędrowała po niepojętych szlakach. A Rozenkrontz głosem – jak to był określił niegdyś jego przyjaciel, wybitny poeta Dolsilwa – drewnianym głosił proroctwa tym, co znajdowali się akurat w zasięgu. Dawniej mniemał, że dobór ofiar wróżb kwestią jest przypadku, teraz nie był tego taki pewien. Gdy ocknął się z metafizycznego odrętwienia, Jończyk spoglądał na niego z jawnym przestachem – wreszcie na cokolwiek zwrócił uwagę.

– Co ci rzekłem? – zapytał Rozenkrontz, bo nie mógł pamiętać wypowiedzianych słów.

Jończyk nic na to nie powiedział, jeno ruszył – na południe. A Rozenkrontz, chcąc nie chcąc, za nim. Z poczucia odpowiedzialności; wszak poraził Jończyka darem, który sam uznawał za przekleństwo.

I jeszcze z czystej ciekawości...

Tu Dolsilwa zwilżył gardło, pociągając wina z dzbana, i zapatrzył się przez chwilę na „Taniec pod szubienicą”. Topornie namalowani wieśniacy tańczyli na tle wysokiego szafotu, a w tle rozciągała się dolina, piękna, lecz w domyśle jeno, wrażenie psuła podła jakość użytych farb, przez co barwy nabrały mglistości. W dolnym rogu obrazu jakiś chłopek zwyczajnie sobie

srał, przykucnięty pod krzakiem. Z powodu tego chłopka poeta zmieniłby tytuł obrazu.

Tymczasem rzemieślnicy za oknem kończyli zbijać szubienicę. Ciekawe dla kogo? – pomyślał Dolsilwa, ale porzucił te daremne rozważania. Realność rzucała wyzwanie jego opowieści – gdy będą już wieszać tego nieszczęśnika, kto zechce słuchać opowieści? Trzeba się spieszyć. I rzeczywiście – jął opowiadać szybciej.

Szli obok siebie w milczeniu. Rozenkrontz chciał, by Jończyk odezwał się pierwszy; czego pragnął Jończyk – trudno orzec. Gdyby znał Rozenkrontz treść własnej wróżby – łatwiej byłoby zrozumieć całą sytuację. Tymczasem oddał się obserwacji Jończyka; rychło też dostrzegł zdumiewające szczegóły zachowania dziwaka, lecz o nic nie pytał. Zdał się na wrażenia. Przede wszystkim wydawało się, że rzeczywistość stawia Jończykowi skrycie opór. Wszystko z rąk mu leciało, nieustannie się potykał; przedmioty z natury niegroźne nabierały w jego obecności cech niepokojących. Lecz biedak zupełnie się tym nie przejmował, jakby skrytobójczość, którą nieoczekiwanie przejawiał świat, nie miała żadnego znaczenia.

Miasto dawno zostawili za sobą, z czego Rozenkrontz był zadowolony, bo miłośnicy zielonych motyli musieli już wiedzieć o mistyfikacji. Zastanawiał się nad skalą ich gniewu – czy dostarczy im napędu do pościgów? Jeśli tak – szanse na skuteczną ucieczkę były żadne: nie mieli wierzchowców, Jończyk nadto wydawał się być niezorientowany w naturze dotyczących go opresji. W ogóle niewiele rzeczy go frapowało; co jakiś czas zerkał w niebo, jakby tam szukał drogowskazów i – co ciekawe – chyba znajdował.

Przemierzali łąki i knieje; łąki rzadziej, często za to knieje. Nie odzywali się do siebie – Rozenkrontz nie był przekonany, czy Jończyk w ogóle rejestruje jego obecność. Ten ostatni z rzadka żarł jakieś korzonki i owoce leśnego runa – był to jedyny sygnał materialnej kondycji dziwnego człeka.

Wreszcie jęło to nużyć Rozenkrontza – ów rytm przebrzydły, milczenie i domysły, które nijak nie zamieniały się w pewność. Najbardziej w tym wszystkim dziwiła go własna postawa – dlaczego angażuje się w te niewygodne sytuacje, ryzykuje, idzie za odmieńcem? Z poczucia odpowiedzialności? Przecie nie odpowiadał za swe prekognicje.

I kiedy trzeciej nocy zerwał się na równe nogi, bo znów przyśniły mu się zielone motyle duszące go błoniastymi skrzydełkami i i wyśpiewujące jedwabistymi głosy tren żałobny (a były ich miriady), powziął niewzruszone postanowienie zakończenia przygody. Cóż z tego jednak, skoro już następnego ranka Jończyk, jakby odgadując determinację Rozenkrontza, odezwał się wreszcie.

– Przewidziała to.

Rozenkrontz zamarł, bał się poruszyć, jakby piskliwy głos Jończyka był płochliwym zielonym motylem.

– Kto? – zapytał wreszcie.

– Ona, Niug.

Niczego więcej nie wyciągnął z towarzysza wędrowni, lecz tego dnia, a i następnego też, nie opuścił go, oczekując kolejnych wypowiedzi.

Ciągle parli na południe; drogi stawały się coraz gorsze, błotniste – widomy znak, że osiągnęli rubież Cesarstwa.

– Jesteś Jończykiem? – zapytał Rozenkrontz piątego albo szóstego dnia; powoli tracił rachubę.

Towarzysz wędrowni oczywiście zmilczał i Rozenkrontz tracił już nadzieję na komunikację werbalną, przedwcześnie jednak, bo późnym wieczorem, gdy siedzieli przy ognisku, Jończyk wygłosił przemowę.

Blask rzucany przez ogień podkreślał błądź oblicza; nawet głos cienki jak skrzydła motyla potwierdzał pośrednio wiotkość postaci dziwoląga.

– Owszem – rzekł Jończyk. – Jestem Jończykiem.

I jął snuć zadziwiającą pod każdym względem opowieść o Góronarze, synu czciłdnego ojca o tym samym oczywiście imieniu.

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Goronar, syn czciłdnego ojca o tym samym, rzecz jasna, imieniu, które znaczyło w jońskiej mowie tyle co „Korzeń Drzewa”, zerkał na Halari, żonę swą; w jego spojrzeniu miłość mieszała się z nienawiścią i niechęcią. Zupa jego uczuć była ciężkostrawna. Halari pięknie się poruszała, nawet piorąc gacie wyglądała jak rzeźba kuta w marmurze, obdarowana łaską mobilności. Nadto głosem anielskim intonowała pieśni dziękczynne, jakby miała za co dziękować Panu. Nawet oddawała się Goronarowi ze śpiewem na ustach, co zamieniało ich miłość w rodzaj rytuału. Była to alchemiczna umiejętność niektórych kobiet – zamiana ołowiu trywialności w złoto wzniosłości. Kłopot w tym, że mężczyzn wzniosłości męczyły, a trywialności cieszyły.

Odnaczała się rzadkimi przymiotami ducha – była wierna jak stado psów i mieściło się w niej więcej miłości niż w burdelu. Oczy miała jak gwiazdy, żar ich blasku spopielał duszę Goronara, szczególnie, gdy tak patrzył na nią z nienawiścią, która wiele miała wspólnego z miłością.

Bo nie była Joanką, szlachetną duchem.

Bo nie mogła dać mu dzieci.

Jej łono było pustynią popiołów. I nawet nie wiedział, czy powinien ją za to nienawidzić, czy

raczej błogosławić. Bo – z jednej strony – on BYŁ Jończykiem. I *holonai*, czyli wyznaczonym do świętości. Jego przodkowie rozmawiali z aniołami. A niektórym w snach sam Bóg objawiał swą wolę! *Holonai* muszą być płodni – w słowa mądrości i owoce łona. Z drugiej strony – ojcostwo to w tych czasach jednak wielkie brzemie.

– Przepowiednia... – mruknął ciężko. Halari odwróciła się gwałtownie, a w jej oczach błysnęła nadzieja – mąż, jej Goronar, ten, który Odpowiadał Niepytany, odezwał się do niej! Po chwili blask nadziei przygasł, ale nie zgasł całkiem. Nigdy całkiem nie gasł. Przecie kiedyś było inaczej. I może znów będzie.

Jakże pragnął kochać bez nienawiści, patrzeć w oczy Halari, jak spogląda się w gwiazdy – ich przeświecający wszystko blask.

Pomodlił się w duchu, przepraszając Pana za grzeszne myśli.

A potem ruszył na obchód.

Ludzie witali go z szacunkiem, ale ich spojrzenia uciekały. Osada umiera, a on, *holonai* z dziada pradziada, z rodu Gadatliwych i Niepytających, nie potrafi temu zapobiec. Nie potrafi rozmówić się z Milczącym. Może Milczący już go nie słucha? To wszystko przez żonę, przebrzydłą niewierną. Niektórzy nazywali ją „wierzącą inaczej”, a inaczej zawsze znaczy „gorzej”. Takie były ich myśli, lecz nie słowa. Nie mogli wypowiadać pragnień; nie tu, nie w Joanii.

Zatem pochylali głowę na przywitanie i pożegnanie; głębokość skłonów była różna, kiedyś rejestrowały je w pamięci, wszak nie przed nim pochylali, a przed instancją, którą reprezentował. Czy jeszcze reprezentował?

Cisza. Aż dźwięczała w uszach. Dzieci było coraz mniej – to dlatego. A jak już były, to udzielała im się cisza, jak choroba dziecięca, jak zaraza. I jeno szum modlitw, jednostajny szum modlitw. Tłó.

Tylko Walkar, kowal, mącił w sadzawce ciszy. Dźwięk młota rozchodził się w zastałym powietrzu niby kręgami, jakby powietrze miało gęstość wody. Ludzie lubili ten dźwięk. Przypominał stare, dobre czasy.

Goronar zajrzał do kuźni. W twarz uderzyło gorąco; spocone oblicze Walkara i błyszczące w półmroku białka oczu. Walkar nigdy nie odwracał wzroku. Był jedynym człowiekiem, z którym Goronar mógł swobodnie porozmawiać. Gdyby nie to, że był *holonai*, uznałby Walkara za swego przyjaciela.

– Witaj, *holonai* – rzekł kowal, a w jego głosie nie było szacunku.

– Witaj. Wiesz już? – Goronar czuł się zmęczony. Był ranek, dzień piąty, a on czuł się zmęczony. Kowal nigdy nie zwracał się do niego *holonai*. Zły znak.

– Tak. Potwierdziło się.

– Taaak... – Pociemniało mu przed oczami. Zdobył się jednak jeszcze na to, by wyksztusić: –

To dla nas wszystkich wielka radość...

– Wielka radość – powtórzył kowal. – Żartujesz?

– Nie.

– Może i masz rację. To wielka radość. Będę miał dziecko. Może nawet syna.

– Tak. Szczęściarz z ciebie.

Wymieniali słowa jak towary wielkiej wartości – oszczędnie.

– Kiedy to się skończy? – zapytał Walkar po dłuższym milczeniu.

– Nie wiem. Może nigdy.

– Jest coraz gorzej, holonai. Porozmawiaj z Nim.

– Gorzej już być nie może. Nie można zdemolować ruiny...

Trzy dni wcześniej zasadzili się obaj na nieuchwytnego mordercę. Walkar nie był jeszcze wówczas pewien, czy zostanie ojcem. Wydawało się, że myśl o nienarodzonym potomku i konsekwencjach wynikłych z tego faktu bardziej go zajmuje niż obława na bezwzględnego zbrodniarza.

Była noc. Gwiazdy błyszcząły na niebie jak oczy Halari. Goronar nie potrafił przestać o niej myśleć, pozbyć się jej obrazu z pamięci. Halari – jego udręka. I ekstaza.

Zasadzili się z kowalem opodal domostwa Sinioza, świeżo upieczonego ojca. Oczywiście nie mieli pewności, czy to on będzie celem. Ale zachodziło uzasadnione podejrzenie. W wielkiej konfidencji omówili wcześniej sprawę z Siniozem – jego rodzina przeniosła się na kilka nocy do sąsiadów z obrzeża osady, a ojciec rodziny przechadzał się demonstracyjnie po domostwie. Był przynęta.

Nad ranem kowal przysnął. Po jakimś czasie *holonai* obudził go.

– Chodźmy do Sinioza, robi się zimno. Dziś nic z tego.

– Może zapolował gdzie indziej – mruknął kowal.

Długo stukali do drzwi, ale nikt nie otwierał. Weszli i ujrzeli to, czego się obawiali – trup. Jak zawsze – poderżnięte gardło, twarzą ku ziemi. Krew zasilą Matkę Ziemię, tak zabijano zwierzęta w ofierze.

Dolsilwa urwał i poczekał na dzwony ciszy. Cieśle za oknem zakończyli robotę – szubienica wystrzeliła w niebo. Po ściśle określonym czasie, gdy nieistniejące dudnienie wydawało się nie do zniesienia, podjął opowieść, przechodząc z powrotem do osoby Rozenkrontza:

Podczas przemowy Jończyk dwukrotnie oparzył sobie stopy. Rozenkrontzowi zdawało się, że ogień – niczym żywa istota – złośliwie kąsa członki mówcy. Wpisywało się to w widoczną tendencję nieprzychylności świata ożywionego i nieożywionego wobec rozmówcy; tak, że nawet przestawało to Rozenkrontza dziwić. Jończyk także nie wykazywał żadnego zaskoczenia.

Cierpiał ze spokojem, a może nawet z pewną pogodą usposobienia. „Łaskocze mnie” – rzekł o ogniu, jakby pieszczotliwie.

Rozenkrontz nic nie rozumiał z opowieści o owym *holonai*. Jak miała się historia do Jończyka, dlaczego urwał ją nagle? I skąd tyle wiedział o stanach wewnętrznych tego Goronara, jakby był nim po prostu? A może właśnie tak brzmiała odpowiedź – Jończyk był Goronarem. Rozenkrontz zapytał o to, w odpowiedzi Jończyk przedstawił się wreszcie – nazywał się Horonar, co tłumaczyło się – „Pień Drzewa”.

Wyjaśniło się natomiast, kimże jest owa „ona”, Niug, co posiadała dar przewidywania, Jończyk rzekł, iż wyprawę podjął z jednego powodu – wieszczka przepowiedziała mu śmiertelne niebezpieczeństwo. „Wybawcę spotkasz w drodze” – rzekła. I spotkał Rozenkrontza, który uratował mu życie na Targowisku Próżności. Z drugiej strony gdyby nie wyruszył, niebezpieczeństwo by go nie dopadło i ratunek nie byłby konieczny. Zafrasowały Horonara owe zależności między determinantami życiorysu. Wszak sam fakt przepowiedni jest rodzajem ingerencji zmieniającej bieg spraw. Rozenkrontz uśmiechał się z wyższością – on podobne przemyślenia miał za sobą i wiedział, że odpowiedzi na te wątpliwości oczywiście nie ma.

Drogi były coraz gorsze; wszędy pieniała się roślinność, bujniejsza niż Rozenkrontz gdziekolwiek i kiedykolwiek w życiu widział korzenie drzew kpiły sobie z równych nawierzchni. Rozenkrontz nigdy tak dobitnie nie przekonał się o nikłości ludzkich prób okiełznania natury albo choć jej lekkiego wyrównania. Jończyk tymczasem potykał się o wszystko i był nieustannie kąsany przez komary, jakby owady lęły się w pobliskich moczarach z większą intensywnością na sam jego widok. Normalny człek skłębny na jego miejscu podstawy urządzenia świata, on tymczasem kierował się na południe ze wzrokiem utkwionym w niedocieczonej dali.

Dopiero wieczorem podjął opowieść, przerywaną co chwila na skutek nagłej inwazji gąsienic próbujących masowo wpełznąć w jego organizm przez rozchylane przy przemowie usta. Łagodnie brał je w dwa palce i kładł na ziemi, a te znów, z jakąś zaciekłością, która nie miała nic wspólnego z chęcią przeżycia, pełzły po jego ciele – w górę, jakby do obiecanego przez hochsztaplera raj. Rozenkrontz zrazu nie mógł na to patrzeć, jednak po jakimś czasie przywykł; nawet go to bawiło w jakiś melancholijny sposób.

Seimari spał pod stołem, Grimaldi zaś wydawał się bliski omdlenia. Dolsilwa snuł już opowieść dość długo; zdawało się, że zajmuje ona jeno tego wiotkiego Jończyka, Regraca. Kiedy poeta kolejny raz przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, a tym bardziej wina, okazało się jednak, że i Grimaldi słuchał z uwagą.

– Co przepowiedział Jończykowi Rozenkrontz? – zapytał.

– Znam tę historię od mego przyjaciela, Rozenkrontza – odrzekł Dolsilwa. – A on sam

pozbawion jest świadomości znaczenia swych przepowiedni. Nie wiem. Zdradzę wam jednak pewną tajemnicę – po to tu jestem, by się dowiedzieć.

– Jakże to? – zdumiał się cesarski kartograf.

– Rozenkrontz tuż po zrelacjonowaniu historii wpadł w trans i rzekł mi, że jeśli chcę poznać ciąg dalszy opowieści, muszę się udać w ściśle określone miejsce w ściśle określonym czasie.

– To zdumiewające – odezwał się nieoczekiwanie Regrac, aż obaj, Grimaldi i Dolsilwa, spojrzeli na Jończyka zdziwieni, bo do tej pory zasłynał milczeniem – że wszystkie te przechadzające się po świecie media wypowiadają się z taką mglistością, nieprawdą? Przecie mógł powiedzieć wprost, miast kluczyć i mnożyć dodatkowe warunki poznania prawdy. Po co musiał pan Dolsilwa pokonywać te ogromne przestrzenie, by tu przybyć: bo „odpowiednie miejsce i czas” to tu i teraz, zgadłem?

– I owszem, panie Regrac. – Dolsilwa wychylił dzban z winem. – Kiedyś myśleliśmy nad tym z Rozenkrontzem – wszak nie ma w tych prekognicjach umiaru ni ekonomii. Być może moja obecność tu jest do czegoś potrzebna, a ochota na zaspokojenie ciekawości jest przynętą, by mnie tu zwabić? I nie pytaj mnie, panie, komum potrzebny i do czego, bo może i nikomu i do niczego; może tak właśnie musi się dopełnić przeznaczenie. To nie jest tak, że Rozenkrontz... czy owa Niug panują nad przeznaczeniem. Relacje są chyba odwrotne. Oni są narzędziami, ogniwami łańcucha przyczyn i skutków niedocieczonych...

Przez chwilę milczeli, aż ciszę przerwał Regrac.

– Teraz ja – rzekł – opowiem wam historię, panowie. Będzie to opowieść o ojcu i synu. Rzecz jasna, działa się w Joanii; wkroczyliście bowiem w rejony, gdzie wszystkie ważne opowieści zakorzenione są w Joanii, dziwnej krainie dotkniętej Milczeniem Pana bardziej niż jakikolwiek rejon świata. Nie zawsze tak było...

Jończyk westchnął, jakby przytłaczał go ciężar wspomnień. Zmrużył oczy, by przebić się przez mgłę niepamięci, i jął snuć opowieść.

– Było to...

OPOWIEŚĆ REGRACA

Było to bez mała czterdzieści lat temu, gdy Joania uchodziła wprawdzie za część Cesarstwa Lechandryjskiego, ale było to sankcjonowane jeno formalnym edyktem cesarskim. Ziemie były płodne, ale nie w rolne płody; jeśli już rodziły, to roślinne bękarty, czyli chwasty wzmagające bujność i różnorodność otoczenia. Joania nie miała wówczas również żadnego znaczenia strategicznego, ot, spłachetek ziemi pamiętany przez Boga. Jakość dróg, od zawsze zła, skutecznie izolowała krainę od pozostałych prowincji cesarskich. Izolację tę wzmagało

przekonanie mieszkańców o wyjątkowości tej ziemi – to tu miał ich zdaniem stąpić Pan, tuż po stworzeniu świata, a ślady Jego Stóp to joańskie wąwozy i jeziora. Jego szaty ocierały się o tutejszą roślinność; stąd żywość barw i rozpiętość pnączy. Wyjątkowość uosabiała instytucja *holonai*, czyli Boskiego Tłumacza, Obcującego z Aniołami, Odpowiadającego Bez Pytania. On to interpretował Wolę Boga Milczącego, a jednak w snach *holonai* – Rozgadanego. Niektórzy z wybrańców (instytucja miała charakter dziedziczny) utrzymywali, jakoby odwiedzali ich, bynajmniej nie w snach, Aniołowie. Lud tutejszy wierzył *holonai*, przymierze z Bogiem zdawało się faktem, w osadzie, jedynej w okolicy, życie było błogostanem wręcz nienaturalnym. Ludzie z zewnątrz, którzy nawiedzali z rzadka Joanię, mówili, że wyczuwali tu aurę dziecięctwa, i stąd miały się brać błogości i życzliwości powszechne. Jest tak bowiem, że pamiętamy z wczesnego dzieciństwa zapachy, barwy i smaki bardziej niż konkretne rzeczy, i że tęsknimy do tej nieokreślonej przecie aury przez całe życie, a najbardziej na starość chyba. To jest nasz raj, nasza tęsknica. Może dlatego wiecznieśmy czego złaknieni – tej nieosiągalności, bo przeszłości, kiedy to intensywność wszystkiego przesycą nam zmysły. Nikt nie wiedział dokładnie, dlaczego w osadzie czuje się szczęśliwy, ale tak właśnie było. Nieliczni podróżnicy, co zapuszczali się w joańskie rejony, nie potrafili jednak zabawić tu długo, szczęście rozsadzało im dusze; nieprzywykli – umykali, szlochając. Mechanizm działał, niestety, w obie strony. Joańczycy nie mogli dłuższy czas przebywać poza oazą szczęścia. Stanowiło to poważną przeszkodę w handlu; stąd wynikła konieczność, by zbadać zasięg oddziaływania błogostanu. Gdy wytyczyli ścisłe granice – obszar szczęścia miał dwanaście tysięcy kroków średnicy i był nieregularnym okręgiem – na obrzeżach zasiedlono eksperymentalnie kilka rodzin. Szczęście działało tam wprawdzie, ale jakby słabiej. Był to rodzaj hartowania – dzieci wychowane na obrzeżach, tak zwani „półszczęśnicy”, nabierały odporności na ponure aury; gdy dorastały, trudniły się kontaktami handlowymi z resztą prowincji Cesarstwa.

I to tu właśnie zdarzyło się pewnej nocy Zwiastowanie nieszczęścia, które mogło się okazać szczęściem, ale nie musiało. Owóz do jednego z domostw zawitał znużony wędrowiec, była późna noc, nawet gwiazdy wydawały się śpiące. Gospodarz powitał gościa jak należy – jego żona sporządziła skromny posiłek, postawiła też na stole wino z zeszłego roku, kiedy to słońce dopisywało. Od razu spostrzegli, że obcy nie jest Joańczykiem, za jasne miał na to włosy, a twarz pogrążoną w cierpieniu, jak w głębokim cieniu. Cierpienie rzadkim było w Joanii gościem, zatem gospodarz zaciekał się wielce; obcowanie z taką mentalną obcością rozszerzało wszak horyzonty. Żona poszła do płaczącego dziecka – niedawno narodzonego syna, przedmiotu rodzicielskiej dumy. Zostali sami.

Wysoki, potężnie zbudowany obcy nosił się z surowością wędrowca, któremu intensywność podróży wybiła z głowy tęsknoty za elegancją czy wykwintem. Zaiste, wyglądał jakby regularnie przebywał odległości nie do przebycia. Roztaczał wokół siebie woń słodkomdłą, specyficzną,

trudną do zapomnienia.

Ich rozmowa nie była długa; mówił głównie przybysz, głosem przepełnionym zmęczeniem, gospodarz natomiast z każdym wypowiedzianym słowem bladł coraz mocniej, aż udało mu się osiągnąć niemal biel oblicza.

Mowa była o starej przepowiedni, tak starej, że wręcz stała się baśnią, w którą nikt w Joanii nie dawał tak do końca wiary. Powiadano, że któregoś dnia Milczący ześle na padół łez Syna, by ten – swą męką i śmiercią – okupił grzechy ludzkości. Nim jednak do tego dojdzie, jeden z Jończyków, Umiłowanego Rodu Pana, będzie musiał ofiarować swego Pierworodnego. Syn za syna, ofiara za ofiarę.

– Idzie o twego syna – rzekł przybysz ze smutkiem w głosie. – Czas nadszedł. Wypełnij Ofiarę, a ludy tego świata dostąpią zbawienia...

– Łżesz! – krzyknął gospodarz i byłby się porwał na życie obcego, gdyby nie uświęcone wiekowym zwyczajem Prawo Gościnności. – Wiesz, ile czasu czekałem na syna?!

– Masz pięć lat, ani chwili dłużej. Naciesz się nim, darz go miłością, ukaż, czym jest świat...

– Kim jesteś, że ośmielasz się żądać od ojca śmierci jego jedyne syna?

– Posłańcem złego i dobrego. Ja jeno przekazuję Wolę tego, który jest Wolą i Prawem. Tego, co Zło przekuwa w Dobro. Tak będzie z ofiarą twego syna.

– Dlaczego mam ci dać wiarę?

– Bo poza wiarą niewiele wam zostało.

– Jest jeszcze miłość...

– Tak. Jest i miłość. Chcesz dowodu, to masz. – Położył dłoń na blacie stołu. Kiedy ją odjął, został wypalony ślad. – Ile razy zwątpisz, tyle razy spójrz na ten znak.

Potem wstał, podziękował za gościnę i wyszedł. Gospodarz siedział jak skamieniały.

Dolsilwie podobała się opowieść Regraca, toteż zachnął się, gdy została przerwana odgłosem tłuczonego dzbana. Mimo że Jończyk niemal się nie ruszał, wy tłukł w trakcie opowieści cztery dzbany, w tym dwa do połowy pełne, co było jawnym już marnotrawstwem. Nawet jeśli na pocieszenie uznać, że były do połowy puste. Wydawało się, że niszczy zastawy samym oddechem, a gdyby tak było, mógłby z powodzeniem występować na jarmarkach. Ilekroć coś stłukł, tyle też razy uśmiechał się przepraszająco.

– Może powinniśmy czerpać rozkosz wprost z beczek – zasugerował łagodnie Dolsilwa. – Kim był ów wędrowiec? Skąd te jego nadzwyczajne moce?

– Mogę ci jeno rzec, panie, kim nie był z pewnością. Nie był człowiekiem.

Dolsilwa zadumał się. Czuł, że historia Jończyka i ta, którą sam opowiadał, powtarzając opowieść Horonara, są komplementarne, uzupełniają się jakoś, współgrają.

– Pozwól, panie Regrac, że teraz ja podejmę swoją opowieść. Będziemy nasze historie

przeplatać, co urozmaici wieczór. Na czym to ja skończyłem... Ach tak. Gąsienice. Lazły na Horonara, jakby był Liściem Obiecanym. On tymczasem kontynuował opowieść o *holonai* Goronarze...

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Niezrażony nadmiarem robactwa Jończyk opowiadał dalej. Rozenkrontz słuchał urzeczony, usiłując rozgryźć znaczenie tej opowieści.

– Joania od dawna już nie była wyspą szczęścia pośród oceanu nieprawości i okrucieństwa...

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Joania od dawna nie była już wyspą szczęścia wśród bezmiaru braku szczęścia, *holonai* Goronar wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Przekleństwo dotknęło osadę przed trzydziestu pięciu z górą laty. Wszystko zaczęło się łagodnie: stopniowo w osadzie gasło szczęście. Wyglądało to niczym powolna, ale nieuchronna zmiana klimatu. Niepostrzeżenie środek lata przeobraził się w zaczątki jesiennego trądu, a ludzie jęli domyślać się zimy. Aura szczęśliwości gasła nieustannie i niemal nikt nie wiedział – dlaczego. Religijność w osadzie wzrosła jeszcze, choć zarazem częściej trafiali się odszczepieńcy, co z Bogiem wiedli wewnętrzne spory, manifestujące się zewnętrzną pogardą dla doskonałości Stworzenia. Sprzeciw jednak też rodzajem jest wiary, bywa, że tym żarliwszej, im potężniejsza niechęć do obiektu kultu. Wszak, jeśli się nienawidzi Boga, to nie sposób w Niego nie wierzyć; wiara taka gorętsza bywa od letniej akceptacji. Masowo jęły powstawać miejscowe teodyce, tłumaczące maluczkim nagłą niechęć Pana oraz skąd to całe zło w świecie; przez pewien czas teologów w osadzie więcej było niż rzemieślników. Potem i ten zapal zamarł, ustąpił miejsca skostniałej obyczajowości. Modlitwy nie niosły zadośćuczynienia; starego *holonai* ktoś zabił, jego syn okrył się hańbą, biorąc za żonę niewierną – wszystko zmierzało ku upadkowi.

Wnet objawiły się inne fenomena – w osadzie rodziło się coraz mniej dzieci, znachorzy nie potrafili temu zaradzić. Mogło się zdawać, że skoro tak opada stężenie błogostanu w Joanii, to ludziom łatwiej przyjdzie żyć poza jej granicami – nic jednak biedniejszego nad takie mniemanie. Okazało się, że spadek szczęścia w Joanii wprost jest proporcjonalny do przybojów nieszczęścia w innych częściach świata; oczywiście dla Jończyków jeno. Emigranci rychło wracali z tułaczki; tak ich pech gnał, a zarazem wzrastająca niechęć mieszkańców innych krain. Dawniej w oczy kłuło nieznośne szczęście Jończyków, teraz obawą napawał ich pech

nieśluchany – zawsze znajdzie się dobry powód do wstrętu. Dość, że najwytrwalsi z uciekinierów wytrzymywali najwyżej rok poza granicami osady; potem zjawiali się z obłędem w oczach, owrzodzeni, dotknięci usterkami fizycznej lub innej natury. Najczęściej innej. Niektórzy wcale nie wracali, lecz nie z powodu odnalezionego szczęścia, a raczej dotknięci ostatecznością – pech ich wybijał ponad miarę istnienia – ginęli w nędznych zazwyczaj okolicznościach.

Do tych klęsk jeszcze jedna doszła. Otóż poza kręgiem szczęśliwości żyła stara kobieta, Niug, Prawdę Postrzegająca, Nici Żywotów Splatająca. Powiadano, że stara jest jak czas, że widziała początek świata i pewnie ujrzy jego koniec. *Holonai* Goronar nie wierzył tym wieściom, lecz w niewierze swej był odosobniony. Wieszcza rzadko przepowiadała przyszłość, kiedy jednak to już czyniła, odgadywała prawdę za każdym razem. Zdarzyło się przed laty, że ruszyła do jej sadyby delegacja złożona z mieszkańców osady; wyprawa – niedaleka po prawdzie – odbyła się bez wiedzy *holonai*, bo wszyscy wiedzieli, że by jej nie poparł, a może i obłożyłby uczestników jakąś klątwą. Wprawdzie utracił znaczną część mocy i autorytetu, ale Jończycy słynęli z tego, że dmuchali na sople lodu. Dość, że dotarli, pomimo doskwierającego poczucia braku szczęścia; było to jeszcze w czasach, gdy błogostany w osadzie były wciąż mocno odczuwane. Zrazu Niug nie chciała z nimi gadać, jakby wystawiając na próbę ich determinację, czarna rozpacz bowiem zalewała pokłady ich witalności z każdą jałową chwilą. Wreszcie pozwoliła zadać sobie jedno jedyne pytanie, co też uczynili. Pytanie było oczywiste – dlaczego Joania przestała być krainą w szczęście opływającą? Niug odprawiła stosowne rytuały, poświęcając czarnego kota. Powiadali, że za każdą wróżbę żywot postradać musiał jakiś żywy organizm – taka już była surowa ekonomia prekognicji, a może i zarazem jeden z powodów niechęci Niug do wróżb. Co ciekawe, koty garnęły się do niej stadami, a w Joanii trudno było uświadczyc choć jednego. Znawcy tematu prawili o kociej niechęci do infantylności błogostanu.

Odpowiedź zaskoczyła Jończyków...

Jończyk wypuł ścierwo jakiegoś owada; bez niechęci, a może i ze współczuciem.

I kiedy wydawało się, że podjęcie przerwany tok opowieści, zmiłkł nagle, jakby mu się wyklął we wnętrzościach motyl, jakby misja jednej z gąsienic zakończyła się sukcesem; osiągnęła raj, Jelito Obiecane, i tam przeszła przeistoczenie.

– No i? Jaka była odpowiedź? – krzyknął Rozenkrontz. – Co im Niug rzekła?

Horonar nic nie powiedział, zasnął z otwartymi oczami.

Dolsilwa, którego jedynym naturalnym bogactwem były pokłady złośliwości, wprawdzie rabunkowo eksploatowane, lecz chyba niezmierzone, przerwał opowieść z premedytacją, oczekując żywszych emocji po swym rozmówcy. Przerwanie historii w momencie kulminacyjnym było jednym z chwytów literackich, jakie Dolsilwa stosował w swych licznych

utworach – chciał w Regracu wywołać ciekawość, albo choć cień zniecierpliwienia – nic z tego. Tak go to zdumiało, że sam popadł w zniecierpliwienie; kto antraktami wojuje, ten od antraktów ginie, niestety.

Tymczasem kartograf Grimaldi nieoczekiwanie doszedł do siebie i począł się przysłuchiwać opowieściom. Jako że był właśnie w swym upojeniu na etapie błędnego rozrównienia, toczył obficie łyżę, które w specyficznym oświetleniu izby (blask wypalonych świec połączony z krwistością wschodzącego słońca, przefiltrowanego dodatkowo przez dziurawe zasłony na oknach – barwy sinej) miały kolor srebrzysty. Wyglądało, jakby srebrem łąka, co nadawało gorzkim żalom wymiar, nadmiernej i niestosownej być może, ale jednak wzniosłości.

– Tyle bólu, tyle cierpienia... – łąka kartograf cesarski. Zaraz jednak doszedł do siebie i postanowił raczej wino spijać niż łyżę. – A czy zastanawiali się panowie kiedy, dlaczego niemal wszystkie znane religie mówią o doskonałości i harmonii świata, podczas gdy uczestnikom rzeczywistości zdaje się, że raczej taplają się w gównie, niż przechadzają po wonnych ogrodach? Dlaczego świadectwo naszych zmysłów pozostaje w takiej sprzeczności z przesłaniem metafizycznym?

– No? – zachęcił go Dolsilwa, zerkając odruchowo na srającego bohatera obrazu Greubła Starszego

– Psia kurwa – jęknął przez sen Seimari.

– Kartograf jeno może kompetentnie odpowiedzieć na tak zadane pytanie. Istotą naszej profesji jest uogólnianie szczegółów, umniejszanie pości powierchni, by je zawrzeć na mapie. Wyobrażam sobie, że świat musi wyglądać z ogromnej odległości, albo też wysokości, tak właśnie, jak na naszych mapach...

– Co z tego?

– Na mapach świat jest uporządkowany, wygląda harmonijnie. Cóż tam mapy zresztą! Przyjrzyjcie się łąkom. Gdy je widać z dala – są jak zielone kobierce; jednolite, jakby tkane na krosnach. Z bliska – chaos różnorodności. Każdy przedmiot ujrany z odpowiedniej bliskości traci swą doskonałość, gładkość, na każdym zobaczysz jakieś szpary, pęknięcia, załamania; stopień doskonałości odwrotnie jest proporcjonalny do odległości...

– Zgoda, panie Grimaldi, ale do czego waść zmierzasz, bom zgubił wątek, a coś mi mówi, że doszło w twej przemowie wręcz do metafory jakiejś – mówiąc to, Dolsilwa obserwował pająka, który jął rozsnuwać swą sieć w rzadkim zaroście Jończyka.

– Tak sobie wyobrażam Boga – rzekł Grimaldi ze smutkiem – jak kartograf kartografa. Z boskiej dali świat wygląda jednolicie i wspaniale być może. Gdy zasię przyjdzie na nim żyć, wygląda jak wygląda. Może byłoby lepiej, gdyby Bóg poprzehadzał się trochę po swych włościach...

– Może właśnie teraz się przechadza... – mruknął Jończyk.

Zamilkli na chwilę, każdy zatopiony w myślach; jeden Seimari wydawał się zatopiony w czym innym niż myśli.

– Panie Regrac – Dolsilwa wciąż wpatrywał się jak urzeczony w pająka – czas na pańską opowieść.

Regrac od razu przeszedł do rzeczy.

– Od okrutnej przepowiedni minęło wyznaczonych pięć lat...

OPOWIEŚĆ REGRACA

Od wygłoszenia okrutnej przepowiedni minęło pięć wyznaczonych lat. Nie było to dużo. Początkowo świeżo upieczony ojciec starał się jak mógł, by dziecko było szczęśliwe, o co w Joanii nietrudno. Zarazem sam tracił wewnętrzny spokój, cierpienie wygrywało w nim z powszechnym błogostanem; z czasem jał to cierpienie pielęgnować, dzięki czemu uodpornił się na szczęście. Bo i z czegoż radować się, gdy trzeba uśmiercić własnego syna, choćby i dla szczęścia rzeszy całej? Pokazał synkowi, co mógł, nawet wyprawiał się z nim poza okrąg szczęścia, a wyprawy te były coraz dłuższe. Delektował się, o dziwo, aromatem cierpienia; rozumiał, że świat bez bólu i zła byłby niepełny, niedoskonały, kaleki. A może sam siebie oszukiwał?

Syn nie pojmował ojca; lękał się go nawet instynktownie. Wędrowki poza bezpieczny obręb błogostanu sprawiały mu ból, cierpienie nie było żadnym dopełnieniem, lecz przykrością naruszającą bezpieczny obszar jego dzieciństwa. Opierał się, jak mógł. Niewiele mógł.

Matka chłopca umarła, gdy miał trzy lata; nikt nie wiedział, z jakiego powodu. Umierała jednak z motylą lekkością, uśmiechała się, pełna wewnętrznej ufności w nieśmiertelność. Tak umierało się w Joanii – lekko i jakby z przyjemnością. Niektórzy powiadali, że umierało się od tej przyjemności właśnie. Jej mężowi ta śmiertelna radość wydała się upiorna. Pewnie jeszcze trzy lata temu myślałby o tym inaczej. Cierpienie jest jak załamanie światła w pryzmacie – człek zyskuje nową perspektywę, wszystko widzi inaczej.

Aż nadszedł dzień, w którym musiała wypełnić się Przepowiednia. Ojciec bez słowa zabrał syna; przedtem długo ostrzył nóż ofiarny, lecz tak, by nikt tego nie widział. Nóż powinien być ostry, żeby skrócić czas skracania cierpienia.

Szli długo na wschód, w kierunku Góry Amarat, porosłej czasem jak mchem. Niegdyś, jeszcze przed odkryciem przez Jończyków rejonu błogostanu, składano tam w ofierze zwierzęta, by przebłagać sprawiedliwą surowość Pana.

Słońce zachodziło już, gdy dotarli do Góry Amarat. Blask obejmował niezbyt czule wszystko w zasięgu wzroku, góra wyglądała tak, jakby ktoś z wielką pieczołowitością zalał ją krwią, lecz

wschodnie jeno stoki. Już na szczycie ojciec przerwał milczenie i wypowiedział kilka gorzkich słów o charakterze egzystencjalnym.

Jakiś czas temu obudziła go mucha, brzęczenie owada odstręczało sen; przez chwilę pragnął go rozgnieść. Ale powstrzymał się w ostatniej chwili; ten moment wahania, krótki przecie jak mgnienie, i ów nieoczekiwany akt łaski, bynajmniej nie podyktowany żadną dobrocią, lecz raczej kaprysem, odmienił go straszliwie. Zrozumiał, że przedłużenie egzystencji owada nie winno być dla muchy powodem do radości, a raczej do smutku. Kaprys istoty wyższego rzędu może odmienić życie na lepsze lub na gorsze – to nie było pocieszające.

Potem zaś opowiedział synowi historię przepowiedni oraz wizyty tajemnego gościa przed pięciu laty. Chciał, jeden Bóg wie jak bardzo, by chłopiec spróbował ucieczki, a on chyba by go nie gonił. Pragnął odegnać od siebie decyzję o śmierci i życiu. Ale syn nie pojął ojca; był zmęczony, bardzo zmęczony. Nawet, gdy ujrzał ostrze noża, nie pomyślał, że grozi mu śmierć. Dopiero po latach zrozumie znaczenie ojcowskiej opowieści.

Ojciec wznosił nóż ofiarny, by z mocą zatopić ostrze w krwi niewinnej, by spełnić Ofiarę i dopełnić Przepowiedni. Ale nie mógł. Nie potrafił.

To z jego winy dotknęło Jończyków przekleństwo. To z jego winy Syn Boga nie narodził się z plemienia Jończyków. Bezmiar jego winy przepęłniłby oceany świata.

O dziwo, czuł i nie czuł się winny. Ten nastrój rozchwiania miał go nie opuścić aż do śmierci. Jakby pozbył się z duszy ciężkiego kamienia odpowiedzialności, bo nie zabił syna, ale zarazem poczucie winy natychmiast wtaczało nowy głaz, bo zawiódł swój lud. I tak bez przerwy.

Szczęście jęło z wolna opuszczać Joanię – obserwował zjawisko z uwagą badacza. Któregoś dnia przekonał sam siebie, że mimo wszystko obdarował Jończyków, poprzez swe zaniechanie, wiedzą na temat zła i cierpienia, dość gorzką wprawdzie, lecz cenną. Tego samego dnia umarł, zamordowany.

Seimari ocknął się wreszcie ze swym stałym przekleństwem na ustach. Tym razem antrakt zapadł w dobrym momencie, jakby nad opowieścią Regraca czuwał jakiś wytrawny scenarzysta, los na przykład.

– Kto go zamordował? – zapytał Dolsilwa.

Regrac uśmiechnął się, płosząc pająka.

– A teraz ja wam coś opowiem, mili moi kompani od dzbana – rzekł Seimari nieoczekiwanie, a na dodatek nieoczekiwanie trzeźwym głosem. Zdumiał tym wszystkich, łącznie z Grimaldim. Dolsilwie nawet przemknęło przez myśl, że pseudoelf nie spał wcale, a udawał. – Było to... żebym was, panowie, psia kurwa, nie oszukał... jakieś dwadzieścia lat temu... Mój stary przyjaciel Menioza, co tu kryć, cesarski prokurator, otrzymał dziwne zadanie. Chyba najdziwniejsze w jego karierze...

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

Było to najdziwniejsze z zadań Siedemnastego Prokuratora Cesarstwa, Meniozy, choć zrazu nic na to nie wskazywało. Wprawdzie wezwanie przed oblicze Armeba, cesarskiego Trzeciego Doradcy, nie należało do procedur rutynowych, tym niemniej nie zwiastowało jeszcze jakichkolwiek nadzwyczajności.

Armeb przyjął Meniozę w przytulnej komnacie obwieszanej gobelinami przedstawiającymi platoniczną miłość poddanych do Cesarza. Postać władcy wyszywana była złotą nicią i promieniowała blaskiem, podczas gdy poddani ginęli w tle. Od czasu do czasu gdzieniegdzie przewijała się postać Armeba, skromnie obramowana srebrną nicią; nachylał się nad uchem pana swego i prawdopodobnie podszeptował projekty reform korzystnych dla skarbu Cesarstwa Lechandryjskiego. Armeb, choć eunuch, był ambitny i wciąż jeszcze młody, na korytarzach cesarskich rezydencji szeptano o rychłym awansie na stanowisko Drugiego, a może i Pierwszego Doradcy.

Menioza też myślał o przyszłości z zachłannością. Pasowali do siebie. Cesarski doradca nieomylnie wyczuwał takie potencjalne alianse; szukał zaufanych ludzi. I znajdował.

– Prokurator Menioza – rzekł Armeb na powitanie, z nutą zadowolenia w głosie. – Wina?

Menioza odmówił powściągliwym, lecz stanowczym gestem.

– Dyscyplina... – westchnął Armeb i nalał sobie trunku. Pod szatami rysowały mu się niemal kobiece krągłości, zapowiedź otyłości; pod tym względem jego przyszłość wydawała się oczywista.

– Słyszysz z dyscypliny, panie. Również umysłowej. Kiedyś rozwiązywałem łamigłówniki. Moglibyśmy się zmierzyć.

– Jestem zwolennikiem używania umysłu w sprawach przynoszących pożytek. – Menioza szarżował, ale z pełną świadomością.

Najważniejsza jest maska. Odpowiednia maska może uczynić z chama pana, a nawet Cesarza. Tej ostatniej myśli trochę się przestraszył; na jego stanowisku nie wypada być wywrotowcem, choćby tylko w ciasnych przestrzeniach własnego łba.

– Widzę, Menioza, że to, co o panu mówią, jest prawdą. Surowy, praktyczny, uzdolniony pod każdym względem. To zastanawiające, gdy człek tak ściśle przylega do przypisywanego mu przez bliźnich wizerunku... – Armeb obserwował Meniozę z chłodną uwagą. – Zwykle są w nas jakieś nadmiary lub niedomiary. Wystajemy z owej formy, którą nam narzucają, wylewamy się z niej, co zresztą nas czyni ludźmi właśnie. Pan natomiast, siedemnasty prokuratorze, przylegasz do wizerunku z niezwykłą ścisłością. Może to oznaczać albo ograniczenie umysłu, albo coś

odwrotnego... Ha, zaryzykuję. Powierzę ci delikatną sprawę, pozornie nieistotną, ale być może jednak ważną. Sam pan zdecydujesz... na miejscu. W wypadku sukcesu wróżę awans na Szesnastego, a może i Piętnastego Prokuratora. W nieodległej zaś przyszłości... – Armeb zawiesił głos i obaj jakby się rozmarzyli.

Zaraz jednak otrząsnęli się z błogości, co mąci umysł, i przeszli do rzeczy. Armeb opowiedział Meniozie o dziwnych przypadkach morderstw dokonywanych w odległej prowincji Cesarstwa – Joanii. Prokurator nigdy o niej nie słyszał, co samo w sobie zaskakujące nie było; włości Cesarstwa były rozległe. Mieszkańcy przekonani byli o swej odrębności od innych plemion ludzkich, co też nie było zjawiskiem rzadkim. A jednak niezwykłość ich polegała na tym, że mogli – obstając przy swej nadmiarowości – nie mijać się prawdą. Stwierdzenie to zastanowiło Meniozę – mesjanistyczne zapędy różnych ludów nie były niczym nadzwyczajnym; Cesarz – jak dobry ogrodnik, co nie lekce sobie waży solidnego ukorzenia roślin – nawet wykorzystywał te głębokie przekonania do swych bezkrwawych podbojów, obwołując się półbogiem, a nawet pewnym nakładem środków nabierając cudownych cech zwiastowanych w przepowiedniach. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z rzeczywistością, wręcz przeciwnie – oddalało się od niej wprost proporcjonalnie do wzrostu żarliwości podobnych wierzeń.

Menioza dał wyraz swym wątpliwościom.

– Taaak – westchnął Armeb – to tajemnicza sprawa. Ale wszystko wskazuje na to, że coś dziwnego dzieje się na tych ziemiach. Próbowaliśmy zjawisko badać, lecz ześlizgujemy się po panującym tam błogostanie. Ludzie wariują, niektórzy żądają nadzwyczajnych opłat za pracę w ciężkich warunkach. Szczęście to mordercza siła, panie prokuratorze...

Armeb dalej snuł opowieść, nawet z pewnym narracyjnym talentem, w odpowiednich momentach modulując głos, co uplastyczało relację. Otóż w joańskiej osadzie, niewielkiej, liczącej może pięć tysięcy dusz, doszło do serii zabójstw. O sprawie poinformowano władze poufnie i anonimowo. Prokuratura w mieście Kolar niechętnie wysłała do Joanii śledczego, niejakiego Karmaba, wraz z kilkoma ludźmi. Po siedmiu dniach obstawa śledczego wróciła w ponurych nastrojach graniczących z samodestrukcją. Izolowano ich na wszelki wypadek, by zaraza szczęścia w nieszczęściu (lub odwrotnie) nie pieniała się pośród społeczeństwa. Śledczy, człek stawiający obowiązek służbowy nad zdrowym rozsądkiem, został.

– Wytrzymał miesiąc. – Armeb nalał sobie wina i pytająco spojrzął na prokuratora; ten znów odmówił. – To bardzo dobry rezultat, o czym jeszcze wówczas nie wiedzieliśmy. Jego notatki są znakomitym materiałem badawczym. Oto one...

Armeb rzucił na stół kilka zapełnionych nerwowym pismem kart.

– Co się z nim stało? – zapytał Menioza.

– Powiesił się. Z nadmiaru szczęścia.

– Chyba jednak się napiję.

Śledztwo Siedemnastego Prokuratora Meniozy miało dwa cele (w tym momencie Armeb zniżył głos, choć podwójne ściany komnaty uniemożliwiały praktycznie podsłuch): pierwszym, mniej istotnym i fasadowym, było odkrycie tożsamości zabójcy; drugim, o wiele ważniejszym – przeniknięcie natury szczęścia otulającego Joanię szczelnym kokonem, Armeb dysponował już sporym materiałem badawczym; nadto najemnicy porwali dwóch chłopców, Jończyków, z których jeden rychło skonał, a drugi wciąż żył jeszcze i poddawany był badaniom od lat pięciu.

– Był tak zwanym „półszczęśnikiem”, wychowywanym na obrzeżach błogostanu, zatem uodpornionym na nasz wraży los – powiedział Trzeci Doradca. – Poznasz go. Pomoże ci. Masz dwadzieścia dni na przygotowania. Zapoznaj się z dokumentacją, porozmawiaj z „półszczęśnikiem”. Potem – w drogę, przyszedł Pierwszy Prokuratorze!

Seimari przerwał opowieść nagle, idąc za przykładem pozostałych mówców.

– Ciekawa historia... – mruknął łaskawie Dolsilwa. Pozostali pokiwali głowami.

– Chyba moja kolej... – rzekł poeta.

– Niekoniecznie – odezwał się Grimaldi, od jakiegoś czasu uważnie śledzący tok wszystkich opowieści. – Przecie wiemy już, co Niug powiedziała Jończykom. Regrac o tym prawił. Musiała powiedzieć – chyba, że była hochsztaplerką – że za nieszczęście odpowiada niedokonana ofiara z żywota pierwородnego...

– Niug nie była hochsztaplerką. A to była Pierwsza Przepowiednia – odparł Dolsilwa.

– Czy to znaczy... – Grimaldi zachłysnął się. – To znaczy... że jest i druga?

Poeta uśmiechnął się i podjął opowieść.

– Następnego ranka Rozenkrontz dostrzegł jakąś, nieuchwytną zrazu, zmianę w zachowaniu towarzysza podróży...

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Następnego ranka Rozenkrontz spostrzegł zmianę w zachowaniu Jończyka. Jakby dawna pewność niepewności istnienia, aleć zawsze jakaś pewność, ustąpiła miejsca lekkiemu zaniepokojeniu. Poza tym coś jeszcze zmieniło się w Horonarze. Rozenkrontz obserwował go ukradkiem i gorączkowo myślał, w czym rzecz. Dopiero po jakimś czasie pojął: pech Jończyka zanikał. Stąpił z większą swobodą, przyroda już nie atakowała go swymi zasobami. A jednak. Jednak niepokój narastał. Wzrok Horonara nie tkwił już w wieczności; rozrzucił nerwowe spojrzenia po doczesności, a jej stan nie wydawał mu się chyba zadowolający.

Przerwę w wędrówce zarządził wcześniej niż zwykle. Nim podjął opowieść, rzekł:

– Joania coraz bliżej...

Nie zabrzmiało to jak pieśń tęsknoty.

– Pierwsza odpowiedź Niug... – zaczął Horonar wreszcie.

– Pierwsza odpowiedź? – zdumiał się Rozenkrontz.

– Tak. Niug wiedziała, że są dwa pytania, nim zrozumieli to Jończycy. Zatem pierwsza odpowiedź Niug...

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Pierwsza odpowiedź Niug zdumiała Jończyków tak bardzo, że na moment zapomnieli o cierpieniu. Wieszczka przypomniała starą przepowiednię – o koniecznej Ofierze z pierworodnego syna, którego krew ojciec miał przelać. Ofiara miała oznaczać zarazem Przymierze z Milczącym.

– Ofiara nie została dokonana – rzekła Niug. – Dlatego szczęście zanika w Joanii.

– Jak? Kto? Dlaczego? – przekrzykiwali się Jończycy.

– Złe pytania. Nadto nie znam na nie odpowiedzi.

Niug dalej grzebała we wnętrznościach czarnego kota.

– Gdybyś wiedział, jaki zaszczyt cię spotka, i tak zdechłbyś z wrażenia – powiedziała pojednawczym tonem do kociego truchła. – Taaak. Jest wyjście; można zatrzymać proces. Ale coś mi mówi, że źle wykorzystacie moją przepowiednię.

Oczywiście nie przejęli się przestrogą, choć powinni.

– Nie zginął syn – rzekła Niug – zatem ojciec musi być ofiarowany.

Nie pojęli przepowiedni, pytali o dane biograficzne domniemanej ofiary, ale Niug, straciwszy cierpliwość, poszczuła ich pozostałymi przy życiu kotami.

Od tamtej brzemienniej w skutki chwili minęło kilka lat. Wieść o przepowiedni Niug dotarła jednak do uszu *holonai*, nie mogło być inaczej. Prekognicja starej wieszczki wzbudziła konsternację; interpretacje mnożyły się jak króliki – należy zdać się na Sąd Boży – losować pośród ojców, a wylosowanego stracić? Jakoś nie mogli się zdecydować, tym bardziej, że *holonai* Goronar zdyskredytował wróżbę.

Wreszcie ktoś zinterpretował przepowiednię Niug po swojemu i jął mordować ojców rodzin. Rozpoczął od starego *holonai*, który już właściwie za życia nie żył, nie zajmowały go sprawy osady, zobojętniał i sposepniał. Nieznany sprawca mordował z rozwagą, najpierw znaczących obywateli osady, jakby mniemał, że jeno ofiara z bogatego życiorysu może odwrócić zły los. Zapewne brał siebie tajemny morderca za bohatera, czynił to wszak dla dobra innych, a raczej dla ich szczęścia. Cóż z tego jednak, skoro żadna z licznych ofiar nie okazała się tą właściwą? Szczęście czeźło i czeźło. W osadzie rodziło się coraz mniej dzieci, nie tylko z powodu

wyschniętych łon miejscowych kobiet; także mężczyźni z mniejszą ochotą brali się za chędożenie, które mogło okazać się w skutkach równie życiodajne, co i śmiertelne. Zrazu ojcowie zaczęli masowo emigrować, lecz dobrowolne wygnanie gorsze się okazywało od nagłej śmierci w osadzie – klęski ich dopadały i zarazy. Niektórzy popełniali samobójstwa. Inni – po prostu czekali na śmierć.

Jeno młody *holonai* Goronar i kowal Walkar nie poddawali się łatwo – prowadzili śledztwo, zastawiali na zabójcę pułapki, ale ten – jakby obdarzony szóstym zmysłem lub wiedzą tajemną – wymykał się z łatwością i mordował, mordował, mordował...

To Walkar wpadł na pomysł, by zawiadomić odpowiednie władze. Goronar opierał się, lecz wreszcie musiał ulec. Wysłali anonimowy donos do prokuratury w mieście Kolar. Nie minęło dużo czasu, gdy w Joanii pojawił się śledczy Karmab wraz ze świtą. Figura dość szpetna, sztywny niczym zamrożony badył, surowy w obyczajach, oszczędny w słowach. Twarz miał upstrzoną szczegółami w takiej liczbie, że miast pomagać, przeszkadzały w zapamiętaniu rysów.

Aura powszechnej w tej okolicy życzliwości, choć zmniejszała się sukcesywnie, to jednak wciąż działała na słabe dusze. Ale śledczego nie od razu złamała, czego nie da się powiedzieć o jego ludziach; ci nie wytrzymali – uciekli zaraz na drugi dzień ze łzami wzruszenia, piersią targaną szlochem, z łaską miłosierdzia dla wszystkich w oczach. Karmab wziął się na sposób – obozował poza zasięgiem szczęścia; czynił krótkie wypady do osady, by zlustrować miejsca zbrodni i porozmawiać ze świadkami. Joańczycy traktowali go z jawną nieufnością; jeszcze kilka lat temu nie byłiby zdolni do jej okazywania, a tym bardziej odczuwania, ale wszystko się zmieniało. Na gorsze...

Horonar przerwał opowieść, co tym razem nie zdziwiło Rozenkrontza: ciężko byłoby ją kontynuować z ostrzem sztyletu na gardle. Sam też poczuł chłód stali gdzieś w okolicach grdyki. Chłód zapowiadający wieczyste zimno. Ucieszył się z jednego powodu – pech Joańczyka skończył się, mieli zatem szansę na przeżycie.

– Co z nimi zrobimy, Herm? – zapytał głos z ciemności.

Przynajmniej trzech, pomyślał Rozenkrontz.

– Nie wiem. – Hermem okazał się ten przy Joańczyku. – Ale chyba coś wymyślimy.

Zarechotali.

– Najpewniej zakpiliście z nas, sucze syny – rzekł spokojnym głosem Herm. Jego spokój nie udzielał się Rozenkrontzowi. – I gdybyśmy byli pewni, że tak jest, nie ścigalibyśmy was. Machnęlibyśmy ręką. Sęk w tym, że jest mała szansa na to, że w waszym gadaniu żdźbło prawdy było... Dlatego tu jesteśmy.

Rozenkrontz pojął – byli to poszukiwacze Zielonego Motyla. Gorączkowo zastanawiał się nad strategią negocjacji, ale nie zdążył ich podjąć, bo nagle zdrętwiał, zeszywniał, wyrzucił

oczami tak, że białka zaświeciły w ciemnościach, i począł wieszczyć...

Dolsilwa westchnął ciężko.

- Co im rzekł Rozenkrontz? Zapewne i tego nie wiesz? – zapytał Grimaldi.

- To wiem akurat. Historia rozeszła się po okolicy szerokim echem, nawet legendą obrosła. Wszystkim przepowiedział straszliwą śmierć. Potraktowali go poważnie, tym bardziej, że jeden z nich próbował Rozenkrontza uciszyć, gardło poderżnąć. Ostrze pękło, bo Rozenkrontz, gdy przepowiada, kamienieje, w dosłownym tego słowa znaczeniu. To nadało jego słowom dodatkowej powagi. I choć nieszczęsnych napastników było trzech, ulotnili się, jakby byli parą... – Dolsilwa uśmiechnął się, zadowolony z gry słów.

- A przepowiednia? Sprawdziła się?

- Tak. – Dolsilwa skrzywił się. – I nie pytajcie mnie o więcej. Wolelibyście nie wiedzieć... W każdym razie gdy na drugi dzień Rozenkrontz otrząsnął się z niemocy, był sam. Jończyk go opuścił i nigdy więcej się nie spotkali. Ruszył za nim, lecz po drodze napotkał samotną chatę, wokół której kręciły się koty. Była to, jasna rzecz, chata wieszczki, owej Niug. Wiedźma od razu wyczuła w nim wróża; trafił swój na swą, choć natury ich talentów skrajnie się różniły, zarówno co do metody, jak i pochodzenia chyba. Tylko skutek bywał jednaki. Chętnie udzieliła mu rady, sięgając po nią głęboko, bo we wnętrzości kocie. Rzekła, by udał się na północ, jak najdalej od Joanii; tam pozna dalszy ciąg historii Jończyka. Hm... – Poeta zamyślił się. – Może i rację masz, panie Grimaldi. Dystans nieodzowny jest do poznania prawdy. Im dalej od przedmiotu zainteresowań, tym wyraźniej widzisz go w całej złożoności obok innych aspektów rzeczywistości. Coś w tym jest... Dość na tym, że Niug chytrze postanowiła wykorzystać obecność Rozenkrontza i poznać własną przyszłość. Powszechnie bowiem wiadomo, że obdarzeni łaską, czy też przekleństwem wróżenia, nie mogą sami sobie przepowiadać losu. Spoila mego przyjaciela ziołami, które winny wywoływać trans wieszczcy. Lecz nic tym sposobem nie wskórała. Wtedy wpadła na istic szatańską ideę. Postanowiła sprawdzić, co przepowiedziałby jej Rozenkrontz, gdyby wpadł w trans. Nie badała zatem bezpośrednio swego losu, lecz pośrednio jeno. Nie była zachwycona odpowiedzią, którą wyczytała w kocich bebeczach. Powiedziała Rozenkrontzowi na pożegnanie, że czas nieszczęsnych istot, które wiedzą więcej niż powinny, kończy się. Nadchodzą czasy chaosu, wolności i nieoznaczoności, czasy wolnych wyborów, kiedy niczego już nie da się przewidzieć. Ją to martwiło, mego przyjaciela natomiast – ucieszyło. I to już koniec mojej opowieści.

Regrac milczał, więc pająk powrócił.

– Za to moja jeszcze nie zwieńczona – rzekł Seimari i przeciągnął się, aż mu w kościach zachrupało. – Siedemnasty Prokurator Cesarstwa Menioza...

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

Siedemnasty Prokurator Cesarstwa Menioza długo zastanawiał się nad posłyszczanymi od Armeba rewelacjami. Po co Cesarzowi szczęście? – myślał. Szczęście poddanych to dla władcy największa z możliwych klęsk, i to pod każdym względem. Szczęście pozbawia łaknienia, jest stanem pełni, a państwo musi być procesem, nieustannym stawaniem się. Idealny poddany musi czegoś pragnąć, najlepiej zaś tego, co może uzyskać jedynie z łaski władcy. Najczęściej nie zyskuje nic – tym gorliwiej służy, bo naiwna wiara w nieuchwytne spełnienie (wszak zwykle nie wiemy, o co nam chodzi) podsycza żarliwość wykonawcy pańskiej woli. Oczywiście – od czasu do czasu, z rzadka, spełnienie następuje, by wiarę ciżby w łaskawość zasilić, dobra jednak należy dozować z umiarem. Zainteresowanie Cesarza jest zatem usprawiedliwione – Joania to realne zagrożenie dla systemu. Zagrożenie, którego naturę należy zgłębić, a następnie zniszczyć. Obowiązkiem dobrego władcy jest utrzymywanie społeczeństwa w poczuciu umiarkowanego nieszczęścia i takiegoż niedosytu.

Chyba, że pragnął Cesarz receptury na szczęście – ot, choćby po to, by nim wrogów razić. Gdyby na przykład w takim Imperium Hongh nagle wybuchła epidemia błogostanu i powszechnego altruizmu – podbój byłby nie tylko możliwy, lecz nieuchronny. Cesarzowi potrzebna mogła być filozoficzna broń masowego rażenia.

Menioza rozpoczął przygotowania do śledztwa od trzech podstawowych lektur: relacji z badań terenów wokół Joanii i w Joanii samej, wyciągu z filozoficznych traktatów dotyczących zagadnienia i szczęścia (wyboru dokonał zapewne Armeb) oraz swoistego pamiętnika śledczego Karmaba, nieświętej już pamięci. W przerwie między kolejnymi lekturami niespodzianie nawiedzały go dziewczki z cesarskiego lupanaru, podobno najlepsze w swym fachu na świecie. Menioza uznał, że w stwierdzeniu nie ma dużej przesady, a nawet jeśli jest, to on i tak nigdy w żaden sposób tego nie zweryfikuje, bo lepsze mu się nie trafią. Doprowadzały go do ekstazy na wiele różnych sposobów, po czym nagle, zwykle w najmniej po temu odpowiednim momencie (choć żaden nie byłby dobry), strażnicy zamkowi odrywali go od tych rozkoszy, by poddać prokuratora umiarkowanym torturom. Nie rozciągano go, aby urzędowego ciała nie uszkodzić, ale chłóście, i owszem, poddawano dość często. Potem zaś troskliwie opatrywano i namaszczano rany.

Armeb orzekł, że takie wahadło nastrojów zahartuje Meniozę przed czekającym go zadaniem, lecz prokurator wyczuł w tonie doradcy ledwo uchwytną ironię. Podobne zabiegi stosowano podczas posiłków, serwując naprzemiennie już to frykasy zapewniające niebo, ale jeno w gębie, już to zmuszając Meniozę do spożywania brei w nieokreślonym kolorze, ale o ściśle określonym absmaku.

Lektura raportów nie poszerzyła zbytnio wiedzy prokuratora. Podawano rozmiary obszaru

blógostanu; dokładnie określono liczbę mieszkańców, opisano szatę roślinną (nic niezwykłego, poza bujnym rozrostem, który tłumaczono znaczną wilgotnością tamtejszych gleb). Pobrane próbki wody badali najznamienitsi alchemicy Cesarstwa Lechandryjskiego – z mizernym skutkiem. Owszem, odznaczała się czystością, ale nie wchodziła w gwałtowne reakcje ze znanymi metalami. Kilku ochotników skazanych na śmierć próbowało wody, jak również produktów spożywczych ze strefy szczęścia – nie spowodowało to żadnych zmian w ich zachowaniu. Dopiero, gdy – ku zdumieniu miejscowych – rozkazano im osiedlić się w Joanii, po kilku dniach błagali o śmierć rychłą, byleby już tam nie mieszkać.

Hipoteza o jakichś nieznanach gazach rozweselających, dobywających się z trzewi ziemi w tamtejszych okolicach, też upadła, bo nie tłumaczyła ścisłości i niezmienności wytyczonego obszaru szczęścia.

Wreszcie pogodzono się z myślą, że być może w starej joańskiej legendzie o Bogu przechadzającym się u zarania dziejów po tamtych okolicach jest źdźbło prawdy. Menioza uznał to za wyraz rozpaczki wywołanej umysłową indolencją badaczy. Natychmiast najęto odpowiednich specjalistów – magów i Psy wszelkiej maści. Aleć ci nawet zbliżyć się nie mogli do Joanii – tak ich mentalnie paraliżowało dobro stamtąd bijące.

Prawdę mówiąc, Menioza nie miał zielonego pojęcia, w jaki sposób mógłby zbliżyć się do jakiegokolwiek pewnej wiedzy na temat natury szczęścia joańskiego. Wziął się zatem z ochotą za lekturę filozofów. Rychło jednak przekonał się, że i tu pewności nie zyska, a raczej utwierdził się w niepewności, czyli wiedzy o rozmiarach własnej niewiedzy.

Oto znany filozof starożytny, Lejos z Pejosa, kazał śmiertelnikom szczęścia w wiedzy właśnie poszukiwać, albowiem utożsamiał on z jakichś powodów dobro z mądrością. Jeśli kto źle się prowadził, oznaczało to, że wiedzy pozbawion o dobru i szczęściu. Lejos przeciwnikiem był kary śmierci, bo dobry nauczyciel (tu siebie miał na myśli) może każdego, nawet twardego jak głaz zbrodniarza nauczyć dobra. Skontrował natychmiast Lejosa jego własny uczeń, Karton z Maloka, który wypowiedział słynne zdanie: „Miłuję nauczyciela swego, lecz bardziej jeszcze Prawdę kocham”. Po śmierci swego mistrza Karton zdemolował myśl etyczną nauczyciela. Owóż Karton uznawał, że szczęście można osiągnąć tylko i wyłącznie poprzez zidiocenie całkowite. *Ten jest wesół – pisał filozof – kto prawdy gorzkiej nie dostrzega. Ten szczęśliw, kto oczy na rzeczywistość zamyka. Zmienić świat na lepszy i szczęśliwszy w jednej chwili niepodobna; łatwiej namaścić spojrzenie swe miodem jakiejś głupoty.* Menioza musiał przyznać, że coś w tym było na rzeczy – łatwiej jest bowiem znosić opory rzeczywistości poprzez niedostrzeganie ich, niż poprzez zmianę niekorzystnych stosunków rzeczy.

Szczęście, zdaniem Kartona, polegało na doznawaniu przyjemności, a nieszczęście na doznawaniu cierpienia.

Odkrywczę – westchnął w duchu Menioza. I czytał dalej.

Istnieje w opinii Kartona wewnętrzna radość życia, do której j potrzeba jeno braku cierpienia. Lecz są także przyjemności powodowane przyczynami zewnętrznymi, zależne od okoliczności, a wynikające z zaspokajania potrzeb. Te drugie filozof miał w pogardzie, albowiem zaspokajane potrzeby mnożą się jak króliki. Jeno całkowity brak jakichkolwiek łaknień (przy jednoczesnym braku cierpienia) jest stanem idealnym, a stan taki osiągnąć może albo mędrzec (temu ciężko), albo też głupiec kompletny (z łatwością).

Były też pisma przedstawicieli szkoły filozoficznej leżyzmu. Leżycy wierzyli w nieuchronność losu i dostrzegali nikłość człeka wobec ogromu Wszechświata, co dawało im asumpt do dość pesymistycznych przemyśleń na temat kondycji ludzkiej. Postawa leżycka była bierna, czyli leżąca właśnie; człek według jej wskazań winien ustosunkować się do rzeczywistości obojętnie – wszystko przyjmować z jednaką wzdardą, już to ukłony losu, już to kopniaki. Tylko obojętność zapewniała szczęście. Ale cóż to za szczęście? *Patrząc na każdy przedmiot, przedstawiaj go sobie jako ulegający rozkładowi, zmianie, jakby zgniliznie i rozpadnięciu się w pół, albo jak na rzecz przeznaczoną z urodzenia na śmierć* – pisał jeden z przedstawicieli leżyków, a drugi wtórował mu z ironią: *Albo tu żyjesz i już się do życia przyzwyczaiłeś, albo sam się wynosisz na tamten świat i tego chciałeś; albo umierasz i służbę swą odbyłeś. Poza tym nic. Bądź więc dobrej myśli.*

Menioza przedzierał się przez filozoficzny bełkot z rosnącą niecierpliwością; były koncepcje szczęścia jako życia zgodnego z naturą, choć definicje człeczej natury liczne były niczym gwiazdy na nieboskłonie. Były koncepcje religijne, których głosiciele z pewną jednostajnością opowiadali się za niweczeniem doczesnych rozkoszy i zapowiadali pośmiertne kolektywne roztopy duszy ludzkiej w Absolucie. Szczęście doczesne okazywało się nietrwałe, albowiem doczesność miała charakter przemijający z definicji samej. I tak dalej, i tak dalej. Rozważania te ani o krok nie zbliżały Meniozy do prawdy o joańskich przypadkach. Zatem porzucił naukowe mądrości i jął wreszcie czytać pamiętnik Karmaba.

PAMIĘTNIK KARMABA

Sam już nie wiem – awans to, czy regres mej służby? Śledztwo prestiżowe, lecz klęska wydaje się nieuchronną, Joania – słowo – przekleństwo z lat mego dzieciństwa. Lęk i niezrozumienie. Obcość. Muszę wyzbyć się bagażu tych doświadczeń, by podejść do dochodzenia z nieodzowną obiektywnością.

Ludzie, których mi przydzielono, to miernoty; odnoszę wrażenie, że wyznaczono ich na zatracenie. Tu pojawia się pytanie – a jeśli i mnie? A jeśli idzie o to, by moja kariera załamała się, albo jeszcze lepiej – ja sam mam zginąć marnie i bez wieści? Dość tych roztrząsań.

Fatalna jakość dróg, napiszę o tym w raporcie.

Przez kilka dni nie prowadziłem zapisów. Dotarliśmy do granic rzekomego błogostanu (jakoś nie mogę dać wiary wieściom, coś się we mnie wzdraga przed tą myślą, może to wszystko wymysł, sztuczka kuglarska?). Rozbiliśmy obozowisko, po czym wydałem rozkaz przekroczenia granicy dwóm mym ludziom. Polecenie wykonali niechętnie, z dyscypliną u nich niedobrze.

Podszedłem do tego metodycznie – kazałem im na uwięzi zagłębiać się w obszar i co jakiś czas przystawać, my tymczasem popuszczaliśmy sznura. Śledziliśmy ich reakcje. Zrazu nic się nie działo; gadali coś o lawendowych zapachach, choć my nie czuliśmy tych wspaniałości. Nagle jeden z nich rozplakał się, ronił łzy nietajonego wzruszenia. Natychmiast go ściągnęliśmy. Doszedł do siebie dość szybko, ale nie potrafił odpowiedzieć na pytanie – co go tak rozrzewniło.

Drugi wytrzymał dłużej; był to łotr spod ciemnej gwiazdy, o czym wiedziałem od jego przełożonych. Nawrócił się na drogę prawa pod naciskiem konieczności, typowy neofita, żarliwy, lecz chwiejny w poczuciu sprawiedliwości; w głębi serca – zatwardziały kryminalista. Kiedy się jednak złamał pod naporem gwałtownych uczuć, miało to charakter głębszy i trwalszy niż u pierwszego. Gdy go ściągaliśmy, szarpał się jak oszalały i krzyczał, że pragnie być poetą. Może w tym tkwi tajemnica tego miejsca (bo już w tajemne właściwości obszaru nie wątpiłem), że wyzwala i potęguje w człeku jego ukryte pragnienia, owe niewydeptane ścieżki alternatywnych życiorysów? Nie wiem. Obwieś nie doszedł do siebie nawet na drugi dzień. Błędny wzrok, trzęsące się dłonie. Kontynuujemy próby, futro ja wejść.

Stało się – zostałem sam. W nocy wszyscy uciekli; został jeno niedoszły poeta, aleć z niego żadnego pożytku. Cały czas rymuje i pragnie wrócić do oazy ekstazy, jak rzecz. Gdy pytam o naturę tych ekstaz, odpowiada, że sam muszę się przekonać. Niech się stanie. Przywiązałem się do solidnego pnia i zagłębiam się w obszar nieznanego.

Co ciekawe – wciąż nie widać tubylców, a jeno oznaki ich obecności – opuszczone domostwa. Należą bodaj do „pólszczeńników” – tak nazwano w przedstawionych mi raportach tych Jończyków, co utrzymują kontakt z zewnętrżnością dla nich siermiężną.

Ciężko było, szczęściem w tym nieszczęściu, że wola ma hartowana jak stal. Zagłębiłem się jakieś dwadzieścia metrów, zaiste najpierw reaguje zmysł węchu, nie wiedzieć czemu. Zapachy dzieciństwa, które natychmiast człeka rozbijają. Potem chyba wszystkie zmysły rejestrują otoczenie z większą intensywnością – barwy wyostrzają się, dźwięki nabierają głębi. Zaczynasz zdawać sobie sprawę z ubóstwa dotychczasowej egzystencji. Nadmiar przeradza się w przesyty i gotowyś wyć z powodu ekstazy, która staje się bólem. Błogość przeradzająca się w cierpienie, cierpienie, za którym będziesz już tęsknił do końca. Jedność przeciwieństw, stapianie się skrajności. Wierzę, że można się do tych nadmiarów przyzwycząić, a następnie odzwycząić.

Czytam, com napisał dotąd, i wiem, że nie oddaje to niczego. Słowa nie wystarczą.

Stopniowo zapuszczam się coraz głębiej, ale przywyknąć wciąż trudno. Sukcesem jest, że zachowuję świadomość, że potrafię rejestrować fakty, a nawet racjonalnie działać w strefie błogości. Napotkałem tuziemców, wiotkie postaci jakby rodem ze snu. Traktują mnie z niechęcią, lecz bez ciekawości. Rozmawia się z nimi trudno, zbywają mnie półśłówkami. Jeno tutejszy holonai, zwany Gównarem, ktoś w rodzaju kapłana, autorytet moralny, gada chętnie. Z mglistych aluzji wywiedziałem się, że to on, wspólnie z tutejszym kowalem, doniósł o zbrodniach. Ale oficjalnie nic o donosie oczywiście nie wie. Dzieli się chętnie informacjami, opisuje życie osady – zdumiewające poczucie pełni. Co jakiś czas ukradkiem osuszam łzy, co – nieproszone – cisną się na oczy.

Zaobserwowałem dziwny rodzaj aktywności tutejszych mieszkańców – wszyscy mówią do siebie szeptem lub półgłosem. Przez jakiś czas tego nie słyszałem, ale ów szept masowy tworzy rodzaj akustycznego tła nierozdzielnie złączonego z okolicą. Gdy zapytałem o to Goronara, uśmiechnął się smutno. Okazało się, że Jończycy przemawiają do Boga, modlą się, zagadują Go. Podobno kiedyś odpowiadał.

Dokonałem ekshumacji zwłok kilku ofiar. Zdumiewające uczucie; odór ciał, widok gnijących tkanek napawa mnie optymizmem. Cieszę się jak dziecko, gmerając w tej zepsutej maszynierii cielesnej, jakbym poszukiwał czegoś, czego tam już nie ma, a może i nigdy nie było – duszy nieśmiertelnej? Sensu istnienia, co kończy się tak nonsensownie? Dość! Dostrzegam u siebie wzrastające skłonności do snucia refleksji, nie mających nic wspólnego ze sprawą.

Wszystkim ofiarom podcięto gardła jakimś ostrym narzędziem, najpewniej nożem ofiarnym. Dlaczego nożem ofiarnym? Świadczyć o tym sposób ułożenia ciał (znany mi z opisów holonai Goronara) – twarzą ku ziemi, by krew spływała do trzewi ziemskich, gdy dusza ulatuje ku niebiosom: tak składano ofiary – zwykle zwierzęce, aleć nie zawsze – u różnych ludów. Ofiarami są wyłącznie mężczyźni, ojcowie dzieciom – i to jeno ich łączy.

Gdy zapytałem o tę zbieżność okoliczności, Goronar zbladł i zaprosił mnie do swego domostwa. Dom urządzony z surowością zaiste kapłańską lub urzędniczą (sam nie znoszę obnosić się ze swą – nikłą przecie – zamożnością). Dwie izby bez żadnych zdobień na ścianach, bez obrazów ni rzeźb. Usługiwała nam żona holonai, kobieta wielkiej urody, wpatrzona w małżonka z czcią, jakby za chwilę miał wzlecieć żywcem do nieba. Nie ma wzajemności w tym jednostronnym szacunku; Goronar traktuje ją z trudnym do pojęcia chłodem. A ja nagle zrozumiałem, że mógłbym zakochać się bez pamięci w tej biednej istocie i znów poczułem rozpacz wzbierającą mi w gardle. Wiedziałem, że czas mego pobytu w błogostanie dobiega końca, że zaraz muszę stąd uciekać, bo zginę marnie, z uśmiechem na ustach. Ale czekałem na odpowiedź holonai. Czekałem i cierpiałem, zachwycony.

Goronar opowiedział o dwóch przepowiedniach niejakej Niug – pierwsza tyczyła ofiarowania syna przez ojca. Do ofiary jakoby nie doszło, przeto, by Boga przebłagać, należało zabić ojca. Kłopot w tym, że nie bardzo było wiadomo, o którego ojca idzie, stąd ta rzeź. Morderca metodycznie wziął się do roboty, mniemając, że czyni to dla dobra ogółu; taki altruizm w przemocy często był spotykany, bo cel świątły i czysty uświęca nikczemność metod. Nikczemność to brud za paznokciami cudownie wypielegnowanej dłoni dzierzżącej miecz Sprawiedliwości (a w tym wypadku nóż).

Wysłuchawszy cierpliwie relacji, nagle wstałem od stołu, na tyle gwałtownie (bom czuł, że zaraz zacznę na kolanach błagać o rękę żony mego gospodarza, albo też uczynię coś gorszego jeszcze), że wylałem wino. Wtedy spostrzegłem, że napój o nieporównywalnym smaku zbiera się w czarnym zagłębieniu o kształcie dłoni, jakby wypalonym w blacie stołu. Nie zdążyłem o to zapytać – wybiegłem jak szalony, by zdążyć przed... sam nie wiem przed czym.

Kiedym już dotarł do opuszczonego obozu, wycieńczony bardziej emocjami niż biegiem, z ulgą oddałem się biczowaniu. Oto kotwica cierpienia trzymająca mnie u brzegów rzeczywistości.

Spieniamy z poetą Pieśń Radości. Coś nam rozsadza piersi – uniesienie, które nie ma w sobie pychy, żal, w którym nie ma złości, miłość i Bóg wie co jeszcze! Jończycy patrzą na nas ze strachem; nasza radość wydaje im się przesadna? Niestosowna!

Kwiaty tu przesycone są barwami tak intensywnymi, że aż mi wypala oczy. Powietrze obejmuje mnie czule, wiatr pieści skórę. Rozkosz, która już nie jest rozkoszą. Uciec stąd. Ale po co? Tam, na zewnątrz, nie ma nic. Nigdy nie było, lecz my przywykliśmy do tej pustki. Nie mogę już. Poeta, który był łotrem, czołga się po ziemi i charczy pieśń dziękczynną. Jak tu pięknie, jak pięknie.

Chyba nie powinienem prowadzić zapisków w strefie radości.

Wczoraj, kiedy dawaliśmy z owym poetycznym i patetycznym obwiesiem przedstawienie, ktoś zamordował kowala. Jak zwykle – poderżnięte gardło, twarz ku ziemi. Jego żona rozpaczala tak bardzo, że poroniła.

Powinienem odwiedzić tę wieszczkę, Niug. Ona za tym wszystkim stoi, od niej bierze początek łańcuch zdarzeń. Ale jakoś dziwnie wszystko to przestaje mnie z wolna obchodzić. Trupy, śledztwo – wszystko to już za horyzontem mej ciekawości. Co innego mnie teraz zajmuje. Czytam te zapiski i jakby kto inny je sporządził, obca mi osoba. Obcość tak dojmująca, że aż pragnę zniszczyć wspomnienie o sobie. Nie czynię tego. Piszę dalej.

W nocy przyszedł poeta. Wychudł straszliwie, lecz twarz jego nabrała szlachetnych

kontrastów, wyostrzyła się. W oczach – ból, usta spękane, ale wąskie i wyznaczone do cedzenia Prawdy.

– Zabij mnie – wycedził.

Nic więcej nie powiedział, a i ja przyjąłem to z milczącym zrozumieniem.

– Tak być musi. Kto jak kto, ale on wiedział, czego chce, a co może, no i co mu wyznaczone.

Podciąłem mu gardło i zostawiłem na skraju Obszaru. Twarzą w proch.

Kiedy jestem Tam, pragnę spokoju nicości, kiedy tu – chcę wrócić Tam. Dziwne to wszystko.

Podobno holonai zniknął. Ludzie powiadają, jakoby widziano go opodal chaty Niug, co było niepojęte – wszyscy wiedzieli o ich wzajemnej niechęci.

Dziś ja udałem się do Niug. Nie, nie po to, by śledztwo prowadzić. To już za mną. Po to, by ją zapytać. Kto może mi dać odpowiedź, jeśli nie ona? Ta odpowiedź mnie ukołi albo zniszczy. Już teraz wiem – żyłem po to, by zadać pytanie. Cała reszta nieważna.

Niug jest stara, Jończycy powiadają, że stara jak świat, a może i jeszcze starsza. Jej oblicze – niczym spękana od suszy ziemia. Patrzy na mnie jak na robaka, którego mogłaby rozgnieść, ale nie czyni tego.

Już chcę zadać pytanie, już otwieram usta, by dobyć z nich kwintesencję wątpliwości tego świata, gdy uprzedza mnie głosem przesyconym niechęcią:

– Koty uciekły. Wiesz, chłopcze, co to oznacza?

Chciałem zaprotestować, że już nie jestem chłopcem, że dawno osiągnąłem wiek męski (jake to dziecinne!), a potem dopiero powiedzieć, że nie wiem, co oznacza migracja kotów. Nie zdążyłem jednak, bo znów odezwała się pierwsza:

– Oznacza to, że nie ma odpowiedzi na pytanie, które chciałeś zadać.

Na tym kończyły się zapiski śledczego Karmaba.

Seimari przerwał, by zwilżyć gardło. Dolsilwie zdało się, że kartograf i Jończyk patrzą na siebie z rosnącą niechęcią, by nie powiedzieć – wrogością. Napięcie narosło wokół biesiadników dałoby się kroić jak tort albo gardło.

– Te opowieści... – mruknął Grimaldi. – One... na siebie zachodzą, pokrywają się i uzupełniają...

– Nic w tym dziwnego, panowie. Świat to jedna wielka Opowieść składająca się z miriadów innych, mniejszych, na które składają się jeszcze inne – powiedział Regrac niepewnym i drżącym głosem. – Z tego poplątania z pomieszaniem żyje nasz przyjaciel, Dolsilwa.

– A jednak to szczególne, że opowiadamy sobie być może jedną i tę samą opowieść... –

Dolsilwa zawiesił głos.

– Wypalona dłoń. – Grimaldi spojrział na Regraca. – Przecie to z pańskiej historii! Ten nieznajomy, z zaświatów chyba, co zarządził Ofiarowanie. A to by znaczyło...

– To oznacza, że Ofiara tyczyła rodu holonai – wtrącił poeta.

– Ale to było oczywiste od początku. Od kogo Bóg mógł żądać tak wiele, jeśli nie od tych najobficiej w wiarę wyposażonych? Albo uchodzących za takich... Wiedziałeś o tym, panie Regrac, prawda?

Jończyk zbladł bardziej niż zwykle i nic nie rzekł.

– Pozwólcie, psia kurwa, że zwięcę opowieść – odezwał się Seimari.

– Lękam się jej zakończenia – westchnął nieco teatralnie Dolsilwa.

– Prokurator Menioza długo nie mógł się otrząsnąć po lekturze pamiętnika Karmaba...

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

Menioza długo dochodził do siebie po ponurej lekturze pamiętnika. Teraz dopiero zrozumiał, że zadanie, którego się podjął, może przerastać jego możliwości. Jął przemyśliwać, w jaki sposób wycofać się dyskretnie z przedsięwzięcia; trzeźwo jednak ocenił, że takiej ewentualności nie ma. By otrząsnąć się z wrażenia, przez jakiś czas zastanawiał się cynicznie, po której stronie Karmab popełnił samobójstwo? Skłonił go do tego nadmiar czy raczej niedobór błogości? Rozmyślenia te terapeutyczny miały charakter i niosły dobry skutek – Menioza kontynuował pracę.

Postanowił porozmawiać z owym nieszczęsnym „półszczęśnikiem”, porwanym za młodu przez cesarskich najemników. Po lekturze listy zabiegów, jakim został poddany, spodziewał się prokurator spotkania z człeczym strzępem. Widok Jończyka mile go zaskoczył. Tortury przetykane dobroczynnością zahartowały młodzieńca tak, że niemal wyglądał kwitnąco (mimo wiotkości i bladeści charakterystycznej dla jego rasy), nadto jakaś zaciętość kwitła w kącikach jego zaciśniętych ust. Na wszelkie zewnętrzne pomyslności i przeszkody reagował (tak wynikało z raportów) z jednaką wzdargą. Pech, dotykający ekstremalnie jego współplemieńców z chwilą opuszczenia terytorium Joanii, jego akurat dotyczył w nikłym stopniu; właściwie nie wiadomo, z jakiego powodu – może dlatego, że emigrował (nie z własnej woli) w tak młodym wieku? A może właśnie szło o brak woli opuszczenia błogich rejonów? Dwa razy – wyjąwszy czas początkowego szoku, tuż po porwaniu – zdołano go wybić z tej niewzruszoności. Raz, gdy poinformowano, że rodzina nie rozpacza po zaginięciu syna (co nie było do końca prawdą; rozpacz – jak to zwykle w Joann – szybko ustąpiła miejsca ukojeniu); po raz drugi natomiast, gdy okazało się, że jego ojciec jest kolejną ofiarą serii zabójstw. Nie chciał w to uwierzyć, aż służby specjalne w głębokiej – jak to one – konfidencji pofatygowały się po głowę rodzica, by

zaprezentować ją synowi. Menioza skrzywił się na taką teatralność efektów. Oto jak hoduje się nieprzejednanych wrogów Cesarstwa.

Rozmowa nie trwała długo i niewiele wniosła. Jończyk bez ustanku kłął, nieudolnie i dość jednostajnie; prawdę mówiąc, było to jedno jedyne przekleństwo, dość rzadko, nawet w potocznej mowie, spotykane. Nadto powtarzał, że pomści śmierć ojca. Na pytania Meniozy odpowiadał wprawdzie, ale widać było, że nie pojmuje wyjątkowości swej kondycji.

Prokuratorowi nie pozostało nic innego, jeno udać się w pomyślne rejony. Ruszył tuż przed wyznaczonym przez Armeba terminem wraz z kilkoma świetnie wyposażonymi ludźmi. Duszę miał na ramieniu.

Los chciał, że nim dotarł do Joanii, natknął się na samotną chatę zamieszkaną przez starą kobietę i stado kotów. Od razu domyślił się w niej Niug, owej wieszczki, co wydawała się sprężyną zdarzeń. Długo z nią rozmawiał, Niug wypatroszyła kota i odpowiedziała na pytania Meniozy.

Menioza dowiedział się, że w zapanował w Joanii odpływ szczęścia, co wydało mu się informacją cenną, choć nie od razu wiedział dlaczego. Nadto Niug przepowiedziała mu, że nigdy nie dotrze do Joanii, co przeraziło Siedemnastego Prokuratora Cesarstwa. Gdy próbował uściślić przepowiednię, nic nie zyskał. Rozkazał więc swym ludziom, by zamordowali Niug, co uczynili ze skwapliwością, bo obawiali się dalszych wróżb, które tym razem mogły ich dotyczyć. Prokurator odniósł wrażenie, że stara kobieta zna swój los.

Menioza gorączkowo zastanawiał się, co go też czeka – śmierć, trwałe kalectwo? Dumał tak i dumał, rozpacz żarła go od wewnątrz, nie potrafił znaleźć wyjścia z sytuacji. Z jakiego właściwie powodu nie dotrze do tej przeklętej Joanii? Wreszcie wpadł na pomysł porażający swą prostotą. Nie dotrze, bo zawróci. Szczęście opada, zatem przestaje być palącym problemem dla Cesarza. Morderca nikogo tak naprawdę nie interesował, a im mniej Jończyków, tym lepiej. Gdyby jednak Armeb nalegał na sprawiedliwe winnych karanie, to miał jeszcze prokurator broń tajną w zanadru w postaci owego półszczęśnika, co kipiał nienawiścią. Odpowiednio nim pokierować, nastawić, dać narzędzia w postaci plenipotencji, zakamufłować w jakiejś urzędowej funkcji, co pozwala wędrować niepostrzeżenie po wszystkich prowincjach Cesarstwa, a uczyni wszystko, by mordercę swego ojca pojmać, a nawet z istnienia wymazać.

Jak postanowił, tak też i uczynił.

Seimari zamilkł i wszyscy zrozumieli, że to już koniec historii. Wschodzące słońce rozjaśniło izbę, ale sytuację już nie bardzo. Dolsilwa zarznął ciszę w swoim stylu, ziewając rozdzierająco. Potem zapytał Seimarięgo:

– To przekleństwo... – zaczął niewinnie – to, którego nadużywał ów „półszczęśnik”, jak właściwie brzmiało? I jakaż to urzędnicza funkcja pozwala dyskretnie przemierzać prowincje

Cesarstwa Lechandryjskiego?

Seimari uśmiechnął się, a w kącikach jego zaciśniętych ust wciąż pięknie kwitła zawziętość. Nie spuszczał wzroku z Regraca.

– Taak... – mruknął Dolsilwa, zadowolony z braku odpowiedzi, którą od razu uznał za odpowiedź. – Goronar oznacza po joańsku „Korzeń Drzewa”, Horonar – to „Pień Drzewa”... Ciekaw jestem... co oznacza imię Regrac?

– Gałązka – odezwał się Seimari. – ja też mam zagadkę, panowie: dla kogo cieśle zbili szafot?

Coś błysnęło w blasku wschodzącego słońca – od razu krwawo. Poeta spostrzegł nóż w dłoni Seimariego.

– Nie próbuj uciekać! – krzyknął kartograf do Joańczyka. Ten zbladł jeszcze bardziej, aż otarł się o przezroczystość karnacji.

– Czekaj! – wstrzymał Seimariego Dolsilwa. – Bo wciąż ciekawość mnie zre. On nie chce uciec... prawda, Goronar? Horonar? Regrac? Rozgałęziająca się opowieść... Nawet dowcipnie... Ty też pragniesz to zakończyć. Czas dojrzał. Może nawet jest już za późno. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Co przepowiedział ci Rozenkrontz, kiedyście się spotkali na Targowisku Próżności? Nie daje mi to spokoju. Ostatnia gałązka Drzewa Wiadomości...

– Skamieniał... – powiedział Joańczyk. – Dwa razy to widziałem i więcej nie chcę. Wyrzekł jedno zdanie: wracaj do domu, tam zyskasz odpowiedź. Nie posłuchałbym, ale przepowiedni Rozenkrontza nie da się ignorować...

Dolsilwa wzdrygnął się, wiedział coś o tym.

– Tyle jeno? – zdziwił się Grimaldi.

– Aż tyle... – westchnął Regrac, a raczej Goronar. – Aż tyle... Więc ruszyłem na południe. Do Joanii, do domu. Wiesz, co tam zastałem, Dolsilwa?

– Domyślałem się.

– Za to ja niczego już nie pojmuję – mruknął Grimaldi.

Seimari wciąż wpatrywał się z nienawiścią w Joańczyka. Ale ciekawość na razie i w nim wzięła górę.

Poeta zauważył, że pająk umknął z joańskiej brody, jakby spodziewając się kataklizmów. Instynkt przetrwania.

– Moja żona... – rzekł Joańczyk – moja piękna Halari... To prawdziwy cud. Dar. Urodziła syna, choć była bezpłodna. Mojego syna.

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Rozenkrontz ukrył twarz w dłoniach. Od dłuższego czasu słuchał opowieści Dolsilwy, poety, przyjaciela swego. Spotkali się, rzecz jasna, na północy Cesarstwa, w mieście Lies.

– Potem – mówił dalej Dolsilwa – nastąpiła krwawa komedia omyłek. Seimari cisnął nagle nożem, lecz o włos chybił. Krzyknął coś o pechu, był przecie Jończykiem, półszczęśnikiem jeno. Nóż utkwiał w ramieniu Grimaldiego, ten zemdłał. Bodaj tylko on – mnie nie licząc – był przy tym stole sobą, czyli cesarskim kartografem, nikogo nie udawał, przeklęty krasnolud. Tymczasem Regrac zerwał się do ucieczki. Wiedział o swej porażce, wiedział, że w przepowiedni, zarówno pierwszej, jak i drugiej, o niego szło, wiedział, że pozostając przy życiu, przedłuża przekleństwo swego ludu, a jednak pragnienie życia było w nim tak silne! Ale to on okazał się prawdziwym pechowcem, marnie zginął. Potknął się o coś, sam nie wiem... może to była nawet moja noga... Fatalnie łeb strzaskał. Upadł jakoś dziwnie. Twarzą ku ziemi. Dusza ku niebu, krew w głębę. Ale jego dusza chyba też – w głębę. I to koniec, Rozenkrontz. Teraz wiesz już wszystko.

Rozenkrontz podparł dłońmi głowę, ale tak mu ciążyła od kłębiących się myśli, że przydałoby się solidniejsze rusztowanie.

– Biedny głupiec. Zagmatwane to wszystko. Gdyby ojciec go poświęcił, nie doszłoby do tych wszystkich mordów, których syn potem dokonywał w majestacie niepotrzebnej i daremnej misji. Z drugiej strony – rozważał na głos Rozenkrontz – gdyby był dobrym człkiem, nie zabiłby tych wszystkich ojców rodzin, swego przyjaciela... Tego... kowala. Zatem ta Ofiara, której nie wypełnił stary *holonai*, miałyby sens. Miałyby, prawda, Dolsilwa? Miała... Musiała mieć. Bóg słusznie żądał śmierci jego syna, który stał się potworem? On widzi więcej... Właściwie widzi wszystko. Słusznie? Odpowiedz, na litość boską!

– Może Bóg powstrzymałby jego ojca w ostatniej chwili? – odparł poeta bez przekonania. – Zesłałby jakiegoś anioła o gorejących dłoniach. Może to miała być próba. Gdyby ojciec Goronara wyszedł z niej zwycięsko, jego syn byłby wychowywany w błogostanie, otoczony miłością. Byłby kimś innym. Kimś lepszym...

– Jego śmierć powstrzymała joańską klątwę, prawda?

– Tak. Ale szczęścia nie przywróciła. Joania jest teraz pod tym względem taką samą pustynią, jak cała reszta świata.

– Wiesz, Dolsilwa, jedna rzecz spokoju mi nie daje.

– Jedna tylko?

– No dobrze, jedna z wielu, ale może i najważniejsza. Pytanie.

– Jakie znów pytanie?

– Pytanie, które śledczy Karmab chciał zadać owej wieszczce...

– Niug?

– Właśnie, Niug. Jak sądzisz, Dolsilwa, o co chciał zapytać? Na jakie pytanie nie ma

odpowiedzi? No, na jakie?

Obojętne dusze

Nicość jest tym, czego Bóg nie chce.

Istnieje tylko dlatego, że Bóg jej nie chce.

Karl Barth

Dusz obojętnych nie chce ani Niebo, ani Piekło

Dante

Wysoki, czarno ubrany jegomość brnął po kostki w błocie, lecz jego buty lśniły, jakby dopiero co je wdział. Poruszał się z niesłychaną płynnością, zwodniczym wdziękiem, który mógł być maską skrywającą cokolwiek. Tym, co na niego zerkali, a mogli go dostrzec, jawił się niczym okręt pośród pospolitych raf. Rafami, rzecz jasna, byli wszyscy pozostali, akurat wylegli na ulicę Trzech Zwiędłych Wiązów w Barden – mieście pod wiecznie ołowianym niebem. Nawet dziewczki go nie zaczepiały, jakby przeczuwając, że akurat jemu niewiele mają do zaoferowania. Wdzięczny był im za ten brak wdzięków i za czarną niewdzięczność.

– Dlaczego tu akurat? – mamrotał do siebie. – Mogłeś wybrać lepiej, o Ty, Który Jesteś... Dlaczego tu krzyżują się losy? Nie miałeś czegoś bardziej malowniczego pod ręką? – pytał szyderczo, nawet zawieszał głos, jakby spodziewał się odpowiedzi. – Gór jakichś? Morza szafirowego? A tu jeno cztery kamienie zlepione zaprawą z gówna, krwi i potu. Miasto, znaczy.

Splunął z obrzydzeniem. Kałuże ściał mróz.

– Robaki – wycedził. – Spójrz na nich. Wszyscy puści w środku, jakby z dziur się składali. Próbują wypełnić czymkolwiek swe żywoty i wszystko wycieka – treść się ich nie trzyma. Jeno forma, ale i ta żadna. Nie udali Ci się, przyznaj. Kiepski z Ciebie artysta. Najbardziej w tym wszystkim paradne, że oni z tych swych braków uwznioślenia czynią, z pustki religie lepią; z powodu ssania przyrodzonej im nicości piszą poematy. Kochają istoty sobie podobne, podwajając tym samym pustotę. Mało tego, płodzą kolejne, a w wianie przekazują im tę bliżej nieokreśloną tęsknotę. Za Pełnią? Ty wiesz najlepiej. Miłość, która ich niszczy. Talenta, które wiodą w otchłań. Lub błogosławieństwo braku świadomości, o, tę wybiera większość, w głupocie szukając pocieszenia. Mądrość zgłupienia... Zawsze lubiłeś paradoksy. No i te ich idee, też ciekawy pomysł. Gotowi za nie umierać albo choć kogo zabić. Jakby pustkę wypełnić próżnią i czekać cudu. Zabijają w imię wyższego dobra, nierzadko z Twym imieniem na ustach – dostrzegasz ironię? Zabijają, bywa, w imię miłosierdzia. Nie takiś Ty ponury, jak mniemaliśmy przed Buntem...

Jegomość skręcił w mroczny zaułek, długim susem przeskakując zamrażającą kałużę. I gadał

sam do siebie dalej:

– Filozofowie, bo gdzie trzy szare komórki na krzyż, tam musi kwitnąć pustosłowie, czyli filozofia, próbują zgłębić Twą Tajemnicę. Wzmagają ku nieskończoności liche wspaniałości lub też zawzięcie negują wszechobecne gówno nędznej tej rzeczywistości – ustalając tym samym Twe Atrybuty. Jakby zgniatać paznokciem mrówki, a te w ostatnim tchnieniu próbują zbadać twardość i ciężar metafizycznego Pazura. Ci odważniejsi zadają niewygodne pytania – alboś Ty wszechmocny i niezbyt dobry, powiadają, albo też dobry, ale nie za mocny. Inaczej nie da się wyjaśnić niektórych zdarzeń – ziemi trzęsień, rzezi niewinnych. Złośliwy czy słaby? – pytają. Oni pytają.

A ja... cóż, ja się dowiem. Ale, ale... – Czarny jakby zasłuchał się w ciebie. – Czas. Kolejny kiepski Twój wynalazek.

Nagle przystanął i zaczerpnął potężny haust powietrza.

– Czuję... tak, czuję. Uroczy odorek zdrady. Mdły, lecz treściwy. Treść pustki, czyli zło – a zdrada to zło bodaj – jest nicością, albowiem Ty jej nie stworzyłeś. Jest, nie będąc. Zupełnie jak ja.

Wyrwał się z tej zadumy, zacierając łapska. I zachichotał: – Ów zapach zdradza mi obecność zdrady. A zatem przybył z dawna oczekiwany gość. Witaj w mieście, mój chłopcze...

Gdy Enrew przekraczał bramy miasta, poczuł, jakby ktoś bacznie go obserwował. Nie lekceważył takich wskazówek szóstego zmysłu; rozejrzał się dyskretnie. Nic. „Może to Bóg ma na mnie baczenie” – roześmiał się w duchu. Wysoki był jak na swój wiek, a miał piętnaście wiosen. I tyleż jesieni.

W Barden niewiele się zmieniło – błotniste gościńce, domy wykwintne jak burdele. Dziewki wdzięczne jak bazyliuszki, obywatele zaś zasobni niczym trzos ascety. Jedenaście lat – tyle czasu go tu nie było.

Jego ruchliwy wzrok wyłowił z ciżby dziwaczną postać – mąż nobliwie wyglądający, lecz niepewnie stąpający. „Pijany” – pomyślał zrazu Enrew, lecz zweryfikował pierwsze wrażenie. „Chwiejny” bladym okazał się człekiem – jakby krew odpłynęła mu z twarzy rzekami żył, zatokami tętnic w rejony odległe, bardziej być może kolorowe; wejrzenie miał błędne, wywraçał oczami, aż błyskały upiornie białka. Najdziwniejszy wydawał się jednak jego strój. Odziany był w białą kiedyś, teraz poplamioną błotem szatę, w pasie przewiazaną sznurem. Obuł się natomiast w sandały, jakby fundamentalny proces przemijania pór roku akurat jego nie dotyczył. Enrew i inni co bardziej spostrzegawczy wlepili zachłanne ślepią w postać dziwaka. „Zmysłów pomieszanie” – tak brzmiała druga diagnoza Enrewa. W tych okolicach tak właśnie przystrajano zmarłych, skromnie jakże, neutralnie rzecz by można, jakby w obawie, że wyżej (lub niżej) inne mody panować mogą. U pasa dyndał mu, rzecz jasna, mieczek, w którym powinna być złota

moneta – jak kazał obyczaj, na wypadek opłat granicznych w drodze ku zaświatom.

I ów trzos właśnie przykuł uwagę Enrewa kajdanami wyższej konieczności. I nie o chciwość tu szło, wszak nie było nadziei na duży zarobek. Chłopiec czuł, że po prostu musi dziwaka okraść.

Nigdy nie kierował się w swych złodziejskich robotach, w których przecie miał doświadczenie, uczuciem tak niskim, jak pożądanie dóbr. Moralność nie miała dla niego żadnego znaczenia – nużyła jednostajnością napomnień i powszechnością występowania. Zawsze dziwili go ludzie bezkrytycznie ulegający autorytetowi prawa – byli jak dziewczki oddające się klientom za darmo i jeszcze bez przyjemności. Równie mocno uwierało Enrewa istnienie złodziei kradnących z powodów ekonomicznych – wprawdzie zrzucili kajdany konwenansów, lecz natychmiast przyoblekali się w inne, równie ciężkie. Enrew tymczasem kradł bez powodu – akt kradzieży dawał mu bowiem złudzenie wolności wyboru, niepodległości sądu, egzystencjalnej lekkości ocierającej się o nicość. Nawet z większą przyjemnością odzierał z własności biedaków niż krezusów. I znów – nie z powodu łatwości. Kiedy zabierał ubogim, miał wrażenie mocy, czuł się jak bóg trochę – bóg pustki, nicości, braku. Odbierał im wszystko albo prawie wszystko; czegoż pragnąć więcej?

Zdecydowanym krokiem podszedł do dziwoląga – im był bliżej, tym potężniejsze wrażenie absurdu atakowało mu zmysły. Zapach, odór właściwie, słodkomdły, nie do zniesienia. Gdy był o krok, dostrzegł jego palce – poszarpane, pozrywane paznokcie, jakby drapały twardą materię.

Zwiewnym ruchem Enrew podjął sakiewkę i oddalił się niespiesznie.

Zawartość zbadał dopiero w pobliskim zaułku.

Trzos okazał się pusty.

W otchłannych podziemiach starożytnego miasta Barden, w czeluściach tak mrocznych, że noc czarna przy nich bladła, dało się słyszeć pewną niezwykłą rozmowę. Tożsamość rozmówców nie była tajemnicą jeno dla nich samych. Głosy dźwięczały w ciemnościach – powszechna niewidzialność nadawała im jakiejś dziwnej konsystencji; jakby się materializowały, jakby słowo ciałem się stawało. Pierwszy brzmiał bojaźliwie, przepełniały go wątpliwości, jego właściciel rozumiał, że nic nie rozumie; czuł, że wydarzenia, których jest uczestnikiem przerastają go – wszystko to brzmiało w jego mowie, w słów melodii, drżącej i rwanej. Drugi głos zasię był taki, jakby go wcale nie było, jakby z pustki był lepiony, jakby dobywał się znikąd. Wszak człecze głosy ociekają emocjami; nawet gdy się afekty ukrywa, to wiadomo, że „coś” jest zakryte, że pozorna obojętność jest konstrukcją wzniesioną w ściśle określonym celu, lecz w odpowiednim momencie przeznaczoną do rozbiórki. Ten głos niczego nie ukrywał; był dźwiękiem – niczym więcej. Jak mógł wyglądać ten, co dobywał z siebie takie odgłosy? Oto pytanie, które zadawało sobie wielu.

– Zatem, mój przyjacielu, dokonało się? – pytanie będące stwierdzeniem.

– Nie pojmuję, panie – drżący głos nie ukrywał rozpaczy. – Dlaczego? Wszak służyli ci wiernie. Z pokolenia na pokolenie. Byłeś ich prorokiem, zwiastowałeś Rewolucję. Bóg miał przemówić... A teraz...

– Nie pytam o granice twojej wiedzy, te są mi znane. Pytam, czyś wykonał polecenie, sprawił się, jak należy.

– Wiesz, że tak. Nie ośmieliłbym się...

– Bóg już przemówił, biedny przyjacielu. Piętnaście lat temu. Od tej pory głądzi nieustannie, jeno niewielu Go słyszy. Mnie ten Głos dźwięczy w uszach, nie do zniesienia, do granic obłądu... Milczący muszą ponieść ofiarę, takie ich przeznaczenie. Ich skorupy są mi niezbędne. Potrzebuję ich martwych ciał. Widzisz, z bogami i ich sprawami tak to już zwykle bywa. Spodziewamy się Pomazańca, który utopi świat we krwi, zniszczy, wypali niesprawiedliwość mieczem ognistym. Tymczasem On jest kimś zupełnie innym... – Cisza, słychać jeno oddechy; po dłuższej chwili: – Kimś na swój sposób bardzo niebezpiecznym. Zawsze jest inaczej, niż się tego spodziewamy. Do tego stopnia inaczej, że kiedy już się dzieje, kiedy się staje, nawet tego nie zauważamy, choć czekaliśmy na to całe pokolenia. To dość zabawne, nie uważasz? Boska komedia... Z moimi Braćmi w Milczeniu jest podobnie. Obiecałem im Rewolucję. Obiecałem Boskie Głędzenie. Ale przecież nie mówiłem, w jakim języku odezwie się Bóg. Nie mamiałem, że Go zrozumieją. Ani też wreszcie – co powie. Nie, tego im nie obiecywałem. A i rewolucja też jest zwykle czym innym, niż się spodziewamy. I zawsze pożera swoje najwierniejsze dzieci. Gdybym wciąż jeszcze potrafił płakać, to bym nad nimi zapłakał, przyjacielu. Zapłakałbym nie tylko nad nimi. Bo nie oni pierwsi. Lecz jest nadzieja, że może ostatni. Że wreszcie to wszystko zakończę. Tak. Ale mów wreszcie, coś zdziałał.

– Fałszywe świadectwo dałem, panie. Skłamałem. Zdradziłem. Oto, com zdziałał. Plotki siałem. Poruszyłem dźwignie rzeczywistości, by mechanizm mógł sam ruszyć. I mleć, miażdżyć, niszczyć. Jakaś chciał.

– Zatem Cesarz wie o Milczącym Spisku? – dopytywał się bezbarwny głos.

– Rzekomym spisku. Panie, ty wiesz wszystko. Nie pytaj więc.

– Wiem dużo. Ale nie wszystko. Potrzebuję ich cielesnych skorup, przyjacielu. Wielu skorup.

– Skazałeś na śmierć najwierniejszych z wiernych!

– Ich wiara wreszcie się na coś przyda...

– Ostrzeżmy ich! Jest jeszcze czas! Wydadź rozkaz! Raz jeszcze będę twym narzędziem!

– Nie. Już nie będziesz. Nie ty.

Zduszony krzyk w ciemnościach. I cisza.

Noc była cicha, jakby Bóg położył jej palec na ustach. Usta, obok języka, wydawały się Kimowi najważniejsze – wszak przemawiają. Mowa, a nawet dźwięk sam, wydawały się chłopcu bardzo ważne. Jakże chciałby przemawiać, rozmawiać, plotkować. Właściwie mógłby poświęcić życie wszelkim możliwym werbalnościom – gadać, gadać aż do bólu gardła, do skołowacenia języka, do bolesnych przełknięć śliny... Tymczasem w jego rodzinie nie było takiej tradycji – milczało się zakłęcie, a znaczenie miał jeno gest. Jego rodzice gestykulowali gwałtownie podczas niesamowitych, milczących swarów. Sąsiedzi posługiwali się subtelnym kodem znaczeń – i miny małpie miały swą powagę; język ciała był w tej dzielnicy Barden uniwersalny. Nawet dzieci pilnowały się, bo każda odzywka kwitowana była grymasem, fuknięciem któregoś z dorosłych. Siłą rzeczy, w ukryciu, próbowały mówić. Kleciły bełkotliwie słowa zasłyszane od obcych. Ci ostatni patrzyli na Milkliwych z niechęcią. Kim, czuł na każdy gest, odczuwał tę niechęć fizycznie – jak mur.

Najbardziej niesamowite były zgromadzenia w świątyni Boga Milczącego – cisza dźwięczała tam z większą mocą niż dzwony innych przybytków świętości. Modlili się, nie wznosząc modłów. Błagali – milcząc. Wołali – słuchając.

Dlaczego, myślał Kim, dlaczego mój Bóg milczy?

Za dwa dni dokona się Ceremonia Milczenia – Kim miał już dziewięć lat. Wytną mu język i będzie cichy jak noc.

Mieszkańcy Barden sądzili, że Milkliwi urągają Bogu. Prowokują, przedrzeźniają milczeniem ciszę. Cisza jest jak Pustka – I orzekł Mikilin, filozof cesarski. A pustka, jasna rzecz, to zło. Wszystko bowiem, co Pan stworzył, jest pełne. Pełne cudowności istnienia. Pustka zaś jest brakiem. Z milczeniem jest podobnie. Kim słyszał, jak Zelwer, okoliczny piekarz, przyzwoity człek, opowiadał o tym rodzicom. Takie twierdzenia przybliżają oficjalny edykt cesarski. Jeno patrzeć, jak was ogłoszą odstępcami, rzekł! Zelwer na odchodnym. Było to miesiąc temu – od tamtej pory już się nie pojawił – mimo że wcześniej zachodził chętnie. Siadał przy stole i wypijał kompot śliwkowy mamy. Kompot ściekał mu po brodzie, krople znaczyły podłogę, jakby odliczały czas. Ale od miesiąca – nie przyszedł.

Kim czuł rosnącą niechęć gadaczy – nawet dzieci stawały się coraz to złośliwsze, wczoraj na przykład obrzucały go kamieniami. Na szczęście słabo było u nich z celnością.

Chłopiec bardzo się lękał – bólu, ale chyba bardziej milczenia.

Czuł już senność, powieki ciążyły mu jak myśli. Właściwie zasypiał, kiedy coś zmaćło ciszę. Dzieci gadaczy nie usłyszałyby tego dźwięku, ale milkliwi wyczuleni byli na każde odstępstwo od milczącej normy. Jakiś szelest, który nie był odgłosem naturalności, odwiecznym szumem przepelniającym przestrzeń. Ktoś coś szeptał pod oknem Kima. Ten wyjrzał – na dole stały trzy zamaskowane postacie; to księżyc ich demaskował. Byli uzbrojeni. Zaraz, nie trzech, nie czterech nawet. Z półmroku wyłaniały się coraz to nowe sylwetki. Armia cała!

Wchodzili chyłkiem nieproszeni goście do milczących domów. Bawili tam krótko. Obnażone ostrza ich sztyletów lśniły w blasku miesiąca. Lśniły barwnie. Lśniły...

Ktoś był i w ich domu. Kim wyczuł to bardziej niż posłyszał. Czarne sylwetki. Skrytość zamiarów i jawność gestów.

Wtedy Kim jął krzyżeć. Bełkotliwie, lecz rozpacz brzmiała w tym okrzyku czysto, mocno.

Było już jednak za późno. O wiele za późno.

Rozenkrontz obudził się nagle; był środek nocy. Wiedział, że coś zaszło. Ale co takiego – nie pamiętał. To nieznośne wrażenie niewiedzy o wiedzy, czy też może jakoś odwrotnie...

– Wiem, że nic nie wiem – mruknął. – Nie, nie tak. Wiem, że o czymś nie wiem...

Zawsze tak właśnie się czuł po wieszczym transie. Przepowiedział coś ważnego, ale co? Wiedział, że nie wiedział. Nie wiedział, co wiedział. Ech!

Wyjrzał przez okno wychodzące na ulice Wardan, by pomyśleć o czym innym niż stan swej bezwiednej wiedzy. Pragnął zaznać chwilowego ukojenia. Na niebie tymczasem wisiał księżyc w pełni, uosobienie pełnego zobojętnienia na poznawcze dylematy. Nie uspokoił jednak ten widok Rozenkrontza, oj nie! A wręcz naprowadził na pewną myśl niepokojącą.

– Świadek... – szepnął Rozenkrontz. – Świadek.

Czy ktoś wysłuchał wróżby? A jeśli – to kto, u licha? Wyteżył łeb. Pustka. Pustka? Coś mu mówiło to słowo. Ale pamięć o pustce tchnęła nicością.

– Pustka, pusto... dziura – mamrotał. – Wyrwa... pustota...

Pustak?

Może i Pustak. Nawet na pewno Pustak. Powiedział tej nocy coś o Pustaku lub o pustce co ogarnia liczne, coraz to liczniejsze łby, i stąd ta lichota świata... Zaraz! Powstrzymał galopadę myśli. Coś jakby świtało w głowie, lecz do iluminacji jeszcze była daleka droga. Pił aby tego wieczoru? Łeb trzeszczy, jakby pił, więc pewnie pił. Zresztą dlaczego miałby nie pić? Jakiś czas temu dostrzegł, że upojenie, prócz wspólnych wszystkim opilcom atutów i garbów, przynosi mu jedną dodatkową ulgę – wyraźnie ogranicza przekleństwo jasnowidzenia. Choć związki przyczynowo-skutkowe nie tak biec musiały; może koincydencje były przypadkowe? Pił jednak, a choćby i po to, by zapomnieć o zapomnieniu. Garb jego podwójnym był bowiem – co przepowiadał, to wnet spowijał całun niepamięci. Musiał zatem opierać się na relacjach postronnych świadków; ci zasię zwykle zapominali języka w gębie, bo zdejmowało ich przerażenie na widok fenomenów towarzyszących Rozenkrontzowym transom. Medium drewniało, jakby objęte niewidzialnym kokonem, lico tężało niczym śmiertelna maska. Podobno na skutek wycieczek duszy, która obłe cielsko wzgardliwie porzucała na kilka chwil upiornych.

No dobrze – jeśli już pił, to z kim? Była jakaś dziewczka, ulicznica jaka, albo choćby dróżnica? Nie raczej żadnych niewieścich wdzięków niewdzięczna pamięć nie przywołała.

– Wiem! – ryknął Rozenkrontz. – Wiem, że wiem! Dolsilwa.

Dolsilwa mógł słyszeć. Nie musiał, ale mógł.

Rozenkrontz pędem narzucił kapotę (noce były już chłodne) i ruszył na poszukiwania Dolsilwy – poety z konieczności, jak utrzymywał sam poszkodowany talentem.

Miasto Wardan w mroku tonęło, niemal namacalnym, jakby oleistym. Księżyc staczał się po nieboskłonie, był już bardzo nisko. Rozenkrontz udał się do karczmy „Pod Wyszczerbionym Toporem”, gdzie Dolsilwa zwykł pracować nad swym najnowszym „Poematem szubienicznym”. Urządzał tam nawet wieczory poetyckie. Dziewki zaśmiewały się do łez z fraz, które tchnąć miały grozą, Dolsilwa jednak nie przejmował się dysonansem nastrojów; nawet brał to za dobrą monetę. „Szyderstwo głupca bywa hołdem” – mawiał sentencjonalnie. I dodawał: „Kpina dziewczki jest zawsze zaproszeniem”.

Po drodze minął rzeźbę kutą w czarnym granicie, upamiętniającą krwawą jatkę, która ongiś rozegrała się pod murami Wardan. Rzeźba była dziwna – w kształcie ogromnej czarnej łyzy. Zwykle w takich razach funduje się raczej sceny batalistyczne, rycerzy zastygłych w morderczych, choć patriotycznych zamiarach. Powiadano, że to przez wardańskie kobiety, których tuż po słynnej bitwie z siłami Imperium Hongh była tu większość. To one miały zdecydować o kształcie rzeźby. Kobiety myślą inaczej, pomyślał Rozenkrontz.

Okazało się, że karczma zamknięta jest na cztery spusty. Rozenkrontz krążył po opłotkach, szukając spoczywającego gdzie bądź ciała poety; tak bowiem, pod niebem nagim, zwykł spędzać noce Dolsilwa. Także i wreszcie znalazł – artysta na czworakach zmierzał bodaj w kierunku pobliskiego lupanaru, mamrocząc coś niewyraźnie. Rozenkrontz zbliżył się do niego na tyle, by pojąć słowa.

– Księżyc... psia mać. Księżyc... mitrzyć – bełkotał poeta. – Aaaaauuuu! – zawył nagle, do Księżycy być może. Gdzieś w pobliżu rozwarły się okiennice i posypały przekleństwa, które Dolsilwa zignorował.

– Dolsilwa – rzekł Rozenkrontz. I powtórzył, jakby z ubolewaniem:

– Dolsilwa.

Dolsilwa spojrział na niego i chyba niczego nie dostrzegł.

– Ciemności atramentowe. Gadam ze sobą... sam?

– Dolsilwa.

– Brzmienie tego głosu... nieobce mi. Rozenkrontz. Przeklęty Rozenkrontz.

Rozenkrontz pomógł mu wstać.

– Żeby cię pokreć! – krzyczał ktoś z wysokości piętra.

– Porządni ludzie! – odwrzasnął nagle Dolsilwa. I ciszej dodał: – ...śpią o tej porze.

– Dolsilwa, przyjacielu, musimy pogadać. Miałem trans, widzenie? Skamieniałem? Pamiętasz? Byłeś przy tym?

– Księżyc, Rozenkrontz, księżyc. Rozpacz, ale nie mogę znaleźć rymu do słowa księżyc!
Auuuuuuuu!

– Zamknij się, synu kurwy! – ten sam głos co poprzednio, lecz z mniejszej wysokości.

– Powiem ci, Rozenkrontz, powiem ci wszystko, co wiem, bracie mój, ale pod jednym warunkiem. Dwoma. Trzema? Jednym z dwóch? Jeno najpierw zabiję to ścierwo cierpiące na bezsenność. Ścierwo! – wrzasnął Dolsilwa. – Jutro o tej porze zagram ci na lutni! A gram jak sam diabeł! Tylko że nie mam lutni – dodał ciszej. – Nie mam? Rozenkrontz?

– Zastawiłeś. Była tego warta.

– Lutnia?

– Nie, dziewczka. Jakie warunki, Dolsilwa? Bredzisz jak w malignie.

– Warunek, Rozenkrontz. Ty jesteś dziwny człek... I nie mówię o tych twoich wizjach. Księżyc, księżyc... I bez nich jesteś dziwny. Niby porządny człek, niby zwyczajny... Ale w tobie jest coś, Rozenkrontz. W tobie coś tkwi jak ćwiek. Powiedz mi, wtedy, przed laty, w Barden. To ty zabiłeś Kowenora? Zabiłeś sędziego z piekła rodem, tak? Jak powiesz, to i ja powiem. Co wiem. Psia mać, księ...

Dolsilwa nie skończył, ale Rozenkrontz domyślał się, co ów chciał rzec. Na łeb poety spadła bowiem donica z kwieciem, które jakby nagle rozkwitło w ciemnościach oślepiającą bielą. Wierszokletę z pewnością zachwyciłoby zjawisko, gdyby nie to, że osunął się bez przytomności na wardański bruk. Rozenkrontz spojrział w górę – w pobliskim oknie majaczyło czyjeś blade i obłe oblicze, szczegółów jednak nie dało się rozróżnić. Może nawet usłyszał coś pośredniego między szyderczym chichotem a wyrazami szczerego ubolewania, nim zawarły się okiennice.

Rozenkrontz, klnąc na czym świat stoi, podjął ciało poety pod ramiona. Na pierwszy rzut marny i nikły, ciężki jednak był, psia mać. Nie dostrzegł, nie mógł dostrzec majaczącej w półmroku (delikatna światłość od wschodu jęła wreszcie przecierać szlaki widzialności) niewielkiej postaci, która w milczeniu przypatrywała się zmaganiom. Była to dziewczynka. Właściwie wpatrywała się z natężeniem w Rozenkrontza; bezwładny poeta niewiele ją obszedł.

Cóż widziała? Człeka raczej niewielkiego, skurczonego, jak pięść zaciśniętego, a jeszcze sprawiającego wrażenie, jakby pragnął się pomniejszyć, zniknąć może? Przypominał zmięty papier, rzucony precz.

Papier, na którym mimo wszystko zapisano nieśmiertelne strofy.

Półprzytomny Dolsilwa mamrotał coś o Księżycu. Na potylicy wykwitł mu, dojrzał i okrzepł okazały guz. Liche jego doczesności spoczywały na dębowym stole w karczmie „Pod Wyszczerbionym Toporem”; znajoma dziewczka, chichocząc nie wiedzieć czemu, krzątała się przy poecie; ten zasię, nieświadomie, rzecz jasna, łapał ją od czasu do czasu za pośladki – może zdawało mu się, że dłoń łąduje na Księżycu? Byłoby to miękkie łądowanie.

Rozenkrontz, chmurny, przechadzał się po izbie, niecierpliwie czekając Dolsilwowego otrzeźwienia.

– Boli... – jęknął wreszcie poeta – ...więc jestem.

– Pamiętasz... – zaczął Rozenkrontz, ale przyjaciel mu przerwał.

– Pamiętam... rozbłysk tysiąca słońc, gwiazdy tańczyły, a ja płynąłem przez pustkę, która nie jest pustką... Pustka...

– Pustak? – podpowiedział Rozenkrontz, z nadzieją.

– Pustak?

– Miałem wizję i...

– Ja też! – zerwał się poeta, lecz wnet ból czaszki go okiełznał.

– Co też?

– Wizję miałem i...

– Wieszczyłem? – dopytywał ponuro Rozenkrontz.

– Nie pamiętam.

– Ja pamiętam.

Obaj przyjaciele równocześnie odwrócili się na dźwięk obcego głosu. Dziecięcego głosu. Do karczmy weszła właśnie dziewczynka, mogła mieć cztery, najwyżej pięć lat. Ciemne włosy opadały na oczy, dziwne oczy. Wejrzenie smutne i mądre zarazem. Smutna mądrość, mądrość bólu – oto oczy, jakie miewają dzieci ciężko doświadczane losem. Takie dzieciaki jadają z drzew wiadomości, choć apetyt im nie dopisuje. To ów wyraz, co wypiera beztroskę raz na zawsze. Rozenkrontz owi od jakiegoś czasu śniły się takie właśnie oczy – skądś wiedział, że należą do jego syna, którego nigdy nie widział i już nie zobaczy. We śnie nie dostrzegał rysów jego twarzy ani żadnych innych szczegółów – tylko oczy. Nie było w nich oskarżenia, choć może powinno. Był smutek. Smutek świadomości.

– Jesteś za mała... – zaczął karczmarz.

– Czekaj – przerwał mu Rozenkrontz. – Jesteś świadkiem? To znaczy, widziałaś... słyszałaś... – zaplątał się.

– Ją pamiętam – jęknął Dolsilwa. – Mogła słyszeć. Jest dziwna.

– Masz jakieś imię? – zapytał Rozenkrontz. Wpatrywał się w nią uważnie. Dolsilwa miał rację: była dziwna.

– Mam. Miałam.

Cisza. Karczmarz obserwował niechętnie zdarzenia, bo ich rozwój nie mógł się łączyć z zyskami. Nic nie obeszło go zemdlenie Dolsilwy, sam doznał bowiem w życiu gorszych uszczerbków; był weteranem bitwy na polach Wardan, od tamtej pory kuśtykał na kikucie lewej nogi.

Dziewka tymczasem ulotniła się, nie pozostawiając po sobie nawet wspomnienia.

– Jesteś głodna? Spragniona?

Dziewczynka milczała.

– Co rzekłem? Co usłyszałaś?

– Udasz się do przeklętego miasta Barden. To usłyszałam – odezwała się wreszcie.

– Barden... – szepnął Rozenkrontz. Bezwiednie poszukał monety, którą miał zawieszoną na szyi. Jedyna moneta, jaka się go trzymała – sarkał często Dolsilwa.

– Barden?! – warknął poeta. – Nigdy! Co, Rozenkrontz? Nigdy? Powiedz jej, że nigdy...

I kto wie, może i nawet Rozenkrontz powiedziała, by, wszak Barden było jednym z tych licznych miejsc, gdzie nikt za nim nie tęsknił. Fortuna jednak niefortunnie chciała, że w tym akurat momencie nowy gość zawitał do karczmy; przywiódł z sobą dziwny zapach, jakby słodkomdły, subtelny. Rozenkrontz poczuł to od razu, Dolsilwa, jak zwykle, z opóźnieniem. Oblicze karczmarza rozjaśniło się niczym księżyc w pełni; spodziewał się wreszcie jakichś zamówień. Lecz i tym razem gorzkie czekało go rozczarowanie.

– Selijon – rzekł nowo przybyły, dziwnie jakoś zaciągając, jakby śpiewał, a nie gadał. Nosił się zresztą z cudzoziemska. Dolsilwa wziął go za przybysza z Zachodnich Ziem, zaś karczmarz, który nigdy nosa nie wyściubił za opłotki miasta, obstawiał raczej Imperium Hongh. Gość potężnej był postury, ale poruszał się lekko i wyczuwało się w nim pewną dozę łaskawej łagodności.

– Selijon – powtórzył Rozenkrontz, zachodząc w głowę, cóż, u licha, oznacza to słowo.

– Selijon z Barden.

– Barden – powiedzieli równocześnie Rozenkrontz, Dolsilwa i karczmarz.

Ten pierwszy pojął – przeznaczenie znów chwyciło go za gardło i łatwo nie puści.

W mrokach podziemi, w katakumbach Barden rozbudowanych w starożytnych czasach z takim rozmachem, że powiadano o nich Miasto Podziemne, mieszka człowiek, który nie do końca jest człowiekiem. Jest jak monstrualny czerw żerujący na trupie miasta – wyjada obumarłą tkankę, soki spija, tyje cierpieniem innych. Nazywają go, nie bez powodu, Pustakiem. Legenda głosi, że nikt od stuleci nie widział jego twarzy, nawet on sam. Mówi się również, że Pustak nie lęka się niczego, jedynie własnego odbicia; że w podziemnych korytarzach ukryte jest jedno jedyne zwierciadło.

I że nadejdzie czas, kiedy Pustak w nie wejrzy.

Teraz jednak, dokładnie trzy dni po rzezi Milczących, krąży po owych katakumbach utopionych w cieniu, z dziwną energią, gwałtownością. Kreśli na ścianach figury fosforyzującą kredą – puste klepsydry, pentagramy, niezrozumiałe symbole układające się w niepojęte wzory. I cedzi z właściwą mu obojętnością zaklęcia, być może w starowerzeńskiej mowie, w Języku Boga. Zaklęcia i wzory powtarza, zda się, w nieskończoność i z nieskończoną cierpliwością. Jest

w brakach Pustaka moc, w jego obojętności czuć siłę. Czyż można obojętnością zmóc pełnię – dobra lub zła? Nicość Pustaka jest jak powolny żywioł, jego zakłęcia to krople wody fedrujące skały. Cierpliwość. Nieludzka cierpliwość.

Pelijoza cisnął nożem. Ostrze z młaśnięciem rozplatało na poły muchę, która nieostrożnie przysiadła na ścianie. Nie popisywał się; owad naprawdę był dokuczliwy. Nadto nikt nie patrzył. Pelijoza wyjrzał przez okno – pora była taka, że na firmamencie powinny już błysnąć gwiazdy, które w jego stronach nazywano pogardliwie Świetlistym Kurzem. Ale nie w Barden. Nie pod ołowianym niebem.

– A właściwie, to nad – mruknął do siebie Pelijoza.

Usiłował sobie przypomnieć, skąd takie, a nie inne gwiazd określenie – i przez dłuższy czas nie mógł. Kiedy był dzieckiem, słuchał historii dziadka, który był jak wiecznie otwarta Księga jego ludu – pełen opowieści. Opowieści wylewały się strumieniem z ust starca, ten zaś niechętnie stawiał im tamę. A ja nic nie pamiętam, pomyślał z wyrzutem Pelijoza.

Wyciągnął nóż; dolna połowa muchy opadła na podłogę, górna nadal stroiła ścianę. Był czas, że Pelijozę zastanowiłby fenomen – dlaczego tak właśnie? Dlaczego pół muchy opadło, a druga połowa nie? Czy była w tym jakaś symetria? Przypadek? Czy muchy mają swoje przeznaczenia? Tak, był taki czas, choć od dawna zadawał sobie i światu jakby mniej pytań. Jego fachem bowiem były odpowiedzi.

Przypomniał sobie. Dwóch bogów przechadzało się pośród wszechobecnej i wszechogarniającej pustki...

– Jak pustka pustkę może wszechogarniać? – mruknął Pelijoza. – No i skąd wzięli się bogowie? Co było przed nimi?

Pamiętał. Takimi pytaniami zasypywał dziadka, a ten niby to gniewał się, niby beształ wnuka. Ale w duchu śmiał się chyba. Dziadek nawet z wyglądu przypominał księgę – miał pergaminową skórę.

Zatem dwóch bogów przechadzało się pośród wszechobecnej i wszechogarniającej...

– I nie zapadali się? W tej pustce? Może też z pustki byli lepieni?

...wszechobecnej i wszechogarniającej pustce. Spór między nimi rozgorzał, historia milczy, co było przyczyną waśni. Dość, że wnet (a trwało to tysiąc lat) za bary się wzięli i nuże, jęli się siłować i posągowymi łapami po pyskach prac monumentalnych. Bójka przemieniła się w batalię, a ta w katastrofę. Pustka zgęściła się od razów boskich, aż zmieniła się w materię, owo coś z niczego wzięte, tak nieznośnie wszechobecne, co budulcem i lepiszczem jest wszechświata. Tak się zapamiętałe mocowali, że zgęszczona niemożliwie pustka ucieczkę wszczęła od epicentrum lic obicia. Gwiazdy, które się w międzyczasie mimochodem sformowały, pierzchały niczym – uwaga, uwaga – kurz wzniecony na drodze, przypadkowo całkiem. Takie też jest życie

ludzkości pod gwiazdami, zda się, że monumentalnymi, które kurzem są jeno. Przypadkowe, trochę też jałowe. Wszystko z pustki się wywodzi i ku pustocie zmierza. Kimże, u licha, jest Pelijoza, by się sprzeciwiać światowym rytmom i trendom?

Narzucił płaszcz, noce bywały tu chłodne, klimat przekłęty! Nie sposobił się długo. Od dawna był przygotowany. Nie miał bladego pojęcia, kto był zleceniodawcą, zapłatę przyjął przez pośrednika. Tyle złota jego oczy dotąd nie widziały, choć obserwował niejedną już jesień, gdy liście, jak wiadomo, złocą się. A była to dopiero połowa; druga – jasna rzecz – po robocie.

Od wczoraj wiedział, gdzie szukać, złoto bowiem jakoby oślepia, lecz zarazem rozwiązuje języki. Informator nie otrzymał zapłaty i nawet tego nie żałował: gryzł – od wczoraj – glebę. Pelijoza nigdy nie zostawiał świadków, by nie zapisać się niekorzystnie w historii. A może z jakichś innych powodów?

Sakwę z narzędziami przerzucił przez ramię. Czegóż tam nie było – wyrafinowane trucizny upozorowane na pachnidła Wschodu; ziarno, kropla powaliłoby wołu. Miniaturowe kusze, proce, sztylety i noże – a wszystko wykonane z lekkich materiałów, wyważone z piekielną precyzją. Większość narzędzi nabył u swego krajana, Kinieza, słynnego zbrojmistrza i zielarza zarazem.

Ech, Kiniez, mistrz nad mistrze. Nikt go w produkcji śmiertelności nigdy nie doścignie. Dlatego też zaraz po zakupach Pelijoza zabił go, wypróbowałszy na nim nowy nabytek – sztylet o zatrutym ostrzu. Warsztat spalił – istniała teraz możliwość, że jest najlepiej wyposażonym zabójcą w znanym świecie.

Przemykał zaułkami jak cień, który był cieniem cienia; nie budził nawet nieufności kotów, nie mówiąc o kotach samych. Plan miał rozrysowany w głowie; wiedział, gdzie szukać wejścia do katakumb. Pamiętał, jak informator wydrapywał go na piasku, każdy ruch patyka – jakby nim wiercił w myślach Pelijozy. I jeszcze jednego nie mógł zapomnieć: niewiarygodnie pokrzywionego nosa informatora – był jak wijący się wąż, powyginany na wszystkie strony i bardzo długi. Jedno w niepojętym tym instrumencie było pewne – nie wietrzył w porę niebezpieczeństw.

Ofiara miała być pozbawiona świty na skutek znanych powszechnie wydarzeń ostatnich dni, a właściwie nocy. Był sam jak palec. To sprzyjająca okoliczność, lecz Pelijoza i tak miał się na baczności – bo z nie byle kim sprawa. Uniesienie przenikało go jak zatrute ostrze; to mogło być arcydzieło mordu. Niedobrze, zbrodniarz musi dbać o chłód, afekta szkodzą jasności myśli – wiedzieli o tym już starożytni mędrcy. Jął zatem myśleć o rzeczach obojętnych mu, czyli o wszystkim właściwie. I o niczym.

Jest! Zaułek Cudów – nazwany tak z nieznanym Pelijozie przyczyn. Szukał wierzei opisanych przez Krzywonośa (tak ochrzcił informatora w myślach). Miały być opatrzone płaskorzeźbami, starymi wprawdzie, lecz niezbyt kunsztownymi. Dwie klepsydry. Puste, jasna rzecz. Puste. I rozmieszczone w poziomie.

Są. Pelijoza podszedł ostrożnie. Ani żywego ducha. Przyjrzał się drzwiom – wszystko się zgadzało. Żadnego zamknięcia, choćby łańcucha. Jął manipulować klepsydrami; pamiętał szyfr – lewa siedem pełnych obrotów, prawa – dwa jeno, w przeciwną stronę. Naparł ostrożnie – i wejście do katakumb stanęło otworem.

Począł chwilę, aż wzrok przywyknie do mroku. Schodząc, próbował liczyć stopnie, lecz jego wykształcenie matematyczne kończyło się na stu. Obmacywał ściany; były pokryte płaskorzeźbami, jedna nachodziła na drugą, jakby ktoś obsesyjnie próbował tu upchnąć nieskończoną ich liczbę – same klepsydry, puste najpewniej. Symbolika dwuznaczna – albo ktoś dawał do zrozumienia, że nie ma już zbyt wiele czasu (dla świata?), albo też, że czas – dlań – znaczenia nie ma. Była zresztą i trzecia interpretacja: co może bowiem lepiej symbolizować pustkę niżli klepsydra piasku pozbawiona?

Oblicze owiewało mu chłodne powietrze, było jak tchnienie stuleci. Starodawny byt przyszło mu dziś odesłać do Krainy Cieni; rozejrzał się wokół po tych grobowych ciemnościach, z rzadka rozjaśnianych pochodniami poutykanymi dość przypadkowo, a rzucającymi raczej subtelne ćwierćcień niż światłość, i uznał, że przejście z łez padołu w inne rejony rzeczywistości nie będzie dla ofiary wielkim szokiem.

Ktoś jednak wymienia pochodnie – przyszło mu na myśl. Sam nie podjął żadnej, by nie stanowić łatwego celu. Dopiero, gdy dotarł do kresu schodów, gdy dno osiągnął, usłyszał jakiś dźwięk. Zrazu przyjął to niemal z ulgą – zawsześ raźniej, gdy jakieś istoty, niechby i marne, są gdzieś obok. Pomyślał, że to szczury, lecz już po chwili wiedział, że to coś innego. Odgłos był dziwny; jakby człek się poruszał, ale nie tak brzmi przechadzka, ani też nawet skradanie. Pelijoza o tym wiedział – sklasyfikował w pamięci więcej rodzajów dźwięków, niż byłby w stanie zliczyć. Tak jakby ktoś powłóczył nogami, posuwił się poruszał, ale nie było w tym rytmu, a zatem i sensu. Pelijoza poczuł pot perlący się na czole – coś tu się nie zgadzało. Źródeł dźwięków było zresztą więcej, coraz więcej. Jakby jakieś istoty, bo nie ludzie przecie, zachodziły go... zewsząd!

Prędko rozsuptał sakwę i dobył dwie małe kusze. Nie czekając objawienia źródeł tajemnych a fenomenalnych dźwięków, jął prażyć zatrutymi strzałami w ciemność. Żadnych dodatkowych efektów dźwiękowych w postaci okrzyków bólu na przykład; cisza była dopełnieniem ciemności. Przyjdzie umrzeć, pomyślał Pelijoza, niby to beznamiętnie, ale jednak z żalem. Zdążył przeładować trzy razy, nim ujrzał napastników. Powinno być sześć stygnących trupów, lecz skądś wiedział, że żadnego nie ma. Porzucił kusze i dobył noży, idealnie wyważonych przez imię Kinieza. W mroku zamajaczyły białe odziane sylwety. Nawet wyglądały jak ludzkie, ale Pelijozy to nie zwiódło. Cisnął cztery noże, a piąty zatrzymał. Noże wbijały się z plaśnięciem w coś, co czas jakiś temu mogło być żywą ludzką tkanką. Postacie wciąż jednak parły naprzód, nic sobie nie robiąc ze stali, którą były częstowane z taką szczodroblewością.

Dopiero teraz doszedł go zapach, słodkomdły, grobowy jakby. Przypomniał sobie: tak woniał jego dziadek. Taki właśnie zapach wydają starzy ludzie tuż przed śmiercią. Albo tuż po niej. Ludzie powiadali też, że tak pachną aniołowie.

– Ha! – krzyknął Pelijoza, by dodać sobie animuszu.

Wciąż nie potrafił rozróżnić szczegółów ich twarzy. Może to i dobrze – przemknęło mu przez myśl.

Wykonał szybki wypad i dźgnął nożem najbliższą postać; czuł, jak ostrze ześlizguje się po żebrach. Znów – brak reakcji. Kolejne pchnięcie. Trzeciego ciął w twarz, krąg jednak zaciskał się nieubłaganie. Krąg ciał. Martwy krąg. Nawet nie próbowali go obezwładnić, po prostu posuwali się naprzód. Sprawiali nawet wrażenie, jakby szli bez celu, jakby sto lat temu wyruszyli, każdy z innego zakątka świata, by spotkać się w jednym miejscu, zlepić, stać się kupą słodkomdłego mięsa. Wypadło tu i teraz, a Pelijoza, pech chciał, stanął akurat w punkcie zbornym.

Czuł napierające ciała i ten odór, ten przekłety zapach.

I cisza.

Selijon mówił tak, jakby słowa były potrawą. Pieścił je językiem, lecz zarazem pożerał. W opowieści, dobrej opowieści, tkwi taki paradoks – wszyscy pragną ją poznać, lecz ona umiera z każdym wypowiedzianym słowem. Kochamy opowieści, ale nasza miłość je zabija. Tak jest zresztą nie tylko z opowieściami.

Później dopiero dostrzegli, że on wszystko tak smakuje, kontempluje, ocenia w skupieniu – potrawy, napitki. Jakby każde wrażenie natury smakowej, czy jakiegokolwiek innej, było nowe, godne najwyższej uwagi, niepowtarzalne. Cieszył się z możliwości jedzenia jak dziecko: było to widać przy każdym pochłanianym – z nieodzowną koncentracją – kęsem.

Mówił za to powoli, z powagą, świadom widać popełnianej zbrodni. Nawet Rozenkrontz, który wyżej nad formę treść cenił, dostrzegł oratorski kunszt. Dolsilwa pojął natychmiast, że z mistrzem ma do czynienia, i nie mógł wyjść z osłupienia, że dotąd o Selijonie nie słyszał. Dziewczynka zdawała się natomiast mówcy nie słuchać, wyglądało na to, że właściwie dla niej nie istnieje. Selijon zaś od czasu do czasu rzucał w jej stronę niespokojne spojrzenia; jeśli cokolwiek mąciło doskonałość rytmu jego opowieści, była to właśnie obecność tej małej. Słuchali go w drodze, gdyż postanowili niezwłocznie opuścić Wardan.

A opowiadał o zdarzeniach krew w żyłach mrozących – o zmartwychwstaniach w Barden i okolicach, o pielgrzymkach truposzy ze stron odleglejszych nieco. Wszystko zaczęło się jakoby od niejakiego Zoltona, szewca, któremu zmarło się na zapalenie płuc. Rzęził, krwią plwał i po tygodniu mocowania się z boleścią ducha oddał. Trzeciego dnia po pochówku dostrzeżono go na ulicach Barden – na poły przytomnego, jak śmierć bladego, w białym, rytualnym przyodziewku, z obłędem w oczach. Nikogo nie rozpoznawał, zachowywał się jak szaleniec. Rodzina nie chciała

go przyjąć; zresztą zaraz zajęły się nim władze miejskie, a potem wyższego jeszcze szczebla – jako przypadkiem o państwowym znaczeniu. Wszyscy wiedzieli o tęsknotach Cesarza za nieśmiertelnością – rozwiązanie problemu mogło nieść awanse. Rychło jednak nadzwyczajność szewcowe go przypadku zbladła, boć zjawisko powszechnym się stało. Nikt nie wiedział, jaka się za tymi zdarzeniami kryła tajemnica, lecz pamięć o zdolnościach Rozenkrontza do rozwiązywania zagadek wciąż była w Barden żywa, mimo piętnastu już wiosen, odkąd miasto opuścił. Także Selijona zobowiązano do odszukania Rozenkrontza – co przyszło mu bez trudu, jako że w owych dniach sława medium rozeszła się po całym Cesarstwie Lechandryjskim.

– Zwykle najmowano mnie do spraw trochę bardziej śmiercią teńnych – mruknął Rozenkrontz. – A tu ludziska raczej zmartwychwstają. Porządek jest odwrócony. Gdzie szkoda, gdzie poszkodowani? Kto zapłaci za fatywę? Kto korzyść odniesienie z mych ustaleń, o ile dojdzie do takich?

– I ta sprawa truposzami cuchnie, przyznaj. O zapłatę się nie lękaj, mieszcuchy płacą. Trochę nawet z góry – co powiedziawszy, rzucił Selijon Rozenkrontzowi miezek brzęczący, wypełniony umiarkowanie. – Dziwne to wszystko. Istnieją religie, które taką sytuację przewidziały; ma to być preludium końca tego świata. Zastanawia jeno zaściankowość zjawiska – czemu trupy nie wygrzebały się z gleby wszędy, a tylko w Barden? I okolicach?

– Może to jaskółka zwiastująca ogólną jesień? – odezwał się wreszcie Dolsilwa.

– Jak rozumiem, trupy są świeże, inaczej z mobilnością byłoby ciężko. Skąd zatem ich powszechność? Barden to nie takie duże miasto, ilu ludzi umiera tam dziennie? Dziesięciu? Piętnastu? Zaraza nawiedziła wasze okolice? – dopytywał się Rozenkrontz.

– I znów tajemnica. Owóż jakiś czas temu dokonano pogromu na wyznawcach Boga Milczącego, tych, co to sobie odrzynali języki, by w milczeniu towarzyszyć Panu. Rzeź dokonała się w nocy; sprawców musiało być wielu, nikt ich jednak nie dojrzał. Sądzi się, że nie byli to miejscowi. Widok był przerażający. Trupy poniewierały się po zaułkach, rynsztoki krwią spłynęły...

– A On znowu się nie odezwał... – mruknął Rozenkrontz. – Dokonało się.

Znów nawiedziło go dawne poczucie bezsily; był spękaną tamą wstrzymującą chwilowo powódź – mógł jeno opóźniać kataklizmy, nic więcej. Nic mniej.

– Jak rzekłem, sprawców nie rozpoznano...

– Cesarscy rzeźnicy – warknął Rozenkrontz.

– Tyś rzekł – szepnął Selijon, rozglądając się nerwowo wokół, bo nagle gościniec wiodący do Wardan zdał mu się jakby mniej gościnny. – Ale z tych właśnie ofiar Nocy Milczenia (bo tak ją nazwano) rekrutują się głównie zmartwychwstańcy. Część z nich, znaczna część, gdzieś przepadła...

O nic więcej już Rozenkrontz nie pytał, więc wszyscy zamilkli, nawet Dolsilwa.

Enrew jednak zdobył fundusze. Idealną ofiarą okazał się pewien fircyk w zalotach, u którego cała percepcja zogniskowała się w jednym, ściśle zresztą określonym punkcie organizmu – reszta bezczułą została, co ułatwiło zadanie. Zaraz Enrew wynajął niewielką izbę na piętrze w karczmie „Pod Siwym Dębem”. Żadnego dębu w okolicy nie było, tym bardziej siwego, nazwa przybytku opilstwa wydała się zatem Enrewowi tajemnicza; nie próbował jednak zgłębić tego akurat sekretu.

Spoczywał teraz na nędznej pryczy, która udawała łożę; Enrew jednak nie narzekał, bo przyszło mu już sypiać w gorszych warunkach. Z dołu dochodziły, szczęściem nieco wytłumione, odgłosy gadaniny pijackiej. W którejś z sąsiednich izb znojnje uprawiano: miłość, wszystko to było jednak tłem, szumem. Zgasił świecę rzucającą na ścianę chybotliwe cienie i sposobił się do snu. Wtedy odczuł Obecność.

Nie bardzo go to przeraziło, choć nieco zdziwiło. Dotąd obcował z Obecnością we śnie jeno – jawiła mu się jako bezkształtna, zgęszczona ciemność. Przemawiała głosem, który bardzo przypominał milczenie. Enrew wiedział, że wszelkie opisy takich zjawisk tchną absurdem – niewidomy opisujący barwy, głuchy opowiadający o symfoniach sfer. Tym niemniej tak odczuwał owe dialogi poprzez milczenie – interwały pustki też są wiadomością! Jak je rozszyfrowywał? A czyż we śnie nie wznoszą się ludzie w powietrze jak ptaki? Czyż nie przemierzają nieprzebytych przestrzeni?

Może ja śnię, pomyślał Enrew. Lecz nie śnił tym razem. Ciemno, choć oko wykol, nic nie można było dojrzeć; poza zgiełkiem pijaków i rżeniem chędożników nie dochodził też młodzieńca żaden dźwięk. A jednak wiedział. Coś tu było. Odczuwał teraz Obecność jak cień ciemności – coś mroczniejszego od samego, mroku. Było też wyraźnie chłodniej. Jakby mróz skuł nagle izbę, ów spłachetek nędznej przestrzeni.

– Kim jesteś? – szepnął Enrew, lecz jego głos jakby rozpuścił się w ciemności. Poczul niestosowność pytania.

– Przecież wieszysz... – zaszumiała ciemność. Tak, właśnie zaszumiała.

– Czego chcesz? – znów nieodpowiednie pytanie.

– Tego, co i ty – tym razem głos zabrzmiał mocno i wyraźnie. Była w tym wszystkim jakaś sztuczka, jakaś zwodniczość, Oszustwo. Enrew od razu poczuł się pewniej.

– Nie wiem, czego chcę.

– Jeszcze nie.

– Ukaż się. Chcę cię zobaczyć.

– Jeszcze nie. – Znam cię. Pamiętam...

– O takich jak ja łatwo się nie zapomina. Twoja matka pamięta...

– Moja matka! – Enrew zerwał się z pryczy, zaraz jednak powściągnął emocje. – I gdzie jest

moja ukochana matka?

– Nie jesteś szczery.

– Nie – odparł z całkowitą szczerością Enrew.

Śmiali się krótko – Enrew i Ciemność. Niezbyt szczerze.

– Udałeś mi się, chłopcze – szepnęła Ciemność. – Czysta potencjalność. Możesz stać się wszystkim, będąc nikim. Przydasz się. Niedługo.

– Wspomniałeś o matce...

– Kroni. Piękna Kroni.

– Gdzie jest?

– A cóż chcesz z nią uczynić, Enrewie? – w głosie pobrzmiwała troska. – Sprzedać? Jak sprzedałeś Kolchineę z jej wszystkimi podbródkami? Tę, która sprzedała wszystko. Sprzedałeś sprzedawczynię. Brawo. Uczysz się. I to nie na błędach.

– Za piętnaście srebrników... – szepnął Enrew.

– Dość wspomnień. Zajmijmy się przyszłością. Niebawem ktoś po ciebie przyjdzie. Nie stawiaj oporu...

Sędzia Bałdor przechadzał się wśród klatek z taką swobodą, jakby to był spacer pośród wonnych klombów. Wpatrywał się w dotknięte obłędem oblicza, rejestrował każdą plwocinę, każdy nietypowy gest delikwenta. Uważał się za naukowca – żaden szczegół nie umykał jego uwadze; wadą tej metodologii był nadmiar faktów. Nadmiar sensu to bezsens, rzecz jasna. Męczył go nawet taki powtarzający się sen – przedziera się przez gęstwinę zdarzeń i ich znaczeń, w końcu – osaczony – musi fakty wycinać; te krzyczą, dziwacznie spersonifikowane (większość miała twarze tych, których niekorzystnie osądził; wielu ich było; najgłośniejsze dały się fakty wątpliwe, dając też tym samym wyraz własnym wątpliwościom – poplątanie logiczne było tu całkowite, aż Bałdor budził się w środku nocy i usiłował rozwikłać antynomie), z przerażenia, a Bałdor tnie, tnie, tnie. Wolałby ludzi mordować niż fakty, wiedza wszak to klucz do chwały i władzy. Tak czy siak, trzeba było fakty nieistotne albo pozór ich wycinać, co doprowadziło w końcu Bałdora do sformułowania fundamentalnego prawa logiki – nie wolno mnożyć bytów ponad miarę. Prawo to zostało nazwane „Brzytwą Bałdora”, jego samego zaś jęto nazywać Mordercą Logicznych Nadmiarów. Prawa logiki lubił Sędzia rozszerzać na sprawy doczesności. Wszak rzeczywistość opiera się na logicznych prawach; można by ją opisać przy pomocy kilku liczb, których niestety nikt nie zna. Nie wszystkie byty pasują do układanki, niektóre psują harmonię – wycinanie ich jest więc koniecznością, obowiązkiem.

Żywych trupów było osiemnaście; dziewięciu mężczyzn w różnym wieku, osiem kobiet i jedno dziecko, chłopiec. Bałdor obserwował wszystkich z jednaką uwagą; poddawał ich eksperymentom, ustalał właściwości. Strażników często ogarniało przerażenie (szczególnie, gdy trupy jęły się odzywać – różnymi głosami, jakby trzy, cztery dusze w jednym korpusie

mieszkały; z premedytacją dobrał Sędzia egzemplarze eksperymentalne spoza wyznawców Milczącego Boga, zależało mu bowiem na ich odzywkach), albo odraza; ale nie Bałdora – wszystkie zjawiska traktował tak samo – gdyby trup okazał się dwudziestolatką pachnącą lawendą, też nakazałby ją kłuć i przypalać, by ustalić granicę bólu i wytrzymałości, by opisać prawa ekonomiki cierpienia.

Czekał na pewnego człeka i nie bez powodu czekał w tych tu lochach. Pragnął ujrzeć jego reakcję: drgnienie mięśni twarzy, odruch wstrętu albo choć strachu. Takie zachowania wiele mówią o człowieku. Bałdorowi mówiły prawie wszystko. Oczywiście wiedział, z kim ma sprawę. Informacja to klucz do wszystkiego; dlatego Sędzia był zawsze świetnie poinformowany. Ciekawa postać, pomyślał. O spotkanie zabiegały osobistości Barden – okazał im łaskę; wszak żadne osobistości tego miasteczka nie mogły się równać z cesarskim Sędzią.

Ludzka sylwetka przemykająca z delikatnością cienia. Jego zaufany, Piędzień. Nie musiał nic mówić; jego pojawienie się oznaczać mogło jedno – oto przyszedł zapowiadany gość. Bandor zerknął na klepsydrę – nawet punktualnie. Sam też nie strzepił języka, skinął jeno głową – to uruchomiło sprężynę zdarzeń; przybysz za chwilę tu będzie. Tak też się stało. Sędzia przyjrzał mu się z uwagą – jakby gość był motylem, a Bałdor motylim kolekcjonerem.

Nie zrobił na Sędzim dużego wrażenia – wyglądał jak ktoś, kto urodził się do wielkich czynów, lecz los zarządził, że niczego nigdy nie dokonał. Chyba go taka dola pomniejszała, z każdym rokiem, a nawet z każdą upływającą chwilą. Twarz miał wymiętą – jakby ją Stwórca chciał zniszczyć tuż po wykonaniu, zmiął, cisnął. I nie trafił do kosza. Nosił się przybysz raczej niedbale – na odzieniu wciąż osadzał się kurz po niedawno odbytej podróży.

Sędzia również nie poraził Rozenkrontza swym wyglądem – raczej podlej był postury, przy tym rozdęty jak beczka. Małe, świdrujące oczka znamionowały jednak nie lada intelekt.

– Mości Rozenkrontz – rzeki Bałdor obojętnie. – Witamy, witamy.

– Sędzia Bałdor – powiedział Rozenkrontz uprzejmie. – Zaszczyt to dla mnie.

Sędzia obserwował gościa bacznie. Jak ten zareaguje na niecodzienne raczej okoliczności pogawędki? Wzdrygnie się? Straci rezon? Może nawet zwymiotuje? Lecz Rozenkrontz rozczarował go spokojem. Owszem, przyglądał się lokatorom klatek z ciekawością i – tego Bałdor nie był całkiem pewien – litością?

– Myślisz, panie Rozenkrontz, że oto rozpostarł przed tobą obraz nędzy i rozpacz? W istocie kreatury te niewiele czują. Próbowaliśmy tego i owego, możesz się pan przyjrzeć śladom na ich skórze. Nie robi to na nich wielkiego wrażenia. Istoty te beczułe są. Albo też dusze ich pochodzą z takich rejonów – waham się użyć tego słowa – rzeczywistości, że najokropniejsze tortury pozostawiają ich obojętnymi...

– Przybyłem dowiedzieć się czegoś o okolicznościach pojawienie się tych... ludzi. Cieszę się, że przyszło mi rozmawiać z tak świetnym – tu Rozenkrontz ukłonił się lekko, na znak szacunku –

retorem i logikiem. Nie myślisz, Sędzio, że takie pogrobowe wędrówki przeczą nieco naturze rzeczy?

– Sam sobie odpowiedziałeś na to pytanie. Co tu gadać, zmartwychwstają. – Sędzia powiedział to z irytacją, jakby wściekły na naturę świata postępującą wbrew jego oczekiwaniom. – I zaiste, trochę to przeczy naturze rzeczywistości. Tej rzeczywistości. Choć z drugiej strony kimże jesteśmy, by wyrokować, że wiemy wszystko o prawidłach świata? Za blisko, za nisko w nim nosem ryjemy, za mały dystans nam dany; widzimy, co doraźne. Wieczność nam umyka.

Umilkli i jęli wpatrywać się w zmartwychwstańców. Jeden dialog sam z sobą prowadził. Rozenkrontz wsłuchał się i wydawało się, że trzy osoby gadają, każda w innej zupełnie tonacji. Drugi w milczeniu kołysał się bez ustanku, głowę miał tak przekrzywioną, że wyglądało, jakby mu za chwilę miała odpaść i potoczyć się do stóp Sędziego; ten pewnie przyjąłby to zdarzenie z ciekawością badacza. Jakaś kobieta wpatrywała się w Rozenkrontza z takim natężeniem, że gdyby wzrok miał fizyczne właściwości, wywierciłaby mu dziurę w obserwowanym tak bacznie punkcie. Największe jednak wrażenie zrobił na nim mały, może dziewięcioletni chłopiec. Siedział spokojnie, wyglądał niemal normalnie, może zaraz zacznie się bawić, opowie jakąś rymowanąkę?

– On też? – zapytał Rozenkrontz.

Sędzia skinął głową.

– Moje ustalenia nie muszą pokrywać się z prawdą obiektywną, ale zrelacjonuję panu, Rozenkrontz, pewne... domysły. I ja wiele słyszałem o twych poszukiwawczych pasjach. Zaś mieszkańcy tej miejsciny zachwalali cię jako człeka wielu talentów. Znałeś, zdaje się, mego mistrza, Sędziego Kowenora? – dodał jakby mimochodem.

– Owszem.

– Kiedyś, w lepszych czasach, pogawędzimy o wspólnych znajomych.

Zabrzmiało to złowrogo. Pomyślał Rozenkrontz, że „lepsze czasy” to określenie bardzo nieostre. Czuł bowiem, że dobre czasy dla Sędziego Bałdora nie muszą, a może nawet nie mogą oznaczać dobrych czasów dla Rozenkrontza. Zaraz jednak przeszedł Bałdor do relacjonowania wyników śledztwa, a także naukowych eksperymentów na żywych do niedawna organizmach zmartwychwstańców. Stwierdzono około stu dwudziestu aktów zmartwychwstań w samym Barden. Znaczna część truposzy zaginęła, ale Sędzia domyślał się, gdzie też ich zagać mogło. „Pustak” – rzekł i efektownie zamilkł w oczekiwaniu reakcji rozmówcy. Rozenkrontz nic jednak nie powiedział. Bałdor określił Pustaka mianem „wrzodu na dupie Cesarstwa”, nadto „potworka, co nie może umrzeć, bo mu się dusza od cielska oddzieliła”. Nie traktował go zatem Sędzia z atencją. Podejrzewał jednak, że to Pustak dokonał Rytuału Przejścia. Wspomniał też o okolicznościach słynnej już Milczącej Nocy, kiedy to wyrżnięto w pień setki, wedle określenia Bałdora, „głupców trudniących się milczeniem”. Sędzia przyznał, że mord był sprawką Cesarza.

Rozenkrontza zdumiała ta szczerość, słuchał jednak Sędziego z podzielną uwagą. Cały czas obserwował chłopca – znieruchomiącego, jakby był odlewem ludzkiej sylwety wykonanej w niezbyt szlachetnym materiale.

Ale za krwawymi wydarzeniami też miał stać Pustak, wedle kalkulacji Sędziego, orężem była mu plotka, pomówienie. Potrzebował cielsk, by zrealizować pierwszy etap swego planu. To forpoczta jego armii, jak mniemał Bałdor. Jednym z Pustakowych narzędzi był „ten idiota” Mikilin, cesarski filozof, który dał ideologiczną wykładnię rzeź usprawiedliwiającą. Bałdor miał przestrzegać Cesarza, że nie czas i nie miejsce na to, że idą oto jak po sznurku, że ktoś nimi manipuluje. Nie słuchał. Nie chciał słuchać. Cesarz jest już bardzo stary, to żadna tajemnica...

Pozostaje pytanie – po co to wszystko? Bałdor zastrzegł, jak zrobiłby to na jego miejscu każdy wytrawny logik, że relacjonuje tu jeno swe domysły, które mogą być odległe od obiektywnego stanu rzeczy. A chodziło jakoby Pustakowi ni mniej, ni więcej, jeno o niwelację sensów wszelakich, o ideologu zanik. Nicość. W ten sposób pragnął zakończyć odwieczny spór między Złem i Dobrem, a sam brak konfliktu już świat miał ulepszyć. Nie jest pewne, czy stać go na jakiegokolwiek szlachetne intencje; może świętego spokoju jeno pragnie? Bałdor określił ideę Pustaka mianem „filozofii tła”. Jakby chciał ludzkości rzec – nie pierwszoosobowe postaci są ważne na płótnie świata, lecz to, co za nimi, przestrzeń, pustka – to, co służy artyście do wypełnienia obrazu, do pomiejscowienia figur. Pustak nie chce pełni, co właściwie zrozumiałe. On pragnie panowania tła, aksjologicznej nikłości. Nicość, siłą rzeczy, uniemożliwia spory.

Zapytał Rozenkrontz o ów „Rytuał Przejścia” – pytanie wyraźnie ożywiło Sędziego. Okazało się przy okazji, że ten od najmłodszych lat studiuje starożytne pisma, sprowadzając sobie z najróżniejszych stron świata woluminy różnej wartości. Owóz w jednym z dzieł spisanych w psiej mowie (tłumaczenie konsultował na wszelki wypadek z pewnym Psem zwanym Galiberiusem; „Zmarło się biedakowi niedawno” – westchnął ciężko Sędzia) istnieje krótki fragment, nieznaczny akapit, ginący w powodzi licznych profetycznych fraz wieszczących katastrofy. Passus ów jest zaszyfrowanym przekazem, informacją o Rytuale Przejścia Odwrotnego. Rytuał możliwy jest dokładnie co trzysta siedemdziesiąt siedem lat, w ściśle określonym miesiącu. Ze zmuonych obliczeń wyszło Sędziemu, iż moment ten właśnie trwa. A przeprowadzić rzecz mógł jeno ktoś pokroju Pustaka, owego duchowo-cieleśnego podzielenca. Jego duch przewodnikiem być musiał dla dusz pogubionych. I był.

Rozenkrontz przyjrzał się rozrzuconym w nieładzie woluminom; natychmiast wychwyił łączącą większość cechę. Taka już była natura jego umysłu – szukanie ładu, porządku, czasem nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi (choć, o paradoksie, za ów rys jego charakteru właśnie zdrowy rozsądek odpowiadał). Tym, co łączyło woluminy był niewielki znaczek, grawerowany lub wypalany (zapewne w zależności od daty powstania) na wyprawianych okładkach: puste klepsydry.

– Wszyscy ci nieszczęśnicy, Rozenkrontz, są, tak mniemam, pokrywą dla czyścicowych dusz, zwanych też Obojętnymi Duszami – rzekł Bałdor. – Stąd ich niewrażliwość na ból, stąd niedopasowanie. Widzisz, człek jest delikatną konstrukcją opartą na subtelnej równowadze między dwoma składnikami, które go konstytuują – duszą i ciałem. Są to na domiar substancje do siebie nijak niepodobne – duszy atrybutem jest odczuwanie, myślenie, ciała zaś – rozciągłość w przestrzeni. Ciało materialnym jest; dusza – spirytualnym bytem. Pojmujesz? To jest odwieczny problem teologii i filozofii – jak te dwa budulce koegzystują w człeku, a właściwie składają się na niego? Jak ze sobą współpracują, skoro – z racji niezmiernych odmienności – nie mogą na się bezpośrednio oddziaływać? Odpowiedzią jest ich paralelizm, równoległość. Działają na mocy subtelnych, niemożliwych do uchwycenia sprzężeń, które kierują cielska w tę stronę; zaznaczam, że to oczywiście metafora, w którą dusze zmierzają. U ludzi świętych, żyjących w znakomitej harmonii, sprzężenie to jest niemal całkowite – stąd doskonałość ich czynów. Ale i liczba ich mała. W wypadku tych tu – Sędzia wskazał na klatki – o subtelnościach mowy być nie może. Harmonii tu nie ma, jest chaos; dusze niepojmujące przestrzeni, które zajmują, zagubione. Z wolna przywykną, ale harmonii, nieszczęśni, nie osiągną nigdy. Niektórzy, jak widzisz, cierpią na wielorakość jaźni – to kolejny trop, który utwierdza mnie w mniemaniach. Owóż Piekło, jak głoszą znane przekazy, ma być Wiecznym Mrozem, Kuźnią Dusz, Złem Utrwalonym. Grzesznik jest tam sobą w całej pełni – i to najgorsza z możliwych katuszy, choć ja akurat dobrze się czuję we własnej osobie. Tymczasem Czyściec wedle niektórych religii jest swoistym Piekła odwróceniem, właśnie wielością wcieleń, wszystkimi możliwościami osobowości – przechodzi się tam Oczyszczenie poprzez uzyskanie wszystkich alternatyw, wielopostaciowość duszy. Odrzucenie masek, fałszywych obrazów siebie samego może trwać nawet całą wieczność. Wybór tej właściwej, tej w istocie jedynej, ma oznaczać Zbawienie. A w Niebie jest się po prostu sobą, prawdziwym sobą, podobnie jak w Piekło, tyle że na odwrót. Rozumiesz? Mechanizm jednak, ale wiedzie ku skrajnym wartościom.

Sędzia przerwał, wyraźnie zmęczony przemową. Uczynił nieznaczny gest dłonią (nie umknął on jednak uwadze Rozenkrontza) – i już Piędzień, dyskretnie, jak na cień przystało, sunie z bukłakiem wina. Wszystko bez słów, które bywają wszak niedopowiedzeniami, nieporozumieniami.

– Wina? – zapytał Sędzia.

Rozenkrontz nie odmówił. Wciąż wpatrywał się w zastygłego jak owad w bursztynie chłopca. Bałdor dostrzegł jego zainteresowanie.

– Chłopiec zwany był Kimem, pochodził z rodziny upośledzeńców dobrowolnych. Był tuż przed rytuałem kastracji mowy, więc może miał biedak szczęście? – Sędzia pociągnął spory łyk. – Choć o szczęściu trudno tu mówić. Prawdopodobnie z jego ciałem spoił się duch osoby dojrzałej, stąd niedopasowanie osiąga tu monsturalny wymiar. To są w ogóle fascynujące

problemy, Rozenkrontz. Wyobraź to sobie – dusza kobiety w ciele chłopca, nałożnicy w korpusie nobliwego męża; dziecka w starej ruinie... Wyobraź sobie armię złożoną z takich osobników. Byłaby niemal nie do powstrzymania, nic nie czują, niczego nie potrzebują... Trzech wojowników z toporami trzeba, by odesłać taką duszę w uściski wszechobojętności. Prawdziwa jatka, Rozenkrontz, i męcząca robota... Oczywiście należy zlikwidować źródło zjawiska, a nie jego objawy. Trzeba zabić Pustaka...

Rozenkrontz milczał.

– A jeśli Pustak ma rację, Rozenkrontz? – zapytał niedbale Sędzia. – Jeśli jego... reforma ma sens? Ideologie broczą krwią niewinnych, a wartościowanie zależne jest od człeka, jego kondycji. Co dobre dla jednego, dla innego głównem. Człowiek miarą wszechrzeczy, wszystko zależy od kontekstu. Zlikwidujmy idee, a zapanuje święty spokój?

– Nie może mieć racji – odezwał się wreszcie Rozenkrontz. Kiedy to mówił, nie odrywał wzroku od chłopca.

Już wychodził, gdy zatrzymał go głos Sędziego.

– Słyszałeś o liście Kowenora?

Rozenkrontz zaprzeczył.

– Jest to lista tych ludzi, którzy sprzeniewierzyli się Cesarzowi, a tym samym Bogu. Dziwna rzecz, wszyscy zmartwychwstańcy, nie licząc tych, którzy na świat przyszli po śmierci Kowenora, byli na tej liście...

– O czym to świadczy?

– Och, konsekwencje mogą być poważne albo żadne – to zależy od okoliczności. Oczywiście autorstwo listy nie jest pewne; może ktoś pragnął dodać sobie czegoś, czego nie miał, czyli autorytetu sławnego wszak Sędziego? Może lista jest fałszywa? Może sporządzono ją, by skompromitować osobistość niewygodną autorowi listy? Wszystko możliwe. Ale jednak dziwnym trafem większość zmartwychwstańców figuruje tam, Rozenkrontz, choć nie tylko oni. Konsekwencje? Można by poważnie zastanowić się nad swoistym... Sądem Bożym. Zlikwidować resztę ludzi z tak zwanej listy Kowenora – jeśli zmartwychwstaną, oznaczać to będzie ich winę, pakt z diabłem podpisali i tak dalej. Jeśli pozostaną martwi – byli niewinni...

– Ich pech – zakpił Rozenkrontz. – Ale ty, panie, jako znakomity logik wiesz wszak, że zależności przez ciebie opisane mogą być pozornymi? Że wcale nie musi być związków przyczynowo – skutkowych między zmartwychwstaniem a grzesznością dotkniętych plagą? Wiesz o tym, prawda?

Sędzia machnął ręką.

– A ty wiesz, że nie ma to żadnego znaczenia ani dla Cesarza, ani dla tłuszczy, która zawsze była, jest i będzie żądną krwi. Winnych i niewinnych! Tylko krew się liczy, Rozenkrontz!

– Ciekawe, komu też zależało na podparciu się autorytetem akurat Kowenora, jeśli, rzecz

jasna, nie Kowenor jest autorem tej listy...

Zmierzyli się wzrokiem.

– Ty to czujesz, Rozenkrontz – rzekł powoli, jakby z namysłem Bałdor. – Czujesz to, prawda? Rozenkrontz? Wiesz o tym? Wiesz?

– Wiem – odparł Rozenkrontz i odprowadzany wzrokiem Sędziego oraz cienistym przewodnictwem Pieńdzienia, opuścił wreszcie lochy.

Dolsilwa i Selijon siedzieli w gospodzie Rym i – jak to określił Dolsilwa – moczyli swe troski w winie. Na co Selijon replikował, że nie troski, lecz pyski. Selijon niechętnym spojrzeniem szacował wystrój wnętrza – owe luki i owale mętnie i aluzyjnie nawiązujące do architektury Imperium Hongh. Powiadano, że właścicielem lokalu jest kupiec Gorde, utrzymujący stosunki handlowe z niektórymi prowincjami Hongh, stąd te kulturowe akcenta.

Czekali przyjścia Rozenkrontza, który składał akurat wizytę sędziemu Bałdorowi. Dolsilwa gorąco odradzał ów krok Rozenkrontzowi, lecz niewiele wskórał. Teraz narzekał na jakość muz, a zły humor pogłębiało w poecie miejsce, w którym przyszło im oddawać się melancholiiom. Co i rusz wracał do strasznej historii o tym, jakoby to on właśnie wymyślił ongiś nazwę tego przybytku, co straszliwe miało mieć konsekwencje. Selijon słuchał może jednym uchem, ale jeśli nawet co posłyszał – wnet puszczał w niepamięć. Przypatrywał się dziewczynce bez imienia.

– Czy ona w ogóle je? – zatamował wreszcie powódź Dolsilwowych słów. – Widziałeś, by co spożywała? Pila? Spała? Od trzech dni nam towarzyszy i nie dostrzegam w niej żadnych przejawów człowieczeństwa, czymkolwiek by ono nie było.

– Zaiste – mruknął Dolsilwa. – I milczy. Nie jest to naturalny stan człeka – milczeć. Można nie jeść. Nawet nie pić. Ale milczeć?

– Kim ona jest...? – szepnął Selijon, bardziej do swych myśli, niż do Dolsilwy.

– Onegdaj dałem ci, panie Selijon – Dolsilwa zmienił temat rozmowy na istotniejszy dla losów świata – kilka poematów... poematów, he, he, może to i za dużo powiedziane... ot, wierszydeł do przeczytania. Rzadko spotyka się na gościńcach Cesarstwa człeka obdarzonego umiejętnością czytania, jeszcze rzadziej takiego, co smak ma literacki. Jasna rzecz, lepiej byłoby utwory me zadeklamować przy akompaniamencie lutni, lecz... – nie wytrzymał – ...zerknąłeś tam, panie?

– Zerknąłem, panie poeto. I tyle ci powiem: za dużo liter. Za dużo słów. Piętrzysz je niczym sztuczne zbiorniki na rzekach. Tutejszy książę, Sorm Bez Palucha, oby pamięć o nim sześcia, eksperymentował ze spiętrzeniami, pragnął bowiem jezioro sztuczne utworzyć. Pozalewał chłopom pola, katastrofy spowodował... Tak i ty – stawiasz tamy sensom – stąd wysoki poziom słów. Im więcej słów, tym mniej sensu.

– Jakże to? – oburzył się Dolsilwa. – Piętrzę? Kunsztowne ozdobniki, wykwinł formy

ośmielasz się nazwać...

– Szczeroci łakniesz, czy częzej gadaniny o twych pisarskich wspaniałościach? Pragniesz się czego nauczyć, czy w nieuctwie utwierdzić? Chcesz być wielkim poetą czy wierszokletą?

– A kimże ty jesteś, że ośmielasz się mnie pouczać, panie Selijon?

– Jestem Selijon – odrzekł Selijon. – Masz talent, panie Dolsilwa, ale nie masz tematu. Rozdrabniasz się w kunsztownych fraszkach o niczym – rzeźbisz w łajnie. Stąd przesadna dbałość o formę, gdy treści nie staje.

– Gdy treści nie staje! – przedrzeźniał go Dolsilwa. – A skąd tę treść czerpać? I cóż czynić, gdy tematu nie ma?

– Temat będzie. A jak go nie ma, to nie pisać, nie wymyślać. Milczeć.

– Talent jest jak mięsień – rzekł z namysłem Dolsilwa. – Nieużywany wiotczeje...

– Z poetami, pisarzami, bardami jest jak z dziećmi. – Selijon przerwał na chwilę. Obaj zacie pociągęli wina, by zaraz do dysputy wrócić. – Wszak pacholeta im są mniejsze, tym więcej z siebie dobywają dźwięków. Zrazu, nierozumiane, płaczą. Rozumiane – chcą się dowiedzieć jak najwięcej. Więc opukują świat pytaniami. Męczą nas. Gadają, bo im ta nowa umiejętność radość sprawia. A jednocześnie im więcej mówią, tym bardziej umiejętność ową doskonałą. Dykcja pięknieje, a niektóre dzieci, choć trzeba powiedzieć, mało ich, uczą się nawet zadawać właściwe pytania. Czyli i forma, i treść szlachetnieją. Taka jest droga poety, Dolsilwa. Gdy zaczyna, jest jak niedźwiedź na jarmarku – wszyscy podziwiają niedźwiedzia, że tańczy. Nie dlatego, że czyni to świetnie; dlatego, że to niedźwiedź, który tańczy. Młody pisarz musi pisać jak najwięcej. Rzecz jasna, niewiele potrafi. Nie wie, dlaczego coś mu wychodzi dobrze i dlaczego tak rzadko. Łatwo popada w rozpacz, ale wie jedno – musi pisać. Pisać, pisać, pisać. Ale w końcu nadchodzi czas mądrości.

– Mądrości? – Dolsilwa łypnął podejrzliwie na Selijona.

– Mądrości. Gorzkiej wiedzy. Rzecz jasna, niewielu ją osiąga; większość pisze bez opamiętania, im więcej, tym lepiej. Wiedza to piołun, Dolsilwa. Trzeba się tedy nauczyć pisać jak najmniej.

– Jak najmniej?

– Właśnie. Im mniej pisze poeta dojrzały, tym to lepsze. Nie j rzuca się zachłannie na każdy śmieć, pisanie przestaje być przyjemnością, a staje się powinnością. Przychodzi z coraz większym trudem, bo jałeś pojmuwać, jak wielki jest koszt napisania czegoś naprawdę wielkiego. I przeraża cię to, Dolsilwa. Nie szarpiesz wszystkich strun lutni naraz w nadziei, że dobędziesz właściwy dźwięk. Wybierasz, starannie wybierasz. Aż wreszcie osiągasz najwyższy stopień doskonałości...

– Cóż to? Co jest najwyższym stopniem doskonałości? – dopytywał poeta.

– Najwyższym stopniem doskonałości pisarza jest... milczenie.

– Milczenie? Jakże to?

– Tak to. Rzeczywistość to wysepka na oceanie pustki. Sztuka słowa to cypelek tej wyspy, odważnie wrzynający się w niezmierzone wody milczenia. Naturą świata nie jest zgiełk, lecz raczej cisza. Teraźniejsza wrzawa to chwila, to moment. Wielkie dzieła przetrwają tyle, co ludzkość – bardzo krótko.

– To pocieszające – mruknął Dolsilwa.

– Wypijmy za to.

– Wypijmy.

Reszta jest milczeniem.

Rozenkrontz odwiedzał rodziny zmartwychwstańców, rozmawiał z bliskimi, ustalał ich charakterystyki. Witano go raczej niechętnie, ale był do tego przyzwyczajony. Taka robota – wchodzenie z buciorami w życiorysy, gmeranie brudnymi paluchami w otwartych wciąż ranach, pytanie o samopoczucie chorych na trąd. Taka robota, niewdzięczna i w gruncie rzeczy słabo płatna.

Więc Rozenkrontz szukał. Szukał jakichś cech wspólnych ożywionych trupów, jakiegoś punktu zaczepienia. Dlaczego niektórzy zmartwychwstawali, a inni nie? I dlaczego większość – jednak tak? Czy szło o ową intymną równoległość metafizyczną cielsk i dusz wcielanych, jak utrzymywał Bałdor? A może masowość zjawiska stąd się brała, że dusz czyścicowych jest po prostu najwięcej? Skrajne wartości, ekstrema aksjologiczne były minimalne – szpice piramid. Cała reszta, cały „budulec” to była owa średnia, tak zwani „zwykli ludzie”, szarzy obywatele, masa; każdy uczynił w życiu trochę dobra, trochę zła. Oczywiście więcej zła, ale zawsze było to mniejsze zło lub zło usprawiedliwione okolicznościami. Takie jest życie.

I właśnie tak wynikało z tych wszystkich zestawień, uproszczonych charakterystyk, w większym lub mniejszym stopniu rzecz jasna załganych. Indagowani bliscy patrzyli na Rozenkrontza z nieskrywaną niechęcią: jakże to, nie dość, że nam trup w rodzinie zmartwychwstał, despekt czyniąc naszej reputacji, nie dość, żeśmy niedawno tak szczerze rozpaczali, być może niepotrzebnie, to jeszcze ów zmiętolony człek śledztwo prowadzi w sprawie, męczy nas, wypytuje, grzechów ciekaw? Wyprostuj się lepiej, Rozenkrontz! I bacz, bo jeszcze będziesz następny. Widział w nich wszystkich wyraźnie strach; lękali się, że może ich spotkać to samo, co ich bliskich. Strach przed śmiercią nabrał w Barden zupełnie nowego wymiaru.

Choć nie wszyscy podchodzili do tego w jednaki sposób. Po gospodach i gościńcach dało się słyszeć dyskusje – warto umierać w takich czasach czy nie warto? Bo co to za śmierć, której nie zgon jak się patrzy wieńczy? A może jednak warto? Może dobrze jest być zmartwychwstańcem? Może to preludium do życia wiecznego? Jęto nawet poszukiwać nieprzechwyconych przez

Baldora truposzy, by ich odpytać na tę okoliczność.

Tymczasem Rozenkrontz dochodził stopniowo do niewesołych konkluzji. Poza hekatombą pośród wielbiących cisze nic nie łączyło zmartwychwstałych, nie licząc ich zwykłości, czyli bylejakości moralnej. Oznaczać to mogło rozrost zjawiska w postępie wykładniczym – Rozenkrontz widział tu pewne analogie z szybko rozprzestrzeniającą się epidemią. I jeśli bieg spraw pozostawić bez ingerencji, niebawem konieczne będą nowe zgony, owocujące nowymi cielskami zdatnymi do zasiedlenia. A to oznaczało masowe mordy – rzezie na dużą skalę, wylewające się daleko poza granice Barden, a może i Cesarstwa Lechandyryjskiego.

Spędził blisko pół dnia pośród klatek z ożywionymi trupami – za zezwoleniem cesarskiego Sędziego. Długo ich obserwował, słuchał, co mają do powiedzenia. Ten chłopiec, Kim, wciąż pozostawał w bezruchu. Raz nawet udał Rozenkrontz, że opuścił lochy, tymczasem ukrył się przemyślnie. Znał metodologię rzetelnych badań – obserwator widziany przez obserwowany obiekt zniekształcić może wynik obserwacji. Biedacy (tak ich ochrzcił w myślach) wciąż cierpieli w ten sam sposób. Byli jak wrzód na cielsku świata – nie powinno ich tu być, a byli. Ich cierpienie, Rozenkrontz zrozumiał to później, jednak z wolna malało, ich psychiczne bebechy z upływem czasu zestalały się, z rozdygotanej brei z wolna wyłaniało się „coś”. Ów metafizyczny transfer okazał się zatem ulgą, być może krótkotrwałą, lecz mimo wszystko opłacalną.

Już miał opuścić lochy, gdy – przypadkowo – dokonał jednak pewnego odkrycia. Dopomógł mu w tym ten chłopiec, Kim, a właściwie rozdarcie jego odzienia i młody wiek przejawiający się brakiem cech męskich. Dostrzegł mianowicie niewielki znaczek pod jego lewą pachą. Było to zadziwiające – sztuka tatuażu była w tych czasach i na tych terenach niemal nieznaną. Tatuaż przedstawiał niewielką klepsydrę, opróżnioną, pozbawioną piasku; dokładnie taką jak na woluminach Baldora. Rozenkrontz postanowił nie dzielić się swym spostrzeżeniem z Sędzią.

Następnie nawiedził jak duch (poza nim i bibliotekarzem nie było nikogo w tych mrocznych przestrzeniach) bardenką Bibliotekę zawierającą tysiące ksiąg, a nawet rulonów sprzed stuleci. Fundatorem był kupiec Gorde, ściągający inkunabuły z różnych stron świata za niemałe pieniądze. Choć może dla niego i małe. Długo szukał Rozenkrontz wzmianki o symbolicznym znaczeniu pustej klepsydry; bibliotekarz, suchotniczy starzec, nie ułatwiał mu zadania. Wręcz utrudniał, szepcząc chrapliwie (a szept inkrustując zniechęcającym kaszlem), że kurz fatalnie wpływa na płuca, czego on sam widomym jest przykładem. Wreszcie doczytał się Rozenkrontz w poprawionym (przez samego autora) wydaniu Grobesa, iż tatuaż może być oznaką przynależności do wyznawców Milczącego Boga. Symbolika znaku jednak o wiele starsza być musiała od rzeczonyj sekty. Klepsydra, rzecz jasna, symbolizować miała w większości znanych kultur przemijający czas oraz śmierć. Ponieważ po opadnięciu piasku klepsydrę należy znów obrócić, jest ona też niekiedy symbolem końca i nowego początku cykli albo epok, lub

zmiennych wpływów nieba na ziemię i odwrotnie. Trzeba też zwrócić uwagę – głądził piśmiennie Grobes – że klepsydra bywa uznawana za desygnat jednej z cnót kardynalnych, umiarkowania mianowicie.

Koniec i nowy początek, śmierć i odrodzenie, myślał Rozenkrontz. Umiarkowanie. Czyli dystans wobec odwiecznego sporu! Puste klepsydry – brak czasu, brak jego upływu. Pustka. Tak. Dobrze pasowało to do pustakowej wizji rewolucji wyłożonej przez cesarskiego Sędziego.

Jał też Rozenkrontz nagabywać bibliotekarza o plany katakumb miasta; nawet nakłonił starca do wspólnych poszukiwań. Niczego jednak nie znaleźli poza nieaktualnymi (na skutek nieustannych postępów i regresów w podbojach) mapami Cesarstwa. Ktoś zadbał o to, by plany zniknęły.

Nie byłby Rozenkrontz sobą, gdyby nie zainteresował się tajemniczą postacią Selijona. Jał ludzi o niego rozpytywać – kim był, skąd wziął się ów łagodny olbrzym o ustach rozepchanych kragłą frazą; czasem jednak niepokojąco odmieniony – drapieżny w słusznej sprawie? Odpowiedzi padały różne – że to przybysz z Hongh, który zapalał miłością do Barden; tu osiadł na dobre. Że to renegat z cesarskiej armii, romantycznie zakochany w pewnej ary sto kratce, która złamała mu dobrze się zapowiadającą karierę oficerską. Że to poeta rażony twórczą niemocą; stąd rozpacz w jego modrych oczach. Wszystkie te hipotezy zarazem pasowały i nie pasowały do Selijona. Mógłby być i renegatem zakochanym nad miarę, i poetą, i Honghijczykiem miłującym Barden. Ale Rozenkrontz czuł, że nie jest żadnym z nich. Nikt właściwie nie wiedział, czym trudnił się Selijon, z czego żył, jak długo mieszkał w Barden.

Kupiec Gorde, jowialny, potężnie zbudowany chłop, szara eminencja miasta, opowiedział Rozenkrontzowi o kulisach zaangażowania Selijona w sprawę nagłych zmartwychwstań.

– Nikt go nie widział od roku – mówił Gorde, opychając się (była pora obiadu) udem kurczaka; tłuszcz spływał mu po brodzie, kupiec cuchnął niemiłosiernie potem. – Jakby zniknął, pod ziemię się zapadł, wrócił tam, skąd pochodzi, gdziekolwiek to jest. Zjawił się nagle, jak zwykle słodko woniejący, tuż po rzezi Milczących, od razu zaoferował swe usługi Radzie Miasta. Miał odszukać ciebie, panie Rozenkrontz, człeku licznych zalet. I wywiązał się z zadania.

Same zagadki. I to dziwne imię – Selijon. Rozenkrontzowi zdawało się, że już gdzieś je słyszał; wyteżał pamięć – i nic. Nic. Pustka.

Peljoza ocknął się z jękiem. Nic nie widział, wszędy ciemność nieprzenikniona. „Więc tak wygląda śmierć?”, pomyślał; zaraz jednak zrewidował swą eschatologię. Widzieć wprawdzie nie widział, ale za to czuł. Wciąż ów słodkomdły odór, subtelny jak szubienica. Zatem raczej żył, choć stan ów nie musiał mieć cech trwałości. Po chwili posłyszał jeszcze te mrozące w tętnicach krew dźwięki – niby poruszeń, szuranie-nieszuranie, posuwistość bez rytmu – i wszystko sobie przypomniał. Pomacał dłonią wokół siebie, żadnej jednak broni nie znalazł. Miał wprawdzie

ukryte subtelnie pod językiem ostrze, którym można by w razie czego upuścić nieco krwi wrogom, lecz jak tu juchę rozlewać, kiedy z trupami sprawa? Nie posiadał całkowitej pewności co do stanu zdrowia napastników, domyślał się jednak, że był on poważny. Poważniejszy być nie mógł.

– Kto cię tu przysłał? – głos wyprany z barwy. Pusty głos w nieprzeniknionej ciemności – oto kwintesencja nicości. Pelijoza wiedział, że nie zapamięta barwy tego głosu, nie da się bowiem zapamiętać czegoś, czego nie ma.

– Tajemnica zawodowa – odparł.

– Zuchwalec. Niczego się nie nauczyłeś? Wiem, kto cię przysłał. Choć nie wiem dlaczego. Ważne, byś sam powiedział, zanim... – głos urwał.

– Zanim mnie poddasz torturom? – zadrwił Pelijoza. – Zaczynaj.

Nie można nie bać się tortur, lecz Pelijoza spędzał dużo czasu w lochach w ramach, jak sam to nazywał, przysposobienia do cierpień. Traktował to jako element wykształcenia zawodowego – cierpiał średnio raz w miesiącu.

– Szukam do ciebie klucza, imć... Twe miano?

– Pelijoza. Zdarzają się wrota zamknięte od środka.

– Posłużę się zatem taranem. Pelijoza... dziwne imię. Jesteś szlachetnie urodzonym? Twe godło?

– W stronach, z których pochodzę, godności trzeba dowieść. Człek rodzi się pustym, bez właściwości, krew nie ma znaczenia. Niczego nie dziedziczymy prócz życia i śmierci.

– Patetyczne i nieapetyczne. Przysłał cię Sędzia, choć pewnie nic o tym nie wiesz. Posłużył się pośrednikiem, jak mniemam. Miałeś mnie zabić. Równie dobrze mógłbyś targnąć się na życie skał. A muszę ci rzec, że niewiele w nich życia, Pelijoza – głos umilkł na chwilę. Pelijoza próbował przypomnieć sobie jego brzmienie: daremnie. – Ale dlaczego? Studiowałem niektóre rozprawy Bałdora. Wydawało się, że mnie rozumie... raczej winien sprzyjać, a nie nasyłać złodziei żywotów. Dziwne. Dlaczego tego nie przewidziałem? Kto macza w tym paluchy... czy może... kopytka? – Pustak, bo musiał to być on, zarechotał bez cienia wesołości. Śmiech oddalał się i zbliżał, jego właściciel przechadzał się po wilgotnych przestrzeniach. Pelijoza słyszał, jak nieszmerne szmery, owe dźwięki zwiastujące martwe poruszenia żywych trupów, wędrują wraz z oddaleniami i przybliżeniami Pustakowego głosu. Były jak przyboje i odpływy morza, jak prawo natury poruszane wyższymi wszak koniecznościami. Tak, Pustak musiał być otoczony martwym kokonem. On ich napędza, pomyślał morderca. Jest ich światłością, mocą. Jak ćmy do światła, jak ćmy do światła. – Taaak. Element nieprzewidywalny. To nie Sędzia cię przysłał, choć on sam tak myśli... Nie Bałdor... Ale po co? Wiedział, że nie możesz mnie zabić... Pułapka w pułapce...

Pustak snuł rozważania, jakby Pelijozy nie było w katakumbach. Jakby w ogóle go nie było,

nigdy nie przyszedł na świat, nie narodził się w męczarniach, jakby jego istnienie lub nieistnienie nie miało żadnego znaczenia. Pelijoza był jednym z tych nieważnych stworzeń, które nie zmieniają, bo nie mogą, rozkładu dnia Pustaka. Czy pająk, rozsnuwając swą sieć, może wpłynąć na bieg myśli Bezdusznika? Czyż zbłąkany szczur może zwrócić jego uwagę, zogniskowaną wszak na światowej rewolucji? Choć można by to odwrócić – co pająka może obchodzić światowa rewolucja?

A jednak wciąż żył. Więc chyba był potrzebny. Może Pustak łaknął go jako słuchacza? Może znużyły go wypowiedzi do ścian katakumbowych i trupów oszołomionych swym ożywieniem? Pelijoza wyobraził go sobie – perorującego w tych ciemnościach wypranym z uczuć głosem przez wieczność. Wzdrygnął się.

– Zatem klucz. Czy jest nim złoto? Gdybym podwoił stawkę, pracowałbyś dla mnie? Złota ci u mnie dostatek, przyjacielu. Mógłbym kazać wytapiać z tego metalu żółte nocniki albo spluwaczki... – urwał nagle, jakby coś sobie przypomniał. – Jedna z tych zagubionych dusz, tych, co się tu osiedliły w korpusach nieszczęsnych... Tak, to zabawne, to był jego pomysł... Wytapiać ze złota nocniki, w pogardzie mieć to, co inni gromadzą, zmienić system wartości i system miar czegokolwiek... I, wyobraź to sobie, tym sposobem zaprowadzić tu i teraz powszechną szczęśliwość, zlikwidować nędzę poprzez likwidację własności. Powszechna równość... Równość w szczęściu. Nie wiedział, biedak, choć pobudki jego były szlachetne, że równym można być jeno w nieszczęściu. Że ludzie zawsze chcą czego innego niż to, co się im oferuje. Że jak cierpią w jarzmie, chcą wolności, a jak ją otrzymają, tęsknią za pełnym kałdunem... Że ci jeno, co doznali nieporównywalnej z niczym sromoty, niewyobrażalnego cierpienia, cieszą się ze zwykłego życia, i to oni mogą zaprowadzić sprawiedliwość tu i teraz. Bo niczego już nie chcą, jeno żyć. Nawet gdybyś potrafił czytać, Pelijoza, to i tak nie mógłbyś przeczytać dzieła życia tego człeka – spłonęło, zniknęło w bezpamięci, on sam zaś, rzecz jasna, zgnił w lochach możliwych tego świata. Ale mniejsza... Powiedzmy, że zaoferuję ci dwadzieścia nocników, co ty na to?

– Musiałbym cię najpierw zabić – powiedział powoli Pelijoza.

– Hm... mamy antynomię. Ja ofiaruję ci pracę, ty jednak masz wcześniejsze zobowiązania. Jeśli mnie zabijesz, nie zatrudnię cię, rzecz jasna. Sprzeczność jednak jest pozorna, bo ja bardziej nie żyję niż żyję. Zadanie było niewykonalne, twe zobowiązania zatem można uznać za niebyłe bez uszczerbku dla honoru..

Jest w tym jakaś logika, pomyślał Pelijoza.

– Nadto bardziej mi się nadasz, imć Pelijoza, jako człek żywy, choć i twym korpusem po śmierci zagubiona a powolna mi dusza nie pogardzi... Są rzeczy gorsze od śmierci. Jest cierpienie niewyobrażalne. A ty masz niewiele czasu na decyzję.

– Dwadzieścia nocników – rzekł Pelijoza.

– Niech tak będzie. Choć rychło przekonasz się, że w świecie, który niebawem będzie,

kruszec składający się na nocniki rzeczywiście przestanie mieć znaczenie. Mam dla ciebie delikatne zadanie. Nikogo zabijać nie musisz, jeno sprowadzić tu, do mnie. Nie znam jego miana, lecz czuję nicość bijącą z jego duszy – jest jak źródło. Pelijoza, on jest mi niezbędny. Dostarczysz go w dobrym stanie, to jeszcze chłopiec, nie powinieneś mieć kłopotów. W żadnym jednak razie nie lekceważ go. Nie lekceważ... – głos Pustaka zanikał z wolna, właściciel oddalał się.

– Jak go znajdę? – krzyknął w ciemność Pelijoza.

– Przewodnikiem będzie ci stary znajomy... Stary znajomy, pomyślał morderca. Jaki znów stary znajomy?

Wtedy ujrzał płomyk w ciemnościach. Światelko nadziei. Chwila rozjaśnienia – ciemności i wątpliwości. Płomyk rósł, poruszał się raczej chwiejnie, lecz w chwiejności tej rytmu nie było żadnego. Im bliżej było źródło światłości, tym bardziej upodabniało się do pochodni dźwżonej niepewną ręką. Bliżej, coraz bliżej. Stary znajomy, hę?

Gdy ujrzał w blasku ognia twarz „starego znajomego”, aż się wzdrygnął. Był nim ów Krzywonos, informator, zdrajca. Żył sobie w najlepsze, nie żyjąc. Czy żywił urazę? Czy pamiętał? Wszak inna dusza w tym korpusie nieszczęsnym. Jak go zabiłem? Nóż w plecach – przypomniał sobie. Czy nadal tam tkwi? Pelijoza poczuł niemal fizyczną potrzebę obejrzenia pleców Krzywonosy, powstrzymał się jednak.

– Nie taki znów stary ten znajomy – mruknął pod nosem.

Noc rządzi się swoimi prawami. Powiada się, że są to prawa bezprawia – jak noc jest odwróceniem skali widzialności, przejrzystości dziennej, tak prawa nocy znajdują się na skrajnych wartościach sprawiedliwości. Czy są prostym zaprzeczeniem tego, co dzieje się w słonecznym blasku? Nie. Chyba nie. Wszak przechodzenie dnia w noc – i odwrotnie – nie jest czymś nagłym, lecz stopniowym raczej. To proces, powolny i uparty – zaciera się widzialność, zacierają się prawa. Gdzieś po drodze jest mniejsza ciemność. I za dnia dzieją się rzeczy straszne; wtedy jednak wszystko jest widzialne i przez to mniej przerażające. Mniej odrażające. W nocy natomiast zło mniej jest przejrzyste, mniej zrozumiałe.

Tak jest i teraz – można by się bezskutecznie zastanawiać, czym są owe cienie pełgające po ścianach budynków, po rynsztokach, po wszystkim. Po mieście. Po Barden. Skąd groźba czająca się w ich pokraczności; wszak pokraczność to siostra śmieszności? Jaka jest przyczyna ich tu obecności? Jakież wreszcie byty-niebyty rzucają owe cienie upiorne? W blasku dnia wydawałyby się nie na miejscu; światło obnaża śmieszność, ciemność jest azylem strachu. Tu i teraz jednak są jak najbardziej na swoim miejscu. To kończyny nocy – dzięki nim pełźnie, dzięki nim chwyta wszystko, co się nawinie, dzięki nim być może nawet cokolwiek odczuwa. Kończyny również w innym słowa tego znaczeniu – za ich sprawą bowiem wiele rzeczy się kończy. Nie bezpowrotnie, ale jednak kończy.

Oto człek, bynajmniej nie pijany szczęściem, lecz chwilowo szczęśliwy, bo pijany. Odzienie kwalifikuje go do jakiegoś rzemieślniczego cechu – może jest kowalem? Lecz nie swego już losu. Zatacza się beładnie od ściany do ściany, a mimo wszystko w jego ruchach więcej jest rytmu niż w cienistych poruszeniach. Tym bardziej, że cienie zamarły, jakby w oczekiwaniu. Wszystkie naraz zamarły – zdawało się, że są jedną wolą pchane, jak części jednego a monstrualnego organizmu, który rozczłonkował się chwilowo, by zaraz zlać się w jedno, uzupełnić bez trwałego uszczerbku.

Naraz zaczyna się ruch – jakże szybki, drapieżny, nielicujący z dotychczasowym beładem. Ciemność pochłania pijaka; oblepia go masa boleśnie namacalna, a zarazem... nierzeczywista? Nie zdołał nawet wydać dźwięku – może nie wiedział, co go spotkało?

Cienie ruszają dalej, znów ruch-nieruch; wrażenie chaosu. Noc jeszcze się nie skończyła.

Przechadzali się po miejskim straganie – rozgadany Dolsilwa, zamyślony Selijon, no i Rozenkrontz, jakby nieobecny duchem. Kilka kroków za nimi podążała milcząca dziewczynka. Poeta usiłował zinterpretować słowa sędziego Bałdora wypowiedziane pod adresem Rozenkrontza na odchodnym. Fraza ta wyraźnie nie dawała mu spokoju.

– Co to właściwie miało znaczyć, że „ty wiesz”? Ze niby czujesz? Co czujesz? I dlaczego odparłeś, że wiesz? Co ty wiesz, Rozenkrontz, u diabła?! A jeśli ty wiesz, to dlaczego ja jeszcze tego nie wiem?

– Nie rozumiesz, Dolsilwa? – wtrącił Selijon.

– A o czym ja mówię od stu ziaren piasku, do stu piorunów? No, o czym ja tak gadam z jakże nieznośną ci powtarzalnością, mistrzu Selijon? Otóż powiadam, że nie pojmuję. O co szło tej ostoji opacznie pojmowanej sprawiedliwości? Tej beczce kodeksów? O co, u diabła?!

– To przecie oczywiste. Rozenkrontz jest na liście Kowenora.

– A jeśli nie jestem, to niebawem będę. Sędzia Bałdor koryguje takie nieścisłości – mruknął Rozenkrontz.

Ich uwagę przykuł wędrowny kupiec zachwalający rzekome panaceum na miłość. Darł gardło, iż należy namaścić ciało przy pełni księżyca, a drżenia serca ustają, człek statkuje się i zawija do macierzystego portu spokojnej samotności. Używał wielu równie egzotycznych porównań i gier słowami. Maść miała usuwać niekorzystne wapory, wyciskać z duszy – poprzez pory skóry – nadmierne sentymenty, dusić w użytkowniku „emocyje”, jak wyraził się handlarz kwieście (Selijon aż się skrzywił), niwelować równinnie skłonności do westchnień.

By dowieść skuteczności mikstury, przygotowano wnet demonstrację nieco przypominającą przedstawienie teatralne. Oto urodziwy młodzian z osłupieniem wpatruje się w „piękność Południa” – z południowych bowiem obszarów Cesarstwa Lechandryjskiego miała rzeczona niewiasta pochodzić wedle słów narratora, którym był, rzecz jasna, sprzedawca. Ktoś scenicznym

szeptem przechrzcil ją jednak na „piękność północy” – była to bowiem jedyna pora, kiedy mogła za piękność w istocie uchodzić. Przez tłum przetoczył się, jak fala, zduszony rechot. „Młodzieniec” (przy bliższym oglądzie lat mu przybywało) wykonuje wszelkie możliwe, a scenicznie do cna zbanalizowane gesty wyznaczające rozmiary jego miłości. Chwyta się w okolicach serca, sugerując jego palpację, siła jego westchnień mogłaby góry zamieniać w niecki, próbuje nawet wyrazić subtelność żywionych uczuć grą na lutni (na szczęście zachowano artystyczną umowność tej sceny – lutnia nie wydaje dźwięków). Tymczasem obiekt miłości wyraźnie gardzi demonstrowaną potęgą uczuć młodziana. Ten ostatni, doprowadzony na skraj emocjonalnej inflacji, postanawia przedwcześnie napisać ostatnią kartę swego życiorysu, już z wdziękiem urodzonego wilka morskiego plecie ze sznura pętlę, już zarzuca ją sobie na szyję, gdy... pojawia się w cudowny sposób sprzedawca z antymiłosnym panaceum. Niemrawe oklaski.

Dolsilwa zauważył sarkastycznie, że lek przydałby się Rozenkrontzowi na stare rany, ten ostatni zaś odciął się, że gdyby cudowną miksturę stosować na poecie, kolejne miłostki odpadałyby od jego serca jak wysuszone wrzody po cudownie wyleczonej ospie; czarny stos by się z nich uzbierał. Selijon nic nie powiedział, jeno zakupił butelczynę. Na ich zdziwione spojrzenia wzruszył ramionami. „Nie zaszkodzi spróbować”, rzekł.

Mimo artystycznej nikłości przedstawienia Dolsilwa poczuł, że natknął się na środek wyrazu wielkiej mocy. Że w dramacie kryje się gigantyczny potencjał – połączenie teatralnej wystawności z umownością słowa. Dwa w jednym, jął przemyśliwać nad napisaniem sztuki, wciąż jednak brakło mu tematu.

Było upalnie, choć słońce, jak zwykle nad Barden, schowało się za przygniatającym woalem chmur. Powietrze było ciężkie od zapachów, a te budziły w Rozenkrontzu nostalgię. Ta mieszanina woni – tu kupiec rozpyła nęcąco pachnidła Wschodu, zachowując się wobec klienteli jak kwiat wabiący motyle, ówdzie rozchodzi się ostry zapach egzotycznych owoców Południa, a nad wszystkim dominuje wszędobylski odór potu – przypominała mu dawne, o wiele szczęśliwsze czasy. Tak, zapachy też pobudzają pamięć, może nawet subtelniej i na swój sposób dobitniej niż jakiegokolwiek inne bodźce.

Zaraz jednak porzucił sensualne wspomnienia, na targowisku działo się bowiem coś niezwykłego – nagły tumult się podniósł.

Rozenkrontz i pozostali obejrzelili się za siebie w tym samym momencie.

Ich oczom ukazał się taki oto niezwykły widok: białowłosy wojownik wpatrywał się z natężeniem, które wąsko graniczyło z obłędem, w towarzyszącą im dziewczynkę. Wyglądał na weterana wielu bitew, a jednak w jego spojrzeniu dało się odczytać strach – lękał się dziecka! „To ty” – powtarzał wciąż. Rozenkrontz ruszył w kierunku błyskawicznie uformowanego zbiegowiska, ale rycerz już obrócił się na pięcie i zanurkował w tłumie. Rozenkrontz zrozumiał –

on uciekał przed dziewczynką! Wojownik czmychający przed dzieckiem! Zdołał zaobserwować jeszcze jeden niepokojący szczegół – wojownik nie miał uszu. Choć potem pomyślał, że mu się zdawało.

– Nic ci się nie stało? – zapytał dziewczynkę. Ta nie odpowiedziała.

Rozenkrontz poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Obrócił się gwałtownie – to Selijon.

– Musimy porozmawiać, Rozenkrontz. Sami.

Zostawili poetę (nie był tym zachwycony) z dziewczynką i jęli przechadzać się między straganami.

– Nie niepokoi cię ta mała, Rozenkrontz?

– Wiele rzeczy nie daje mi spokoju...

– Musisz jednak coś wiedzieć – Selijon przerwał, jakby zbierając myśli; rozrzut ich musiał być znaczny, bo trwało to długo. – Słyszałeś o Daghor albo o Sithfus? Albo jak nazywają ją... jego?...to? – mieszkańcy Hongh-Kikuru? Słyszałeś?

– Te nazwy nic mi nie mówią. Nie znam języków obcych.

– W języku lechandryjskim brzmiałoby to... – Selijon zawahał się – ...chyba Nostalgica. Albo tak jakoś.

– Ładnie nawet. Miewam takie stany. Coś człeka jakby ściska w dołku...

– To nie jest stan duszy, Rozenkrontz, Nie jest to nastrój chwili. Przyjrzałeś się temu... dziecku?

– Milcz – powiedział cicho Rozenkrontz.

– Musisz mnie wysłuchać. To dziecko nie jest żadnym dzieckiem. Wiesz o tym. To ucieleśnienie bólu, strachu, cierpienia i diabli wiedzą czego jeszcze... To potwór, Rozenkrontz. Sprowadza ją tu łaknienie, tęsknota, poczucie pustki... Ona sama jest jak wyrwa w rzeczywistości. Jest czymś, czego nie ma. Ona cię wchłonie, Rozenkrontz. Zniszczy. To potwór. Potwór.

– Milcz.

– Potwór. Nie wiem, dlaczego tu jest. Być może za twoją sprawą. Ja nie miałem dzieci, Dolsilwa może i miał, ale chyba nic o tym nie wie. A ty, Rozenkrontz? To twój ból. Twój awatar. Twój i tego rycerza. I nie wiadomo, czyj jeszcze... – mówił gorączkowo Selijon.

– To dziecko – powiedział Rozenkrontz. – Ty widzisz w niej potwora, a ja dziecko. Mimo wszystko – dziecko. Miałem syna, jeśli chcesz wiedzieć. Nigdy go nie widziałem. To nie mój awatar. Nie moja sprawa.

Lecz przez głowę przebiegała mu jedna myśl – oczy, mądre, pełne bólu oczy. Oczy ze snu.

Rycerz Kwaidan wjechał do Barden na płowym koniu. Koń był stary i z tego powodu doszczętnie zgłupiał – od czasu do czasu wyczyniał sztuki, zawsze w nieodpowiedniej porze,

zawsze nie na miejscu. Jego właściciel sądził, że wierzchowcowi przypominały się po prostu dawne czasy – przyszedł na świat na karmańskich stepach; tamtejsi jeźdźcy uchodzili za najbieglejszych w swym rzemiośle, to oni go przysposobili. Teraz drobił, cofał się, niemal wyczyniał piruety; rozchichotanym obserwatorom zdawało się, że stąpa na palcach, choć przecie konie nie miewają palców.

Mimo wszystko Kwaidan nie żałował, że ongiś pokonał w pojedynku tego karmańskiego wojownika, który wyróżniał się sumiastym wąsem i niepospolitą głupotą. Potem, w zgodzie z obyczajem, musiał przejąć jego dobytek – broń sprzedał, konia natomiast zatrzymał. Od tamtej pory wierzchowiec co jakiś czas zaskakiwał go swymi zachowaniami, jak na złość, zawsze przy obcych – jakby łaknął publiczności. Z tego też powodu rycerz często czuł się zażenowany. Nigdy nie nadał mu żadnego miana – tak zmienny był wierzchowiec, że nie można było imieniem uchwycić go w kleszcze zrozumienia, ustalić jego właściwości.

Teraz sprawa wyglądała jeszcze poważniej. Kwaidan miał przeczucie, że nie wyjedzie z miasta na tym koniu – nostalgiczne nawroty zdarzały się zwierzęciu coraz częściej, sięgały coraz głębiej w przeszłość, były coraz dłuższe.

– Będę musiał cię zabić, zanim staniesz się żrebakiem – szepnął i niemal czule poklepał wierzchowca po szyi.

Koń był dziwny i z innych powodów – czasami wydawało się, że miewa sny. Kwaidan był też niemal całkowicie przekonany, że zwierzę rozpoznaje kolory i nie znosi zapachu ziół leczniczych, którymi rycerz okładał swe rany. Koń posiadał też ciekawy rys osobowości: bywał złośliwy w czasie pełni księżyca – wówczas zdarzało mu się lekko podgryzać rycerza albo chować najpotrzebniejsze akurat rzeczy. Miał niezwykły zmysł – wymagał ściśle określonych dawek wody, a na wszelkie nadmiary lub niedobory reagował świętym oburzeniem. Wyglądało na to, że zna języki obce. Kwaidan prosił nieraz przygodnych wędrowców o artykulację prostych komend w ich mowie – zwierzę reagowało nieomylnie. Od jakiegoś jednak czasu koń całkowicie przeniósł się w świat swych wyobrażeń – reagował wyłącznie na jasne wytyczne odpowiedniego nacisku kolan jeźdźca.

Z upływem lat Kwaidan przyzwyczał się do dziwactw zdobywczego wierzchowca. Żyli się jak stare małżeństwo, którego uczestnicy, jak powszechnie wiadomo, nie oczekują od siebie wzajem niczego prócz odrobiny złości i przyjaznej nieprzychylności, której nienawidzą, ale której brak okazałby się już zupełnie nie do zniesienia.

Kwaidan rzadko bywał zadowolony z powodu swej głuchoty, nabytej kiedyś na Szarej Pustyni, tym razem jednak pozorna cisza go radowała. Wiedział, jak gawiedź reaguje na dziwactwa jego wierzchowca. Wiedział również, że – mimo upływu lat – wciąż łatwo gotuje się w nim krew. Źle znosił drwiny.

Tak czy owak, to potrzeby jego konia właśnie tego dnia przywiodły rycerza Kwaidana na

bardeński rynek. Powietrze było ciężkie, nie nadawało się do oddychania – gdyby ktoś poupychał je do worków i wrzucił do Morza Martwego, te utonęłyby niechybnie z kamienną niezawodnością. Pot zalewał Kwaidanowi oczy; smród bazaru i jego barwność męczyły jego wyczulone zmysły.

Dlatego kiedy spostrzegł ją po raz pierwszy, pomyślał, że to zmysły go zwodzą, że to gra wyobraźni, wynik zmęczenia. Przetarł oczy i przyjrzał się raz jeszcze: stała sobie jakby nigdy nic pośród tłumu kupujących cokolwiek i sprzedających wszystko, wyglądała całkiem zwyczajnie. Dziewczynka. Widział ją po raz trzeci w życiu, przedostatni, jak się miało okazać.

Zdjęło go przerażenie. Jego, który pluł w oczy śmierci, zabijając niezawodnie, który ruszył na poszukiwanie czorta, by udowodnić Boga istnienie; którego uznawano za największego rębajkę Cesarstwa Lechandryjskiego i okolic, którego wreszcie obojętność na wszelkie sprawy tego świata zdążyła już obrosnąć – nad wyraz mu obojętną – legendą. Cofał się, mamrocząc coś, sam nie wiedział co – jakieś zaklęcia, błagania? Uciekał. Potem zrozumiał, że daremnie. Że uciekał przed czymś, co było w nim. Że im bardziej uciekał, tym bardziej to „coś” się zbliżało. Odczuwał to jako czarną dziurę, przestrzeń pustki zasysającą, zawłaszczającą, przeistaczającą go w kogoś (coś?) innego.

Pelijoza czuł się coraz bardziej nieswój w towarzystwie cudownie zmartwychwstałego Krzywonosy. Wprawdzie sporo uczynił, by nadać towarzyszowi pozory życia, ale raz jeszcze przekonał się, że jego rzemiosłem jest raczej rozdawnictwo śmierci. Strój kupca korzennego nie leżał dobrze na jego powyginanej pod dziwnymi kątami sylwecie (prawdopodobny skutek długotrwałego przebywania w trumnie) – materiał wzdymał się, marszczył bądź kolapsował w nieoczekiwanych miejscach. Puder, mający nadać jego cerze odcień umiarkowanej opalenizny, łączył się w grudki, które przy gwałtowniejszych poruszeniach odpadały od skóry, podkreślając jeszcze jej plamistość i ziemistość. Najgorsze jednak były jego zachowania, jakże charakterystyczne dla zmartwychwstańców – ów chód bezrytmiczny połączony karkołomnie z niezwykle determinacją, z jaką trup pokonywał przestrzeń. Jakby dokonywał niemożliwego, drobiąc chaotycznie, jakby pełzył ku nieskończonej dali. Zachowywał się przy tym niczym pies gończy, którego przez wieczność nęka woń nieuchwytej ofiary – istne piekło naganiaczy. Pustak rzekł na odchodnym, jakoby Krzywonosy wabić ma nicość bijąca z obiektu ich poszukiwań – wyrwa w ciągłości istnienia była dla umarlaka niczym latarnia morska dla zagubionych okrętów. Pozostając w obszarze tej akurat metafory, morderca porównał się do okrętu pozbawionego masztu, steru i, co gorsza kotwicy. Jednak najgorszy w ożywionym trupie był ów smród duszący. Pelijoza rozpylił na nim, a i wokół niego dziesiątki pachnideł, ale efekt nie okazał się satysfakcjonujący.

I tak zmierzchem (by ukryć niepospolitość Krzywonosy przed czujnym okiem gawiedzi)

emanacja pustoty zawiodła ich wprost do karczmy „Pod Siwym Dębem”. Pelijoza, jako człek o legendarnej wręcz spostrzegawczości, zarejestrował brak dębu w pobliżu lokalu.

Zasiedli z boku i w cieniu, by nie rzucać się w oczy. Zamówień dokonywał Pelijoza, Krzywonos tymczasem ujawnił kolejną niepokojącą właściwość – jął mianowicie dialogować sam z sobą. Zabójca odniósł wrażenie, że siedzi w towarzystwie przynajmniej czterech osób, z których żadna go nie słuchała, nie czuł się jednak dyskryminowany, ponieważ alternatywne osobowości Krzywonosy nie słuchały również siebie wzajem. W rezultacie wewnętrzny dialog okazał się wiązką niepowiązanych z sobą monologów. Krzywonos był istnym oratorskim kameleonem – zmieniał barwę głosu jak rękawiczki. Periodyczne również były jego upodobania. Mniej więcej co czwarty łyk wina wzbudzał w byłym trupie uczucie trudnego do opisanego zohydzenia. Przy czym zaraz o nim zapominał i za każdym razem ohydne zaskoczenie było podobne. Chwilami znów miał Pelijoza wrażenie, że siedzi przed nim kobieta o kokieteryjnych zapędach – widok mizdrzącego się denata wprawiał zabójcę w szczególną konfuzję. „Oto zły sen – powtarzał sobie – ofiara przepija do mordercy. I to po morderstwie!”

Od czasu do czasu Pelijoza próbował przebić się przez oratorską zasłonę z pytaniem, gdzie też jest obiecana latarnia morska, bo zszedł z kursu (miał już nieco w czubie) – bezskutecznie. Najbardziej jednak obawiał się chwili, gdy wszystkie osoby odezwą się naraz – chórem.

Pelijoza pozostawał mimo wszystko czujny, po części na skutek choroby zawodowej, po części zaś nękała go obawa przed trupim rewanżyzmem. Wiedział wprawdzie, że inna dusza zamieszkuje siedzące przed nim cielsko, lecz nie miał gwarancji. A nuż w ciele pozostają jakieś „duszne” pozostałości, tak jak w opuszczonych domach pozostają ślady bytności dawnych właścicieli? Coś trudnego do uchwycenia – cień pamięci, może niechęć, a może chęć... zemsty?

Jakaś dziewczka o krągłych kształtach przysiadła się nieproszona do ich stołu. Jednak w fatalnym momencie – akurat zdominował Krzywonosy żeński odcień jego nowej jaźni. Panna została oszacowana niechętnym spojrzeniem i ofuknięta znaczącymi chrząknięciami. Należała jednak do osóbek o gorących temperamentach i wnet w jej dłoni błysnęło ostrze sztyletu, przemyślnie ukrytego w fatałaskach, Pelijoza z przepaszającym uśmiechem wykręcił jej rękę. By oddalić niebezpieczeństwo skandalu, błysnął dziewczce w oczy monetą – napięcie natychmiast opadło.

Zaraz potem zjawiała się wreszcie „latarnia”, co Pelijoza wywnioskował z nagiego zamilknięcia licznych person Krzywonosy. Obiektem poszukiwań okazał się młody chłopak, miał piętnaście, może szesnaście lat. Nie wyróżniał się niczym szczególnym: ciemne włosy, odrobinę zbyt ospowata twarz. A jednak było w nim coś niezwykłego: miękkość, która – podpowiadał to Pelijozie instynkt – mogła okazać się zwodnicza.

Morderca podszedł do chłopaka.

– Ktoś bardzo pragnie cię zobaczyć – rzekł. Zachował daleko posuniętą ostrożność; coś było

nie tak z tym chłopcem, czuł to coraz wyraźniej.

– Jak bardzo? – zapytał Enrew. – Co by za to dał?

– Cóż, mój... znajomy zajmuje się między innymi handlem nocnikami... Nie sądzę jednak, by pragnął dzielić się z tobą akurat tym dobrem... Ujmę to zatem tak – korzyść powinna być obopólna.

– Korzyść na poły dzielona to pół korzyści. Kaleka pośród mych pragnień. Dodam jeszcze, że biegły w rachunkach. Wiem, że zero na połowy dzielone daje mniej niż zero.

Tak. Coś z tym młodzianem było nie w porządku. Jakby spodziewał się tego spotkania. Pelijoza wiedział, że ludzi, którzy gotowi są stawić czoła wyzwaniom losu w każdym momencie, jest na świecie bardzo niewielu. Większość reaguje na nieoczekiwane zdarzenia nieadekwatnie – albo zbyt gwałtownie, albo za słabo. Potem żałują swych reakcji, rozpamiętując latami, że należało zrobić to lub owo; w każdym razie inaczej. Było to naturalne: nadzwyczajności bowiem to mają do siebie, że z definicji samej występują rzadko. Człek, siłą rzeczy, przyzwyczaja się do reakcji rutynowych na zwykłe sytuacje. Nie da się żyć w stałej gotowości do bohaterских bądź niegodziwych czynów, w napięciu ponad miarę, by zawsze reagować jak należy, by nie okazywać zaskoczeń, by pozostać panem każdej możliwej sytuacji. A ten młody człowiek wyglądał Pelijozie na takiego właśnie chwata!

– A jednak sama możliwość dzielenia się czymkolwiek bywa dla niektórych sporym sukcesem.

– Nie strasz mnie, panie. Gdybyś mnie... uszkodził, czym mógłbym się dzielić z tym, który chce mnie widzieć?

– Nie zapytasz o tego, który mnie tu przysłał?

– A gdybym zapytał, co byś odpowiedział?

– Najpierw musiałbyś zapytać.

– Rzeczywiście – powiedział Enrew.

Nie zapytał.

– Chodźmy już.

– Chodźmy.

I ruszyli ciemnymi zaułkami Barden. Pelijoza nie musiał oglądać się za siebie, by wiedzieć, że to, co wciąż jeszcze pozostało z Krzywonosą, kuśtyka nieomylnie ich tropem.

Sędzia Bałdor przyjął delegację możnych mieszczan z niechęcią. Traktował ich pogardliwie – wprawdzie niejeden urodził się pod znaczniejszym godłem, lecz to Bałdor piastował urząd cesarskiego Sędziego, pana życia i śmierci, strażnika sprawiedliwości, wyroczni, posiadacza tajnej listy Kowenora. Przyjął ich w zgrzebnie urządzonej izbie Zajazdu Lechandryjskiego, tej samej, którą zajmował przed laty sam Kowenor, Dziesiątnikiem zwany nie bez powodu.

Skromność była cnotą może nie wymaganą, lecz powszechnie oczekiwaną od cesarskich Sędziów. Reagowali na takie społeczne zamówienia tym chętniej, że za surowość obyczajów odpłacano im w wymiennej walucie powszechnego szacunku, bojaźni i realnej władzy.

Mieszczan było troje – przypałała się w tym gronie jedna niewiasta: niejaka Zilea, wysoka jak tyczka, wysuszona, o obliczu pociągłym, Bałdor gotów był zaryzykować stwierdzenie, że wręcz końskim – utwierdzał go w tym mniemaniu jej niedyskretny uśmiech, eksponujący jakże specyficzny układ uzębienia. Jednak zbrojna w swą kobiecą godność, zachowywała się jak skończona piękność. Być może, wpatrując się każdego ranka w swe zwierciadlane odbicie podczas obowiązkowego tapetowania oblicza, co innego zgoła widziała niż zgromadzeni tu i teraz mężczyźni.

A tych u Sędziego zjawilo się, jak już było mówione, dwóch. Jednym był Gorde, najbogatszy, tak powszechnie szacowano, obywatel Barden, dorobił się na handlu bronią ze wschodnimi prowincjami Imperium Hongh. Władze Cesarstwa Lechandryjskiego patrzyły na proceder krzywym okiem – dozbrajano wszak w ten sposób potencjalnego przeciwnika – jednak odpowiedni udział w zyskach dla wysokich urzędników cesarskich znakomicie prostował spojrzenie. Gorde dorównywał Bałdorowi tuszą, natomiast znacznie przewyższał go wzrostem; był ogromnym, rubasznym mężczyzną. Sędzia nie znosił takich typów, dostrzegł jednak, że Gorde o tym wie. Bogacz czynił wiele, by wydawać się mniejszym, niż był w istocie, niewiele też mówił; miast wina poprosił o wodę. Zjednało mu to umiarkowany szacunek Sędziego. Może i był wielkim, rozochoconym chłopem, ale potrafił okiełznać swą naturę. Wtedy, kiedy było trzeba. Nie wiedział jednak o jednym – szacunek Sędziego oznaczał dlań śmiertelne niebezpieczeństwo. Mechanizm był prosty – oto ktoś, być może powierzchownie, ale jednak przejrzał Bałdora, dotarł do pewnej o nim wiedzy. A wiedza to klucz. Ludzie dzielili się dla Sędziego na dwie kategorie: pogardzanych idiotów, o których wiedział niemal wszystko, oraz godnych szacunku – tych się bał. Statystycznie rzecz ujmując, ci pierwsi żyli dłużej. Paradoksalnie, dyskrecja i umiarkowanie Gordego, które były maską, zjednywały mu – jak zamierzył – Sędziego, a zarazem poważnie przyspieszały zgon. A tego już nie zamierzył. Bałdor dostrzegł jednak pewne rysy na jego masce – Gorde wydzielał litry potu, śmierdział zwyczajnie; z tego powodu spryskiwał się najdroższymi pachnidłami, co jednak nie zabijało pierwotnej woni, jeno ją specyficznie wzbogacało. Konglomerat dawał efekt duszący; sam kupiec chyba o tym wiedział, pozbawiało go to pewności siebie. Fetor wyraźnie fascynował Pieńdzienia; nozdrza mu się rozszerzały, węszył jak pies. Sędzia wiedział o tym sensualnym skrzywieniu swego sługi – zapachy powszechnie uznawane za przykre, jemu właśnie sprawiały przyjemność.

Trzecim gościem był Siniz, naczelnik straży miejskiej. Stary wiarus, ale zarazem służbista, o czym świadczyło wszystko: dobór słów, wyprężona jak struna sylwetka, gotowość do przyjmowania rozkazów i przekazywania ich na niższe szczeble służbowej hierarchii.

Wnioski, jakie wysnuł Bałdor z tej pobieżnej charakterystyki, były jasne (zresztą potwierdzały to jego prywatne służby wywiadowcze): miastem od śmierci księcia Sorma Bez Palca rządził Gorde, pozostała dwójka, może nawet nieświadomie, służyła mu za przekaźnik oczekiwanych przezeń idei. Bogacz milczał raczej, obserwując uważnie cesarskiego Sędziego; pozostała dwójka tokowała.

Zilea domagała się podjęcia koniecznych kroków w celu powstrzymania zarazy zmartwychwstań. Siniz stanowczym głosem wyraził swoje ubolewanie z powodu niewystarczających zasobów ludzkich, jakimi dysponował. „Tu znikają ludzie!” – krzyknęła Zilea. „Również kobiety” – dodała tonem usprawiedliwienia. Istniało prawdopodobieństwo, że zniknięcia mają związek z szerzącą się zarazą. „A trzeciego dnia zmartwychwstaną” – mruknął Sędzia. Siniz zauważył przytomnie, że do niedawna znikali jedynie pijacy późną porą albo też dziewczki zaczepiające przechodniów. Straty zatem nie były dolegliwe, jak się wyraził. Może nawet miały moc oczyszczającą. Od jakiegoś wszelako czasu zniknięcia dotyczą właściwie wszystkich obywateli Barden – słuch ginie o całych patrolach obywatelskich spełniających swe patriotyczne obowiązki. „Kwiat młodzieży” – meldował naczelnik z nieudawanym smutkiem.

– Cóż zatem proponujecie? – zapytał Bałdor, nieco znudzony.

Propozycje posypały się jak z rękawa: stan wyjątkowy, kwarantanna, palenie świeżych trupów, zakaz szwendania się po ulicach w porach nocnych, traktowanie zmartwychwstańców z najwyższą surowością, i tak dalej, i tak dalej. Bałdor przez krótką chwilę zastanawiał się nad takim semantycznym problemem: czy można palić żywcem zmartwychwstałe trupy?

Sędzia, bardziej dla zabawy niż z jakichkolwiek innych powodów, jął siać pośród przybyłych wątpliwości natury moralnej. Nie znamy wszak natury zmartwychwstańców, może zatem choćby dla dobra nauki należy ich raczej obserwować niż palić? A jeśli oni coś czują? Jeśli mają świadomość? Jeśli są dobrymi ludźmi, jeno nie potrafią tego dobra wyartykułować, wyeksponować? Wszystko, czego nie znamy, chcemy niszczyć – to nieludzkie wszak. A jeśli ty, panie – tu zwrócił się do Siniza, który zbladł nagle – albo ty, pani (Zulea z wrażenia opadła na zgrzebne krzesło), nie daj Bóg, staniecie się takimi żywymi trupami? Też mamy was traktować z całą surowością jako materiał na podpałkę, czy też może raczej próbować zrozumieć waszą jakże skomplikowaną ludzką kondycję?

Te etyczne rozważania przypomniały mu stare dobre czasy spędzane na Akademii Cesarskiej, gdzie – będąc jeszcze niemal chłopcem – pilnie studiował filozofię prawa. Uwielbiał owe dylematy prawne, a zarazem moralne, rozważane „na sucho”, z odpowiedniego dystansu, zatem z boską obiektywnością. Na ostatnim roku studiów przyszli Sędziowie Cesarstwa (zostało ich czterech, odsiew był bowiem znaczny) mieli wszak tak zwane „zajęcia praktyczne”. Eufemistycznie brzmiące określenie oznaczało dla młodych ludzi konieczność rozstrzygnięcia konfliktów między prawem naturalnym a regułami rządzącymi Cesarstwem. Czy obyczaj

lokalne podbitego ludu, niezwykle silnie zakorzenione w jego zbiorowej świadomości, nie kolidują aby z prawodawstwem Cesarstwa? A jeśli tak – cóż czynić? To już nie były „suche” wybory, widzieli strach w oczach podsądnych, sponiewierane torturami ciała. I decydowali. Decydowali o życiu bądź śmierci, o wymiarze kary. Decydowali bez żadnego praktycznego doświadczenia. Ich wyroki zapadały z cesarską nieuchronnością. Najgorsze jednak były, już po wszystkim, zajęcia z Mistrzem Winu, kostycznym starcem o chłodnym umyśle gada, który beznamiętnie omawiał postępowanie danego adepta. Wskazywał błędy procedury, nadmierny pośpiech w ferowaniu wyroków, bądź – przeciwnie – brak zdecydowania. Jakże często ich decyzje okazywały się błędne! Iluż ludzi skazali bezpodstawnie! Po zajęciach praktycznych zostało ich tylko dwóch. Jednak Bałdor najbardziej cenił sobie właśnie tę ostatnią lekcję wyniesioną z murów Akademii. Była bezcenna. Wtedy stał się tym, kim jest. Tam wykuto w twarde, by nie powiedzieć opornym, tworzywie Sędziego Cesarstwa krynicę sprawiedliwości, ale i źródło niesprawiedliwości, w szerszym jednak wymiarze – jakże sprawiedliwej! Bo czyż niesprawiedliwe wyroki fundowane wrogom Cesarstwa Lechandryjskiego nie są jak najbardziej sprawiedliwe? I to właśnie te chybione wyroki, te zbyt pospieszne, zdecydowały o kształcie jego osobowości. Właściwie nie szło o same błędy, lecz o jego reakcje na nie. To był jakby ostatni test: Mistrz Winu poddawał ich ostatecznej obróbce – wycinaniu zbędnych obciążeń, które mogą pogrążyć cesarskiego Sędziego. Takich jak wyrzuty sumienia na przykład. „Bo czymże, u diabła, jest sumienie?!” – krzyczał Winu, a jego nieco piskliwy głos (powiadano, że tembr głosu zdecydował o przebiegu – akademickim – kariery Winu: czyż Sędzia może ferować wyroki śmierci piskliwie?) wciąż brzmiał w pamięci Bałdora. Czy kto kiedy widział sumienie? A może je wahał?

– Coś jednak musimy zrobić – kupiec Gorde, rzecz jasna ostrożnie, przerwał ciszę i zarazem wyrwał Bałdora z zamyślenia.

– Czyny to domena Sędziów – uciął Bałdor.

Nie uczynił żadnego gestu, a już wiedzieli: audyencja skończona. Pięńdzień, wyrosły jak spod ziemi, odprowadzał gości Cesarskiego Sędziego Bałdora pośród powszechnego milczenia cienistą drogą – ku wyjściu.

Ten Gorde, ten Gorde, myślał Sędzia. Ma rację, trzeba coś zrobić.

Trzeba coś zrobić z imię Gordem.

Miraj był już stary i czuł to coraz wyraźniej z każdym dniem. Jakby to dla niego właśnie czas zrobił wyjątek i płynął nieco szybciej. Nie czuł się dzięki temu uprzywilejowany. Mięśnie sztywniały mu coraz bardziej, coraz dotkliwiej odczuwał wszechogarniający, czy może raczej wszechdocierający chłód – nawet wówczas, gdy wcale nie było zimno. Tchnienie śmierci, myślał w takich chwilach. Tchnienie śmierci. Jakiś czas temu pochował żonę. Ale wołał o tym nie

myśleć.

Wracał do domu. Dom. I sen. Z jednej strony bał się snu, szczególnie tego jednego, tego specjalnego, tego, z którego się nie wybudzi; z drugiej – oczekiwał go. Sen to spokój. Ciepło.

Jak zwykle na bardeńskim niebie nie było widać gwiazd. Myślał o domu i o łożu, i o śnie, który jest zapowiedzią śmierci. I spokoju. Dziwne, ale takie myśli go uspokajały. „Dość już pożyłem” – mawiał często do siebie, bo nikt inny od dawna go nie słuchał. Noc była ciepła i duszna. Do czasu. Bo nagle coś się zmieniło.

– Dom... – szepnął i zobaczył parę dobywającą się z ust. Noc nie była już ciepła. Powietrze jakby rozrzedziło się nagle, natomiast ciemność odwrotnie – zgęstniała. Blask latarni ulicznych stał się odległy, trochę iluzoryczny. Światłość była rozdawana wyjątkowo oszczędnie tej nocy.

– Diable sprawki – mruknął Miraj i przyspieszył kroku. Tak właśnie określał wydarzenia, które w jego mniemaniu przeczyły zdrowemu rozsądkowi. Często tak gadał, ale nigdy tak bardzo nie zbliżył się do prawdy.

Epicentrum zarówno nagłego nocnego chłodu, jak i gęstniejącej gwałtownie ciemności znajdowało się niespełna trzydzieści kroków od Miraja. Zgęstnienie, niepojęty byt wycięty z ciemności uformował się na obraz i podobieństwo wysokiego człeka, choć jego związki z ludzkością musiały być luźne. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na Miraja – nie z nim miał tu sprawę.

Kałuże ściał mróz, nagły podmuch zimnego wiatru strącił kilka dachówek; okiennice załopotwały jak liście. W jednym z domostw tamtejsze muchy jęły pisać z gracją, po czym nagle opadły, zesztyniały w agonii, na ziemię, zaś ich czarne, obłe korpusy ułożyły się w wizerunek czarciego łba z obowiązkowym porożem oraz wysuniętym rozdwojonym jęzorem – co spłoszyło rezydujących tam mieszkańców. Wszystkie miejscowe koty zgromadziły się w jednym miejscu, tworząc milczący krąg. Wydawało się, że bezgłośnie trwa między nimi transmisja szczególnie doniosłych idei.

Tymczasem Cień jął węszyć z teatralnym nadmiarem – jakby pragnął zassać powietrze z okolicy.

– Czuję – szepnął. – Czuję cię. Zapaszek wcale, wcale. Nadałbyś się na podstawowy składnik pachnidła w moich stronach.

Odorek. Tak. Jesteś. Więc myślisz. Co myślisz? Dziel się, dziel się, dziel się. Ze mną.

Jego głos jest jak cień głosu. Pobrmiewa w nim coś na kształt bezkształtu, nie da się opisać tej barwy, tego tonu. Szelest sunącego po rozgrzanym piasku węża, osuwanie się lawiny żwiru, pająk tkający pajęczynę-arcydzieło, nie na muchy, zbyt na to subtelna. Na czarne dusze.

Głos zwodniczy – jak miauczenie kocicy w rui, jak udawana rozkosz dziewczki oczekującej dodatkowej opłaty za efekty dźwiękowe. Głos, który bardziej jest tymi wszystkimi onomatopiejami niż głosem. Głos bowiem okazał się dla tej stężonej Ciemności, owej kondensacji

Cienia, zbyt słabym środkiem wyrazu.

– Panie... – słaby dźwięk. Przez człeka chyba wydany. Zdradzony głos zdradzał słabość właściciela. Nie było go widać – schował się w cieniu. Przed Cieniem.

I znów szelest, szum zwodniczości, szmer ciekawości – wszystko w jednym, jedno we wszystkim.

– Twój pryncypał... pryncypał, pryncypał... piękne słowo, ślicznie brzmi, nieprawdaż? Ile to już lat, wierny sługo? Ile lat mu służysz? Spełniając każde życzenie, każdą zachciankę, odgadując myśli, nawet te skryte, podsuwając mu pomysły, świetne pomysły... A on nawet o tym nie wie. To musi być gorzkie. Ale nie martw się, będziesz nagrodzony. Twój odór będzie znakiem rozpoznawczym Piekła. Wszyscy piekielni słudzy, wszyscy skryci za kotarą cienia, wszyscy, powtarzam, będą ociekać tobą, mój miły. Częstka ciebie będzie w nas. Oto twoja chwała, oto blask ciemności. Tak. Dziel się, dziel się, dziel się... Dziel... nyś. Musisz być dzielny, o cieniu cienia zrodzonego tam, gdzie nie ma światła, a więc nie może być cienia.

Mowa nie może oddać wszystkich subtelności paradoksów, które są naszą naturą, prawda? Język ludzki, wszystkie języki świata to gra na jednej strunie topornego instrumentu. Instrumentu... Taaak, mój miły, wreszcie będziesz mógł zagrać z pełną mocą, wszystko, co kłębi się w twym symfonicznym umyśle, będzie rozbrzmiewać z piekielnym nadmiarem... Ale wracając do rzeczy... Tacy jak my niosą światło ciemności. Rozum rodzący ignorancję. Musisz być dzielny. Tyle chcę wyrazić, a muszę mówić. Twój pryncypał... pryncypał, pryncypał. On nie może wiedzieć. Idee, nasze idee, musi brać za swoje. Czas na podjęcie kroków, cieniu cienia. Czas na działanie. Musimy powstrzymać tego pustego głupca. Mało tego, musimy go wykorzystać... I pomyśleć, że jest moim dziełem... udał mi się aż za bardzo... Nie jesteś jedynym moim narzędziem w tej rozgrywce, mój przyjacielu. Ale jesteś ważny, bardzo ważny. Pamiętaj, cała pula, wszystkie dusze, wszyscy buntownicy mogą być nasi. Oto spodziewany triumf naszej przebiegłości. A może wynik konieczności? Każda rewolucja kończy się piekłem. Słuchaj uważnie, Piędzien...

– Kim jesteś? – pytał Rozenkrontz po raz setny.

Byli z dziewczynką sami w gospodzie nazywanej Rym. Gospodarz krzątał się leniwie po zapleczu, Pelijoza i Dolsilwa rozpełzli się po mieście w poszukiwaniu znaku klepsydry.

– Kim jesteś?! Masz imię?! Skąd pochodzisz?! – podnosił wprawdzie głos, ale do pewnego momentu. Baczył, by nie przekroczyć miary. Choć po prawdzie nie wiedział, gdzie przebiega granica. Jak trzeba krzyknąć na małą, by wybić ją z tego odrętwienia, a zarazem nie przestraszyć. Musisz mieć dzieci, by wiedzieć takie rzeczy, pomyślał Rozenkrontz.

– Kim byli twoi rodzice? Pamiętasz ich? Pamiętasz cokolwiek? Cokolwiek?

Rozenkrontz pochylił się nad małą. Wziął jej dłoń w ręce. Była zimna. Śmiertelnie zimna.

– Jesteś Kikuru? Nazywają cię Sithfus? To twoje miano?

A twe rodzinne koligacje? Strzygi? Upiory? Bazyliuszki? Po co tu przyszedłeś? Po mnie? To mnie masz o czymś przypomnieć? Nie musisz. Ja nie zapomniałem, mała. Nie zapomniałem. Dlaczego nic nie mówisz?

Rozenkrontz jął się przechadzać. Tam i z powrotem. W tę i we w tę.

– Kim był ten wojownik? Ten na rynku. Bez uszu, białe włosy. Dlaczego tak się bał? To jemu miałaś się pokazać? Więc koniec. Zadanie spełnione. Rozpłynął się w tym stęchłym powietrzu, dziewczyno!

Gospodarz, który akurat wszedł do izby i usłyszał ostatnie słowa, ziewnął leniwie i mruknął:

– Białe włosy? Bez uszu? Toć to Kwaidan.

Ale Rozenkrontz go nie słyszał. Spojrzał w oczy dziewczynce i znów ujrzał smutek głęboki jak morze. I nagle, jak to często bywa, w jednym momencie, nie wiedząc czemu akurat teraz, wiele rzeczy zrozumiał. Nie wszystkie wprawdzie, ale i tak było ich sporo.

Pojął, że ta dziewczynka, która nie jest dziewczynką, pojawiła się tu nie z własnej woli. I że nie on, nie Rozenkrontz jest jej celem. I że przy całej jej nierzeczywistości, przy całej potworności, nieludzkiej aurze, obojętności, braku wad i zalet, czyli tego wszystkiego, co czyni nas ludźmi, owa dziewczynka, która nie jest dziewczynką, jest właśnie dziewczynką! Zaplątał się w tym wszystkim, lecz wiedział, że tak jest. Ze awatar, być może bez wiedzy sił, które powołały go do istnienia, a może i za ich wiedzą, zachował pamięć tego, kim był kiedyś. Może była to pamięć ciała, a nie duszy? Może pamięć zaklęta była w kształcie, w który ją przyobleczono? Ale ona gdzieś była. Smutek w jej oczach. Ból.

I Rozenkrontz wiedział, wiedział od dawna, ale teraz ta wiedza była jak smród gnijącej rany. Wiedział mianowicie, że ból jednej dziewczynki czy jednego chłopca nie znajduje swego ekwiwalentu w ekonomii świata. Że coś tu jest nie tak.

– Trzeba wyrównać rachunki – powiedział cicho.

Na trop klepsydr poeta wpadł przypadkiem. Ot, wzrok wędrował tropem krągłych piersi pewnej dziewczki i natrafił – na dwie klepsydry wykute na ścianie jakiegoś domostwa. Wnet jął rozprawiać ostrożnie z miejscowymi o upływach czasu, przemijaniu oraz trudnej sztuce płaskorzeźby, która czas zestala w twardych materiałach – o wszystkim, co odlegle przypominało klepsydry, jeno nie o klepsydrach samych. Szybko jednak zrozumiał, że niczego nie wiedzą. Kręcił się zatem po okolicy, co jakiś czas natrafiając na nowe rzeźby – zawsze dwie klepsydry, co ciekawe jednak, zwichrowane, poprzecyłane pod różnymi kątami. Wtedy nieoczekiwanie odkrył nową cechę swego charakteru – zamiłowanie do porządku. Cecha odezwała się nagle, właściwie była jak erupcja wulkanu – zapanować nad chaosem! Natychmiast podjął próbę naprostowania odchyłeń – klepsydry jednak ustalone były w swych pozycjach. Wnet Dolsilwa

zrozumiał, że stopień oraz kierunek nachylenia klepsydr nie musiał być przypadkowy; wręcz mógł być wskazówką, jał kierować się znakami: nachylenie w prawo – Dolsilwa w tę stronę; w lewo – i on w lewo. Pojął wreszcie prawidłowość: kolejne klepsydry były nachylone pod coraz większym kątem. Poeta domyślał się, że znajdzie się u celu wtedy, gdy będą w poziomie..

Wreszcie dotarł do Zaułku Cudów, który doprawdy wydawał się nie mieć w sobie żadnych oznak cudowności. Tam właśnie je odnalazł. Dwie poziomo rozmieszczone klepsydry na bramie wiodącej nie wiadomo dokąd. Podszedł i naparł na wrota, nawet nie drgnęły. Dotknął jednej z klepsydr i ze zdumieniem spostrzegł, że te jednak są ruchome. Szyfr? Słyszał o takich cudach wykonywanych przez honghijskich rzemieślników, o mechanizmach sporządzonych z urągającą Bogu dokładnością. Jał z zapamiętaniem manipulować klepsydrami. Nie wiedział, że jest obserwowany...

Enrew i Pustak obwąchiwali się jak psy. Ich wzajemne uprzejmości przypominały merdanie ogonem przed wzajemnym rzuceniem się do gardeł. Nawet Pelijoza, człek wszak raczej niepodległy wpływom tak zwanej moralności, przyglądał się ich podchodom z niechęcią. Uśmiechnięte potwory (czy Pustak w ogóle się uśmiecha?), pająki miłe dla ciem, które wpadły w ich sidła.

Zaiste, ich relacje trzeba nazwać skomplikowanymi. Każdy miał swoje cele ukryte; do pewnego stopnia były tożsame – obaj pragnęli wzajem się zniszczyć, choć na nieco odmienne sposoby. Enrew był narzędziem mordy, a Pustak o tym wiedział; podejrzewał również, kto za nim stoi. Z kolei Enrew wiedział, że Pustak wie. Istna pajęczyna wzajemności. Podziemny potwór, pan katakumb nie mógł jednak tak po prostu zabić młodzieńca, bo ten był mu niezbędny; z tego powodu dopuścił go do siebie.

W jakimś sensie czuli pewną wspólnotę, niejasne pokrewieństwo, może chodziło o to, że czerpali z podobnego źródła, z pustki. Byli jak wydrążone kadłuby, jak wypatroszone ryby. Pustak nazywał ten rodzaj wspólności „dusz równoległością”. Ich dialog tylko pogłębiał zrozumienie. Często rozmawiali. Pelijoza, zniecierpliwiony przedłużającymi się wymianami zdań pobrzmiwających głucho w ciemności, coraz częściej opuszczał katakumby, by współuczestniczyć w „werbunku”, jak ironicznie nazywał mordowanie kolejnych ofiar, a zarazem mnożenie poddanych Pustaka.

Tymczasem Pan Podziemi coraz bardziej upewniał się co do tego, że jego wybór był trafny. Enrew uznał Pustaka za etap w niezbędnej mu edukacji; tym bardziej, że znał jego tajemnicę, ukrytą tak świetnie, że zapomnianą. Wiedział o nim więcej niż ktokolwiek, niż sam Pan Podziemi. Potwór natomiast pragnął wydrążyć, do cna spustoszyć chłopca, który poddawał się tym wychowawczym procesom bez sprzeciwu. Do czasu.

Chłopiec pragnął ujrzeć oblicze Pustaka; ten jednak strzegł swej tajemnicy. Tym

nieustannym zmaganiom sekundowała szemrząca nadobecność ożywionych trupów. Towarzyszyli Pustakowi, otaczali go, tworzyli kokon, z którego miał wedle emfaticznej przepowiedni Wypatroszonego „narodzić się motyl wszechmożności”. Fraza ta dała wiele do myślenia Enrewowi; pojął, że jest uczestnikiem wyścigu, że jego edukacja za szybko przebiega, a ostatni egzamin równoznaczny będzie ze śmiercią. Od tej pory jął częściej wdawać się w polemiki, stawał okoniem, sprzeciwiał się.

Któregoś dnia, który mógł być nocą, rozmawiali o rewolucji.

– Świat się zmieni, to niewątpliwe – mówił Enrew, próbując daremnie przebić wzrokiem mrok. Za każdym razem, gdy za bardzo zbliżał się do Pustaka, napotykał bierną, lecz nieustępliwą barierę złożoną z zimnych cielsk i słodkomdłego obezwładnienia zmysłów. – Ale czy na lepsze? Możesz zagwarantować poprawę? Odciąć się od przeszłych klęsk, od pamięci?

– Nie pojmujesz, chłopcze? Właśnie o to chodzi, że przeszłość nie ma żadnego znaczenia. Żadnego. Do tej pory reformatorzy oferowali reformowanym coś, co realnie bodaj nie istnieje, a co nazwano wolnością. Czym jest wolność? Wolność jest brakiem. Pragnieniem. Niejasnym, niesprecyzowanym. Jest zawsze czymś innym od tego, co się ma. Jest dążeniem, procesem, który nie ma końca. To się nie mogło udać. Zawsze pojawia się tęsknota – za tym, co było, albo za tym, co będzie. Wolność jest właśnie tęsknotą. Ja daję moim Obojętnym Duszom co innego. Daję im stałość, trwałość, pewność. Nie oznacza to żadnych wspaniałości, ani błogostanów. Oni tego nie potrzebują. Przeszli przez cierpienia niewyobrażalne, może i zasłużone, nie będę ich sądził. Oni wyszli z niewysławialnej opresji, z gówna, Enrew. Z morza, oceanu gówna, które ich dławiło. I ja... tak ja, Pustak, potwór, przestwór obojętności i pustki... ja, miły Enrewie, oferuję im, a i tobie również, błoto zamiast gówna. Moja rewolucja to zamiana gówna na błoto, rozumiesz? Gówno – błoto. Błoto – gówno. Oferuję im nie sen, lecz twardą, a może bagnistą, rzeczywistość. Dla nich to i tak raj. Oto idealne paliwo rewolucji – poniżeni tak, że nie chcą wzniosłości. Będę rzeźbił w tym błocie, Enrew, utwardzał je. I wykonam w nim pomnik tej epoki tak trwały, tak mocny, że przetrwa wieki.

Gdy o tym mówił, Enrewowi wydawało się przez moment, że w głosie Pustaka pobrzmiwa jednak jakiś cień emocji, ale to musiało być złudzenie.

– Zachęcająca perspektywa... – mruknął Enrew. Nie usłyszał jednak odpowiedzi Pustaka. Dalekie, lecz nader szybko zbliżające się odgłosy awantury. Ktoś protestował, kto inny stanowczo uspokajał tego pierwszego. To Pelijoza powracał z „werbunku”. Nie sam tym razem.

Zabłyśły pochodnie – efekt niewypowiedzianego rozkazu Pustaka. Morderca krzepko dzierżył za kołnierz wijącego się człeka podłej dość postury.

– Mamy szpiega – rzekł Pelijoza. – Zwerbować go, panie?

– Jaki tam ze mnie szpieg! – skamlał nieproszony gość. – Jam Dolsilwa, znany poeta, bard, artystyczna dusza, oczajdusza, hulaka, no i... podróżnik. Stąd me zainteresowania. Chciałem

zwiedzić katakumby po to, by napęcić duszę czarną melancholią, wpaść niczym śliwka w kompot w odpowiedni nastrój, by stworzyć liryczne a tragiczne widowisko w trzech aktach...

– Poeta... – rzekł Pustak.

Dolsilwa aż zadrżał. Cóż to za głos, bez załamania, chryp, drżenia. Bez niczego.

– Widowisko...

Obaj, Enrew i Pustak, w tym samym momencie wpadli na podobny pomysł.

Oto Pieńdzień, którego cienistość nie zna granic. Dyskrecja doprowadzona niemal do niewidzialności. Idealnie wtapia się w otoczenie, stając się nim. Historia jego życia musi być ciekawa, nikt jej jednak nigdy nie usłyszy – z powodu legendarnej dyskrecji Pieńdzienia, rzecz jasna. Gdybyż milczenie rzeczywiście było złotem, Pieńdzień mógłby handlować nocnikami. Gdyby skromność była w cenie, Pieńdzień byłby wykuty w diamencie. Jedna – poza przestrzeganiem oczywistych powinności względem swego pryncypała – namiętność go jeszcze porusza: uwielbia grać na organach. I ta właśnie artystyczna czynność bodaj najlepiej oddaje sprzeczności jego ducha – nie da się bowiem zagrać na tym akurat instrumencie z całkowitą dyskrecją. Pieńdzień zatem pragnie do bólu grać, lecz tego nigdy nie czyni. Obezwładniająca ochota na emanację muzyki rozrywa mu duszę na strzępy. Może nie zostałby zauważony, lecz z pewnością zostałby usłyszany. Stąd w chwilach szczególnej nerwowości Pieńdzień porusza palcami, jakby grał, jakby przeformowywał otulającą go wieczyste ciszę w dźwięki nieśmiertelnej muzyki. W jego umyśle kiełkują symfonie, bujnie rozkwitają fugi – jakby zapanowała tam Wiosna Muzyki.

Sędzia Bałdor nic nie wie o namiętności Pieńdzienia; gdyby wiedział – zdumiałby się. Sędzia żywi bowiem złudzenie, że wie o swym słudze wszystko. W istocie jest raczej odwrotnie.

Bałdor i Pieńdzień. W relacjach między istniejącą realnie rzeczą i jej cieniem jest coś paradoksalnego. Cień jest zarazem odbiciem, odrysowaniem rzeczy i jej zaprzeczeniem. Tak też było z Pieńdzieniem i jego panem.

Bałdor wydał szybkie dyspozycje; mówił monosylabami, warknięciami – właściwie wypracowali sobie własny kod, język, nikt nie pojąłby ich dialogów. Pieńdzień nie potwierdza ani nie zaprzecza, jeno znika, rozpływa się – już jest w drodze. Idealny wykonawca misji niemożliwych.

Sunął ulicami miasta płynnie jak dym, jak opar mgły. Wszystko wokół wydaje się odrealnione, niczym ze snu. Pewien filozof rzekł, iż świat może (choć nie musi – zaraz zastrzegł) być snem. Barden jako sen obywateli miasta? Wizja wspólna, uzgodniona, uśredniona? Jak można zgadniać sny?

Wreszcie jest na miejscu. Ulica Czerwonej Komety, opasłe, jakby opuchłe budynki o elewacjach utrzymanych w różnych odcieniach czerwieni; architektoniczne dzieło wieńczy

Czerwony Pałac – ogromna budowla strzelająca w niebo iglicą ostrą jak sztylet. Ulicę ufundował ongiś Gorde, handlarz bronią. Uczynił to, by upamiętnić Rok Komety, jeden z najgorszych w historii miasta, gdy zaraza nawiedziła mieszkańców. Wszyscy przeklinali ten rok, a Gorde właśnie wtedy się wzbogacił. Im więcej ludzi umierało, tym więcej złota kupiec zwoził do miasta. Nie bogacił się ich kosztem, ale tak właśnie to wyglądało – jakby ceną za prosperitę w handlu bronią była prosperita w handlu duszami. Niektórzy przebąkiwali, że Gorde zawarł Pakt Diabli, nikt tego jednak głośno nie powiedział. Ale Pieńdzień wiedział skądinąd, że takiego paktu nigdy nie było.

Jednym spojrzeniem oszacował strażę i inne możliwe komplikacje. W trudnej sztuce niejasnych forteli, ciemnych zagrywek, skradanek był bodaj lepszy od Pelijozy. Tamten posiadał zwodnicze i skrytobójcze umiejętności na drodze morderczych treningów, ten zaś talent miał naturalny i absolutny. Jednak tym razem lustracja nie dała żadnych rezultatów – nie ma straży, nie ma pułapek, droga wolna. Gdyby były jakieś fortele, nawet wyrafinowane, pułapki w pułapkach, niezawodne zwodniczości, wiedziałby o tym. O tak. Wiedziałyby. Dlatego też nie ruszył od razu – brak pułapek w takim miejscu: oto prawdziwa pułapka.

Pieńdzień przemykał korytarzami zamku, komnatami obwieszonymi portretami fałszywych przodków gospodarza. Wszędy aż kapie od śmiercionośności – miecze, misterne topory z dziwacznymi krzywiznami ostrzy, maczugi ze złotymi ćwiekami poupychane po kątach. Wszystko zasię skąpane we wszechobecnej czerwieni – to barwa słynnej komety; również krwi, rzecz jasna. I nigdzie żywej duszy. Dlaczego?

Skąd Pieńdzień wiedział, gdzie się kierować? To proste – wiódł go zapach, duszący, ciężki, istna mieszanina obficie wydzielanego potu i pachnideł, pełniących trudną, bo niewykonalną rolę bariery dla woni obłego cielska Gordego.

Smród nasila się, za chwilę stanie się ciałem, Pieńdzień wie – to już zaraz, teraz, tuż, tuż. I nagle wrota za jego plecami zamykają się z trzaskiem. Od razu wie: wpadł w pułapkę – stąd nie ma wyjścia.

– Pewnie dziwisz się, że nie ma straży, co?

Pieńdzień jest zdumiony, zaskoczony, zdruzgotany. Jak mógł go nie dostrzec, nie przewidzieć. Jak?

– Wiedziałem, że Bałdor będzie chciał mnie zabić. Jestem już chyba na jego liście, prawda? Gdzie on jest? Gdzie jest?

– Liście Kowenora – słaby głos Pieńdzienia. Chce zyskać na czasie.

– Kowenora. Tak, Kowenora. To dobre narzędzie. Można wycinać do woli, szczególnie tych niewygodnych, dolegliwych. Nie wystawiłem straży. Gdyby Sędzia przysłał regiment wojowników cesarskich, strażę na nic by się zdały. Skrytobójcę mogę natomiast spróbować powstrzymać sam. Nie pocę się aż tak obficie, jeśli nie muszę. Zapach zwiódł cię, przyjacielu.

Jak motylka.

– Nie przyszedłem cię zabić, panie.

– O? – zdziwienie, lecz umiarkowane. Iluż takich nieboraków Gorde musiał wysłuchiwać, ile pokretnych tłumaczeń raziło jego J umysł. Ale nie tym razem. Tym razem było inaczej. – Zatem Cesarski Sędzia, imię Bałdor, godła, wstyd się przyznać, Bławatek (swoją drogą, jakże imponująca kariera!), nie pragnie mej śmierci? I nie po to przysłał tu ciebie, byś raczył niechętnie skrócić me męki? Chyba straciłem mój podstawowy zmysł. Ja handluję śmiercią, przyjacielu. I wyczuwam jej przejawy – w głosie, w spojrzeniach. Bałdor nie widzi mnie już pośród żywych. Może pragnie być moim biografem – i dopisać mi do życiorysu finał.

– Bałdor kazał mi cię zabić, to prawda. – Pieńdzień wciąż przyczajony do skoku; jakie pułapki czyhają w tym pomieszczeniu, owej śmierdzącej komnacie? Cały czas kołacze mu się we łbie – nie doceniliśmy tego kupczyka, ani ja, ani Bałdor, ani nawet mój Pan, – Ale nie po to tu przyszedłem.

– O? To moje drugie „o” tego dnia. Zwykle przytrafia mi się jedno na dekadę. Rozluźnij się, przyjacielu, nie ma tu żadnych pułapek poza jedną. Robi się duszno, czujesz? Więc już wiesz, co cię czeka. Poznałem ten sposób podczas roboczej wizyty w jednej z prowincji Imperium Hongh. Prawdziwy postęp – wyprzedzili) nas w sposobach zadawania śmierci o całe stulecia. Otóż prowadzą tam pewne... eksperymenta na niewolnikach. Okazuje się, że jak się dobrze uszczelni pomieszczenie, zasoby powietrza są ograniczone. Z powietrzem jest jak z wodą – zajmuje przestrzeń, jest zużywane. To potrwa, rzecz jasna. Nie spieszy nam się. Zatem sprzeniewierzyłeś się swemu panu? Dlaczego to?

Coś dziwnego działo się z Pieńdzieniem; nawet Gorde dostrzegł to przez swój sekretny wizjer. Coś jęło go wypełniać, jakby do tej pory był kukiełką, skorupą pozbawioną jakiegokolwiek treści. Jakby nagle stał się kimś innym. W ogóle – kimś.

– Może dlatego, że nie jest moim panem. Oferuję ci głowę Bałdora.

Nawet mówi inaczej, pomyślał Gorde. I po raz pierwszy jął traktować z powagą słowa swego spodziewanego gościa. Uwierzył mu – i to go niemal zdruzgotało, ponieważ uważał zasoby własnej niewiary za trudne do oszacowania.

– Głowę Bałdora? W jaki sposób? Dlaczego mam ci ufać? I kim jesteś? Kim naprawdę jesteś?

– Masz inne wyjście? Jeśli ja cię nie zabiję, a wszystko wskazuje na to, że nie, uczynią to cesarscy siepacze. Kim jestem? Zapytaj raczej, kim nie jestem...

– Hm... – mruknął Gorde.

To jego pierwsze „hm” tego dnia.

W tym samym czasie w gospodzie „Rym” Rozenkrontz nie mógł znaleźć ukojenia we śnie.

Błąkał się po izbie, to pił wodę, to wyglądał niespokojnie przez okno. Selijon też nie spał. Dziewczynka nie spała z samej natury rzeczy. Dolsilwy nie było. Dotąd nie powrócił.

– Niepokoisz się o niego? – zapytał Selijon.

– W innych okolicznościach pomyślałbym, że zabarłozyl z jakąś dziewczką. Albo gra w kości.

– W innych okolicznościach?

– W innych.

Z dołu doszło łomotanie do drzwi. Zaspany, gniewny głos gospodarza. Obaj zamarli – Dolsilwa?

– Nie otwieraj! – ryknął Selijon, jakby tknięty nagłym przecuciem. Ale było za późno. Krzyk gospodarza, urwany w połowie. Kobięce głosy – to żona i córki. Ich płacz, nagle ucięty. Jakby ktoś gilotynował gwar. Kolekcjonerzy ciszy.

– Co się dzie...

– Zarygluj drzwi! – przerwał Rozenkrontzowi Selijon. – Mamy gości.

Przez jakiś czas siedzieli, nasłuchując. Coś było nie tak. Szmary, jakby coś (co, u licha?) sunęło po nierównej nawierzchni. Szepty, jednostajne. Chór powtarzający szeptem litanie, pomyślał Rozenkrontz. Nagle ktoś napał na drzwi. Zrozumieli, że długo nie wytrzymają.

– Oknem – szepnął Rozenkrontz – dachami...

Rozenkrontz, który umykał ostatni, dostrzegł jeszcze pękające rygle i wlewającą się do izby czeredę żywych trupów. Przyszło mu na myśl, że są jak żywioł podległy prawom natury. A od wyroków natury nie ma apelacji, nie ma sędziowskich kaprysów. Zachowywali się jak ciecz wlewana do kubka – wypełniali szczelnie każdy kąt pomieszczenia, każdą piędź powierzchni możliwej do zajęcia – by wyprzeć wszystko, co nie było nimi.

Obserwował Selijona, jak ten skacze po dachach z kocią zręcznością mimo mamuciej postury, jeszcze trzymając w ramionach dziewczynkę. Skąd wiedział, że nie wolno otwierać drzwi tym nocnym markom? Nagłe przecucie? I kim był właściwie?

Patrzyli ze zgrozą, jak trupy usiłują im deptać po piętach, jak gramolą się niezgrabnie na dach, jak zsuwają się bezradnie, spadają. Po czym poobijani, a nawet połamani, zbierają się, by wciąż przeć naprzód i pochłaniać, pochłaniać, pochłaniać.

– Co teraz? – zapytał Selijon, gdy już byli bezpieczni.

– Mam pewną myśl.

Kupiec Gorde kroczył ciężko przez wymarłe ulice. Kto nie opuścił miasta, ten zaszył się po strychach, piwnicach, lochach – jak szczur. Krewni przypominali sobie nagle o stopniach zażyłości i gromadzili się razem – im liczniejsza grupa, tym trudniej ją „zwerbować”.

Gorde tymczasem nie spieszył się, nie czuł również strachu. Szedł powoli; niektórzy mogliby nazwać jego sposób poruszania się ociężałym, inni – statecznym. Lata temu zawarł pakt ze

śmiercią – traktował ją tak, jak na to zasługiwała; ot, kolejne wydarzenie, część bytu, niezbywalna. Żył ze śmierci. I z tego powodu wydarzenia ostatnich dni nie przypadły mu do gustu. To, iż gwałciły naturalny porządek świata, niewiele go obeszło; gorzej, że mogły mieć przemożny wpływ na jego interesy. Jak tu zabijać w tych jakże śmierci niesprzyjających warunkach? Trzeba by wymyślić jakieś nowe rodzaje broni, uniemożliwiające zmartwychwstania z powodów obiektywnych albo choć estetycznych. Nadto nie wyobrażał sobie siebie w roli śliniącego się, ożywionego niepotrzebnie wraka. Lepiej gnić z nieodzowną dla tegoż procesu dyskrecją.

Zajazd Lechandryjski zaiste wyglądał na opustoszały – i na ową pustkę właśnie opiewała umowa z Piędzieniem. Jako głos Sędziego, przedłużenie jego karzącej ręki oraz drgających od sprawiedliwości strun głosowych, miał porozsyłać strażę ku nieistotnym przeznaczeniom – i pozostawić swego pana (który jakoby nie był jego panem; kto był zatem? – uporczywa myśl) bez opieki.

Jedyną rzeczą, która w najbliższej okolicy zdawała się mieć w sobie jakieś pozory życia, była – falująca w podmuchach pieszczącego ją rutynowo wiatru – flaga z godłem cesarskim: Kobieta Bez Włosów Łonowych. W tej wersji cesarska Matrona wyglądała na bardzo zmęczoną życiem.

Gorde zatem wszedł do środka. Rewizyta – kołatało mu się we łbie. Rewizyta. Zgrzebny wystrój wewnątrz, jakieś portrety; mężowie o surowych wejrzeniach – jakby ich pragnieniem był bezustanny wgląd w sumienia bliźnich. Zapewne cesarscy Sędziowie. Gorde nie zaprzętał sobie nimi głowy. Wreszcie. Wkroczył do komnaty sędziowskiej.

Bałdora akurat nie było, lecz kupiec wyczuł aurę jego niedawnej tu obecności. Pochylił się nad woluminami zalegającymi stół. Przerzucał szpargały opatrzone godłem klepsydry pozbawionej piasku. Wreszcie znalazł – lista Kowenora. Studiował zapisy z ciasnym uśmiechem na zasznurowanych ustach – wiele z tych nazwisk było mu znanych.

W takiej właśnie pozie, pochylonego nad listą pośród porozrzucanych ksiąg, które były białymi krukami, zastał go wracający z wonnych kąpieli Bałdor.

– Imć Gorde... – rzekł na powitanie, dyskretnie pociągając za zamaskowany sznur, który uruchamiał dzwonek w izbie na dole. – Mogłem się domyślić, sądząc po... odorze.

– Sędzia Bałdor. Pouczająca lektura.

– Prawda? Szukałeś pod literą „g”, kupcze?

– Zgadzam się. Lista wymaga pewnych korekt. Poprawek.

– Nie wiem, o czym mówisz. Lista jest kompletna. – Kiedy to mówił, gorączkowo się zastanawiał – gdzie są strażę?

– Właściwie należałoby dokonać jednej, za to poważnej – Gorde wypowiedział te słowa bardzo powoli. Pochylił listę nad płomieniem świecy i czekał, aż papier się zajmie.

– Odtworzenie tego nie zajmie mi dużo czasu. Wszystko jest tutaj. – Sędzia wskazał na swą

głowę. – Nie umiemy jeszcze palić świadomości...

– Wiem, Sędzio. Kiedy gadałem o poprawce, właśnie to miałem na myśli. Bo widzisz, świat trzeba poprawiać...

Powoli zbliżył się do Bałdora; ten nawet nie próbował uciekać.

Kiedy objął Sędziego, wydawać by się mogło, że jest w tym uścisku jowialna serdeczność. Swój chłop, swój chłop, przemknęło jeszcze Bałdorowi przez myśl, wiedział jednak, że to mylne wrażenie. A już po chwili odległy był od jakichkolwiek wrażeń.

Rozenkrontz, Selijon i dziewczynka, która nie będąc dziewczynką, nią właśnie była, minęli się z kupcem dosłownie „o włos”. W momencie, gdy ten poprawiał rzeczywistość na piętze, oni – zdumieni brakiem straży wokół Zajazdu Lechandryjskiego – wizytowali sędziowskie kazamaty. Plan Rozenkrontza nie był zbyt skomplikowany – pragnął uwolnić żywe trupy z klatek, te zaś miały ich doprowadzić do siedziby Pustaka. Liczył na instynktowny pęd ku pustocie owych nieistotnych istot, na ich ślełą nieomyślność. Trzeba jeszcze było nakłonić do planu Bałdora; ostatecznie wydarzenia powinny, choć nie musiały, przekonać cesarskiego Sędziego do współpracy.

W chwilę później Rozenkrontz przekonał się, że zgoda Bałdora nie zda się tu na wiele. Przez jakiś czas wpatrywał się w trupa, którego kręgi szyjne przemieszczone były o niemal 90 stopni. Pechowy zajazd, przemknęło mu przez myśl. Przypomnił sobie Kowenora, który – w podobnych okolicznościach – dokonał tu żywota. Pechowy zajazd dla cesarskich probierzy sprawiedliwości. Zlustrował miejsce zbrodni, bardziej z nawyku niż jakiegoś innego, racjonalnego powodu. Rychło spostrzegł popioły po wiadomej liście. Nie namyślając się długo, jął palić pozostałe woluminy.

Jakiś czas potem uwolnili trupy i ruszyli ich śladem.

Pustak i Enrew nagle zapłonęli niesłychanym entuzjazmem do sztuki – każdy z innego powodu. Natychmiast zaprzęgnięto Dolsilwę do pracy; inscenizacja miała być krótka, temat ustalał Enrew. Pustak liczył, że będzie to ostateczny etap edukacji młodzieńca – praca nad sztuką zmieni go. Sam zamierzał wystąpić w roli (ówcześnie nieznaney) krytyka – wymowa dramatu, jego kształt sceniczny, miały Pustaka upewnić, czy drażnienie Enrewa jest zakończone, a podobieństwo ich dusz – rzeczywiście tak niezwykle, jak mu się zdawało. Wówczas, rzecz jasna, przejmie korpus młodego człowieka, zasiedli go swą wędrowną duszą. Bez bolesnych nieporozumień, które miały miejsce podczas masowych wcieleń. W tym bowiem wypadku równoległość będzie zbliżona do doskonałości, matematycznej, geometrycznej doskonałości; oto dwie idealnie proste linie biegnące zgodnie obok siebie ku nieskończoności, która jest pustką.

Dolsilwa stosował zrazu metodę artystycznej dywersji – mnożył problemy, grymasił; miał świadomość, że jego życie potrwa do premiery, więc z oczywistego powodu pragnął ją odwlec.

Rychło jednak historia sugestywnie kreślona przez Enrewa (ma mały talent, pomyślał poeta z uznaniem) wciągnęła artystę, pochłoneła. Wrażenie potęgowała powszechna ciemność lochów, wszechobecna nieobecna obecność ożywionych truposzy oraz głos, który powinien być milczeniem. Dość szybko skreślili zarys dramatu, ale wnet pojawiły się kłopoty natury inscenizacyjnej. Ciemność można było rozjaśnić pochodniami, scenerię zaimprovizować; gorzej z obsadą. Peljoza nie zgodził się, nawet za górę złotych nocników, wystąpić w roli kobiecej; wreszcie w ogóle z niego zrezygnowali. Postanowili do roli przysposobić jedną z ożywionych – przed śmiercią musiała być piękna jak wiecznie kwitnący kwiat, łagodne rysy twarzy (teraz żłobionej niestety na nowo; lecz jeszcze nie oszpeconej do cna), włosy jak len, oczy ciemne, które mogły – przed zejściem – kryć skutecznie odwieczną tajemnicę kobiecej mądrości. Cóż jednak z tego zostało? Krwawa dziura na piersi (Peljoza fachowo oszacował wielkość sztyletu), pokraczny chód, geometrycznie niemożliwe zakrzywienie pięknej ongiś figury. I bełkot. Ciągły bełkot.

Wówczas Enrew wpadł na koncept rewolucyjny – by nikość środków możliwych do użycia przekuć na atut przedstawienia. By zagrać ciemnością, aktorską niemocą, obrzydłym pięknem martwej dziewczki i... milczeniem. Rozgorzał artystyczny spór – Dolsilwa za nic nie chciał rozstać się z dialogiem, upajał się własną frazą; nie można wszak dobrowolnie rezygnować z jednego z cudów świata. „Pantomima to trąd teatru!”, krzyczał. Wygrażał, krążył pośród ciemności. Słowa odpadają niczym dotknięte chorobą części ciała i co w końcu zostaje? – zawieszony dramatycznie pytanie. Pustka. Nic.

Kiedy to już wykrzyczał, pojawił, że o to wszak idzie temu gołowąsowi, co miał mleko pod nosem; niewątpliwemu, niestety, geniuszowi. O to, by pozostała pustka. Pusta sceneria, pustka aktorów, pustota widzów – pusty, samowymazujący się przekaz pośród ciemności i śmiertelnej ciszy: oto ideał!

Nie mieli zbyt wiele czasu na próby. Enrew nalegał, by Pustak obejrzał sztukę dopiero w momencie premiery; ten chętnie na to przystał.

I tak po dwóch pracowicie spędzonych dniach sztuka była gotowa. Dolsilwa nie wiedział – noc to czy dzień, a jeśli dzień nawet, to przecie czarny. Cały czas pracował, poświęcając na wypoczynek chwile snu, który też okazywał się pracą. Jego umysł tak bezgranicznie poświęcony był artystycznej robocie, iż sny nawet okazywały się inscenizacyjnym roztrząsaniem; rozstrzygane tam były kwestie detaliczne – jakiś fragment aktorskiego stroju urastał do rangi prześladowczego koszmaru.

Scena była uboga – tworzył ją krąg chybotliwego światła rzucanego przez kapryśne pochodnie. Dzierżyli je truposze, stąd naturalną chybotliwość ognia potęgowała niestabilność „podstaw”. Aktorów było troje – rolę kobiecą objęła piękna „martwica”, jak ją określał sarkastycznie Dolsilwa. Trudności kobiety z opanowaniem roli nazywał poeta „złośliwością

przedmiotów martwych” (powiedzenie to miało wkrótce zrobić karierę). Dolsilwa i Enrew występowali w wielu rolach, umownie zmieniając charakterystykę i stroje, pstrokate, sklecone z byle czego.

Sztukę oglądali Pustak i czający się gdzieś w ciemnościach Pelijoza. Wkrótce widzów miało być więcej. Tymczasem rozpoczął się planowany „odpływ” ożywionych trupów – kolejna część „werbunku”. Zostały jeno te dzierzące pochodnie.

Właśnie ów „odpływ” zaobserwowali Rozenkrontz, Selijon i towarzysząca im dziewczynka, tyle, że dla nich „odpływ” był „przyptywem”. Gdy podążając tropem uwolnionych egzemplarzy eksperymentalnych, dotarli do wrót opatrzonych pustymi klepsydrami, z podziemi wylał się strumień pokraczności, obrzydliwości, martwoty, któremu wiernie towarzyszył powszechnie już rozpoznawalny odór. Rozenkrontz poczuł mdłości, Selijon natomiast, choć trudno w to uwierzyć, wahał w skupieniu – jakby każdy zapach był dlań doznaniem niepowtarzalnym, godnym zapamiętania, sklasyfikowania. Ukryli się we wnęce pobliskiego budynku i czekali końca martwego pochodu.

- Jeśli nic nie uczynimy, wkrótce zaleją świat – szepnął Selijon.
- Już – rzekł Rozenkrontz. – Wchodzimy.

Tymczasem przedstawienie właśnie się zaczęło. Początek zapowiadał sielanekę – oto para zakochanych (Enrew i „Martwica”) żyje w powszechnym dostatku. Enrew jest księciem albo kimś równie znacznym; poddani (wszystkich kreuje Dolsilwa, co chwila ginąc w ciemności i wyłaniając się to w tym, to w innym fatałaszk) darzą go wielkim szacunkiem – i nie jest to szacunek udawany. Książę musi być prawdziwym bohaterem.

Gra Enrewa budzi podziw – dyskretne gesty znamionujące majestat, pewność siebie, godność. „Martwica”, adorowana, nic nie czyni – i to już jest aktorski sukces. Wkrótce książęca para doczeka się dziecka – dziewczynki (w tej roli występuje szmaciana lalka sporządzona przez Pelijożę).

W tym momencie widownia powiększyła się – ukryci w ciemnościach Rozenkrontz i reszta oglądali sztukę z rosnącą fascynacją. Widok Dolsilwy ucieszył ich, choć żaden się do tego nie przyznał. Selijon szepnął: „Znalazłeś wreszcie temat”, nikt tego jednak nie usłyszał.

Szczyście narasta – jest, niestety, jak fala, która zawsze odnajdzie swą kulminację, by nieuchronnie gnać w dół, unicestwić samą siebie. Wszyscy widzowie przeczuwają ów dramatyczny moment. Mimo demonstrowanego błogostanu napięcie rośnie. Aż chwila ta nadchodzi. Morska podróż (morze symbolizuje połyskliwy materiał w barwie lazuru, statek to belka z przymocowanym „masztem”, żaglem jest biała szmata), wzajemne czułości. Miłość grana przez Enrewa niemal przeistacza się w prawdę, niemal udziela się „Martwicy” – widzom wydaje

się, że i na jej twarzy maluje się uczucie, lecz to najpewniej złudzenie wywoływane siłą oddziaływania aktora; ona jest niczym lustro odbijające Enrewową emanację. Dziecko bawi się opodal (lalka wygląda jak żywa – manipuluje nią dłoń Dolsilwy; on sam kryje się w ciemności). Nagle sztorm (sceneria ciemnieje, pojawiają się białe grzywy fal – też wykonane chałupniczo). Grzmoty – Dolsilwa wali w ukryte tarabany. Żaglowiec drży jak liść, jak pajęczyna w podmuchach wichru. Dziecko wypada za burzę; ginie w odmęcie!

Być może to złudzenie, lecz Rozenkrontzowi zdawało się, że słyszy głębokie westchnienie gdzieś z boku, z ciemności. Pustak?

Księżę nie waha się ani chwili – rzuca się w odmęt za córką, walczy z dzikimi falami, już, już, jest na wyciągnięcie ręki, zaraz jej dotknie... Ale nie, odmęt jest silniejszy, prawa natury nieubłagane, żywioł zwycięża. Dziecko pogrąża się w głębinie. Księżę, wyczerpany (może nawet nie fizycznie; jego wola wiotczeje w obliczu tragedii – Enrew oddaje ten stan z niespotykanym mistrzostwem; teraz on przypomina szmacianą lalkę), pokonany, poddaje się, tonie.

Rozpacz żony i matki nastęrcza inscenizatorom największych trudności. Kilka kropel wody niech starczy za łzy, dyskretny makijaż podkreśla załamane kącików warg i oczu podkrążenie. Małżonka księcia na przemian wznosi modły i ciska przekleństwa; jej rozpacz jest tak wielka, że aż przywołuje złego ducha, Pana Cienia, Władcę Much, Tego, Którego Niemal Nie Ma. I w tej roli występuje Enrew; znów wszyscy dostrzegli skalę jego zwodniczego talentu przeistaczania się – już nie jest dostojnikiem, już nie kroczy dumnie. Jego nowa postać jakby rodzi się z cienia; jest scalona z ciemnością bolesną pępownią. Enrew wyłania się z mroku stopniowo, jak dziecię z łona matki. Gdy się wyłania, wydaje się, że zarazem wyszarpuje z ciemności jej istotę – ona blednie, on staje się mroczniejszy (to subtelna gra blaskiem dwóch pochodni dzierzonych tym razem przez Dolsilwę). Tak, teraz jest prawdziwym potworem; wydaje się wyższy, a zarazem mniejszy – jest wszystkim i niczym, jest, nie będąc. Oplata się wokół zbolątej kobiety jak pajęczyna, jak bluszcz, którego życiodajną energią jest rozpacz, ból, strach. Jego zdolności przekonywania są nieograniczone, wprost proporcjonalne do jej cierpienia. Kuszenie trwa długo. Enrew – przy pomocy błyskawicznych dyskretnych makijaży dokonywanych niepostrzeżenie na granicy cienia, a także plastycznej mimiki – oddaje całą zmienność i zwodniczość granej przez siebie postaci. Księżna wreszcie ulega – dochodzi do spisania umowy, zwanej przez niektórych cyrografem – atramentem jest tu krew (oczywiście fałszywa). Cyrograf, co ważne, zostaje sporządzony w dwu egzemplarzach – jeden trafia do zbolątej niewiasty, drugi – diabli wiedzą gdzie. Niewidoczny Dolsilwa uroczystym głosem przybliży widzom treść dokumentu (tego bowiem nijak z pomocą gestu oddać nie można).

Transakcja opiewa, rzecz jasna, na duszę księżnej. W zamian diabeł zobowiązuje się przywrócić życie córce i mężowi kobiety.

– Nie... – szept Pustaka.

Tak się też stało. Szczęście jednak nie trwa długo. Zarówno księżę, jak i jego córka nieuchwytnie różnią się od swych pierwotnych wcieleń. Nabrali niepokojących obyczajów, także nadprzyrodzonych umiejętności. Wynika to być może z ich chwilowego wprowadzie, ale jednak obcowania z rzeczywistością nad – lub podprzyrodzoną. Księżna jest coraz bardziej przerażona (znów bardziej gra makijaż niż sama „Martwica”) – wprowadzie jej bliscy zachowali tożsamość i pamięć, wprowadzie kochają ją, ale narasta w niej przecucie czegoś straszliwego. Przedłużający się stan niepewności prowadzi ją na skraj obłędu – w końcu popełnia samobójstwo; wypija cykutę. Jej dusza należy do Władcy Much (by to podkreślić, Dolsilwa wypuszcza ze słoja wyłapaną wcześniej na tę okazję rój much).

Teraz z kolei księżę szaleje z rozpaczy; jego córka milknie, oddala się (symbolizuje to stopniowe nikięcie lalki w ciemności); jej dalszy los nie jest znany. Natrafia na kopię cytowanego już dokumentu; pragnie zstąpić do piekielnych otchłani, by wyrwać stamtąd ukochaną! Na skutek obcowania ze śmiercią posiadał nowe umiejętności – dusza jego ma zdolność oddzielania się od ciała. Otacza się magami, Psami (w tej roli Dolsilwa z głową psa). Dolsilwa po raz drugi w czasie tego przedstawienia używa strun głosowych, by objaśnić intrygę.

Przerywa mu jednak głuchy głos Pustaka.

– Przerwij to... Przerwij, Enrewie. Dość.

– Boli. Pamięć boli, prawda? – pyta Enrew. – Wymazałeś to wszystko, wyczyściłeś. Spustoszyłeś. Ale ja ci przypomnę... Bo sztuka jest wieczną terażniejszością. Przedstawienie trwa!

Zatem poeta wyjaśnia – owszem, księżę może wyrwać duszę swej wybranki z piekielnych czeluści, musi jednak pamiętać, że ceną za to jest utrata tego, co w jego życiu najważniejsze.

Nie można utracić czegoś, czego się wszak nie ma. Dla księcia najważniejsza jest jego ukochana żona, której dusza przebywa w zaświatach. Dokonuje piekłozejścia.

Światło pochodni zostaje przygaszone na tyle, by można było cokolwiek bądź ujrzeć. Enrew gra teraz własną duszę – jest błądliwy jak śmierć i lekki jak płatek róży.

Jak on to robi? – pomyślał Rozenkrontz.

Dusza księcia zstępuje w kolejne piekielne kręgi (Enrew staje się w tajemny sposób coraz bardziej siny – im niżej zstępuje, tym tam chłodniej; chłód ma oczywiście metafizyczny wymiar – jakby mrozi dusze, została je w postaci ekstremum osiągniętego zła, potworności); symbolika jest prosta – garść błota (w którym tarza się Dolsilwa jako ucieleśnienie grzeszników) to grzech nieczystości, złamane podkowy jako złamane obietnice, zakrwawione noże (część kolekcji Pelijozy) – mordy itd. Oszczędność środków nie pozwala odczuć widzom potworności tej wizji, czyni to jednak niezrównany Enrew – gra na własnym obliczu jak Pięćdziesiątka na niewidzialnych organach; osiąga każdą możliwą skalę wyrazu: od lekkiego obrzydzenia, subtelnie zarysowanego załamaniem kącików ust, po nieludzki strach, przerażenie, obłęd.

Wreszcie dociera do kręgu samobójców (świetna scena przedzierania się Enrewa przez dzierżone przez żywe trupy szubieniczne sznury). Spotyka duszę swej ukochanej i porywa ją...

Rozenkrontz, który od jakiegoś czasu postępował tropem Pustakowych westchnień, jednocześnie zadawał sobie pytania – czy szaleństwo, melancholia duszy po śmierci ustępuje, czy też potęguje się do poziomów niedosiężnych? A jeśli dusza wraca z zaświatów – to czy szaleństwo nie pogłębia się? Dostrzegął też coraz wyraźniej przesłanie przedstawienia.

I powrót poprzez piekielne kręgi szaleństwa.

Dusze kochanków wracają do materialnych skorup, którymi są – rzecz jasna – ich ciała. Tu następuje kulminacja: księżę ze zdumieniem spostrzega, iż żona jest mu całkowicie obojętna. Pojmuje – ceną za jej sprowadzenie stamtąd tu jest ni mniej, ni więcej, jeno utrata miłości. Tymczasem jej szaleństwo jednak pogłębia się, co zostaje pokazane w bardzo prosty sposób – oblicze „Martwicy” bez makijażu. Obłąd w czystej postaci.

Wreszcie ostatnia scena, której wszyscy się domyślają. Enrew na chwilę znika za kotarą ciemności, by zaraz pojawić się znowu. W masce. Masce bez rysów, bez wyrazu, bez treści. Pustej.

– Nie! – krzyknął Pustak. Ból w jego głosie?

Rozenkrontz kierował się głosem – cóż chciał osiągnąć: zabić tego, który zwiedził piekło i od stuleci grał śmierci na nosie?

Wydarzenia toczyły się teraz w zawrotnym tempie. W kręgu światła pojawiła się nagle dziewczynka, niestrudzona towarzyszka Rozenkrontza. Ten chciał do niej podbiec, zabrać ją z obszaru przekłętej w tych okolicznościach widzialności, lecz nie mógł się ruszyć. Czuł oznaki zbliżającego się przekleństwa; informował go o tym zwierzęcy lęk przed nieuniknionym, a z fizjologicznych dolegliwości: sztywnienie członków, oszołomienie zmysłów. Tak, zaraz zacznie wieszczyć. Nim całkiem postradał świadomość, usłyszał jeszcze okrzyk przepełniony niezwykajnym cierpieniem i pojął – Pustak dostrzegł dziewczynkę. Jej misja spełniona.

Pelijoza, który przyglądał się wszystkiemu z bezpiecznej odległości, pomyślał, że pewnie teraz Pustak ruszy na poszukiwanie mitycznego zwierciadła, rzekomo ukrytego gdzieś w katakumbach. Czy tak się stało? Nie ma na to odpowiedzi. Pewne jest to tylko, że nikt już potem o Pustaku nie słyszał. Pustak był spełniony.

W mordercy obudził się instynkt przetrwania, lecz raz jeszcze przekonał się, iż żadna odległość nie jest nigdy odległością bezpieczną, gdy bronią, która nas razi, jest los nasz. Usłyszał nagle szept, przenikliwy, dziwny, wypowiedany jakby zdrewniałym głosem. Dziwne słowa, ale wiedział, że była w nich prawda; nie sposób było nie dać im wiary. Ów tajemniczy ktoś rzekł, że Pelijoza skróci życie jeszcze tylko dwóm istotom, nim sam zakończy żywot.

Przez całą drogę krętymi uliczkami Bard en aż do okazałej Bramy Północnej zastanawiał się, tężył świadomość, by zgłębić znaczenie posłyszanej w ciemności przepowiedni. Czy znaczy ona tyle, że jak zabije dwu ludzi, to sam niechybnie zginie? A jeśli zmieni fach i nigdy już nikogo nie zgładzi – to wówczas okaże się nieśmiertelny?

Ta perspektywa dodała mu skrzydeł. Gotów był iść z wichrem w zawody, zabić czas, wypić rzekę, czułym wzrokiem objąć dal nieskończoną. Wszystko wydawało się możliwe trzeba się jeno przekwalifikować. Czy to wiele?

Już za miastem, opodał gościńca, Pelijoza – wciąż zachłyśnięty niespodziewaną perspektywą wieczności – zobaczył dziwną scenę. Oto przy drodze spoczywał na boku wychudzony stary koń dychał z trudem, a oczy zasnuwała mu z wolna mgła śmierci. Opodał stał, ciężko oparty o miecz, rycerz – włosy miał jak śnieg a uszu zgoła wcale nie miał. Patrzył na zwierzę z wyrzutem i miłością.

Pelijoza zrozumiał ową pretensję wyrażaną wzrokiem – dlaczego mi to robisz? Dlaczego zmuszasz mnie, bym cię zabił?

Morderca podszedł do rycerza; przez dłuższą chwilę obaj spoglądali w milczeniu na dogorywającego wierzchowca. Jego męka nie dawała Peliozowi spokoju – była to ukryta słabość mordercy. Z jakichś powodów cierpienia zwierząt napawały go daleko większym frasunkiem niż ludzkie troski. Przypomniał sobie przepowiednię – nie o ludzi tam szło, a o istoty. Istoty. Dwie istoty. Gorzka prawda przeniknęła Peliozowi jak ostrze sztyletu przenika i unicestwia tajemnice ludzkiego ciała. Już wiedział – nie umknie przed przeznaczeniem.

Dobyl ostrza, tego ukrytego pod językiem; nachylił się nad cierpiącym zwierzęciem i dokonał kilku nacięć w odpowiednich miejscach. Krew uchodziła szybko. Nigdy nie zabijał koni, lecz wiedza o mordowaniu ma charakter uniwersalny.

Rycerz nie przeszkodził mu. Patrzył jeno. W jego spojrzeniu była chyba wdzięczność.

To Dolsilwa wyciągnął Rozenkrontza z podziemi; miał wrażenie, jakby dobywał przyjaciela z piekielnych czeluści. Gdy ten doszedł wreszcie do siebie, jęli razem szukać Selijona i dziewczynki. – Nie odnaleźli ich.

Epidemia zmartwychwstań zakończyła się nagle. Sędziego Bałdora już nie objęła – pochowano go w skromnej, rzecz jasna, mogile, opodał grobowca jego mistrza Kowenora. Jakiś ponury żartowniś sprawiał, że na nagrobku Bałdora przez wiele, wiele lat, dokładnie w rocznicę Milczącej Nocy, pojawiał się rysunek klepsydry. Pustej.

Zmartwychwstańcy z wolna dogorywali – jakby opuszczała ich życiodajna energia pustki. Im bliżej byli powtórnej śmierci, tym bardziej zestalała im się świadomość istnienia. Świadomość odbytego cierpienia i tego, co jeszcze przed nimi. Ci, co byli świadkami potwornego procesu powtórných narodzin tuż przed śmiercią, opowiadali potem, że to najstraszliwsze wspomnienie

w ich życiu.

Rozenkrontz wciąż myślał o Pustaku. Przypomniawszy sobie starą ideę Grobesa. Wyobraźmy sobie obustronnie lustrzaną kulę – odbijającą wszystko na zewnątrz i do wewnątrz. Co odbija się w środku takiej kuli? Pustka? Co na zewnątrz? Wszystko? Czyż nie tym właśnie był Pustak? Wszystkim. I niczym.

Dolsilwa pierwszy opuścił Barden – uczynił to z ulgą. Rozenkrontzowi przychodziło to z trudem. Przeczuwał, że jeszcze tu wróci. Wiele myśli kłębiło mu się we łbie. Co stało się z dziewczyną? Kim był Selijon?

Sposobił się do opuszczenia miasta, gdy nawiedził go w zrujnowanej kolejną już katastrofą gospodzie Rym niespodziewany gość. Spotkali się ongiś.

I tym razem wystąpił w wykwintnej postaci wysokiego mężczyzny odzianego na czarno – przy czym intensywność czerności była stopniowalna, wręcz sprawiała wrażenie kolorystycznej różnorodności, co było nie lada osiągnięciem. Bił od niego chłód – i nie chodziło bynajmniej o usposobienie, jakże odległe od serdecznej wylewności. Kompanem zaś był mu zapach, dziwny, skomplikowany, wręcz symfoniczny, trudny do zakwalifikowania.

Gdy tylko Rozenkrontz wyczuł jego obecność, natychmiast uzbroił się w niewiarę, niechęć, w ogóle wszystko na „nie”. Wiedział bowiem, że odwiedził go mistrz kłamstwa, uosobienie zwodniczości.

– Pan Rozenkrontz – rzekł przybysz.

– Imć... – Rozenkrontz zawahał się. – Nieobecny ciałem?

– Nie podoba się? – Gość przeciągnął się jak kot.

– To taki żart. Trudno cię nazwać „Nieobecnym Duchem”.

– Rzeczywiście. Osiągnąłem duży sukces, Rozenkrontz. Dużo dusz. Cała pula.

– Cała pula? Ośmielę się zwątpić. Przynajmniej niektórzy z tych pomordowanych biedaków dostąpią łaski, wcześniej czy później...

– Później – wtrącił Czarny.

– A dzieci? Cała pula?

– Niecała – przyznał diabeł z melancholią. – To trudny Przeciwnik. Bardzo subtelny. Wydaje się, że Jego gra jest prosta: tak – tak, nie – nie; tymczasem im jest prostsza, tym bardziej wyrafinowana.

Rozenkrontz milczał. Czuł, jak ogarnia go zwątpienie we własne zwątpienie. Oto Mistrz Kontekstów, manipulator sensów. W jego obecności cynizm stawał się cnotą.

– Dlaczego nie zapytasz? – zapytał gość.

Rozenkrontz zagryzł wargi, aż poczuł krew. Zapytać. Jak bardzo pragnął zapytać. O dziewczynę. O syna. O Selijona. O Pustaka. O siebie. Me znowu zmilczał. Nawet nie wiedział dlaczego. Po prostu milczał, choć czuł, że musi pytać. Pytać, pytać, pytać. Kto pyta, ten błądzi.

Atmosfera w izbie gęstniała, stawała się nie do zniesienia. Aż w końcu zapytał, bo nie mógł inaczej. Ale nie o to.

– Po co tu przyszedłeś? Po co mi o tym wszystkim mówisz?

– Bo jesteś człekiem, Rozenkrontz. Ludzie to robaki, ale świat jest jabłkiem. Dlaczego z tobą rozmawiam? Dlatego, że mogę. Pośród was, robaków, niewiele jest takich, których percepcja w ogóle na to pozwala. Widzisz, obie Strony nie mogą nadmiernie ingerować w tutejszy bieg spraw – tak skonstruowany, przynajmy, że głupio, ale ja w tym palców nie maczałem, jest świat. Materia stawia opór duchom. Bezpośrednie ingerencje są rzadkie i trudne. Mówiąc po ludzku – niewielu ludzi może nas słuchać ani w ogóle nas postrzegać, przy czym zazwyczaj dzielą się na tych, co słuchają raczej piekielnych podszeptów, i tych, którzy słyszą Głos Boga. Opętania i błogosławieństwa. Ty jesteś wyjątkowy, Rozenkrontz. Słyszysz i ich, i nas. Boś ty najbardziej robaczywy z robaków. Rozmowa z tobą to przyjemność. A ja jestem niczym kameleon – muszę dostosowywać się do percepcji każdego rozmówcy. Z jednym gadam przy pomocy mistycznego bełkotu, drugiemu jawię się sepleniącym cieniem, trzeciemu jako rój obłych much albo stado dzikich kotów... Zwariować można, Rozenkrontz. Tyle, że ja zwariować nie mogę. To prawda, że twa percepcja, twój umysł, twa pokrywa wreszcie to marność. Ale z drugiej strony jesteś egzemplarzem idealnym. Nie wbijaj się z tego powodu w dumę; rozpacz byłaby tu bardziej adekwatnym uczuciem. W jakimś sensie ucieleśniasz wszelkie kloaczne doły i wzloty ludzkości. Twe wybory są ważne, boś ty probierz... Nieszczęsny. Wybrańcy zawsze mają pecha, Rozenkrontz.

Rozenkrontz czuł, że nie po to wykiełkowało w tej izbie diabelskie nasienie, by wygadywać banały. Musi być coś jeszcze. Nie mylił się.

– Zanim rozwięję się tandetnie w powietrzu poranka, jeszcze jedno drobne objawienie. Od jakiegoś czasu, właściwie od niedawna, będzie pięć wieków, myśl ta nie daje mi spokoju. Widzisz, Rozenkrontz, czasem tak sobie myślę, że On też nie do końca was rozumie. Kto jak kto, ale ja mogę sobie pozwolić na skromną herezję. Sądzisz, że niedawne Wcielenie dokonało się li tylko z powodu Jego... hm... dobroci i – diabeł aż się wzdrygnął – obfitości litości? Nie, drogi Rozenkrontzu, On też was nie pojmuje. Może doszedł do wniosku, że można was poznać jeno „od środka”? Ów... Pomazaniec... przyszedł na świat nie po to, by was zbawić, a jeśli już, jest to cel drugorzędny. Celem najważniejszym jest próba zrozumienia...

Rozenkrontz milczał, skurczony, zaciśnięty jak pięść.

– Jakże do twarzy ci z tym zgorzknieniem, o wymięty człeku. Dlaczego nie zapytałeś? Odpowiedziałbym. Do zobaczenia.

– Jeszcze jedno.

Diabeł spowolnił nieco proces nieuchronnego rozplływania się w powietrzu – jakby Rozenkrontz powstrzymał go w pół metafizycznego kroku.

– Tak?

– Ten zapach.

– Ach, zapach. – Diabeł uśmiechnął się paskudnie. – Od dziś tak właśnie pachnie Piekło,
Rozenkrontz.

A Piekło cuchnęło Piędzieniem.

Cud zaniechania

*Krzyż, w przeciwieństwie do koła,
ma w sobie sprzeczność, zderzenie,
paradoks. Koło mieści w sobie doskonałość,
lecz mimo doskonałości i nieskończoności
– jest zamknięte.*

Krzyż ramionami przebija granice.

Gilbert K. Chesterton

Kontres podążał za tajemnym nieznanym. Półmrok już panował w Słonym Mieście – nie dało się rozróżnić szczegółów obcej fizjonomii. Dlaczego za nim zdązał? On, Kontres, mistrz przetrwania, apostoł nieufności? Sam sobie się dziwił. Mogła to być pułapka. Ale szedł. Wszak tamten nakreślił na ziemi znak koła – czyż to nie wystarczający powód?

Przemykali zaułkami „Pikantnego Miasta”, jak czasem ironicznie chrzcili rodzime okolice Kontres. Aż jakaś postać zamajaczyła w półmroku. Wysoka postać. Przewodnik Kontresa znikł, jakby rozpułynał się w powietrzu.

– Kontres. Witaj. Pamiętasz mnie? Bo ja ciebie – owszem. Głosisz Prawdę, jak nakazał Mistrz? Chyba nie. Zapałeś się Go. Jak wielu innych. Zawsze umiałeś o siebie zadbać, Kontres. Aż do dziś.

Znajomy głos nieznanego. Kontres zamarł, a obcy zbliżał się powoli. Nie spieszył się, jakby wszystko było już rozstrzygnięte. W końcu ujrzał jego twarz, nieco ospowata.

– Ty! – krzyknął.

Pragnął jeszcze krzyknąć, ostrzec. Kogo? Przed czym?

Ale nie mógł. Miast dźwięków z jego ust dobyła się krew. Miał poderżnięte gardło.

Stary człowiek zatrząsł się z zimna, choć był środek lata. Jeszcze przed chwilą miał ochotę na chłodne piwo z delikatną pianką na miodowej powierzchni, łaskoczące łagodnie podniebienie, szczypiące pieczotliwie język. I druzgocące wątrobę. Zrezygnował. Kiedyś zdarzało mu się to rzadziej. Właściwie wcale.

– Cud zaniechania... – mruknął do siebie i uśmiechnął się gorzko.

Lecz uśmiech zamarł mu na ustach. Poczł bowiem znajomy zapach, dawno nie wąchany. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się przed śmiercią podobnych wrażeń. Rozszerzone nozdrza zapamiętały węszyć, a zamglony wzrok próbował ścigać powonienie. Wyścig zmysłów do niechcianej zdobyczy. Cóż tak woniało słodkomdłe? Jakby truposz tuż przed rozkładem albo

starzec nad grobową dechą. Słyszał opowieści, że tak jakoś pachniały anioły. Subtelna jest różnica dzieląca smród śmierci od zapachu nieśmiertelności.

A tu raczej – starzec zadumał się – zalaływało nieśmiertelnością...

Wreszcie dostrzegł źródło smrodku – wysoki, potężnie zbudowany człek stał przy rzeźbie czarnej łyzy upamiętniającej wardańską rzeź. Wyglądał znajomo.

Starzec przyspieszył kroku. Dawne znajomości oznaczać mogły tylko jedno – kłopoty. Nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna owego dryblas. Czy idzie za mną, zastanawiał się gorączkowo. Dłoń zacisnął na rękojeści sztyletu subtelnie skrytego pod pachą – to mu dodało zwodniczej pewności. Kątem oka spostrzegł, że jednak nikt za nim nie podąża.

– Starcze brednie! – zachnął się, wściekły na siebie.

Jednak dryblas czekał na niego przed domem.

Znów ten zapach, przywołujący wspomnienia.

Przyjrzał się obcemu chłodno. Wysoki, masywny, ubrany ze smakiem, lecz nie lechandryjskim smakiem. Rysy twarzy łagodne.

Ciemne włosy poprzetykane z rzadka nitkami siwizny. Znał tę twarz. Dawne czasy. Nic dobrego.

Olbrzym bez słowa nakreślił w powietrzu okrąg. Cóż miało to znaczyć? Że los koło zatoczył? Początek zetknął się z końcem i zreć się jeły, tworząc krąg? Zamknięte koło żywota jego?

– Znamy się, prawda? – zapytał starzec. – Wybacz. Pamięć...

– Witaj, Rozenkrontz – rzekł obcy.

Wtedy przypomniał sobie.

– Selijon – powiedział Rozenkrontz. – Selijon z Barden. Jednak żyjesz. Ile to już lat...

– Prawie trzydzieści.

– Czas obszedł się z tobą łagodnie.

– Mylne wrażenie. Mój czas nadszedł. Dlatego tu jestem.

– Cóż. Wejdz, proszę. Weszli.

– Skromnie tu. Nie dorobiłeś się.

– Od dawna nie przyjmuję zleceń – rzekł z naciskiem Rozenkrontz.

Oczyścił stół z licznych papierów i ksiąg. Kurz zawirował w powietrzu i w izbie na jakiś czas gwałtownie pogorszyła się widoczność.

Gospodarz rozlał do kubków wodę. Zasedli. Selijon popijał wolno, równymi łykami, delektując się, jakby było czym.

– Do licha, Selijon. Jakbyś przeżył wino z cesarskich piwnic.

– Woda – odezwał się wreszcie gość – to cud.

Rozenkrontz wylał zawartość naczynia na stare buciory i przetarł je rękawem.

– Mam mało czasu, Rozenkrontz. A sprawa jest ważna.

– W moim wieku, Selijon, ważna jest podagra. Czczność i żołądka ssanie. Dziwne odgłosy organizmu, który być może ma do wyśpiewania pieśni o urodzie świata wewnętrznego albo o cudowności wody, która go przepelnia, topiąc zarazem. A ma do dyspozycji repertuar pierdnieć i czknieć. Artystyczny dramat.

– Nienawidzę tego, Rozenkrontz. Naprawdę nienawidzę.

Rozenkrontz spojrział na niego ze zdumieniem.

– Czego nienawidzisz?

– Zwiastowania. Mniejsza. Musisz odnaleźć pewnego człeka...

– Co oznacza ów gest? Okrąg kreślony w powietrzu?

– To część zlecenia. Ów znak otworzy ci jedne drzwi, zamykając inne. Nie szafuj nim, bo zginiesz marnie...

– Zamknij się, Selijon. Nie przyjmuję żadnych robót. Nie ruszyłem się z tej nory od piętnastu lat...

– Nazywają go Rewne, może słyszałeś? Nieważne. Zaczynij od...

– Oszalałeś. Masz przed sobą starca.

– ...od Montresora z Kolar. To południowe rubieże Cesarstwa. Miasto słynie z Targowiska Próż...

– Byłem tam – uciał Rozenkrontz. – I cóż ów Montresor? Zna tego... Równe?

– Rewne. Zna. Zegnaj. Nie zobaczymy się więcej.

– Kim ty właściwie jesteś, Selijon?

– Mogłem opowiedzieć swoją historię tylko jednemu z ludzi, wybranemu przeze mnie.

– Słucham.

– Już opowiedziałem.

– Żeby cię pokręciło...

Ale Selijona już nie było. Wyszedł spiesznie, jakby ścigany. Nie zdążyli omówić kwestii wynagrodzenia.

Za oszczędności życia nabył Rozenkrontz starą szkapę. Dotychczasowy właściciel nie dawał gwarancji, iż środek lokomocji przetrwa podróż. Pasujemy do siebie – orzekł Rozenkrontz.

Wędrówka dłużyła mu się. Kości trzeszczały, łeb pękał w miejscach intensywnego myślenia. No i tyłek trzymał się na jakimś zwichrowanym nicie. Organizm zawodził jak wygłodniały wilk – repertuar dźwięków płoszył wierzchowca.

Po drodze postanowił Rozenkrontz odwiedzić poetę Dolsilwę, który w tamtych czasach był już sławny. Jego „Poemat szubieniczny” wbrew intencjom autora został uznany na utwór komiczny wszechczasów, wystawiano go na jarmarkach, a także w teatrach, które masowo

pączkowały na terenie Cesarstwa Lechandyjskiego. Na dworze nazywano je nawet „wrzodami na ciele Cesarstwa”, bowiem autorzy sztuk często kpili z przepychu notabli, co było źle widziane w tamtych sferach.

Dolsilwa interpelował, by poemat był deklamowany w chwilach szczególnie podniosłych – na przykład podczas uroczystości pogrzebowych bądź tuż przed egzekucjami. Okazało się jednak, że żałobnicy, a co gorsza skazańcy, krztuszą się ze śmiechu, czekając ostateczności, w czym tkwiła jak ćwiek fundamentalna niestosowność. Wszak na śmierć winno się czekać z nieodzowną powagą.

Dość, że poeta zaszył się na prowincji, by umknąć przed sławą. Rzecz jasna, kto chciał, ten go mógł bez trudu znaleźć. Kłopot, że mało kto chciał.

Rozenkrontz zastał go w chatynce, która z zewnątrz prezentowała się chwiejnie, a w środku opływała w luksusy. Dolsilwa zażywał kąpeli, obsługiwany przez dwie panny. Ponurym głosem deklamował pewien znany utwór, natomiast jedna z niewiast, rumiana, krzepka i chaotycznie wstrząsana rechotem, rozlewała gorącą wodę wszędy, jeno nie do wanny.

Na widok Rozenkrontza pierzchły. Sam by pierzchnął. Na swój widok.

– Rozenkrontz – rzekł poeta bez zdziwienia. Nie widzieli się od dziesięciu lat.

– Dolsilwa.

– Łysiejesz, Rozenkrontzu.

– Alem wciąż odległy od łysości absolutnej.

– To pocieszające.

Rozenkrontz zasiadł ciężko przy stole i jął wcinać dobra tam nagromadzone. Tymczasem Dolsilwa wygramolił się z kąpeli – gość przyjrzał mu się dobrze. Widać było na pierwszy rzut oka, że nieźle się odżywia, fałdy tłuszczu regularnie oblegały mu ciało. A poeta czuł się w tym obleżeniu kwitnąco. Nadto był siwy. Siwy jak gołąbek. I było coś jeszcze. Rozenkrontz nie potrafił tego sprecyzować; jakiś rys nowy w twarzy poety. Troska. Tak, smutek. Starość nie radość.

– Wina?

Rozenkrontz pokręcił głową. Przecząco.

– O?

– Dusza by chciała. Ale cielsko oponuje.

– Znam tę koncepcję filozoficzną: człowiek to dusza uwięziona w ciele. Współczuję.

– Wszystko przed tobą.

– Przed nami, Rozenkrontz. Jadę z tobą.

– Skąd wiesz dokąd?

– Selijon.

– Aha. Trudy podróży...

- Nieważne. Sztuka wzywa. Temat.
- Selijon tak rzekł? Powiedział coś jeszcze?
- Nie – skłamał poeta.

To on był wybrańcem, który usłyszał historię Selijona. Cóż z tego, skoro pod słowem honoru zobowiązał się – jeszcze przed wysłuchaniem opowieści – nikomu, w żadnej formie (również pisemnej) jej nie powtarzać i nie rozpowszechniać. Historia była na tyle niezwykła, że poeta nie dał jej wiary. Mimo to znakomicie nadawała się na dramat w trzech przynajmniej aktach. Niestety, dał parol. Choć wena szarpała go na sztuki, powściągał ją. I to był prawdziwy cud zaniechania.

Wszystko wskazywało na to, że miasto Kolar leżące na skraju południowych rubieży Cesarstwa niestety podupadało. Słynne Targowisko Próżności, przez wieki ściągające masowo oszustów i oszukiwanych oraz podrabiaczy i namiętnych poszukiwaczy krwi błękitu, opustoszało. Bezrobocie pośród fałszerzy zbierało ponure żniwo. Miast produkować fałszywe godła, zmuszeni byli kraść i mordować. Nie wszyscy mieli w sobie tyle inicjatywy i samozaparcia – większość decydowała się na żebranię.

Rozenkrontzowi, który przecież odwiedził miasto przed łąty, zdawało się, że jest tu po raz pierwszy. Stanowili z Dolsilwą osobliwą parę. Rozenkrontz podróżował na dogorywającej szkapie, poeta zasię na obłym ośle. Gdyby nie ich wiek podeszły, można by wziąć Rozenkrontza za rycerza błędnego, a Dolsilwę – za jego pomocnego giermka.

Opasły trzos poety zapewniał im wikt i opierunek. Zatrzymali się w zajęździe w centrum miasta. Poszukiwania rozpoczęli już następnego dnia. Zaglądali do karczm, gawędzili z dziewczkami, które zwykle okazywały się skarbnicami miejscowej wiedzy, ale nie tym razem. Niczego nie wskórali. Minęło kilka dni. Tuziemcy jęli szemrać o dwu starcach nazbyt dociekliwych, a Rozenkrontzowi było to na rękę. Wieść siała się sama, im zaś przyszło czekać plonów.

Doczekali się siódmego dnia. Plony okazały się bujne.

Akurat przechadzali się pośród opustoszałych straganów Targowiska Próżności. Wszędy wałały się śmieci, wiatr głucho zawodził.

– Po próżności pustka została – rzeki sentencjonalnie Dolsilwa.

Jego słowa jeszcze nie przebrzmiały, a już poczuli chłodne ostrza na grdykach, a kilku osiłeków ręce im wykręcało i nuże, ciągnąć jęli starców w odludne miejsce. Nie musieli ciągnąć daleko.

– Bez urazy, panowie – mówił gorączkowo Dolsilwa. – Nie ma nic zdrożnego w handlu próżnością. Mało tego, świat dopracował się dość bogatych tradycji w tym procederze. Chwałę przynosi on sprzedawcom, hańbę jeno kupującym. Sam chętnie bym coś kupił. Jakieś skromne

godło. Może komara? Komara... Bez Czułków? W jakiej cenie są komary? Mój przyjaciel też by coś kupił. Co byś kupił, Rozenkrontz? Biedronka Z Kropką Nad I, Swawolny Konik Polny. Ja stawiam.

– Głupcy – warknął jeden z napastników, wysoki brodacz.

– Imć Montresor? – domyślił się Rozenkrontz.

– Wiecie, co czynicie? – zapytał brodacz.

– Nie odpowiadaj pochopnie – wtrącił poeta. – Lepiej, żebyśmy nie wiedzieli, tak?

– Jednak głupcy – westchnął napastnik. Pozostali, a trzech ich było, milczeli. Rozenkrontz odzyskał swobodę ruchów; natychmiast podjął z ziemi patyk i nakreślił na piasku znak okręgu. Brodacz stał go stopą i po raz trzeci nazwał ich głupcami.

– Wydawało nam się, że wiemy, co robimy. Szukamy pana Montresora, który ma znać niejakiego Rew...

– Milcz, głupcze. Nie wymieniaj tego imienia, jeśli nie pragniesz zerwać szybko nici żywota swego. Pół Cesarstwa mnie szuka. Skąd wiedzieliście, że będę w Kolar?

Rozenkrontz opowiedział im o wizycie Selijona. Brodacz, który zaiste okazał się imć Montresorem, przyglądał im się bacznie, aż poczuli się nieswojo pod tym spojrzeniem.

– Selijon, powiadasz. Dawno go nie widziałem. Chodźmy w spokojniejsze miejsce – rzekł wreszcie.

Montresor krył się w piwnicach domostw swych przyjaciół. Zmieniał je często, by zmylić prześladowców. Teraz też zaszyli się w piwnicy – towarzysze Montresora zostali na górze.

– Lepiej, by nie wiedzieli za dużo... – mruknął Montresor.

– Kim jest ten... Rewne? – zapytał Dolsilwa.

– Nie wiem – odparł brodacz. – Człowiekiem. Chyba. Malandryczykiem jakoby. W malandryjskiej mowie Rewne oznacza „Gaduła”.

Dopiero teraz Rozenkrontz przyjrzał się Montresorowi. Ten bał się, strach przebijał z każdego jego gestu.

Oto ptak gotów do nieustannej emigracji, pomyślał Rozenkrontz. Do ciepłych krain, rejonów pomyślnych. Tyle że wszędzie zapanowała epoka lodowcowa.

– Czego się lękasz? Przed czym ukrywasz?

– Jeśli wam powiem, i wy będziecie mieli powody do skrytości. Tajemnice są jak zaraza... – rzekł Montresor.

– Już jesteśmy skażeni.

– Wszyscy, którzy się z nim zetknęli, giną jak muchy. Ci, co go słuchali, niczego więcej nie usłyszą. Tropią nas. Nawet nie wie, kto. Tropią i zabijają. Zawzięcie. Jednego po drugim. Tak, by pamięć o nim szczyła. By o wszystkim zapomnieć. O wszystkim.

Wdepnęliśmy, pomyślał Rozenkrontz. Nie pierwszy raz. Lecz może choć ostatni.

– Opowiedz nam o Rewnem.

Pojawił się w Kolar nagle, dziesięć lat temu, na wiosnę. Był to rok pamiętny, bowiem już latem po raz kolejny nawiedziła południowe rubieże Cesarstwa Czarna Śmierć, ponure zbierając żniwo.

Przybysz znikąd. Towarzyszili mu nieliczni, mężczyźni i kobiety. Szli za nim krok w krok. I słuchali. A on gadał. Prawił o miłości, o Królestwie Nie Z Tego Świata. Jego najbliższym przyjacielem i uczniem był niejaki Enrew...

– Enrew! – krzyknął Dolsilwa.

– Byli jak bracia. Jak połówki jednej monety...

Pierwsze poznały się na nim miejscowe psy – zajadłe, dzikie bestie, walczące o przetrwanie każdego dnia. One też jeły za nim chodzić. Potem dzieci. Potem inni. Nie wszyscy. Ale sporo. Jak wyglądał? Jak człek. Montresor nie pamiętał. Był zwykły. Bardzo spokojny. Raz tylko wpadł w gniew. Stało się to na Targowisku Próżności. Jął pędzić handlarzy, przecie łotrów o czarnych sercach, nie lękał się ich, a oni jego – najwyraźniej tak. Montresor był jednym z nich. W jednej chwili dostrzegł pustkę swego życia, której symbolem był handel tym, czego nie ma. Jakaż siła objawiła się w tym niepozornym gadule. Sprawiedliwy gniew, który cudownie wygaś.

Ten dzień był dniem końca Targowiska Próżności. Nie wiadomo czemu, nagle handel przestał się opłacać. Z dnia na dzień martwota zamarła. A Montresor jął chodzić za Rewne. Kiedy ten rzekł, że należy się dzielić, Montresor rozdał swe oszczędności ubogim. Dlaczego? Jaka siła była w tym człeku? Może dlatego, że nie gadał jak rewolucjoniści, jakoby zło świata tkwiło w majątności. Że by własność rozdać, trzeba ją wpierv odebrać, a światu dla oczyszczenia kąpiel we krwi urządzić. Nie. On jeno mówił, by się dzielić. Tylko tyle.

Dlaczego Montresor mu wierzył? Bo prawdę gadał. Nie obiecywał, że świat nagle polepszy się za jego sprawą. Nie tu. I nie teraz. Czuć w nim było siłę. Ale nie korzystał z niej. Wydawało się, że ów cherlak może świat ruszyć z posad, królestwa tej ziemi skruszyć. Ale nie. Jakby się ograniczał, jakby tamy stawiał nieskończoności. Byłe Pies, byle mag większych się cudowności dopuszczał. Ale to były kuglarskie sztuczki. Jego cuda były inne.

– Cuda? – przerwał mu Dolsilwa.

Rewne to Głos Boga – rezonowało pod czaszką Rozenkrontza. Ten zapowiadany. Ten Jedyny. Pierwsza i ostatnia szansa tego świata. Jak mógł się nie domyśleć. Jak? To był ten dzieciak, o którym słyszał przed laty. Ten, co miał gadać z mędrkami jak równy. To on. Potem o nim ucichło. Wdepnęliśmy, Dolsilwa. Oj, wdepnęliśmy.

– Cuda – potwierdził Montresor. – Choć może i niezbyt cudowne.

Sam był świadkiem, jak zgłaszali się do niego chorzy. A on nie leczył ich usterek, nie

sprawił, że odrastały nogi, zasklepiały się rany, wracał rozum. Nie. On leczył dusze. Gadał.

Pewnego razu przyszedł ślepiec. Nie widział od dnia narodzin. Rewne rozmawiał z nim krótko. Na drugi dzień znów przyszedł. Był cały rozpromieniony. Nie dlatego, że przejrzał.

– Miał tej nocy sen. Sen, w którym widział. Opisywał wszystkim, jak wygląda drzewo, liście ruszane wiatrem, ptaki... – powiedział Montresor. – Nigdy wcześniej, a już na pewno później nie widziałem równie szczęśliwego człowieka. Z powodu snu. Głupiego snu. Innym razem przywieśli do Rewne spętanego szaleńca. Ów krzyczał, że widzi rzeczy straszne. Szarpał się, plwał, pianę toczył. Nic, żaden medyk, żaden mędrzec, znachor, stare, sprawdzone metody, egzorcyzmy – nic nie pomagało. Rewne nachylił się ku niemu. I rzekł: „Widzę to, co ty”. Po czym kazał mu zdjąć więzy.

– Nie wiem, czy szaleństwo go opuściło. Czy przestał widzieć te straszne pejzaże, o których nieustannie mamrotał. Tego nie wiem. Wiem za to, że Rewne dodał mu otuchy. Że od tej pory wiedział, że nie jest sam. To ważne. Bardzo ważne.

Rewne opuścił Kolar, nieliczni poszli za nim. Montresor został. Potem dochodziły go urywane strzępy wieści. O naukach Gaduły. O jego losach splątanych. Ale nie wiedział, gdzie jest Zapowiedziany. Ani co się z nim stało. Ktoś starannie zacierał ślady. Zabijał świadków, niwelował wieści.

– Znasz kogoś, kto go znał? – zapytał Rozenkrontz.

– Wielu ich było. Niewielu zostało przy życiu... Już wychodzili, gdy wstrzymał ich głos brodacza.

– Był taki jeden. Mógł się uchować. Cień człeka, nie rzucał się w oczy. Mistrz trwania. Kontres z miasta Solos. To niedaleko stąd.

Niespełna dzień po ich wyjeździe Montresor i jego towarzysze zostali zamordowani przez nieznaną sprawców. Dolsilwa miał się o tym jednak dowiedzieć znacznie później.

Rozenkrontz nie dowiedział się nigdy.

Dolsilwa pisał zapamiętałe. Postrzępione gęsie pióra porozrzucane po izbie symbolizowały skalę twórczych zmagania. Rozenkrontz spostrzegł, że poeta miał już wcześniej stos zapisanych stron. Więc historia Montresora nie była początkiem opowieści. Zaintrygowało go to.

Sposobili się do drogi, gdy poeta jakby od niechcenia zapytał:

– Wieścisz wciąż?

– Nie. Chyba wyczerpałem zasoby. Ostatni raz mój dar ukamienował mnie jakieś dziesięć lat temu. Przed moim domem. Nie wiem, com wieścił i komu. Jak zwykle.

– Jak zwykle... – Poeta jakby się skurczył. Rozenkrontz jednak niczego nie dostrzegł.

– Ten Rewne... – Rozenkrontz zawahał się. – Myślisz, że on żyje?

Dolsilwa nie odpowiedział.

Tej nocy, ich ostatniej w Kolar, obaj nie mogli zasnąć. Za dużo myśli krążyło po izbie. Za dużo widzieli, za dużo pamiętali.

Rozenkrontz myślał o Paoli, kobiecie swego życia. Z dnia na dzień coraz dotkliwiej odczuwał chłód. Dolsilwa natomiast wspominał wizytę Selijona. O Paoli, byłej żonie starego przyjaciela, próbował bezskutecznie zapomnieć. Ukrywał bowiem przed Rozenkrontzem jeszcze jeden sekret.

Selijon odwiedził poetę całkiem niedawno. Dolsilwa popadł w konfuzję, spodziewał się prędzej odnaleźć nagrobek starego znajomego niż jego samego, który na domiar – mimo lat upływu – znajdował się w stanie umiarkowanego dość przekwitania. Przez chwilę przekomarzali się na temat starości, siwości oraz obłości kałdunów. Po czym – nagle – Selijon przeszedł do rzeczy. Zaczął od nakłonienia poety do przysięgi, iż nikomu historii Selijonowego bytowania (tak się wyraził – „bytowania”; nie życia, nie biografii) nie wyjawii. Dolsilwa niechętnie wyraził zgodę. Potem już gadał jeno Selijon. Zaczął od dramatycznego wyznania. „Byłem aniołem”, rzekł. Poeta docenił efekt, spodziewając się jednak jakiejś metafory. Że niby był Selijon człkiem anielsko usposobionym, serce mu biło w rytm dziękczynnych modłów, przykładem był dla młodzieży, dla starców zasię pociechą. Coś takiego. Potem dramatyczny zwrot w życiorysie – serce łamane na kole żywota, jakaś niezbyt szczęśliwa miłość albo zbyt szczęśliwa, błogostan wnet pryska. Selijon staje się zgryźliwcem oraz malkontentem, który – to świetnie ilustruje jego przeistoczenie diabła – kręci nosem na poetyckie wzniosłości Dolsilwy.

Lecz nie. Nie była to metafora. Selijon naprawdę mniemał, że był aniołem. Niematerialnym bytem, który w materię oblekał się okazjonalnie, co porównać można do obrastania brudem i tłuszczem. Nieprzyjemny proces. Zadaniem Selijona było zwiastowanie. Nawiedzał proroków, by ich utwierdzać w pewności. Roztaczał apokaliptyczne wizje. Dął w miechy wiary. Niektóre misje były jednak straszne. Selijon zawsze mówił prawdę, bo aniołowie nie kłamią. A prawda na tym tu świecie oznacza zawsze cierpienie, dziwna prawidłowość, ekonomia bólu. Selijon cierpiał nawet bardziej od swych słuchaczy. Bo na wyższych poziomach rzeczywistości wszystko jest intensywniejsze. Również ból. Zresztą jakież miałby prawo zwiastować wolę Tego, Który Jest, gdyby nie był zdolny do cierpienia i do współodczuwania?

Zwariował chłop, pomyślał Dolsilwa. Ale historia niezła.

Aż wreszcie coś pękło w aniele Selijonie. W aniołach rzadko coś pęka, boć skonstruowane są solidnie, jednolicie. Ale Selijon pękł. Widać musiało tak być. Zdarzyło się, że zwiastował ojcu świeżo narodzonego pierworodnego syna. I rzekł mu, że musi poświęcić życie swego dziecka, by zachować pomyślność ludu, którego był prorokiem.

Stropiło to Dolsilwę, bo znał tę opowieść. Natomiast Selijon nie powinien jej znać.

By poświadczyć swą nadprzyrodzoną kondycję i świadectwo dać prawdzie

wypowiedzianych słów okrutnych, Selijon wypalił w blacie stołu znak dłoni. Dawno nie czuł tyle bólu. Wiedział, że to konieczne, że zapewne działa w słusznej sprawie, że jest Narzędziem w dłoniach Boskiego Konstruktora. Ze cierpienie musi poprzedzać błogosławieństwo ozdrowienia. Ale dłużej nie mógł. Po prostu nie mógł.

Jego niewypowiedziana prośba została spełniona – przeistoczył się w człeka z krwi i kości.

Selijon nie chciał rozwodzić się nad wrażeniami wynikającymi z nagłego obciążenia materią. Ale wcale nie czuł się duszą w ciele uwięzioną. Nowa kondycja fascynowała – szczególnie sensualne zachwyty często go nawiedzały. Wiatr, ciepły czy zimny, lecz nieustannie szepczący. Deszcz dotykający wszystkiego. Zimny jak śmierć śnieg. I potrawy, napitki. I słowa mielone bez końca, nawet te, co najczęściej padają, te wyzbyte sensu. Wszystko to było piękne. Choć smutne. A może piękne, bo smutne? Ludzie tego nie pojmują.

Próbował się zbuntować. Obrazić. Znienawidzić. Jak jego bracia, co ongiś Bunt podnieśli, wszczynając Wojnę. Ale nie potrafił. Nie potrafił przestać kochać.

Dolsilwa przypomniał sobie nagle dawny epizod targowy – kiedy to Selijon kupił od pewnego hochsztaplera panaceum na miłość. Poeta myślał wówczas, że to beznadziejna próba zażegnania uczucia do jakiejś muzy. A chodziło chyba o zamiłowanie większego kalibru. Już wtedy musiał być szalony, Już wtedy mniemał, że jest aniołem.

Tymczasem Selijon kończył swą fantastyczną opowieść. Może był egzemplarzem próbnym, przed tym najważniejszym Wcieleniem? Przeorientowanym mocą woli Tego, Który jest Wolą – stąd ochota Selijona na umaterialnienie? Może? Dlaczego nie? Był wszak robakiem. Był czymś na kształt niczego. I godził się z tym. Co się stanie po jego śmierci tu, pośród materialnych garbów rzeźbiących powierzchnię pustyni świata? Nie wiedział. Nagroda go czeka? Kara? Nie wiedział.

Nie wiedział.

Jedno wiedział.

Było warto.

Mimo wszystko.

Przygarbiony starzec stąpił traktem wiodącym do Barden z wielką ostrożnością – jakby każdy jego krok, nawet ten najdrobniejszy, miał być zarazem najważniejszym stąpieniem dla całej ludzkości. Lękał się, by jakiegoś życia nie zdeptać i tym samym nie dopełnić starej przepowiedni. By nie posunąć się o jedno istnienie za daleko.

– Hej, panie! – posłyszał czyjś głos. Pewny. Mocny. Jakby znajomy mu. Z czasów zamierzchłych.

Wyczuł ostrze pod językiem. Ech, stare pokusy! Trzeba by je w końcu wypluć. Podążał dalej.

– Panie... Peljoza.

A zatem został rozpoznany. Ale jak, u diaska!

Odwrócił się, wciąż z ową obsesyjną ostrożnością. Jakby rzeczywistość była jajkiem.

Podążał za nim konno człek w średnim wieku. Wyglądał na zamożnego. Gdy zeskoczył z wierzchowca, okazało się, że jest rosły. Miał nieco ospowatą twarz. Spoglądał na Peljozę z drwiącym uśmieszkiem.

Trzydzieści lat temu zmaszałbym ci ten uśmieszek z gęby, pomyślał Peljoza. Wraz z wszelkim innym wyrazem. Może nawet twarzy bym nie zostawił. No a twarz jakby znajoma. Znał go? Nie znał?

– Mam sprawę.

Zabić go? I wszystko zakończyć. Często odczuwał taką pokusę.

– To niemożliwe. Mylisz mnie z kimś. Peljoza? Cóż za dziwne miano.

– A jednak. Sprawę mam. Gardłową.

Cały czas ten uśmieszek. Gardłowa sprawa. Bardzo śmieszne. Ha, ha. Można by pęknąć z rehotu.

– Zapewniam cię, panie. Pomyłka. Spójrz na mnie. Jestem stary.

– Taaak. Stary. Stary mistrz.

– Pamiętam cię... – szepnął Peljoza. – Ty jesteś...

– Tak. To ja. Zabij kogoś. Dla mnie.

– Nie mogę. Nie mo...

– Musisz, mistrzu. To prawdziwe wyzwanie. Człek ów mieni się nieśmiertelnym. I może być nim naprawdę. Prawdziwe ukoronowanie...

Nieśmiertelny. Jeszcze jeden. Peljoza aż się wzdrygnął. Głos tego człeka. Zwodniczy. Jakby wciągający ofiarę.

– Płacę z góry. Nie musisz liczyć. Piętnaście srebrników.

Niesprzyjające okoliczności oddaliły Solos od największych szlaków handlowych Cesarstwa Lechandryjskiego. Kilka dni drogi na wschód od miasta odkryto złoża soli, co natychmiast przeorientowało mapy Cesarstwa. Mieszkańcy nazwali to pamiętne wydarzenie „słoną przysługą”. Bogactwo Solos tajało jak lodowiec zwiedziony fałszywym prądem na południowe morza. Elewacje budynków ocierały się o wykwint ruin. Dolsilwa rozglądał się z niesmakiem – oto dziura z dziur się składająca. Dziura pośród dziur tego świata.

Tym razem starcy postępowali z większą ostrożnością. Tu i ówdzie błysnęli srebrem. Rozenkrontz mgliście sugerował, jakoby ów Kontres winien im być pewną delikatną (tu mrużył znacząco oko) przysługę. Nikt nie pojmował tych mętnych aluzji.

Dolsilwa natomiast gadał o okręgach – że kręci się w kółko po okolicy. Że język mu

skołowaciał. Że w okręgu o promieniu miliona kroków nie znalazł człeka, który powiedziałby coś mądrego. Cóż to za okolica, u licha? Wreszcie, kiedy już stracili nadzieję, znalazł się człek, który obiecał, że ich zaprowadzi do Kontresa.

Trudno uwierzyć, ale wyglądał na starszego od Rozenkrontza. Jego broda była długa, biała jak mleko, a zarazem wiła się, jakby żywa, niemal penetrująca. Trzymał się jednak krzepko. Przedstawili się, lecz on nie odwzajemnił konwenansów.

Szli więc za nim, pełni obaw. Rozenkrontz z dłonią opartą na sztylcie skrytym pod kapotą, Dolsilwa zaś kroczył z dostojeństwem zakłócanym bólem tyłka – po zbyt długiej podróży na oklep. Zawiódł ich aż za bramy miasta, gdzie nic nie rosło, nawet rząd kapusty, a tym bardziej nie kwitło, choćby nierząd.

Rzecz jasna, w okolicy nie dało się zauważyć nie tylko owego Kontresa, ale w ogóle żadnego żywego organizmu, żdźbła trawy.

– I cóż? – zapytał Dolsilwa.

– Tu, jak nakazuje zwyczaj, rozsypano prochy Kontresa – odezwał się ich przewodnik. – Upřednio wymieszano je z solą. To nowy zwyczaj – wyjaśnił. – Od jakiegoś czasu soli używa się w Solos wyłącznie w celach symbolicznych. Słone życie, słona śmierć. Natomiast nie soli się zup. Ani rzodkiewek. Niczego już się nie soli w Solos.

– Niczego już się nie soli w Solos... – powtórzył Dolsilwa, zamyślony. Spodobała mu się ta fraza.

– Zatem umarł. Trup. Zimny – rzekł Rozenkrontz. I znów pomyślał, że piekielnie jest zimno. Piekielnie zimno. Towarzyszysz mi, Mistrzu Kontekstów? – zapytał już w myślach. Nikt mu jednak nie odpowiedział. – Dzięki. Ruszamy, Dolsilwa.

– Wiedziałem, że go spotkam – głos starca osadził Rozenkrontza w miejscu. – Wiedziałem o tym już trzysta lat temu.

Gaduła. Enrew. Głos Boga. W końcu musiał się odezwać, prawda?

– Kim... jesteś? – szepnął Dolsilwa.

– Nie pamiętam.

Spojrzeli po sobie. Trzysta lat?

– Ale mogę wam opowiedzieć o tym, com spamiętał.

I zasiedli – trzech starców – pośród pustkowia rozpościerającego się wokół upadającego miasta Solos. Wiatr przesypywał piaski, lecz także i proch zapewne. No i sól. Niczego już się nie soli w Solos. Z wyjątkiem Solos. Posolone miasto, przemknęło przez myśl Rozenkrontzowi.

Jego pamięć sięgała jeno tych wieków, które przyszło mu przeżyć po Przeistoczeniu. Co było przedtem – nie wiedział. Kim był? Jaka była jego tożsamość? Czy tapłał się w błotku doczesnych cierpień? Czy też raczej opływał w ambrozje luksusów? Nie pamiętał. Wiedział jeno, iż pragnął śmierci. Nade wszystko śmierci. Pamięć o tej tęsknocie Bestia ocalała, zapewne by wzmóc

jeszcze jego cierpienie.

Dlaczego nie zabił się w jakiś zwykły sposób? Ot, stryk na szyi albo choć kamień uwiązany i – chlup! – pod wodę. Nie pamiętał. Tyleż jest pewnych sposobów, a on wybrał ten najgorszy. Może był urodzonym pechowcem? Ale urodzeni pechowcy pechowcami umierają. A może łączył w sobie dwie pasje naraz – śmierci łaknienie i tę drugą, poznawczą? Może to ciekawość, prócz samobójczych idei, też go gnała na Pustynię Bazyliszka?

Kiedy pojął swój błąd, było za późno. Bestia zawsze odbiera to, co wzbudza największe pragnienie. A on akurat pragnął śmierci.

Pierwsze sto lat przeżył jakby w malignie, szaleństwo go nawiedzało i opuszczało. Żył, śmierci łaknąc. Szukał jej wszędy. Uczestniczył w pojedynkach. Z gołymi dłońmi rzucał się na ciężkozbrojnych. Na jarmarkach nabijał się publicznie na nagie ostrza, połykał trucizny, dał się kąsać węzom i skorpionom – czerpiąc z tego wszystkiego umiarkowane zyski. Słynny na całe Cesarstwo był jego zakład z pewnym księciem – że bez jadła i picia przeżyje zamurowany w krypcie dwa miesiące.

– Nie słyszałem o tym zakładzie – wtrącił Dolsilwa, pracowicie sporządzający notatki.

– Może dlatego, że miał miejsce pięćset lat temu – odparł starzec. I rozmarzył się. – To były czasy...

Po jakimś czasie ekscesy nieśmiertelności znużyły go. Jął szukać jakiegoś w tym wszystkim sensu, ładu, symetrii, i własnego miejsca w układance świata. Studiował stare pisma, uczył się języków – miał na to niemal eony. Świat mijał, a on nie. Wciąż jednak pragnął śmierci.

W tym miejscu starzec przerwał na moment tok opowieści. Dobył skądś sztylet schowany w futerale. Obchodził się z nim pieczołowicie.

– Ostrze zanurzone jest w niezwyklej truciźnie, będącej kombinacją jadu almaryjskich żmij, skorpionów i ameb z Morza Stagijskiego – rzekł. – Być może nie ma na świecie niczego bardziej śmiertcionośnego. Kiedyś ukłuję się w palec. Lękam się tej chwili, bo jeśli i to zawiedzie...

Po poczynieniu tej jakże interesującej dygresji opowiadał dalej. Doczytał się wreszcie, że nadejdzie taki dzień, gdy winy zostaną odkupione. Ze narodzi się ten, którego nazwą Głosem Boga. I postanowił zaczekać, z czystej ciekawości. Nastawiony był sceptycznie – jakże zamierza On zbawić tę ciżbę pławiącą się w okrucieństwie? Odkupić winy ich? A może jeszcze wypić wody Martwego Morza?

By czymś zająć swe poznawcze pasje, zajął się – trwało to jakieś dwa wieki – sztuką. Szczególnie frapowało go malarstwo. Nie przejawiał nadzwyczajnego talentu, jednak uczył się długo, bardzo długo. Konferował z największymi mistrzami, badał zawzięcie człeczą anatomie, ustalał proporcje. Wreszcie jął malować portrety, lecz niezwykle, niekonwencjonalne. Nie miały to być proste odwzorowania, kopie kopii. Jego pasją było przemijanie. Obserwował ów proces z fascynacją – dostrzegał, czego inni dojrzeć nie mogli, bo mieli na to za mało czasu.

Niewidoczne zmiany rzeźby oblicz, załamania kącików ust miały dla niego fundamentalne znaczenie. Ekstrapolował przyszłe rysy twarzy z terażniejszych charakterystycznych grymasów, nieuchronnie fedrujących swe wzory w ludzkich obliczach. I malował przyszłość. Potem, po dziesięcioleciach, odnajdywał swe modele i porównywał artystyczne przewidywania ze starczą terażniejszością. Zgodność nigdy nie była zupełna. Nie mógł wszak przewidzieć blizn? ani nagłych intensyfikacji smutku, który czynił w obliczach niezwykle interesujące spustoszenia. Czasem obiekty umierały przed konfrontacją – tak było z piękną Weni, jedną z siedemnastu Wenterowych cór zwanych Mgnieniami Wiosny, Dostrzegł w niej niezwykle ciekawy rys zdradziecki, który mógł ją rzeźbić intensywnie. Ale los nie dokończył dzieła, zmarła bowiem, otruta.

Wreszcie świat nabrzmiał cierpieniem i stał się jak pęk wiśni, tuż przed pęknięciem. Starzec czuł tę atmosferę oczekiwania, jakby wszystko wokół zamarło, jakby dech wstrzymało. Znow jął krążyć wokół Szarej Pustyni, która nieustannie zwiększała swą powierzchnię. Coś go tam ciągnęło. Spotykał wielu sobie podobnych głupców – jedni pragnęli Bestię kiełzać i zaprząć do własnych, śmiertelnych rzecz jasna celów jako biologiczną broń najnowszej generacji, inni znow chcieli zgłębić tajemnicę Odbieracza tego, co ważne. Starzec próbował ich zawrócić, lecz go nie słuchali.

Jeden z nich był jednak inny. Nie sławy szukał, nie śmierci i nie broni. Poszukiwał sensu. Czekał Boskiej Odzywki. Istnienie Władcy Pustyni miało być pośrednim dowodem na istnienie Boga. Trzeba by jeszcze założyć, że świata zasadą jest przenikanie się przeciwieństw. Jeśli jedna skrajność istnieje, to i druga musi.

Kwaidan, takie było jego miano. Rycerz, wielki wojownik, najemnik księcia Bezpalecznego Sorma. I jego nie udało się wstrzymać. Bazyliszek wyssał zeń nadzieję. Pozbawił go uszu.

Ujrzał go raz jeszcze, po latach. Była to jedna z tych nielicznych twarzy, przy której nie popełniłby omyłki; jakże przewidywalny był tym akurat razem rzeźbiarz – los.

Jedenaście lat temu opodal miasta Wym ten, którego nazywano Rewne, wygłosił słynne swe kazanie zwane Kazaniem w Dolinie, Rycerz Kwaidan przejeżdżał mimo. Zbiegowisko mogło go zaskoczyć, może nawet zastanawiał się, co jest jego przyczyną. Czysty głos Rewne niósł się po okolicy. Chyba akurat mówił o czarnych owcach, o nielicznych nawróconych, o marnotrawnych synach, których nieoczekiwane powroty radują Pana. Wszyscy go słyszeli.

Ale Kwaidan nie mógł Go usłyszeć.

– A był tak blisko – rzeki starzec ze smutnym uśmiechem.

Umarł rok później podczas zarazy Czarnej Śmierci.

Starzec przyglądał się owemu Rewne. Śledził jego los dyskretnie. Czy było w nim coś nadzwyczajnego? Spokój, który odbierał spokój innym. Czuli, że muszą się przy Nim zmienić,

stać lepszymi. To był dobry niepokój. Ale czy trwały? Czy czynił cuda? Tak. Czynił. Ale płacił za nie wysoką cenę. Każdy kolejny przysparzał mu większych cierpień. Jakby materia świata stawiała mu odczuwalny opór. Raz przybył do niego człek niemy. Powiadano, że opanował go demon o takich właściwościach. Zdaniem Psów każde opętanie jest inne – i za każdym razem demon „obdarowuje” zarazem ofiarę swymi właściwościami. Nieme czorty powodują u nosicieli niemotę. I tak dalej. Rewne wypędził demona, o ile z demonem była sprawa. Wyssał z tego biedaka zło, które go opanowało. Ale sam nie mógł mówić przez wiele dni. „Wbrew swemu mianu” – zaśmiał się starzec. Wtedy przemawiali za niego uczniowie. Ci najwierniejsi; Enrew, Gorde...

– Rzekłeś: Gorde? – zdziwił się Rozenkrontz. – Kupiec Gorde? Gorde z Barden? Handlarz bronią?

– Ten sam. Był już stary. To było niezwykle nawrócenie. Porzucił majątek, rozdał dobra biedakom. Głośna historia. Nie słyszeliście?

Czy Rewne był Głosem Boga? Czy był tym, który odkupić miał winy? Starzec nie był pewien.

– On jakby opukiwał świat. Jakby pobierał próbki – mówił stary człowiek. – Badał. A za badanie płacił słońcą cenę cierpienia. Które zresztą też było materiałem badawczym. Ale to tylko moje przypuszczenie...

A w głowie Rozenkrontza rezonowały słowa wypowiedziane przed laty przez pewnego czarno odzianego jegomościa: „Wcielenie jest próbą zrozumienia”. Próbą zrozumienia. Próbą zrozumienia. Niczym więcej. I niczym mniej. Chłód, mimo palącego słońca, jakby się wzmógł.

– Czy świat zmienił się na lepsze? – zapytał starzec. – Czy On zmienił świat? Czy odczuwacie jakąś ulgę?

– Może z czasem... – mruknął niepewnie Dolsilwa.

– Nie mamy probierza – rzeki Rozenkrontz. – Jak to zmierzyć?

– Może probierz istnieje... – mruknął starzec zagadkowo.

Okazało się, że tylko raz się z Rewnem spotkali. Patrzyli sobie w oczy. Starcowi zdawało się, mimo tych wieków przeżytych, że spogląda w oczy istocie wielokroć od siebie starszej – było to niezwykle doświadczenie. „On był jak malarz losów – rzekł starzec. – Nie malował przyszłych rysów twarzy, ale rysy tektoniczne losów”.

– Powiedział wtedy: „Dokonało się”. Ja nic nie mówiłem, jakbym zaniemógł. Dokonało się. Co to mogło oznaczać? Czy mówił do mnie? A jeśli do mnie, to czy o mnie? Może o świecie mówił? Że na przykład świat sobie tapnął? Zmienił się? Na lepsze albo na gorsze. A może jednak o mnie? Może odpowiedział na mą niewypowiedzianą prośbę? Może...

– Ten probierz... – rzekł Rozenkrontz. – Mówiłeś coś o probierzu...

– Tak. Probierz. Chyba się nie mylę...

Usłyszeli jakiś dźwięk. Jakby ktoś się skradał. Rozenkrontz ze zdumieniem dostrzegł, że znienacka zapadł zmrok – tak go pochłoneła opowieść.

– Znikajcie! – syknął starzec. – Znajdę was. Jutro.

I sam, nader żwawo jak na swój wiek, rozpląnął się w ciemnościach.

Pelijoza nie popełnił nieostrożności. Był wprawdzie stary, ale nad rzemiosłem wciąż panował jak nikt. Szmery i szelesty były mu tym razem sprzymierzeńcem; miały spłoszyć ofiarę, odłączyć od stada. Był jak wilk zasadzający się na owce.

No i trzeba by zobaczyć, jak się zachowuje. Ocenic skalę zagrożeń. Poruszał się sprawnie. Krzepki był wciąż. Jak na swój, he, he, wiek.

Pelijoza podążał za nim z nieuchronnością śmierci. Myśli brzęczały mu jak komary. Czy jak zabije, to sam zginie? A jak zabije i zginie, to co dalej? Czy tam, w pośmiertnych krainach, wciąż można zabijać? Niczego innego wszak czynić nie potrafił. A jak kogoś zabije się po śmierci, to co z nim dalej? Odradza się gdzie indziej, gdzie znów ktoś go zabije? I tak bez końca – rozmarzył się Pelijoza. Ta piramidalna eschatologia wydała mu się wizją niezwykle kuszącą. Wręcz ekstatyczną. Oto raj zabójców – bezustanne mordowanie.

Tymczasem starzec dotarł do jakiejś gospody i tam się zatrzymał.

– Pióro i inkaust! – krzyknął od progu.

Pelijoza odczekał jakiś czas, nim wszedł za nim. Starzec zapamiętało coś pisał. Może testament?

Toczone w gospodzie rozmowy zalały Pelijożę kaskadą spienionych słów, urywków zdań. „Słona cena”, „Sól życia”, „Słona marność”, „Posoliła mi los”. Gdyby słone metafory mogły się materializować, kryzys gospodarczy Solos zostałby zażegnany.

Pelijoza zamówił wina. Gospodarz nalał mu jakiegoś miejscowego cienkusa. Zabójca jednak nie pił, tylko moczył wargi. I tak poczuł – podła lura!

Tymczasem stary człek skończył pisać. Potem z kimś krótko rozmawiał i przekazał mu rezultat swej twórczości. Pelijożę nie bardzo to wszystko obeszło. Czekał odpowiedniego momentu.

Starzec udał się na górę – widać mieszkał tu.

Pelijoza ruszył za nim.

Na piętrze spotkali się twarzą w twarz.

– Kim jesteś? – zadali to pytanie w tej samej chwili. Było w tej całej sytuacji coś nieodparcie komicznego. Więc rechotać jęli również w tym samym momencie. Dwóch starców wstrząsanych opętańczym śmiechem – dziwny musiał być to widok.

Pelijoza, wciąż rozchichotany, płynnym ruchem przeciął starcowi grdykę. Ten – na krwi

widok – westchnął.

– Cud... – szepnął. – Cud...

Po chwili był martwy. Z jego dłoni wypadł futerał. Pusty.

– Łatwo poszło – mruknął Pelijoza. Był trochę rozczarowany.

Dopiero po jakimś czasie poczuł słabość; nogi ugięły się pod nim. Spostrzegł niewielki sztylet wystający z uda. Zatrute ostrze – przemknęło mu przez myśl, nim spuchł fatalnie. Aż jęła na nim pękać skóra, a on wciąż puchł i puchł. Straszliwa śmierć.

O śmierci nieśmiertelnego dowiedzieli się następnego dnia, W Solos aż huczało od plotek. Dwu zgrzybiałych starców mordujących się wzajem nad grobową deską – była to wieść odległa od codzienności. Dużo się też gadało o fatalnym stanie zwłok jednego z trupów.

Rozenkrontz był wściekły. Probierz, probierz, probierz – kołatało mu się we łbie. Czy ów starzec naprawdę mógł coś wiedzieć o owym probierzu powszechnej pomyślności bądź jej braku? Czym mógłby być? Gdzie go szukać? Jak się upewnić?

– Co teraz? – zapytał Dolsilwa, gdy zakończył codzienną porcję spisywania wrażeń z podróży.

– Barden – odparł Rozenkrontz. – Gorde. To jedyny trop.

– Tak – powiedział poeta i powtórzył: – tak.

Kiedy opuszczali Solos, pewien wysoki człek odprowadzał ich wzrokiem. Twarz miał lekko ospowatą. Po jakimś czasie ruszył tropem starców.

Nie on jeden. Szukał ich także posłaniec z listem spisany dłońią nieśmiertelnego, tuż przed śmiercią jego. Pech chciał, że nieustannie się mijali. Posłaniec to spóźnił się, to wyprzedzał ich w drodze. Jakby jakieś sity tajemne sprzysięgły się, by list do adresata nie dotarł.

Lub by dotarł zbyt późno.

– Boisz się... Boooooiszysz się...

Rozenkrontz zerwał się na równe nogi. Ognisko przygasało. Dolsilwa chrapał w najlepsze. A jemu było zimno. Coraz zimniej.

– Boję się. Tak. Chyba tak – szepnął w stronę chłodu. Ten nie odpowiedział. – Kiedyś łatwiej nam się gadało. Teraz snuję monologi.

Usiadł przy ogniu i jął rozcierać dłonie. Piekielnie zimno. Jakby krew w jego żyłach zbuntowała się i zastosowała daleko idące restrykcje gospodarcze, nie docierając do poszczególnych części organizmu. Chętnie spełniłby krwiste żądania. Gdyby te były mu znane. Zapatrzył się w gwiazdy. On nie żyje, pomyślał nagle. Nie mógł długo utrzymać się przy życiu na tym świecie. Był dysonansem, niezgodnością. Takie nierówności bywają niwelowane.

Rozenkrontz był niemal pewien, że to śledztwo, zleczone przez Selijona (oby go piekło... –

ugryzł się w myśl) nie zakończy się sukcesem. A może od początku o to szło? Może wcale nie mieli odnaleźć go żywym i kwitującym? Może chodzi o prawdę? O Jego życie i – co ważniejsze – śmierci? Może mieli dać świadectwo? Odkryć to, co ktoś pieczołowicie okrywał cieniem, mordując kolejnych uczniów Rewnego? Mordując pamięć o Nim. Zarazem Rozenkrontz był przekonany, że ów morderczy trud tchnął daremnością. Jakby ktoś usiłował wyciąć serce z człeka z jednoczesnym absurdalnym zamiarem pozostawienia go niezmiennym, z wszelkimi pozorami życia, myślenia, oddychania. Można ich wszystkich wymordować, lecz zawsze coś zostanie – choćby pustka, choćby wyrwa. Ślad dotkliwy, bardziej krzykliwy niżby nic z nim nie robić.

– Wielcy ludzie rzucają wielki cień... – szepnął Rozenkrontz.

Zakrawało to na cud, ale poczuł chłód jeszcze intensywniejszy.

Ulica Czerwonej Komety odległa była od czasów swej świetności. Domy opustoszały, a Czerwony Pałac bił iglicą w – jak zawsze ołowiane – niebo nad Barden z jakimś teatralnym nadmiarem. Było coś niestosownego, groteskowego w dawnych roszczeniach właściciela, jakby doczesny przepych wydał mu się zbyt ciasny, zatem postanowił swe włości rozszerzyć na metafizyczne terytoria. Dziś po tych mrzonkach zostały smutne ślady – splądrowany pałac z ciemnymi jamami okien. I ta wszechobecna czerwień elewacji, która zresztą też jęła jakby płowieć, miejscami ocierając się niepokojąco o różne odcienie różu.

Starcy przechadzali się pośród tych szczątków świetności, które przypominały im ich nieco lepsze czasy. Wyprawy do wspomnień zawsze są nieudane.

Wreszcie weszli do Czerwonego Pałacu, plosząc przy okazji rezydujące tu teraz szczury. Budowla sprawiała wrażenie do szczytu splądrowanej. Po kolekcji egzotycznej broni nie zostało, rzecz jasna, nawet śladu. Z portretów, fałszywych jakoby, przodków Gordego oszczędzono jeno jakieś fragmenty płótna nienadającego się na podpałkę. Z podłogi łypało na nich czyjeś szlachetne spojrzenie, ówdzie nasłuchiwało wieści ucho; było też dużo poniewierających się wysokich czół, marszczonych myślą, która nie mogła być już nawet wspomnieniem. Złocene ramy natomiast zniknęły.

– Myślisz, że go tu znajdziemy? – zapytał Dolsilwa.

– Pewnie nie. Ale to ostatni trop. – Spojrzenie Rozenkrontza skrzyżowało się właśnie z wnikliwym wejrzeniem portretowym. Aż się wzdrygnął.

Ich kroki brzmiały głucho, wydawały się stłumione. Jakby nawet one należały do przeszłości.

Nagle przeszło Rozenkrontza jakieś silne wrażenie. Przecucie? Nie, nie przecucie. Uczucie? I to nie. Poczucie. Tak. Woń silna. Smród właściwie. Złączenie zapachu zwierzęcego potu i pachnidła mającego go zdusić. Wonie splecione w śmiertelnym uścisku – a uścisk ten rodzi zapach nowy. Oto kwintesencja miłości – mordercze złączenie dające nową jakość. Rywalizacja rodząca kooperację.

Postępowali tropem smrodku, co nie było łatwe – przeciągi zabijały woń, lecz ta za każdym

razem cudownie zmartwychwstawała. Ulatywała, by powracać. I szli tak, zawąchani, od komnaty do komnaty. Aż znaleźli przyczynę smrodu.

– Pan Gorde – rzekł Rozenkrontz.

Nie bardzo się zmienił. Wciąż wielki, ale niesprawiający już wrażenia jowialnego. Surowo ciosana twarz. Jego potężne ciało spoczywało na czymś w rodzaju tronu. Wyglądał zarazem groźnie i komicznie. W łachmanach, lecz majestatyczny. Majestatyczny, mimo wszystko. Król ruin. Władca zgliszczy. Jedyny posiadacz niczego.

Na ścianach i podłodze ktoś nakreślił kręgi. Setki, tysiące okręgów. Jedne zachodziły na drugie, nakładały się, przecinały. Jakby kto ćwiczył się w biegu do osiągnięcia krągłości linii. Albo popadł w manię. Obsesję. Raczej to drugie, pomyślał Rozenkrontz. Raczej to drugie.

– Rozenkrontz. Myślałem, że jesteś mądrzejszy. Wejdźcie, panowie. Rozgośćcie się. Rozejrzeli się niepewnie. Tron był tu jedynym meblem.

– Zatem rozdałeś, panie, cały majątek? – zagaił rozmowę Dolsilwa.

– Tak. Wspaniały gest, prawda? No i, rzecz jasna, znakomity kamuflaż. Wyrosły wam ogony, panowie. Co oznacza, że jesteście śledzeni. To wy naprowadzacie siepaczy na cel, odkąd ten głupiec Selijon przestał krążyć po świecie. Wiedzieliście o tym? Oczywiście i tak by nas wszystkich w końcu wyrznęli. Ale może nieco później. Choć, jak widzicie, ja specjalnie się nie kryję...

– Kto chce was wszystkich wymordować? Cesarz?

– Tak i nie. Nowy Cesarz nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia Rewnego. Dostrzega w Barden jeno zapłutą dziurę nawiedzaną przez zarazy. Peryferia włości, którymi się cieszy od tak niedawna. Tak się namęczył zdobyciem sukcesji, że spoczął na laurach. Kto inny działa w jego imieniu... – Gorde zamyślił się, trwało to jednak krótko. – A przecie Barden to niemal centrum świata, pępek cudowności. Pozory mylą, prawda? Dziura okazuje się epicentrum dziwów, Mesjasz to nie istota dumna i tajemna, której z oczu tryskają błyskawice, lecz prosty kołodziej... Dziwicie się? Tak, kołodziej. Przez długie lata trudnił się wyrabianiem kół do wozów w jakiejś wiosce. Nic nie jest tym, na co opiewa jego wygląd. Nawet ja. Zwłaszcza ja.

– Czy Rewne... – zaczął Rozenkrontz, lecz były handlarz bronią przerwał mu:

– Mamy mało czasu. A chyba przybyliście tu, by wysłuchać pewnej historii...

Pierwsze wspomnienia łączą się z odczuciem wyobcowania. Tak był niechciany, że aż sam siebie nie chciał. Patrzył na swe wodne odbicia z żalem, cienie traktował z okrucieństwem. Był półlehandryjczykiem. Jego matka została ofiarą gwałtu – rzecz zwykła na obszarach przygranicznych, gdzie z pewną częstotliwością dochodziło do utarczek międzyimperialnych.

Wówczas to jedni, to drudzy wojownicy zmieniali się w ogrodników siejących nie tam, gdzie trzeba.

Jego matka powinna była się zabić pierwszej, niż dopuścić do łona lechandryjskie ścierwo – takie było powszechne mniemanie. Tymczasem dopuściła, nie zabiła się, urodziła Gordego, i jeszcze wydawała się dumna, pełna godności. Ta godność była jej pancerzem, który w jakimś stopniu osłaniał ją od sztychów losu. Ale też zarazem odgradzał ją od wszystkiego – również od syna. Jakby istniał, nie istniejąc.

Gorde chował się jak chwast – wyrastał na twardej glebie. Był wprawdzie silny i jak na swój wiek duży, ale musiał ulegać liczebnej przewadze. Z tego czasu pochodzą jego pierwsze przekorne (bo faktom przeczące) rozważania na temat przewag jakości nad ilością.

I pewnie los jego tak by się właśnie potoczył – od klęski do klęski, gdyby nie pewien człek pochodzący z dala, z centrum Imperium Hongh, może nawet z Kerose, stolicy, rezydencji Dotkniętego Przez Boski Palec. Nazywał się Ferlong i powiadano, że miał prawo obserwować Imperatora przez okres przesypywania się tysiąca ziaren piasku w klepsydrze o wyjątkowo wąskiej przepustowości. Co oczywiście świadczyło o jego wyjątkowej pozycji społecznej. Co dziwne, nie posiadał godła, a jego rodzinne koligacje zasnuwała mętność. Nikt do końca nie wiedział, kim jest, skąd pochodzi. Nikt poza samym Imperatorem być może. W owym czasie Ferlong poszukiwał młodych, obiecujących chłopców. Oczywiście „młodzi i obiecujący” zupełnie co innego oznaczało w języku Ferlonga niż w mniemaniu reszty świata. Szukał zatem chłopców zaszczutych, zbuntowanych, czujących się źle w swym środowisku, silnych a plastycznych. Dodatkowym warunkiem było mieszane pochodzenie oraz – najlepiej – zamieszkiwanie na terenach granicznych, gdzie dochodzi do styku różnych kultur.

Niewielu takich znalazł, lecz Gorde należał do tego grona. Nadawał się idealnie. Do czego jednak? O tym miał się dowiedzieć dopiero piętnaście lat później.

Te piętnaście lat było w życiu Gordego okresem przerażającym i fascynującym zarazem. Mieszkał w niewielkim zamku oddalonym od handlowych szlaków Imperium Hongh. Tu odbywało się szkolenie – wszechstronne, lecz dziwne. Nauczano tu sztuki przetrwania w każdych warunkach – niedaleko rozciągały się obszary pustynne, gdzie co jakiś czas Gorde umierał z pragnienia. Rychło nauczył się trwać i w dzikich ostępach. Dodawano mu do jadła umiarkowane, lecz stopniowo zwiększane dawki różnego rodzaju trucizn, by jego organizm oswoił się z jadem. Torturowano go też hartująco, jednocześnie wpajając trudne sztuki zdobywania informacji z łbów opornych. Fechtunku uczył go mistrz Sjong, krzepki staruszek, w którego dłoniach stal przeistaczała się w żywą istotę, zwiewną i szybką. Sjong potrafił też jak nikt inny walczyć gołymi rękoma; sztuki tej miał nauczyć się w młodości od górali z Ftagg.

Równolegle zapoznawał się Gorde z dworską etykietą (Ferlong zwykł mawiać, że dworskie

środowisko odznacza się większym stopniem śmiertelności niż pustynne), pilnie studiował przepisy handlu.

Sam Ferlong uczył go natomiast trudnej sztuki kamuflażu. Przy czym nie szło jeno o mimikrę terenową – ta okazała się banalna. Najtrudniejsze było skrywanie uczuć pod powłoką twarzy. Nie zdradzać się z żywionymi emocjami – ani poprzez teatralną obojętność, ani nadmierną żywość. Wybrać taką reakcję, która adekwatną była do sytuacji. Tak jednak, by nie było widać namysłu – by był z oblicza źródło całkowitej naturalności.

Również Ferlong pokazał Gordemu, jak konstruuje się postać. Najpierw kreślił grubymi krechami jej charakter, był to ledwie szkic. Potem z obsesyjną drobiazgowością rozpatrywał, w jaki też sposób postać jego zachowywałaby się w takiej lub innej sytuacji. Alternatywy zachowań szły w tysiące, sytuacje rozgałęziały się, tworząc już nie psychologiczne drzewa, lecz bory. Wreszcie Gorde ze zdumieniem dostrzegł, iż Ferlong nie jest już tym starym Ferlongiem, którego poznał jako bachor. Był zupełnie kim innym, obcym, choć zarazem znanym – bo wspólnie „wyćwiczonym” na zajęciach z symulacji zachowań. Co ciekawe, mistrz nigdy nie wracał do swych starych wcieleń, porzucał je jak puste skorupy. Co jakiś czas tworzył nową postać, a czynił to z biegłością Pana Boga. Tyle, że sam był twórcywem własnej twórczości. W sobie rzeźbił, co musiało boleć.

Nadto uczniowie musieli pilnie obserwować najróżniejsze człeczki typy: od obmierzłych żebraków po wykwintnych arystokratów. Ferlong, pan na zamku, zapraszał ich w jednym celu – by chłopcy studiowali ich pozy, ich gesty, by usiłowali przeniknąć aż do ich dusz, zerwać maski – aż do kości.

Wszystkim tym kulinarno-militarno-krajoznawczo-aktorskim aktywnościom nieodmiennie towarzyszył wizerunek Imperatora Tkniętego Palcem Boga. Rzecz cała tak była inscenizowana, by wzmacniać przywiązanie Gordego i innych chłopców (w końcu zostało ich tylko trzech) do Władcy.

Ostatecznym egzaminem dla młodzieńców już było stworzenie całkowicie nowego wizerunku, odległego od dotychczasowego wcielenia. I utrzymanie go w całkowitej psychologicznej wiarygodności – przez lata całe. Na konstrukcję mieli cztery zimowe miesiące.

Gorde jął kłęić w myślach szkic przyszłej postaci. Czy będzie wojownikiem o ostrym wejrzeniu, czy bardem o maślanym oczach? Który wizerunek przylgnie doń jak druga skóra? Czy przekona Ferlonga? A jeśli przekona – cóż dalej? Jak potoczy się jego los? I pojął, że ta myśl mu nie pomoże. Ze gdy myśli się o odległej przyszłości, można nie doczekać tej najbliższej.

Bez reszty skoncentrował się na zadaniu. Gdy jął się przeistaczać, myślał o matce. O jej nieprzystępności, która była pancierzem nieprzenikalnym dla jakiegokolwiek rodzaju broni. Oto inspiracja.

Znienawidził siebie tak bardzo, że nie miał dla siebie litości. Zmienić się w potwora, którym przecie był w jakimś stopniu. Ale też zmienić się... nieco. To najlepszy sposób – retusz. Zmiana całkowita nie mogła być trwała; może Ferlong mógł sobie pozwolić na takie przeistoczenia, ale nie on, nie Gorde. Maski w końcu odpadają – taka ich natura. Koncept był prosty – stać się „na zewnątrz” tym, czym był „w środku”. Wywalić na wierzch swą czarną duszę, swój nadmiar. Stać się własnym zwierciadłem. Krzywym zwierciadłem.

Zrozumiał, że do takiej rzeźby materiału mu nie staje. Jął tedy Gorde żreć. Trudno było nazwać to pożywianiem się. Gorde żarł, aż mu tłuszcz wymieszany z sokami oraz wyrafinowanymi sosami spływał po brodzie. Żarł i żarł – a niemal wszyscy mieszkańcy zamku obserwowali proces z rosnącym przerażeniem. Jeden Ferlong spoglądał z ciekawością. Gorde poczytał to sobie za zaszczyt – wszak dotąd traktował ich z obojętnością. Jeśli przejawiał jakieś żywsze uczucia, to w ramach ćwiczeń z konstruowania sztucznych nastrojów. Na efekty Gorde nie czekał długo – pęczniał i pęczniał, powiększał swą objętość, tak jakby pragnął sobą wypełnić każdą komnatę, każdy zakamarek zamku, wypychając wszystko, co nim nie było. Jakby chciał stać się zamkiem. Równolegle wzrastała w nim nieoczekiwana – również i dla niego – nowa cecha: jowialna serdeczność. Wydawała się nasilać wprost proporcjonalnie do wzrostu wagi jego ciała. Ale w serdeczności Gorde tkwił jakiś fundamentalny fałsz, nietrudny do odkrycia dla bacznego obserwatora. Fałsz podwójny, a może i potrójny – fałsz fałszywy, który nie był jednak prawdziwą. Gorde nie był pewien, czy aby sam siebie nie zwiódł. Na ile prawdziwy był obraz owego jowialnego olbrzyma, grubasa z uśmiechem tak prawdziwym, że aż fałszywym?

Niewątpliwie wygrał te konkury, choć żadnych nagród nie przyznano. Pozostali zbudowali postaci z biegłością, lecz bez błysku geniuszu. Teraz pozostał problem powrotu do naturalności, porzucenia balastu kamuflażu. Wtedy Gorde poczuł, że czuje się w owym obłym cielsku niespodziewanie świetnie. Że dusza nie rwie się do raję, że tu i teraz pragnie pozostać, boć w trakcie przeistoczenia wytworzyły się niespodziane przestrzenie, przestworza wręcz.

Z biegiem lat nauczył się jeszcze panować nad wonią swego, ciała. Wydzielał pot na wewnętrzne zawołanie – niemal, jak mu się zdawało, regulował jego gęstość, gadał tak, by stroić symfonie zapachów lub by intensyfikować ich przykrość, gdy bardzo potrzebował samotności. Wiedział, które pachnidła wchodzi z jego naturalną wonią w gwałtowne reakcje – wyzwajając nowe jakości przykrości bądź przyjemności. I tak zapach stał mu się orężem.

W dniu dwudziestych piątych urodzin Gordego Ferlong wreszcie wyjawiał mu sens tych wszystkich zabiegów. Otóż miał być szpiegiem w osadzonym w Cesarstwie Lechandryjskim, a konkretnie mieście Barden. Oto dlaczego Ferlong szukał bękartów z krwią wymieszaną – mniemał, że łatwiej się dostosują do zmiennych kolei. A paliwem knowań będzie im nienawiść do obiektu tajemnych badań; wszak los Gordego zdeterminował gwałt na jego matce jakiegoś lechandryjskiego ścierwa.

Od pięciu lat pracowicie budowana była jego legenda – że handluje z Hongh bronią, stąd jego bogactwa. Już wykupiono w mieście całą ulicę; wnet stanie tam pałac.

– Twoim kamuflażem będzie bogactwo – rzekł Ferlong. – Nikt nie weźmie za szpiega człeka, który z tak nachalną ostentacją rzuca się w oczy.

Tak też się i stało.

Gorde był nieco rozczarowany nagle objawionym sensem swego żywota. Po to te wszystkie wyrzeczenia, nadludzkie wysiłki, przeistoczenia? By szpiegiem się stać? By donosić?

Szybko jednak dostosował się do nowej sytuacji, tak jak przewidział to Ferlong, mistrz jego (nigdy więcej się nie spotkali). Nowe życie przypadło mu do gustu – na handlu bronią zarabiał krocie, wiódł życie dandysa, cieszył się każdą chwilą. Obowiązki wywiadowcze ograniczały się do rzadkich raportów sporządzanych szyfrem i pozostawianych pod siedemdziesiątym trzecim (od końca) kamieniem na gościńcu do Barden.

Któregoś dnia – Gorde nie potrafił określić, którego dokładnie – jął go nękać jakiś bliżej nieokreślony lęk. Był jak ból zęba, uporczywy, nadobecny. Psuł każdą miłą chwilę, zatruwał miłosne ekscesy, a nawet uniesienia kulinarne. Gorde zrozumiał, że wiedzie mu się za dobrze. Nawet w czasie zarazy Czarnej Śmierci pustoszącej Barden i okolice jego akurat interes kwitł. Było to wbrew naturze świata, gdzie powodzenia przeplatane są porażkami – a takie plecionki nazywa się losem. Coraz częściej nawiedzała kupca-szpiega myśl, że czeka go jakiś nagły kataklizm, który zniweczy bogactwa i szczęście.

W tajemnicy przed wszystkimi jął kultywować stary obyczaj – w każdy pierwszy dzień nowego roku wrzucał do pobliskiej rzeki jakiś drogocenny przedmiot. Raz był to pierścień, innym razem szlachetny kamień. Jakby przekupywał los, jakby składał ofiarę bogom. To go trochę uspokajało.

Aż pewnego dnia, a było to dokładnie czterdzieści sześć lat temu, kiedy podejmował obiadem notabli miejskich, wydarzyło się coś, co doszczętnie zrujnowało spokój Gordego. W jadłospisie – wciąż pamiętał to świetnie – były frykasy z różnych części świata. Lecz Gorde uwielbiał pieczone okonie łowione w pobliskiej rzeczce. Jadł ze smakiem, z tym swoim słynnym nadmiarem, jakby świat pożerał, a nie rybę. Nagle coś twardego zgrzytnęło mii między zębami. Już miał kazać pojmać kucharza, by należną mu za zaniedbania karę wymierzyć, gdy spostrzegł, że niespodzianym dodatkiem do okonia jest złoty pierścień. Ten sam, który wrzucił do rzeki na początku pamiętnego roku! Oczywiście mógł to być przypadek, niemal niemożliwy, nie do pojęcia traf ślepy. Mógł. Ale Gorde w to nie wierzył. Jego ofiara nie została przyjęta. Bogowie wzgardzili jego hojnością.

Właśnie tego roku w pobliskim zamku Kaltern, posiadłości nieżyjącego już hrabiego Mortena, przyszedł na świat chłopiec. Po latach jęto go nazywać Głosem Boga. Ale najbliżsi

mówili na niego Rewne-Gaduła.

Gorde nie od razu pojął, że jego klęska ściśle wiąże się z tą właśnie postacią. Jego mocodawcy zareagowali z pewnym opóźnieniem; nigdy dotąd nie miał tyle pracy. Musiał gościć u siebie coraz to nowych agentów, morderców, Psy, magów, badaczy. Wszyscy oni ginęli bez wieści bądź tracili zmysły. Tak, twardym orzechem do zgryzienia był ów malec. Potem nagle zniknął – Gorde wydał majątek, by go odnaleźć.

Chłopiec miał już wówczas czternaście lat. Sposobił się do profesji kołodzieja w odległej prowincji Lechandrii. Gorde słał rozpaczliwe zapytania: Zabić go? Śledzić? Badać? Czekać?

Czekać. Badać. Śledzić.

Nie zabijać. Na razie.

Młodzieniec wiódł spokojny żywot u boku swej niemej matki. Gorde spoczywał w swej rezydencji, w swym Karmazynowym Pałacu i – napięty niczym struna – czekał wieści, meldunków. Oplatał Rewnego siecią swych agentów, którzy rejestrowali każdy jego ruch, notowali każde wypowiedziane słowo. Nic nie zapowiadało nadzwyczajnych wydarzeń. Ot, dobry człek. Spokojny nad miarę. Niewiele oczekujący od życia. Lecz nie zwiódło to Gordego. Kupiec nie mógł zapomnieć o okoniu swego przeznaczenia. Coś się stanie. Coś musi się stać. Jego spokój prysł, a właściwie eksplodował. Z taką siłą, że odłamki mogły zabijać, przyczyniać się do „wieczystego spokoju” ofiar. Gorde był teraz dziką bestią. Paradoks chciał, że stał się nią, by spokojem i szczęściem bronić. A nie można żyć w szczęściu i pokoju, dziką bestią będąc.

Aż nagle Rewne wyruszył w drogę. Miał wtedy niespełna trzydzieści lat. Jął gadać o miłości, miłosierdziu, wierze i nadziei oraz o Królestwie Nie Z Tego Świata. Wokół niego gromadzili się uczniowie, ludzie słuchali. Rejestrowano liczne nawrócenia, wzrosło rozdawnictwo majątków. Gorde czytał raporty z rosnącym niepokojem. Były jak poematy, miały w sobie rytm, melodię i prawdę, a przecie były zarazem jeno bladymi odbiciami, tego, o czym prawił Gaduła. Ta filozofia mogła zniszczyć porządek świata.

Jego agenci albo się nawracali, albo wieszali, pojawszy nagle nędzę swego życiorysu. Nie nadążał z ich wymianą. To wtedy nadeszły nowe rozkazy (odbierał je spod siedemnastego kamienia). Ma stać się cieniem Rewnego. Porzucić majątek – dla kamuflażu, jasna rzecz. Jak kiedyś miał majątek własności maskujące, tak teraz podobną funkcję musiał spełnić jego brak. Nie wolno – za wszelką cenę – dopuścić do rozprzestrzeniania się zgubnej ideologii miłosierdzia na obszar Imperium Hongh.

I Gorde stał się nędzarzem. Przeklęty okoń! I szedł trop w trop za Rewnem, słuchał jego kazań. Początkowo go nudziły – te banały o nadstawianiu policzka, o ostatnich, którzy będą pierwszymi. O tym, że wszyscy muszą być jako te dzieci, by wejść do Niebieskiego Królestwa. Co to znaczy: jak dzieci? Gorde przypomniał sobie swą dziecięcą nienawiść, swe pacholące życie

pełne bólu. Jak dzieci? Czemu nie jak skorpiony?

Aż pewnego dnia Rewne go dostrzegł, wyłowił z tłumu jak okonia. „Będziesz moim uczniem”, rzekł. Tak też się stało. Stał się jednym z najbliższych towarzyszy Głosu Boga, a nie licząc Enrewa i Paoli, być może najbliższym.

– Paoli... – szepnął Rozenkrontz. Zimno. Zimno.

Dolsilwa jakby skurczył się w sobie. Tymczasem kupiec opowiadał dalej.

Gorde nie uwierzył od razu. Nie było żadnego spektakularnego nawrócenia. Nadal wysyłał raporty, które miały w sobie coś z poezji. To był powolny proces. Czuł, że ma do czynienia z kimś wielkim, lecz zarazem jakby spętany swoją wielkością. I pojął, że prawdziwa wielkość zawsze wiąże się z zaniechaniem. Być może Rewne mógł ruszyć świat z posad. Być może potrafił zatrząść tronami, spowodować, że władcy pospadają z królewskich zydlu jak przejrzałe owoce. Może nawet mógłby zmienić ludzi na lepsze. Ale tego nie zrobił. Musiałby ich najpierw woli pozbawić, w kukły przerobić i bez ustanku sterować – tak, by wyłącznie dobro czynili.

Trzydziesty szósty rok jego żywota miał się okazać rokiem gorzkiego spełnienia przedwiecznych przepowiedni. Coś się zmieniło w Rewnem tego roku. Zaczęło się latem, kiedy dotarli do Wardan. Mieli zostać tam kilka dni, lecz nie zostali dnia nawet. Coś wtedy zaszło. Coś przerażającego, ale Gorde nie wiedział co.

Poeta zacisnął się jak pięść. Wardan. Dziesięć lat temu. Tak, on wiedział, co się wówczas stało. Wiedział.

Tego wieczoru, gdy zatrzymali się w obozowisku opodal miasta, Rewne wypowiedział słynne słowa:

– Nie upłynie rok, nim jeden z was mnie zdradzi – rzekł ze smutkiem.

Gorde był przekonany, że te słowa dotyczą właśnie jego. Czuł, że wciąż może to zrobić. Dla Imperatora. Przez matkę. Dlatego, że był taki, a nie inny. Wciąż wysyłał raporty.

Rewne stał się milczący. Ludzie wciąż szli za nim, ale on rzadko się odzywał. Posmutniał. Zmierzali w kierunku Barden – tam miało wypełnić się przeznaczenie.

W Barden Gorde był świadkiem pewnego zdarzenia. Owóz tłum chciał ukamienować pewną dziewczkę, leciwą już wówczas, wciąż jednak pełną zwodniczego powabu, niejaką Kroni. Rewne uratował ją, mówiąc (a były to jego pierwsze słowa od wielu dni): „Kto jest bez winy, niechaj pierwszy ciśnie kamieniem”. Otrzeźwiło to ludzi, amok ustąpił. Cud poniechania.

Tego samego dnia Rewne ujawnił uczniom swe plany. Zamierzał udać się na Szarą Pustynię, by ujrzyć Bestię. A właściwie być przez nią ujrzanym. Próbowali go powstrzymać, nikt wszak nie wyszedł bez uszczerbku z takiego spotkania. Ale on uśmiechał się jeno smutno. Wszyscy wiedzieli, że to uczyni, że tak musiało być zapisane wyżej – dla nich za wysoko.

Kazał im zostać i czekać jego powrotu. Lecz dwóch go nie posłuchało. Enrew i Gorde ruszyli za Mistrzem. Była to ich ostatnia wspólna podróż. Czy wiedział, że jest śledzony?

Dopiero wtedy Gorde dostrzegł dziwne zachowania Enrewa. Stało się to w nocy; nagle wybudziły go głosy rozmowy. Inna sprawa, że od lat sypiał słabo – byle co wybijało go z ukojenia, a to szept wiatru, a to mamrotanie Enrewa. Mamrotanie Enrewa? Rzeczywiście, to właśnie słyszał. Enrew był gdzieś poza zasięgiem światła rzucanego przez dogasające ognisko. Gorde skradał się; sam nie wiedział dlaczego. Czemu się kryje? Czy wychynęły zeń nagle uparcie wpajane szkolenia? Czy szpiegowanie, skrytość stały się jego naturą? Dość, że podkraść się dość blisko, by rozróżnić słowa. Tylko Enrew gadał. Minęło trochę czasu, nim Gorde przyzwyczał wzrok do ciemności i jął rozróżniać choć kontury rzeczy. Tak, Enrew był sam. Wokół niego natomiast ciemność jakby zgęstniała, a z centrum owego zagęszczenia bił przenikliwy chłód. Lecz wziął Gorde te zjawiska za objawy swego rozgorączkowania. Po dłuższej chwili zorientował się, że jego towarzysz rzuca słowa w ciemność, po czym na jakiś czas milknie, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi. A może milkł, bo odpowiedź słyszał? Oszalał, pomyślał Gorde, bez dwóch zdań oszalał.

Dlaczego ja? – pytał Enrew rozpaczliwie. Cierpliwie słuchał nieistniejącej odpowiedzi. I znów uparcie powtarzał to samo pytanie. Pytał też o inne sprawy. Zapytał o Rewnego – czy jest on w istocie Głosem Boga? Potem długo milczał, jakby trawiając odpowiedź, której Gorde usłyszeć nie mógł. O, ileż by dał kupiec, gdyby ktoś kompetentny jej udzielił! Ileż by dał...

Jaki jest sens tego wszystkiego? – zapytał znów Enrew. Tym razem odpowiedź była krótka, chyba rozczarowująca, bo zachnął się, gniewny. Być może pytał o sens swego życia, tymczasem uzyskał odpowiedź na temat sensu istnienia wszechświata?

Ich Nauczyciel parł przed siebie niestrudzenie, a oni szli za nim. Minęli zamek Kaltern – i dalej, na północ. Powiadano, że Szara Pustynia bez ustanku powiększa swój obszar. Bestia miała w szarość przyoblec świat. Co jednak potem? Oto pytanie o zwieńczenie wszelkich dążeń – zarówno konstruktorskich, jak i niweczających. Co potem? Jak już się wszystko uporządkuje, co potem? Jak się wszystko zniszczy – co potem? Osiągnięcie celu to największa klęska. Dla wszystkich.

Zaiste, włości Bazyliszka niemal ocierały się już o dawne strefy wpływów niesławnego hrabiego Mortena. Zwały popiołu przesypywał wiatr, szczęśliwie tego dnia niezbyt porywisty. Mimo to w powietrzu unosiła się lekka mgielka – ciężko tu było oddychać. Gorde dostrzegł nagle, że jest sam. Że Enrew gdzieś zniknął. Iść? Nie iść? Musi napisać raport – przekonywał siebie bez przekonania. Tak, raport. Musi to zobaczyć. Musi. Zatem brnął. Zapadał się po kolana. A im bardziej zagłębiał się w obszary spustoszeń, tym poziom popiołu wzrastał. Niebo było puste, żadnych ptaków. Cisza. Popielista cisza.

Popioły sięgały mu już piersi, gdy zobaczył Mistrza. Dziwne to, lecz Rewnego popioły nie zakrywały. Stał na nich, jakby nic nie ważył – nawet stopy mu się nie zapadały. Stał nieruchomo – powieka mu nie drgnęła, posągowo niewzruszony. A przed nim piętrzył się żywioł. Gorde nie

potrafi tego opisać, być może nie potrafił tego nawet dostrzec. Kiedy przypatrujemy się czemuś z nadmiernej bliskości, choćbyśmy tężyli wzrok, nie ujrzymy istoty przedmiotu naszej obserwacji. Może tak było i tym razem? Kwintesencja ruchu, zmiany, a zarazem nicości. Wszystko tworzone z niczego. Wir twarzy, zwierząt, roślin, skal – jedno przechodzące w drugie, drugie w trzecie. Trzecie w setne. Żdźbło trawy wyrzeźbione w skale, które zarazem wije się niemożliwie w tej swojej skalności, staje się czymś żywym, węgorzopodobnym, by zmartwieć, stężeć w nieruchomą, rozczapierzoną dłoń ukorzenioną w popiele. Dłoń, która zaraz rozsypuje się. A tu znów twarze – szare oblicza wykrzywiane wszelkimi możliwymi grymasami obojętności. Popielista obojętność. Niezliczone są jej odmiany. Wszystko w bezustannym pędzie, ruchu. Życie jest ruchem, świat jest ruchem, ja jestem ruchem. Ale co potem? Po co pytać? Trzeba się ruszać! Parodia życia. Wszystkie zassane byty jawią się tu, jakby odwzorowane w krzywym zwierciadle.

Na tle tego ruchu, tej buchającej popielistej energii, nieruchomość Rewnego jest czymś niestosownym. Jest wyzwaniem. Jakże kruchym wyzwaniem. Popiół drwi sobie z takich wyzwań. Wiruje jak trąba powietrzna zasysająca wszystko, co ważne. Lecz Rewnego wessać nie może! Kim jest ów człek-nieczłek? Urąga swą nieruchomością. Gordemu wydaje się, że wirujące twarze rozmawiają ze sobą – miast słów plując popiołem. Jak go przeistoczyć w popiół? Co jest jego istotą? Kim, czym on jest? Co w nim najważniejsze? Co mu zabrać, by stał się popiołem? Wydaje się, że obojętność spełza z tych oblicz. W zamian rysuje się na nich inny wyraz – zaciekawienie? Strach?

Ile czasu to trwa? Gorde nie wie. Sto ziaren piasku? Sto lat? Wreszcie zdaje mu się, że Rewne słabnie. Jest jakby niższy. Tak. Jego stopy zapadły się w popiele po kostki. Po kolana. Wir też słabnie. Jego doskonała plastyczność tężeje chyba. Twarze osypują się – tu opadł policzek, ówdzie sypią się bezgłośnie usta. Popieliste drzewo wybijało w sekundę odkorzenia się gwałtownie, szybuje, zda się, ku przestworzom, by tam zaowocować. Przedtem jednak zmienia się w szarą chmurę. A ta w popielisty deszcz. Popielne żmije oplatają się wokół Rewnego, jakby go kusząc. Ale zamiast słów czy choćby syków, tylko popiół. Tylko popiół.

Ostatni tytaniczny wysiłek Pustyni – setki wijących się macek dotyka Rewnego, bada go – co to, kto to, co to, kto. Każde dotknięcie oznacza dla nich nicość. Lecz cóż znaczy jedna macka. Więc badają, dotykają i nikną. Co to, kto to? Odebrać mu, odebrać. Co? To kto to?

Tymczasem Rewne jest już przysypany niemal po szyję. Nie krzyczy, nie mówi. Tylko patrzy wysoko, tam, gdzie wzrok nie sięga. Już znika pod szarością. Macki ostatecznie rozsypują się. Znowu rozczapierzona dłoń – jakby w geście rozpaczony – spójrzcie, nic nie mam! Nic, nic, nic.

Jak ja to opiszę w raporcie, myśli Gorde całkiem bez sensu.

Wszystko uspokaja się, lecz Rewne zniknął! Gorde krzyczy, krzyczy ile sił. Wreszcie brnie w tamto miejsce i kopie, rozgarnia, szarpie. Popiół to trudny przeciwnik, osypuje się, przecieka

przez palce, oślizguje. Ale jego moc jest już tylko mocą bierności, nie napędza go żadna wola. Gdzie jesteś, odezwiąj się, co z tobą – krzyczy były kupiec, aktualny żebrak i szpieg Imperium Hongh. Wreszcie zrozumiał, że świat bez Rewnego to trochę gorsze miejsce. Zawsze pojmujemy, czego nam trzeba, gdy tego zabraknie. Wciąż przesypuje popiół. To daremne, daremne – coś mu mówi chłodno. Ale Gorde walczy. Wreszcie na cokolwiek zda się jego siła, moc ramion, trening wytrzymałościowy, miesiące spędzane w śmiertelnych kurortach. Nie wie o tym jeszcze, ale i jego maski osypują się w mgnieniu oka. Jak popiół.

Wreszcie jest! Czuje ciepło ciała. Wrywa Rewnego z szarych okowów. Żyje, choć postradał przytomność! Mój Boże, jak lekki! Lekki jak piórko. I ty chciałeś wyrwać świat z mroku? Ty, młodzieńcze?

Teraz już wie – to nie on zdradzi. Nie on wyda. Stał się oto apostołem. Apostołem przegranej sprawy.

Milczeli. Trzech starców w zapomnianej komnacie Czerwonego Pałacu. Rozenkrontz pierwszy przerwał ciężką ciszę.

– Mówiłeś... mówiłeś o Paoli. Była z wami? Z Rewnem? Co się z nią stało?

– Nie wiem, Rozenkrontz. Nie widziałem jej potem. Powiadali, że umarła w Barden. Czarna Śmierć ją zżarła. Tak powiadali. Ale ja nie wiem...

Dolsilwa wiedział. Ale nie powiedział.

– Co było potem? – zapytał Rozenkrontz.

– A co być miało? Przepowiednia spełniła się. Rewne wiedział o wszystkim. To był prawdziwy kielich goryczy. Po pielgrzymce na Szarą Pustynię Gaduła zmienił się jeszcze bardziej. Jakby coś w nim pękło. Wprawdzie zmógł Bazyliszka, wprawdzie Szara Pustynia przestała się rozprzestrzeniać, ale zapłacił za to słońną cenę... Gorde przerwał, zbierając myśli. – Za słaby mam rozum, by to wszystko zgłębić. Ferlong by się przydał, niechaj mu ziemia będzie ołowiem – zaśmiał się gorzko. – Stary Ferlong... Może było tak, że i Głos Boga coś stracił w tym tytanicznym zwarciu? Może Bestia zabrała mu jednak coś cennego? Może... nie wiem... może była to wiara w powodzenie Jego misji? Może stracił wiarę? Może pomyślał, że zadanie go przerasta? Tym bardziej Go jednak podziwiam. Bo ją kontynuował. Mimo wszystko. Mimo braku wiary. Mimo wiedzy, czym się to wszystko skończy...

– Kto go zdradził? – zapytał Dolsilwa.

– A któż mógł? Przekląty Enrew. To on nas ściga. To on morduje. Pragnie pamięć wymazać. Jeszcze jedno wam powiem. Ta dziewczka, którą uratował Rewne. Ta... Kroni... Ona...

– A to już moja historia, Gorde, stary przyjacielu.

Wszyscy trzej obrócili się w jednym momencie. W wejściu do komnaty stał człek w średnim wieku, mógł mieć lat czterdzieści. Twarz miał nieco dziobatą. Był wysoki.

– Enrew – rzekł Gorde bez zdziwienia.

Zatem rzeczywiście ich śledził. Wiedli go jak po sznurku, starzy głupcy! Rozenkrontz zmełł w ustach przekleństwo.

– Tak. – Zdrajca dłoń miał opartą na mieczu. – Widzicie, panowie, owa Kroni to była moja matka. Ja ją wydałem tłumowi. Zakulisowo. Plotki posiałem. Prawdę opowiadałem. O jej przeszłości nędznej. Tłum w słusznym gniewie pragnął ją ukamienować. Lecz Rewne, ech, ten niepoprawny Rewne, musiał dokonać akurat wtedy cudu. Miłosierdziem poraził tych głupców. Uratował ją jednym gestem. Co gorsza, być może uratował nawet nędzną jej duszę, a tego już nie mogłem ścierpieć... Za piętnaście srebrników, a była to dość wygórowana cena, wynajęłem kilku drabów. Zamknęli ją w loszku i tam poddali najokrutniejszej z tortur. Widzicie, każdy człek ma swą miarę cierpienia... To była jedyna szansa, by zniweczyć robotę Rewnego, kołodzieja. Jeśli ją karmić. Ba, karmić to mało powiedziane. Wpychali żarcie przemocą w jej gardło. Dzień po dniu. Błagała ich o litość. Gdybyż miała szesnaście srebrników, przeklęta dziewczka, która była mi matką. Dla niej, która przez całe życie dbała o linię, która głodziła się rytualnie, choć nie religijnie, która miała talię jak osa, tak, dla niej to musiała być klęska. Obłąd. Tyła jak jej stara mistrzyni – Kolchinea o niezliczonych podbródkach. A oni wciąż ją wypychali niczym gęś. Niczym świnię tuż przed zarżnięciem. I opowiadali mi ci obwiesie, którzy już gryzą ziemię, że tuż przed tym, nim pękł jej żołądek, przeklinała wszystko i wszystkich. Nawet Boga. Tak. Nawet Rewne. Nie uratował jej duszy. O, nie. Nie jej.

– Dlaczego go zdradziłeś? Byliście jak bracia, jak...

– Strony jednej monety. Tak. Awers, rewers. Byliśmy jak bracia. Jak przyjaciele. Kochałem go... – Zdawało się, że Enrew posmutniał nagle. – Bo powiedzcie mi, szlachetni, kogo można zdradzić, jak nie przyjaciela? Kogo, jak nie matkę? Gdyby mi byli obojętni, nie byłoby zdrady. Musiałem kochać, by ich zdradzić. By ich zabić. Tak. Tak właśnie. Byłem przy Jego śmierci. Widziałem, jak łamali mu kołem kości na bardeńskim rynku. Jak się wił z bólu. Ale nie błagał litości. Ciebie tam nie widziałem, Gorde. Nie było tam jego uczniów. Ani jednego. Jeno tłuszczą żadna błogosławionych dźwięków: trzeszczenia stawów i nieludzkich jęków. Żadna ujrzeć coś, co przewyższa ich codzienne troski, ich nurzanie się w biocie. Tak, byłem tam i patrzyłem mu w oczy. Powiadali, że gdy umierał, niebo pociemniało. Że poczuli błogostan złączony karkołomnie z cierpieniem. Że omal ich nie zabił. Ale ja nic nie czułem. Nic. Kochałem go jako człeka. Gdy się obwołał Bogiem – znieawidziłem. Bo albo był głupcem, niespełna rozumu, albo jeszcze gorzej. Bóg zezwalający na cierpienie, Bóg, który dopuszcza do mego istnienia! Mnie, kundla, mieszańca, zaprzańca, naturalnego zdrajcę! Mnie... który go sprzedał. Za piętnaście srebrników. Który niweczy to, co głosił i co uczynił.

Rozenkrontz dostrzegł, że Gorde jakby prężył się do skoku. Niby wciąż spoczywał na swym groteskowym tronie, lecz duchem już go tam nie było. Sam czuł znużenie i chłód. Ogarniał jego

ciało, skuwał rzeki krwi. Zima organizmu – śmierć zatem. Śmierć się zbliżała. Miał niewiele czasu, czuł to całym sobą. I już chyba nawet nie miał po co żyć. Rewne był martwy. Śledztwo skończone.

– Kiedy już z wami skończę, staruszkowie, a stanie się to zaraz, udam się do zamku Gormoren, cesarskich włości. Tam, otoczony strażą i sekretem, w podziemiach spoczywa trup Rewnego.

Nikt tam wejść nie może – to edykt cesarskiego głupca. Nikt nie może sprawdzić, czy się sprawdziły przepowiednie – czy trzeciego dnia zmartwychwstał. Cesarz nie wierzy, ale na wszelki wypadek się lęka. Jego niewiara podszyta jest parszywą wiarą. Dziw, że nie kazał spalić jego szczątków. A ja tam wejdę. Ja sprawdzę. Bo... – zawahał się. – Co mi tam, powiem wam, bo długo już nie pociągnięcie, ja go widziałem. Już po śmierci. A nikt inny go nie widział. Ukazał się temu, kto z nikim się swą wiedzą nie podzieli.

Głupi cud. Więc muszę. Muszę sprawdzić, czy był to zwid, czy prawda. Muszę ujrzyć jego gnijące ciało. Muszę...

Enrew nie dokończył, bo Gorde wystrzelił jak z procy. Był, jak na swój wiek i monstualną tuszę, niewiarygodnie szybki. Przemknął obok starców jak pustynny wiatr – i tyle go widzieli.

– Wami zajmę się później! – rzucił Enrew i pomknął za Gordem.

Na korytarzu przystanął, przez chwilę nasłuchiwał, ale zubożały handlarz bronią dobrze się maskował. A jednak. Zapach. Duszący zapach pachnideł i potu. Ruszył tym tropem jak gończy pies.

Woń nasilała się. Enrew uśmiechnął się. Obnażył ostrze miecza. Tak. To tu. Ta komnata. Wszedł.

Gorde czekał, również uśmiechnięty. Stara pułapka zadziałała. Drzwi zamknęły się za plecami Enrewa. Byli uwięzieni. Na wieki. A nawet dłużej.

Na rozstajach dróg spojrzeli na siebie po raz ostatni. Naprawdę ostatni.

– Szkoda, że nigdy go nie spotkałem – rzekł Rozenkrontz.

Spotkałeś, pomyślał poeta, spotkałeś.

Dolsilwa wahał się, czy wyjawić Rozenkrontzowi ostatnią tajemnicę. Ale postanowił, że weźmie ją ze sobą do grobu. Tuż przed śmiercią ukończy jednak dzieło swego życia – Ewangelię tego świata. Poczesne miejsce zajmie tam świadectwo Enrewa, zdrajcy. Świadectwo zmartwychwstania. Tekst Dolsilwy zostanie uzupełniony przez poetyckie raporty Gordego i jego szpiegów, póki co – zamknięte w archiwach Imperium Hongh. Zrazu będą brane za apokryfy, lecz ich autentyczność zostanie w końcu potwierdzona. I staną się Kanonem. Była w tym jakaś monstualna ironia – szpiegowskie raporty, które miały zniweczyć potęgę Głosu Boga, przydały Mu jeszcze chwały.

Do końca swych dni będzie jednak poeta wspominał pewną rozmowę, którą odbył w straszliwych okolicznościach przed dziesięciu laty. Umykał przed zarazą dziesiątkującą okolice Barden. Zaiste, śmierć po ludziach tam chodziła. Nie wybierała – dzieci, kobiety, starcy, mężczyźni w sile wieku. Wojownicy. Kupcy. Wszyscy byli gasnącymi świecami pośród wichrów.

Napotkał leżącą na poboczu gościńca umierającą kobietę wyniszczoną gorączką, z ropiejącymi wrzodami na ciele. Pić, szeptała, pić. Nie mógł się nie zatrzymać. Nie mógł nad nią nie pochylić.

I wtedy ją rozpoznał. Paola! Małżonka Rozenkrontza, nałożnica – z konieczności – Sędziego Kowenora. Paola. Piękna Paola. Tak wyniszczona, tak wychudła. Czerniała. Cierpiąca. I stara.

Mimo gorączki rozpoznała go. I opowiedziała Dolsilwie historię, która zmroziła mu duszę. Krótką historię.

Szli za swym Mistrzem, za Rewnem, a ten ich wiódł przez gościńce, przez pola, łąki, lasy. I, niestety, miasta. Zdarzyło się, że przechodzili przez Wardan, starożytną lechandryjską twierdzę. Mieszkańcy reagowali na nich różnie, jak zwykle. Jedni słuchali, inni przeklinali. Aż napotkali pewnego starca, Paola nie od razu go rozpoznała. Dziwnie się zachowywał. Zdrętwiał jakby. I cichym głosem wypowiedział słowa, które słyszeć mogli tylko Rewne i Paola, bo ta stała najbliżej. Straszne słowa. Że Rewne zostanie zdradzony przez swego najbliższego przyjaciela. Że zginie w mękach.

Nie można było mu nie wierzyć, był prorokiem. Rewne słuchał go ze smutkiem. Wiedział, że to prawda.

Ten starzec (Nie! Nie! Nie! – krzyczał w myślach Dolsilwa) to był Rozenkrontz. W swym ostatnim wieszczym odrętwieniu, którego nawet nie będzie pamiętał.

To Rozenkrontz przepowiedział śmierć i zdradę temu, którego nazywali Głosem Boga.

Ta świadomość bardziej ją bolała niż ropiejące rany. Zabijała ją. Nienawiść pospołu ze współczuciem. Cierpiąca straszliwie. Więc Dolsilwa powiedział jej, że jest Wemal Daw, jedną z Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych. Nie rozpekła się, nie eksplodowała. Dusza łagodnie ją opuściła. Ale pamięć nie opuszczała poety. Nie mógł opowiedzieć o tym Rozenkrontzowi. Nie potrafił. Nie swemu jednemu przyjacielowi. Nie jemu. Nie.

Tymczasem Rozenkrontza ścigała śmierć, ale pierwszy dopadł go posłaniec. To był list od owego starca mniającego się nieśmiertelnym, spisany tuż przed jego śmiercią, Rozenkrontz przysiadł na kamieniu i zaczął czytać. Chwiejne pismo, litery koślawe, widać, że stawiane w wielkim pośpiechu.

„Dokonano się” – cóż mogły znaczyć te słowa? Cud. Jeśli zginę, jeśli przekleństwo mej nieśmiertelności zostało zniweczone, byłby to może jeden z największych Jego cudów. Moja

śmierć będzie świadectwem. Wy dać je musicie. Śmierć nieśmiertelnego to coś więcej niż zmartwychwstanie martwego.

Probierz. Może istnieje coś takiego. Ostateczny dowód Jego triumfu bądź klęski.

Był czas, gdy poszukiwałem dzieł malarskich największych mistrzów. Studiowałem paletę barw, technikę, perspektywę, ujęcia klasycznych tematów. Uczyłem się. Doszły mnie słuchy o pewnym dziwnym obrazie. Wiązała się z nim dość ponura legenda sprzed niespełna pół wieku. Owóż niestawny hrabia Morten miał w swym zamku w Kaltern uwięzić pewnego pacykarza – jego imię niknie w pomroce dziejów. Był to malarski trefniś, nadworny kreślarz Bezpalczastego Sorma, portrecista jego dziewczek, a były ich jakoby legiony. Dość, że Morten, jak miał to zresztą w zwyczaju, poddał artystę nieludzkiemu eksperymentowi – torturował go przez wiele dni i nakazał malować własne cierpienie. Cóż, zlecenie niemal niewykonalne – najwięksi mistrzowie by go nie podjęli. Cóż dopiero to beztalencie. A jednak. A jednak. Namalował. Coś. Coś, czym zniszczył swego prześladowcę. Powiadano, że ofiar było więcej. Że wszyscy – patrząc na owo dziwo – czuli niezmiernie cierpienie, rozdzierające ich na strzępy, zabijające pewniej niż ostrze miecza. Niż stal daletańska.

Oczywiście nie dałem temu wiary. Pogłoski jednak co i rusz mnie dochodziły. Tu trup, ówdzie następny. Pomyślałem – cóż mi szkodzi spróbować? Nie zmożły mnie jady ni stal, może sztuka mnie wreszcie zabije? Piękna wszak śmierć! Jąłem śledzić pogłoski o obrazie. Miał opuścić Kaltern zamknięty w czarnej skrzynce – tak, by nikt go nie widział. Ciekawość jednak ludzka rzecz. Ktoś zerknął. I zginął.

I tak, od trupa do trupa, dotarłem do malowidła. Drżącymi dłońmi wyjąłem obraz ze skrzynki. Ogarnęło mnie wielkie rozczarowanie. Ot, widok komnaty – z zakratowanym oknem, stołem, ściany w pleśni. I obraz rozpięty na sztaludze. Ten obraz. Na nim zaś – w odpowiednim pomniejszeniu – znajomy pejzaż, też z obrazem. I tak w nieskończoność. Prostacki pomysł, już zresztą stosowany wcześniej – obraz w obrazie. Już miałem go schować w skrzynce, tę zaś utopić lub spalić, gdy w mej głowie eksplodowało tysiąc słońc. Cierpienie, cierpienie za tysiące, miliony. Przygięło mnie ku ziemi, ciałem wstrząsały torsje. Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnąłem śmierci. Ale obraz mnie nie zabijał. Potęgował jeno w nieskończoność to, com odczuwał od wieków! Czołgałem się, łkając i rzygając, by go przykryć, zasłonić! Dzielilo mnie od niego niespełna dziesięć łokci, a była to chyba najdłuższa podróż w moim jakże długim życiu.

Wreszcie koniec. Pojąłem, że ów głupiec ślepym trafem nie własne cierpienie sportretował, lecz cierpienie w ogóle. Zawarł tam kwintesencję tego świata. Nie wiem jak. Ale to może być szansa. To może być ów probierz. Zabrałem go z powrotem do Kaltern, tam jego miejsce. Sprawdźcie – jeśli cierpienie wciąż bije z tego portretu światowej udręki, to Rewne chyba poniósł klęskę. Jeśli nie – w jakiś sposób wygrał.

Tu następował opis miejsca ukrycia obrazu. Do Kaltern było pół dnia drogi. Może zdąży,

pomyślał Rozenkrontz. Cóż pozostało mu do stracenia? Jeśli obraz go zabije – cóż z tego? Chłód i tak wkrótce to uczyni. Przekona się przed śmiercią. Jenó zdążyć! Zdążyć!

Kaltern i Samotna Wieża wskazująca na niebo jako miejsce przeznaczenia nielicznych. To tam właśnie. W tej komnacie. Pod kamienną płytą podłogową. Probierz.

Starzec chwieje się na nogach, ale wchodzi po krętych schodach. Jest jak zwinięta pięść, kułak, figa losu. Zimno. Zimno. Środek lata.

Jeszcze pięć schodów. Jeszcze trzy. Wzrok zamglony. Muszę. Muszę.

– Muszę...

Wchodzi. To tu. Jak na obrazie opisanym w liście. Tylko okno bez krat. Udało Mu się czy nie?

Stół dawno zapadł się pod własnym ciężarem, jego smętne szczątki walały się tu i ówdzie.

Która płyta? Która to płyta? Próbuje – która z nich ściśle nie przylega, która się rusza. Zdziera paznokcie, ale nie czuje bólu. Prawie nic nie czuje. Woli, by zabił go chłód, nie cierpienie. Niby wszystko jedno, ale nie. Nie wszystko.

Jest! Płyta. Rusza się. Rozenkrontz z nadludzkim wysiłkiem odsuwa ją na bok. Skrzynka. Czarna skrzynka.

Drżącymi dłońmi uchyla wieko i wyjmuje obraz.

Tak.

Wie.

Teraz już wie.